

Wszystko diet *pań*

^ Wszystko dla *pań* \*~

Powieści SUSAN ELIZABETH PHILLIPS  
w Wydawnictwie Amber

†ARENA  
^ KANDYDAT NA OJCA  
LALE CZKA  
NA PRZEKÓR WSZYSTKIM  
NATCHNIENIE  
NIE BĘDĘ DAMĄ  
ODROBINA MARZEŃ  
PIERWSZA DAMA  
PODRÓŻ DO NIEBA  
SŁODKA JAK MIÓD  
TO MUSIAŁEŚ BYĆ TY  
WŁOSKIE WAKACJE

— ^ SUSAN ELIZABETH  
PHILLIPS  
WŁOSKIE WAKACJE

Przekład  
Karolina Bober

&  
AMBER

Tytuł oryginału  
BREATHING ROOM

Redaktor serii  
MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

Redakcja stylistyczna  
ELŻBIETA NO"vAK

Redakcja techniczna  
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta  
MAGDALENA KWIATKOWSKA  
MARIA RAWSKA

Ilustracja na okładce  
MASTERFILE/EAST NEWS

Projekt graficzny okładki  
MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

Opracowanie graficzne okładki  
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład  
WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

Copyright © 2002 by Susan Elizabeth Phillips.  
All rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-0228-0

*Michaelowi Spradlinowi i Brianowi Groganowi*

*Każdemu pisarzowi życzę takich przyjaciół, jak Wy  
Mam nadzieję, że wiecie, jak bardzo Was cenię.*

## Rozdział 1

**D**oktor Isabel Favor lubiła skromną elegancję. W tygodniu nosiła doskonale skrojone czarne kostiumy i skórzane pantofle. Szyję zdobiła zwykle sznurem pereł. W weekendy ubierała się w dzianinowe garsonki lub jedwabne bluzki bez rękawów, zawsze w stonowanych kolorach. Doskonałe strzyżenie i drogie środki do pielęgnacji włosów pomagały okiełznać jej niesforne blond loki. Gdy mimo wszystko układały się po swojemu, ściągała je wąskimi aksamitnymi opaskami.

Nie była piękną, ale miała ładne, jasnobrązowe duże oczy i czoło proporcjonalne do reszty twarzy. Odrobinę za szerokie usta zmniejszała optycznie bladą pomadką. Umiejętnie stosowany podkład maskował piegę na nosie. Dzięki odpowiedniej diecie miała ładną cerę i smukłą sylwetkę. Pod niemal każdym względem była kobietą bardzo uporządkowaną. Nad jednym wszakże nie umiała do końca zapanować: skubała zębami trochę nierówny paznokieć kciuka prawej dłoni. Choć przestała go obgryzać, był wyraźnie krótszy od pozostałych. Ten zły nawyk wyniosła z trudnego dzieciństwa.

W oknach gabinetu rozbłysły światła Empire State Building. Isabel zacisnęła pięść, chowając kciuk, żeby oprzeć się pokusie. Na biurku w stylu art deco leżało poranne wydanie ulubionego brukowca Manhattanu. Isabel cały dzień nie mogła odpędzić myśli o artykule z pierwszej strony, ale dopiero teraz miała czas, żeby się nad nim spokojnie zastanowić.

WZIĘTA AMERYKAŃSKA PSYCHOLOG  
NAWIEDZONA, WYMAGAJĄCA I TRUDNA W POŻYCIU

Była asystentka znanej pisarki i wykładowcy, specjalistki w dziedzinie psychologii, mówi, że dr Isabel Favor jest szefową z piekła rodem. „Ma świra na punkcie władzy nad innymi” - oświadcza Teri Mitchell, która w zeszłym tygodniu zrezygnowała ze stanowiska...

- Nie zrezygnowała - powiedziała głośno Isabel. - Wyrzuciłam ją, kiedy znalazłam listy z dwóch miesięcy, których nawet nie otworzyłam. - Kciuk powędrował do ust. - I wcale nie mam świra na punkcie władzy, - Omal się nie nabrałam. - Carlota Mendoza wysypała śmieci z mośiężnego kosza do kubła na wózku. — Jest pani też... co ona wygadywała? Nawiedzona i wymagająca? *Si*, zgadza się.

- Nieprawda. Przetrzyj też kinkiety, dobrze? - A widzi tu pani drabinę? I niech pani nie obgryza paznokci. Isabel zacisnęła dłoń. - Mam zasady, to wszystko. Nieuprzejmość jest wadą. Złośliwość, zawiść i chciwość też. Ale czy taka jestem? - W szufladzie są schowane batoniki, ale nie najlepiej mówię po angielsku, więc może nie zrozumiałam, o co chodzi z tą chciwością. - Bardzo śmieszne. - Isabel nie wierzyła, że jedzenie to panaceum na smutek, ale to był okropny dzień, więc otworzyła szufladę, wyjęła dwa snickersy i rzuciła jeden Carlocie. Po prostu jutro rano poświęci więcej czasu na jogę.

Carlota złapała batonik, oparła się o wózek i rozerwała opakowanie. - Tak z ciekawości... Nosi pani czasami dżinsy? - Dżinsy? - Isabel ssała przez chwilę czekoladkę, delektując się smakiem. - Kiedyś nosiłam. - Położyła batonik na biurku i wstała. - Daj mi to. - Wzięła od Carloty szmatkę do kurzu, zdjęła pantofle, podciągnęła spódnicę kostiumu od Armaniego i weszła na kanapę, żeby przetrzeć kinkiet.

Carlota westchnęła. - Znowu mi pani opowie, jak w czasie studiów zarabiała pani sprzątaniami domów? - Oraz biur, restauracji i fabryk. - Isabel wcisnęła palec wskazujący między metalowe ornamenty. - Gdy chodziłam do szkoły, pracowałam jako kelnerka i zmywałam naczynia... Nie znosiłam tej roboty. Pisząc pracę magisterską, byłam dziewczyną na posyłki u leniwych, bogatych ludzi.

- Teraz sama pani taka jest. No, tyle że nie leniwa. Isabel z uśmiechem przetarła ramę obrazu.

- Próbuję ci coś powiedzieć. Dzięki ciężkiej pracy, dyscyplinie i modlitwie można spełnić swoje marzenia.

- Gdybym chciała tego słuchać, kupiłabym bilet na pani wykład.

- A ja przekazuję ci mądrość za darmo.

- Ale mi się poszczęściło! Skończyła pani? Bo mam inne gabinety do sprzątania.

Isabel zeszła z kanapy, oddała szmatkę i przestawiła butelki z detergentami na wózku, żeby Carlota nie musiała daleko sięgać.

- Dlaczego pytałaś o dżinsy?

- Próbuję sobie wyobrazić panią w dżinsach. - Carlota włożyła do ust resztkę snickersa. - Zawsze jest pani taka elegancka, jakby pani nie wiedziała, co to muszla klozetowa, nie mówiąc o jej myciu.

- Muszę dbać o wizerunek. Napisałam *Cztery filary dobrego życia*, mając zaledwie dwadzieścia osiem lat. Gdybym nie ubierała się konserwatywnie, nikt nie traktowałby mnie poważnie.

- A teraz ma pani sześćdziesiąt dwa lata? Oj, przydałyby się dżinsy.

- Niedawno skończyłam trzydzieści cztery. Dobrze o tym wiesz.

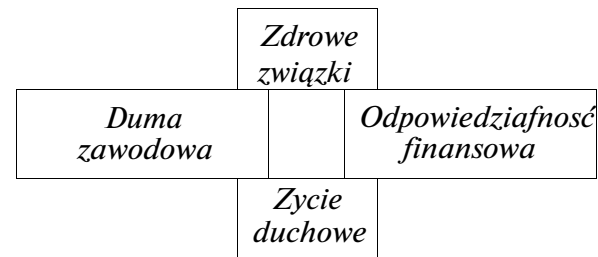
- Dżinsy i ładna, czerwona bluzka, taka obcisła, opinająca cycki. I wysokie obcasy!

- A propos dżiwek, mówiłam ci, że dwie panie, które zawsze stoją w alejce, wczoraj przystąpiły do programu zatrudnienia?

- W przyszłym tygodniu wrócą na ulicę. Nie wiem, po co pani traci czas.

- Lubię te kobiety. Ciężko pracują. - Isabel opadła na fotel. Starła się myśleć o czymś pozytywnym, żeby zapomnieć o upokarzającym artykule le. - Cztery filary pomagają każdemu, od uliczników po świętych. Mam tysiące dowodów.

Carlota prychnęła i włączyła odkurzacz: dość gadania. Isabel wyrzuciła gazetę do kosza na śmieci i spojrzała na oświetloną wnękę w ścianie. Stał w niej piękny kryształowy wazon z wyciętymi czterema zachodzącymi na siebie kwadratami - logo firmy Isabel Favor Enterprises. Każdy kwadrat symbolizował jeden z czterech filarów dobrego życia.



Krytycy uważali cztery filary za zbyt duże uproszczenie. Isabel nie-raz zarzucano kołtuństwo i fałszywą świętoszkowatość - a przecież nigdy nie zachowywała się tak, jakby pieniądze należały jej się za nic. We własnych oczach nie była kołtunką. Nie była też szarlatanem. Sama żyła według tych zasad, one pomogły jej stworzyć dobrze prosperującą firmę, więc cieszyła się, że jej praca zmienia na lepsze życie innych ludzi. Wydała już cztery książki - piąta miała się ukazać za parę tygodni - nagrała kilkanaście kaset i miała zaplanowane wykłady na cały przyszły rok. Zgromadziła okragłą sumkę na koncie bankowym. Nieźle jak na małą myszkę, która wychowywała się w emocjonalnym chaosie.

Spojrzała na równo ułożone dokumenty na biurku. Miała też narze-żonego, z którym od roku planowała ślub, oraz mnóstwo papierkowej roboty, którą musiała skończyć, zanim pójdzie do domu.

Pomachała na pożegnanie wychodzącej z gabinetu Carlocie, po czym wzięła grubą kopertę z urzędu skarbowego. Listem powinien się zająć Tom Reynolds, jej księgowy i menedżer, ale wczoraj zadzwonił, że jest chory, a ona nie lubiła, gdy nawarstwiały się sprawy do załatwienia.

Co wcale nie oznaczało, że była nawiedzona, wymagająca, trudna w pożyciu.

Otworzyła kopertę nożem do papieru, ozdobionym monogramem. Dziennikarze dzwoniли cały dzień, prosząc o komentarz w sprawie artykułu, ale ona postanowiła nie reagować. Zła reklama jednak ją niepokoiła. Jej praca zależała od szacunku i sympatii ludzi, dlatego Isabel starała się żyć przykładowie. Wizerunek to rzecz ulotna, a ten artykuł mógł mu zaszkodzić. Pytanie, jak bardzo?

Wyjęła list z koperty i zaczęła czytać. W połowie wytrzeszczyła oczy i sięgnęła po słuchawkę. Myślała, że nie jest źle, tymczasem okazało się, że ma wielkie kłopoty z urzędem skarbowym, który kazał jej zapłacić 1 200 000 dolarów zaległego podatku.

W sprawach podatkowych była skrupulatna i uczciwa, więc na pewno zdarzył się zwykły błąd komputerowy. To jednak nie oznaczało, że problem da się łatwo rozwiązać. Było jej przykro kłopotać chorego Toma, ale koniecznie musiał zająć się tą sprawą nazajutrz rano.

- Marilyn, tu Isabel. Muszę porozmawiać z Tomem.
- Z Tomem? - Żona menedżera trochę bełkotała, jakby była po kie-lichu. Rodzice Isabel miewali takie głosy. - Toma nie ma.
- Cieszę się, że mu lepiej. Kiedy wróci? To bardzo pilna sprawa. Marilyn pociągnęła nosem.
- Ja... powinnam była zadzwonić wcześniej, ale... - Wybuchła płą-czem. - Ale... nie mogłam...

- Co się stało? Powiedz.
- Chodzi o Toma. On... on... - Szloch uwiązłej w gardle jak młot pneumatyczny w asfalcie. - On u-uciekł do Ameryki Południowej z moją siostrą!

Dwadzieścia cztery godziny później okazało się, że również z wszyst-kiemi pieniędzmi Isabel.

Michael Sheridan był przy Isabel podczas rozmów z policją i przy-krzych spotkań z pracownikami urzędu skarbowego. Był nie tylko jej ad-wokatem, ale i mężczyzną, którego kochała. Nigdy w życiu nie czuła do niego takiej wdzięczności, jednak nawet jego obecność nie zapobiegła katastrofie. Pod koniec maja, dwa miesiące po przyjeździe tego fatalnego listu, potwierdziły się najgorsze obawy Isabel.

- Stracę wszystko. - Potarła oczy ręką, a potem rzuciła torebkę na stylowe krzesło w salonie swojego mieszkania na Upper East Side. Ścia-ny były wyłożone boazerią z wiśniowego drewna. Na orientalne dywani-ki padało światło lamp od Fredericka Coopera. Isabel zawsze wiedziała, iż ziemskie dobra są nietrwałe, ale mimo wszystko nie spodziewała się, że aż tak. - Muszę sprzedać mieszkanie, meble, biżuterię i wszystkie an-tyki. - Nieuniknione było też rozwiązanie fundacji charytatywnej, która czyniła tyle dobra wśród ubogich. Wszystko przepadło.

Michael doskonale o tym wiedział, ale ona musiała wypowiedzieć te słowa na głos, żeby dobrze uświadomić sobie sytuację i zacząć szu-kać rozwiązania. Gdy nie odpowiedział, spojrzała na niego przepraszają-co.

- Cały wieczór milczysz. Zmęczyłam cię narzekaniem, prawda? Odwrócił się od okna, przez które wyglądał na park.
- Wcale nie narzekasz, Isabel. Po prostu próbujesz sobie poradzić.
- Taktowny jak zwykle. - Uśmiechnęła się smutno i poprawiła po-duszkę na sofie.

Nie mieszkała z Michaelem - nie wierzyła w szczęśliwy konkubinat - ale czasami tego żałowała. Mieszkając oddzielnie, widywali się za rzad-ko. Ostatnio mieli szczęście, jeśli udało im się raz w tygodniu, na kolacji. Co do seksu... Nie przypominała sobie, kiedy go uprawiali.

Gdy poznała Michaela Sheridana, od razu wiedziała, że jest jej bratnią duszą. Oboje pochodzili z patologicznych rodzin i ciężko pracowali, żeby się wykształcić. Michael był inteligentny i ambitny, tak samo porządny jak ona i tak samo zaangażowany w pracę. Był pierwszym słuchaczem jej wykładów na temat czterech filarów, a dwa lata temu, gdy napisała książkę

o filarze zdrowych związków, dodał rozdział, w którym przedstawił męski punkt widzenia. Miłośnicy Isabel wiedzieli, co ich łączy, i zawsze pytali, kiedy ślub.

Podobał jej się jego przyjemny, skromny wygląd, jego szczupła, wąska twarz i krótko ostrzyżone brązowe włosy. Michael miał niewiele ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, więc nad nią nie górował - co drażniło ją u innych mężczyzn. Był zrównoważony i logiczny. A przede wszystkim opanowany. Nie musiała się obawiać złych nastrojów czy wybuchów złości. Miły i kochany, trochę sztywny, co bardzo jej się podobało, i jakby stworzony dla niej. Powinni się pobrać rok temu, ale oboje byli zbyt zajęci, a poza tym układało im się tak dobrze, że Isabel nie chciała niczego przyspieszać. Wiedziała, że w nawet najlepiej przemyślane małżeństwo wkrada się chaos, a tego zawsze się obawiała.

- Dostałam dziś raporty sprzedaży mojej nowej książki. - Ze wszystkich sił starała się nie okazać goryczy.

- To po prostu zły moment.

- Prasa sobie ze mnie żartuje. Kiedy pisałam o filarze finansowej odpowiedzialności, okradał mnie własny księgowy. - Zdjęła buty i wsunęła je pod krzesło, żeby się o nie za chwilę nie potknąć. Gdyby wydawca mógł przerwać dystrybucję, przynajmniej oszczędzono by jej na koniec publicznego upokorzenia. Jej poprzednia książka przez szesnaście tygodni utrzymała się na liście bestsellerów „New York Timesa”. Ta leżała na półkach. - Sprzedawałam ze sto egzemplarzy.

- Nie jest aż tak źle.

Było fatalnie. Wydawca przestał odpowiadać na jej telefony, a sprzedaż biletów na letnie wykłady spadła tak bardzo, że Isabel była zmuszona je odwołać. Traciła nie tylko dobra materialne, ale i budowaną latami reputację.

Odetchnęła głęboko, żeby opanować panikę i spróbować dostrzec pozytywne aspekty sytuacji. Niedługo będzie miała czas na zaplanowanie ślubu. Ale jak może wyjść za Michaela i pozwolić mu się utrzymać do czasu, aż sama stanie na nogi? Jeśli w ogóle stanie...

Była zbyt przywiązana do zasad czterech filarów, żeby pozwolić się sparaliżować złym myślom. Sprawę trzeba omówić.

- Michael, wiem, że robi się późno, a ty jesteś zmęczony, ale musimy porozmawiać o ślubie.

Bawił się pokrętem przy jej wieży stereo. Miał wiele stresów w pracy, a jej kłopoty nie poprawiały mu nastroju. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale się odsunął.

- Nie teraz, Isabel.

Natychmiast sobie przypomniała, że nigdy nie byli parą gruchających gołąbków, i próbowała się nie przejmować. Przecież ostatnio sprawiła mu tyle kłopotów.

- Chcę ci ułatwić życie, nie utrudnić - powiedziała. - Już dawno nie wspominałeś o ślubie, ale wiem, że jesteś na mnie trochę zły, bo nie ustaliłam daty. Teraz jestem bankrutką i trudno mi się pogodzić z myślą, że ktoś będzie mnie utrzymywać. Nawet ty.

- Isabel, proszę...

- Wiem, zaraz powiesz, że to nie robi różnicy... Że twoje pieniądze są moimi pieniędzmi... Ale dla mnie to bardzo ważne. Utrzymuję się sama od osiemnastego roku życia i...

- Isabel, przestań.

Dotąd prawie nigdy nie podnosił głosu, ale przecież napierała na niego jak buldożer, więc nie mogła mieć mu tego za złe. Asertywność była zarówno jej siłą, jak i słabością.

Odwrócił się do okna.

- Poznałem kogoś.

- Naprawdę? Kogo?

Większość kolegów Michaela to prawnicy. Cudowni ludzie, choć trochę nudni. Byłoby miło poszerzyć krąg znajomych.

- Mana imię Erin.

- Znam ją?

- Nie. Jest ode mnie starsza, ma prawie czterdzieści lat. - Odwrócił się do Isabel. - I jest bardzo nieorganizowana. Ma lekką nadwagę i mieszka w dziwnym domu. Nie dba o makijaż ani o stroje, zawsze o coś się gryzie. Nie skończyła nawet studiów.

- Co z tego? Nie jesteśmy snobami. - Isabel zanosła do kuchni kieliszek wina, który Michael zostawił na stoliku. - Poza tym, spójrzmy prawdzie w oczy, my bywamy trochę sztywni.

Poszedł za nią, mówiąc z ożywieniem, jakiego nie słyszała w jego głosie od kilku miesięcy.

- Nie znam bardziej impulsywnej osoby. Klnie jak szewc i ogląda kiepskie filmy. Opowiada beznadziejne dowcipy, pije piwo i... Ale czuje się dobrze we własnej skórze. Ona... - Odetchnął głęboko. - Dobrze mi z nią i... Jaja kocham.

- W takim razie ja też ją pokocham. - Isabel się uśmiechnęła. To był bardzo szeroki uśmiech. Ale uśmiechała się, aż zdrętwiała jej szczeka, bo dopóki się uśmiechała, wszystko było dobrze.

- Ona jest w ciąży. Erin i ja będziemy mieli dziecko. W przyszłym tygodniu bierzemy ślub w ratuszu.

Kieliszek spadł do zlewu i rozbił się w drobny mak.  
- Wiem, że to nie jest odpowiedni moment, ale...  
Poczuła skurcz w żołądku. Chciała powstrzymać Michaela. Zatrzymała czas. Cofnąć zegar, żeby nie stało się to, co się stało.  
Michael był błąd, wyglądał nieszczególnie.  
- Oboje wiemy, że nam się nie układało.  
Ze świstem wciągnęła powietrze.  
- To nieprawda. Było... jest... - Nie mogła złapać tchu.  
- Prawie się nie widzimy poza spotkaniami służbowymi.  
Udało jej się odetchnąć. Zaciśnięła palce na złotej bransoletce, którą nosiła na nadgarstku.  
- Byliśmy... byliśmy zajęci, to wszystko.  
- Nie kochaliśmy się od kilku miesięcy!  
- To... to minie. - Słyszac w swoim głosie histerię, którą tak często słyszała w głosie matki, za wszelką cenę starała się opanować. - Nasz związek... Jego podstawą nigdy nie był seks. Omawialiśmy tę sprawę. To... to minie - powtórzyła.  
Zrobił krótki, szybki krok w przód.  
- Daj spokój, Isabel! Nie okłamuj się. Nasze życie seksualne nie zostało zaprogramowane w twoim elektronicznym notesie, więc nie istnieje.  
- Nie mów mi o elektronicznych notesach! Ty swój bierzesz do łóżka!  
- Przynajmniej ogrzewa się w dłoni!  
Poczuła się tak, jakby ją spoliczkował.  
Opadły mu ręce.  
- Przepraszam. Wyrwało mi się. I wcale tak nie myślę. Na ogół było dobrze. Tylko... - Bezradnie unióśł ręce. - Ja pragnę namiętności.  
Chwyciła się krawędzi blatu kuchennego.  
- Namiętności? Przecież jesteśmy dorośli. - Próbowała się uspokoić, oddychać. - Jeśli nie jesteś zadowolony z naszego życia erotycznego, możemy... Możemy iść do poradni małżeńskiej. - Ale już nie pójda. Ta kobieta nosi w sobie dziecko Michaela. Dziecko, które ona kiedyś zamierzała urodzić.  
- Nie chcę pomocy. - Przerwał. - Nie ja mam problem, Isabel, lecz ty-

jak najszybciej mieć to za sobą. A czasami odnoszę wrażenie, że w ogóle cię nie ma.

- Większość mężczyzn lubi odmianę.  
- Musisz nad wszystkim panować. Może dlatego nie przepadasz za seksem.

Nie mogła znieść współczucia, z jakim na nią patrzył. To ona powinna mu współczuć. Odchodzi do źle ubranej, starszej kobiety, która lubi złe filmy i pije piwo. I nie jest schizofreniczką w sprawach seksu.

Załamana się całkowicie. \_\*\*

- Mylisz się! Uwielbiam seks! Żyję tylko dla seksu. Myślę tylko o seksie!

- Jajakocham, Isabel.  
- To nie jest prawdziwa miłość. To...  
- Nie mów mi, co czuję, do cholery! Zawsze to robisz! Myślisz, że wszystko wiesz, ale to nieprawda.

Wcale tak nie myślała. Ona tylko chciała pomagać ludziom.

- Nade mną nie zapanujesz - mówił dalej. Potrzebuję normalnego życia. Potrzebuję Erin. I potrzebuję dziecka.

Chciało jej się wyć z bólu.

- W takim razie idź. Nie chcę .cię więcej widzieć.  
- Spróbuj zrozumieć. Przy niej czuję się... sam nie wiem... bezpieczny. Zdrowy. Ty przesadzasz! Przesadzasz we wszystkim! I doprowadzasz mnie do szału.

- Dobrze. Wyjdź.

- Miałem nadzieję, że załatwimy to spokojnie. Zostaniemy przyjaciółmi.

- To niemożliwe. Wyjdź.

Zrobił to. Bez słowa. Po prostu odwrócił się i odszedł z jej życia.

Zaczęła się krztusić. Powlokła się do zlewu i puściła wodę, ale nie mogła oddychać. Zataczając się, podeszła do kuchennego okna i szarpnęła za klamkę. Wystawiła głowę. Padał deszcz. Co tam. Łykała powietrze i szukała w myślach słów modlitwy, ale nie mogła ich znaleźć. I wtedy zrozumiała.

Zdrowe związki.

Duma zawodowa.

Odpowiedzialność finansowa.

Życie duchowe.

Wszystkie cztery filary dobrego życia zwały się na nią.

## Rozdział 2

Lorenzo Gage był zabójczo przystojny. Miał diabelsko czarne gęste włosy i błyszczące niebieskie oczy o srebrnym odcieniu, bardzo zimne i przeszywające. Wąskie czarne brwi przecinały czoło, którego kształt świadczył o arystokratycznym pochodzeniu i o moralnym zepsuciu. Usta miał okrutnie zmysłowe, a kości policzkowe wyglądały tak, jakby wyrzeźbił je sobie nożem, który właśnie trzymał w dłoni.

Gage żył z zabijania ludzi. Jego specjalnością były kobiety. Piękne kobiety. Bił je, torturował, gwałcił i mordował. Czasami strzelał im w serce. Czasami podcinał gardła. Tak miało się stać teraz.

Rudowłosa kobieta, leżąca w jego łóżku, miała na sobie tylko stanik i majtki. Jej skóra lśniła jak kość słoniowa na tle czarnej satynowej pościeli. Patrzył na nią.

- Zdradziłaś mnie - powiedział. - A ja nie lubię być zdradzany.

Jej zielone oczy otworzyły się szerzej z przerażenia. Tym lepiej.

Pochylił się i czubkiem sztyletu odsunął prześcieradło z jej ud. Krzyknęła i zerwała się z łóżka jak oparzona.

Lubił, gdy kobiety walczyły, więc złapał ją przy drzwiach. Szarpała się w jego ramionach. Gdy znudził mu się opór, uderzył ją, aż się zatoczyła. Padła na łóżko, dysząc. Śliczne uda same się rozchyliły. Nie okazywał żadnych emocji poza odrobiną podniecenia. Nagle jego brutalne usta wykrzywiły się w uśmiechu i dłoń rozpięła srebrną klamrę paska.

Gage zadrżał. Jego żołądek reagował nieprzewidywalnie na sceny okrucieństwa, a w przeciwieństwie do widowni w kinie wiedział, co będzie dalej. Miał nadzieję, że włoski dubbing odciągnie jego uwagę od jatki na ekranie i że będzie mógł w miarę spokojnie obejrzeć swój ostatni film, ale wciąż dokuczał mu paskudny kac i zmęczenie wywołane zmianą strefy czasu. Życie ulubionego psychopaty Hollywoodu było beznadziejne.

Kiedyś czarną robotę odwałł John Malkovich, ale odkąd widownia zobaczyła Rena Gage'a, wciąż domagała się tego drania o pięknej twarzy. Nie oglądał jeszcze *Związku rzezi*, ale ponieważ krytycy obeszlisi się z filmem dość łagodnie, postanowił spróbować. Popełnił wielki błąd.

Gwałcił, seryjny morderca, płatny zabójca. Ale sposób na życie! Maltretował i zabijał nie tylko kobiety, torturował też Mela Gibsona, walnął Bena Afflecka łomem w rzepkę, zadał Pierce'owi Brosnanowi prawie śmiertelną ranę w klatkę piersiową i ścigał Denzeia Washingtona śmigłowcem o napędzie jądrowym. Zabił nawet Seana Connery'ego. Za to spłonął w piekle. Nie igra się z Seanem Connerym.

Gwiazdy odpłacały mu jednak przed końcem filmu. Rena duszono, podpalano, ścinano mu głowę i kastrowano - to było przykre. A teraz był publicznie ćwiartowany za to, że doprowadził do samobójstwa amerykańską gwiazdkę filmową. Tylko że - zaraz, zaraz - to było prawdziwe życie. Jego własne, bardzo prawdziwe, bardzo spieprzone życie.

Od wrzasku na ekranie bolała go głowa. Rzucił okiem na ekran właśnie w chwili, gdy trysnęła krew, a rudowłosa kobieta padła na ziemię. Pech, kochanie. Tak się kończy pogoń za przystojniakiem.

Ani głowa, ani żołądek nie mogły już tego znieść. Ren wyszedł z ciemnego kina. Jego filmy były bardzo popularne w wielu krajach, więc gdy zagłębił się w tłumie ludzi, cieszących się ciepłą nocą we Florencji, rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt go nie rozpoznał. Ale turystów i miejscowych zbyt pochłaniało życie ulicy, żeby go zauważyć.

Nie chciał rozmawiać z fanami, toteż przed wyjściem z hotelu poświęcił trochę czasu na zmianę wyglądu, chociaż spał zaledwie dwie godziny. Włożył brązowe soczewki kontaktowe, żeby ukryć swój znak firmowy, srebrnawe oczy, i rozpuścił ciemne, długie włosy. Specjalnie ich nie obcinał, żeby zagrać rolę w filmie, którego zdjęcia skończyły się w Australii przed dwoma dniami. Nie ogolił się, miał nadzieję, że zarost zamaskuje charakterystyczną linię szczęki, którą mógł odziedziczyć po przodkach - Medyceuszach. Chociaż wolałby dżinsy, przebrał się za bogatego Włocha: czarna jedwabna koszula, ciemne spodnie i drogie buty. Jeden był zadrapany z przodu, bo Ren nie dbał o rzeczy bardziej niż o ludzi. Ukrywał się po raz pierwszy. Zwykle, jeśli gdzieś były reflektory, robił wszystko, żeby świeciły na niego. Ale nie teraz.

Powinien wrócić do hotelu i spać do południa, ale był zbyt podenerwowany i rozdrażniony. Gdyby towarzyszyli mu znajomi, poszedłby z nimi do klubu - a może nie. Klubowe życie przestało go bawić. Niestety, był typem sowy i jeszcze nie wymyślił sobie zajęcia na noc.

Minał wystawę sklepu mięsnego. Przez szybę spoglądała wypchana głowa dzika, więc odwrócił wzrok. Ostatnie dni były koszmarem. Karli Swenson, jego była dziewczyna, jedna z najbardziej lubianych aktorek Hollywoodu, tydzień temu popełniła samobójstwo w swoim domu na plaży w Malibu. Karli od dawna zażywała kokainę, więc podejrzewał, że jej śmierć była związana z narkotykami. Tak bardzo go złościło, że nie mógł jej opłakiwać. Jedno wiedział na pewno: nie zabiła się z jego powodu.

Nawet gdy byli razem, Karli interesowała się bardziej proszkiem, który wciągała nosem, niż nim. Ale widownia ją uwielbiała, a brukowce zawsze wołały seks Od narkotyków. Nic dziwnego, że prasa uznała go za



winnego. Ten zawodowy potwór Hollywoodu, etatowy dręczyciel kobiet, wpędził słodką Karli do grobu.

Ponieważ takie historyjki przysparzały mu popularności, nie mógł mieć za złe mediom, że narobiły szumu, ale nie był zadowolony, że właśnie teraz jest na świeczniku. Dlatego postanowił ukryć się na półtora miesiąca, zanim rozpocznie zdjęcia do następnego filmu.

2 początku chciał zadzwonić do jednej ze swoich byłych dziewczyn, wyjechać na Karaiby i wrócić do życia erotycznego, z którego zrezygnował kilka miesięcy przed rozpoczęciem zdjęć do ostatniego filmu. Ale szum wokół śmierci Karli był tak wielki, że Ren nie mógł wytrzymać w Ameryce i wyjechał do Włoch. Tutaj żyli jego przodkowie, tutaj też miały się zacząć zdjęcia do następnego filmu. Będzie mógł wczuć się w atmosferę, wejść w skórę nowej postaci. Dlatego nie zabrał ze sobą żadnej spragnionej reklamy dziewczyny.

Co tam. Przez kilka tygodni wystarczy mu własne towarzystwo. Sprawa samobójstwa Karli ucichnie, a jemu poprawi się nastrój. Tymczasem bardzo bawiło go to incognito, bo było czymś całkiem nowym.

Rozejrzał się i zobaczył, że zaszedł do centrum Florencji, na Piazza della Signoria, gdzie pełno było ludzi. Nie pamiętał już, kiedy ostami raz chodził po mieście sam. Poszedł do kawiarni Rivoire i znalazł wolny stolik pod parasolem. Po chwili stanął przy nim kelner. Z powodu kaca Ren powinien pić wodę mineralną, ale ponieważ rzadko robił to, co powinien, zamówił butelkę najlepszego brunello. Kelner długo nie przynosił wina, więc gdy się wreszcie zjawił, Ren na niego warknął. Zły nastrój był spowodowany brakiem snu, alkoholem i przemęczeniem. A także śmiercią ślicznej, smutnej Karli i poczuciem, że pieniądze i sława to nie wszystko - że żaden reflektor nie świeci dość jasno. Ren czuł się otepiały i podenerwowany zarazem. Chciał czegoś więcej. Więcej sławy. Więcej pieniędzy. Więcej... czegoś.

Przypomniał sobie, że to wszystko da mu następny film. Każdy aktor marzył o zagranii podłego Kaspára Streeta, ale tylko Renowi zaproponowano tę rolę. To była rola życia, szansa na najwyższą gażę.

Mięśnie powoli się rozluźniły. *Nocne zabójstwo* będzie od niego wymagało wielu miesięcy ciężkiej pracy. Dlatego teraz chciał się nacieszyć wypadem do Włoch. Odpęrzy się, będzie dobrze jadł i robił to, co wychodzi mu najlepiej. Oparł się wygodnie, upił łyk wina i czekał, aż życie zapewni mu rozrywkę.

Isabel spojrzała na różowo-zieloną kopułę katedry na tle nocnego nieba i doszła do wniosku, że najszlachetniejsza budowla Florencji jest krzyk-

liwa, a nie okazała. Nie podobało jej się to miasto. Nawet nocą było załoczone i hałaśliwe. Co z tego, że do Włoch chętnie przyjeżdżają kobiety o złamanym sercach. Ona popełniła błąd, opuszczając Nowy Jork.

Nakazała sobie cierpliwość. Przyjechała dopiero wczoraj, a Florencja nie była punktem docelowym. Znalazła się tu przypadkiem, przez swoją przyjaciółkę Denise. Denise latami marzyła o wyjeździe do Włoch. W końcu złożyła podanie o urlop w swojej firmie na Wall Street i wynajęła dom w Toskanii na wrzesień i październik. Zamierzała tam zacząć pisać książkę o strategiach inwestycyjnych dla samotnych kobiet. „We Włoszech natchnienie przychodzi samo - powiedziała znad gruszki w syropie i sałatki z endywii w restauracyjce U Jo Jo, gdzie chętnie jadały lunch. - W dzień będę pisać, a wieczorem jeść wysmienite potrawy i pić świetne wino”.

Ale wkrótce po wynajęciu wymarzonego domku w Toskanii Denise poznała swojego wymarzonego mężczyznę i oświadczyła, że za nic w świecie nie wyjedzie z Nowego Jorku. W ten sposób Isabel trafił się tani, wynajęty na dwa miesiące dom w Toskanii.

Nie mogło się to zdarzyć w lepszym momencie. Życie w Nowym Jorku stało się nie do zniesienia. Firma Isabel Favor Enterprises przestała istnieć. Biuro zostało zamknięte, pracownicy odeszli. Isabel nie miała kontraktu na książkę ani zaplanowanych wykładów. Zostało jej bardzo mało pieniędzy. Mieszkanie, z prawie całym majątkiem ruchomym, poszło pod młotek, żeby Isabel mogła spłacić dług podatkowy. Przepadł nawet kryształowy wazon z logo firmy. Zostały tylko ubrania, złamane życie i dwa miesiące we Włoszech na wymyślenie, co robić dalej.

Ktoś ją potrącił. Podskoczyła. Tłum się przerzedził, więc Isabel, rodowita Amerykanka, nie czuła się już bezpiecznie. Poszła Via dei Calzaiuoli na Piazza della Signoria. Powtarzała sobie, że podjęła słuszną decyzję. Musi się odciąć od przeszłości, bo inaczej będzie myśleć tylko o tym, że chce jej się płakać. Za jakiś czas będzie gotowa iść naprzód.

Opracowała już sobie plan budowania nowego życia. Samotność. Odpoczynek. Kontemplacja. Działanie. Cztery etapy, tak jak cztery filary dobrego życia.

„Czy nigdy nic możesz być impulsywna? - zapytał kiedyś Michael. - Musisz wszystko planować?”

Minęły trzy miesiące, odkąd Michael zostawił ją dla innej kobiety, ale jego głos rozbrzmiewał w jej świadomości tak często, że prawie nie mogła myśleć. W zeszłym miesiącu widziała go w Central Parku, obejmującego ramieniem źle ubraną kobietę w ciąży. Nawet z odległości piętnastu metrów słyszała ich śmiech, radosny, niemal głupkowaty. Michael

i ona nigdy nie zachowywali się głupkowato. Isabel bała się, że zapomniła, jak to jest

Na Piazza delia Signoria było bardzo tłoczno. Turyści kręcili się wokół posągów, a kilkoro muzyków grało na gitarach przy Fontannie Neptuna. Groźny Palazzo Vecchio, ze zwieńczoną blankami wieżą zegarową i średniowiecznymi sztandarami, od XIV wieku górował nad nocną wrzawą na placu.

Skórzane pantofle, za które w zeszłym roku zapłaciła trzysta dolarów, bardzo ją uwierały, ale myśl o powrocie do hotelu była zbyt przygnębiająca. Isabel zauważyła beżowo-brązowe parasole opisanej w przewodniku kawiarni Rivoire, więc precyzyjnie się przez grupę niemieckich turystów i usiadła przy stoliku.

- *Buonasera, signora...* - Kelner miał co najmniej sześćdziesiąt lat, ale flirtował z nią, przyjmując zamówienie na wino. Chętnie zjadłaby risotto, lecz ceny były wyższe niż liczba kalorii w potrawie. Ile lat temu przejmowała się cenami w restauracjach?

Gdy kelner odszedł, ustawiła solniczkę i pieprzniczkę pośrodku stolika, a potem odsunęła na bok popielniczkę. Michael wyglądał na szczęśliwego przy swojej żonie.

„Ty przesadzasz - powiedział. - Przesadzasz we wszystkim”. Dlaczego więc czuła się tak, jakby wcale jej nie było?

Pierwszy kieliszek wina wypita o wiele szybciej, niż powinna i zaraz zamówiła kolejny. Ponieważ jej rodzice nie gardzili używkami, zwykle piła z umiarem, ale teraz była w obcym kraju i nie mogła już znieść pustki, która od miesięcy w niej narastała.

„Nie ja mam problem, Isabel, lecz ty...”

Obiecała sobie, że tego wieczoru nie będzie już o tym myśleć, ale nic z tego nie wyszło.

„Musisz nad wszystkim panować. Może dlatego nie przepadasz za seksem”.

To było niesprawiedliwe. Lubiła seks. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie znaleźć sobie kochanka, żeby to udowodnić, ale wzdragała się na myśl o seksie poza stałym związkiem -jeszcze jedna konsekwencja obserwowania błędów rodziców.

Starła z kieliszka ślad szminki. W seksie podstawą jest partnerstwo, ale Michael chyba o tym zapomniał. Jeśli coś mu nie pasowało, powinien był to z nią omówić.

Była jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż wtedy, kiedy weszła na plac, więc dopiła drugi kieliszek i zamówiła następny. Przez jedną noc nie wpadnie przecież w alkoholizm.

Dwie kobiety przy sąsiednim stoliku paliły papierosy, rozmawiały, gestykulując z ożywieniem, i śmiały się z absurdu życia. Tuż za nimi siedziała grupa amerykańskich studentów, pochłaniali pizzę i lody. Dwoje starszków spoglądało na siebie znad aperitifów wielkości naparstków.

„Ja pragnę namiętności” - powiedział Michael.

Te myśli były zbyt bolesne, więc spojrzała na posagi po drugiej stronie placu, kopie *Porwania Sabineki*, *Perseusza Celliniego* i *Dawida Michała Anioła*. Potem jej wzrok padł na najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziała.

Siedział trzy stoliki dalej. Uosabiał włoską dekadencję: był ubrany w pogniecioną, czarną jedwabną koszulę, miał dwudniowy zarost, długie włosy i oczy, które przywodziły na myśl film *Słodkie życie*. Dwa wypielęgnowane palce trzymały od niechcenia nóżkę kieliszka. Wyglądał na bogatego, rozpieszczanego i znudzonego —jak Marcello Mastroianni, tylko bez twarzy klauna. Doskonała, męska uroda chciwego, nowego tysiąclecia.

Było w nim coś znajomego, chociaż wiedziała na pewno, że go nie zna. Taką twarz mógłby namalować któryś z dawnych mistrzów - Michał Anioł, Botticelli czy Rafael. To dlatego wydawało jej się, że już go kiedyś widziała.

Przyjrzała mu się uważniej i nagle zorientowała się, że on patrzy na nią...

## Rozdział 3

**R**en obserwował ją, odkąd przyszła. Minęła dwa wolne stoliki, zanim znalazła taki, który jej odpowiadał. Gdy tylko usiadła, przestawiła przyprawę. Pedantka. Jej inteligencja rzucała się w oczy tak samo jak włoskie buty. Nawet z odległości promieniowała powagą, którą uznał za równie seksowną, jak te trochę zbyt wydatne usta.

Miała niewiele ponad trzydzieści lat. Dyskretny makijaż i prosty, choć drogi strój były charakterystyczne dla wytwornej Europejki. Jej twarz - bardziej intrygująca niż piękna. Nieznajoma nie była hollywoodzko wychudzona, ale podobało mu się jej ciało: biust proporcjonalny do bioder, szczupła talia, zapewne piękne nogi pod czarnymi spodniami. Nie przyszła na świat z pasemkami w jasnych włosach, ale Ren założyłby się, że poza tym nie miała nic sztucznego. Żadnych doklepanych paznokci ani

rzęs. A gdyby te piersi były wypchane silikonem, pokazywałaby je, zamiast chować pod skromną, czarną dzianinową bluzką.

Patrzył, jak kończy jeden kieliszek wina i zaczyna następny. Skubnęła zębami skórkę przy kciuku. Ten gest nie pasował do poważnej kobiety i był dziwnie erotyczny.

Przyjrzał się innym kobietom w kawiarni, ale wciąż wracał wzrokiem do niej. Sączył wino, rozmyślając. Zawsze podrywały go kobiety, on nigdy się za nimi nie uganiał. Ale minęło sporo czasu, a w niej było coś takiego...

Co tam, do cholery...

Posłał jej swoje opatentowane, palące spojrzenie.

Isabel czuła na sobie jego wzrok. Ten mężczyzna promieniował seksem. Trzeci kieliszek wina trochę poprawił jej nastrój, a spojrzenie ogniściego Włocha -jeszcze bardziej. On znał się na namiętności.

Przesunął się lekko i uniósł jedną ciemną, kanciastą brew. Isabel nie była przyzwyczajona do tak bezczelnych zalotów. Wspaniali mężczyźni chcieli od doktor Isabel Favor porady psychologicznej, nie seksu. Za bardzo ich onieśmiałała.

Przesunęła sztućce centymetr w prawo. Nie wyglądał na Amerykanina, a ona nie uprawiała swojego zawodu poza ojczystym krajem, więc na pewno jej nie rozpoznał. Nie, tego mężczyzny nie interesowała mądrość Isabel Favor. On chciał tylko seksu.

„Nie ja mam problem, Isabel, lecz ty”.

Podniosła wzrok. Mężczyzna się uśmiechnął. Jej złamane serce, teraz oszołomione winem, cieszyło się tym uśmiechem jak wielką ucztą.

Ten mężczyzna nie myśli, że jestem wariatką, Michaelu. On na pierwszy rzut oka rozpoznaje seksowną kobietę.

Wpatrując się w jej oczy, dotknął palcem kącika swoich ust. Zrobiło jej się ciepło, jakby miała w sobie rosnące w gorącym piekarniku ciasto. Zafascynowana patrzyła, jak palec przesuwają się po niewielkiej bliźnie na dolnej wardze. Ten gest był tak bezczelnie seksualny, że powinna się poczuć urażona. Ale ona wypijała jeszcze łyk wina i czekała, co będzie dalej.

Wstał, wziął kieliszek i podszedł powoli. Dwie Włoszki przy sąsiednim stoliku przerwały rozmowę, żeby popatrzeć. Jedna rozplotła nogi. Druga poprawiła się na krześle. Były młode i piękne, ale ten upadły, renesansowy anioł szedł prosto do niej.

- *Signora?* - Wskazał krzesło naprzeciwko niej. - *Possofarti compagnia?*

Poczuła, jak kiwa głową, chociaż mózg krzyczał, żeby odmówić. Mężczyzna z wdziękiem usiadł na krześle, uwodzicielski jak czarna atłasowa pościel.

Z bliska był nie mniej przystojny, ale zauważyła, że ma oczy lekko zaczerwienione, a krótki zarost jest raczej wynikiem zmęczenia niż mody. To tylko potęgowało jego erotyczny urok.

Zdziwiło ją tylko trochę, że zwróciła się do niego po francusku.

- *Je ne parle pas italien, monsieur.*

Oj... Jakiś głos w głowie kazał jej wstać i natychmiast odejść. Inny głos radził się nie spieszyć. Isabel zastanowiła się szybko, czy mógł rozpoznać w niej Amerykankę. Ale w Europie było pełno blondynek, również takich, które podobnie jak ona zrobiły sobie pasemka dla poprawy nastroju. Była ubrana na czarno, tak jak on - miała wąskie spodnie, dzianinową bawełnianą bluzkę bez rękawów, z golfem, i niewygodne włoskie buty. Jediną ozdobą była cienka złota bransoletka z wygrawerowanym od wewnątrz słowem „oddychaj”, które miało jej przypominać o koncentracji. Nie jadła, więc nie mógł zobaczyć charakterystycznego dla Amerykanów przekładania widelca z lewej dłoni do prawej podczas krojenia mięsa.

Jakie to ma znaczenie? Dlaczego to robisz? - pytała się w myślach.

Bo świat, który znała, runął. Bo Michael jej nie kochał, a ona wypijała za dużo wina i miała już dość ciągłego strachu. Chciała się czuć jak kobieta, a nie jak instytucja, która zbankrutowała.

- *E un peccato.* - Wzruszył ramionami w ten cudowny, włoski sposób. - *Non parlo francese.*

- *Parlez-vous anglais?*

Pokręcił głową i dotknął swojej piersi.

- *Mi chiamo Dante.*

Ma na imię Dante. Jakże odpowiednio w mieście, w którym mieszkał niegdyś poeta Dante Alighieri.

Wskazała na siebie.

- *Je sitis... Annette.*

- *Annette. Molta helia.* - Uniósł kieliszek, wznosząc seksowny, cichy toast.

Dante... To słowo ogrzewało ją od środka jak gorący syrop. Nocne powietrze nagle zapachniało piżmem.

Dotknął jej dłoni. Isabel spojrzała, ale nie cofnęła ręki. Wypiła kolejny łyk wina.

Zaczął się bawić końcami jej palców, dając do zrozumienia, że to coś więcej niż flirt. Uwodził ją. Nie martwiła się, że robił to z rozmysłem. Była zbyt załamana, żeby zwracać uwagę na drobiazgi.

„Twoje ciało jest cenne”, głosiła zasada duchowego filara. „Jesteś skarbem. Najwspanialszym dziełem Boga...” Wierzyła w to bezgranicznie,

ale Michael zranił jej duszę, a ten upadły anioł o imieniu Dante obiecywał grzeszne odkupienie. Dlatego uśmiechnęła się do niego, nie cofając dłoni.

Oparł się wygodnie. Niewielu mężczyzn zachowuje się tak swobodnie. Zazdrościła mu fizycznej arogancji.

Patrzyli na coraz weselszych amerykańskich studentów. Zamówił dla niej czwarty kieliszek wina. Zdziwiła samą siebie, posyłając mu uwodzicielskie spojrzenie. Widzisz, Michaelu? Umiem to robić. A wiesz dlaczego? Bo mam w sobie o wiele więcej seksu, niż myślisz.

Cieszyła się, że bariera językowa uniemożliwiła rozmowę. Jej życie było wypełnione słowami: wykłady, książki, wywiady. W telewizji nadawano nagrania jej wykładów, kiedy tylko były fundusze. Mówiła, mówiła, mówiła. I do czego ją to doprowadziło?

Wsunął palec pod jej dłoń i pogłaskał wewnątrz. Był to czysto cielesny gest. Savonarola, piętnasto wieczny wróg wszystkiego, co zmysłowe, spłonął na stosie na tym placu. Czy ona też spłonie?

Już płonęła i kręciło jej się w głowie. Ale nie była aż tak pijana, żeby nie zauważyć, że mężczyzna nie uśmiechał się oczami. Chodziło o seks, nie o szczerość.

Wtedy do niej dotarło. To był żigolo.

Chciała odsunąć dłoń. Ale dlaczego? Przecież zawsze lubiła jasne sytuacje. Wolną ręką podniosła kieliszek do ust. Przyjechała do Wioch, żeby zacząć nowe życie, a jak miała to zrobić, nie kasując tego zarejestrowanego w głowie oskarżenia Michaela, które raz po raz się odtwarzało? Przez jego słowa czuła się pusta i bezwartościowa. Zwalczyła falę rozpacz.

Może to Michael ponosi winę za ich seksualne problemy? Czyż żigolo Dante nie okazał jej więcej żądzy w ciągu kilku minut niż on przez cztery lata? Może zawodowiec mógł zrobić coś, do czego nie był zdolny amator. Przynajmniej po zawodowcu może się spodziewać, że poruszy w niej odpowiednie struny.

Powinno ją oburzyć, że w ogóle o tym myśli, ale przez ostatnie sześć miesięcy odrętwiała za bardzo, by przeżywać jakiegokolwiek wstrząsy. Będąc psychologiem, wiedziała, że nie można stworzyć nowego życia, ignorując stare problemy. One zawsze wróca.

Wiedziała też, że nie powinna podejmować tak ważnej decyzji, gdy nie jest trzeźwa. Ale przecież na trzeźwo nawet przeszłoby jej to przez myśl. Nagle wydało jej się, że odchodząc, popełniłaby wielki błąd. Jak mogłaby lepiej wykorzystać tę nędzną resztkę pieniędzy? Musiała pogrzebać przeszłość, żeby iść dalej. To był brakujący element planu odrodzenia.

Samotność, odpoczynek, kontemplacja i terapia seksualna - cztery kroki prowadzące do piątego, działania. Wszystkie, w mniejszym lub większym stopniu, nawiązywały do czterech filarów.

Dante powoli dopił wino, jednocześnie głaszcząc wewnątrz jej dłoni i wsuwając palec pod złotą bransoletkę na nadgarstku. Nagle mu się to znudziło, więc rzucił garść banknotów na stół. Wstał i wolno wyciągnął rękę.

Musiała zdecydować. Wystarczyło nie podać mu dłoni i pokręcić głową. W pobliżu siedziało kilka kobiet, więc nie mógłby nic zrobić.

„Seks nie wyleczy ran duszy - mówiła doktor Isabel podczas wykładów. - Seks bez głębokiego uczucia pozostawi tylko smutek i upokorzenie. Najpierw napraw sam siebie. Napraw sam siebie! Wtedy możesz myśleć o seksie. Bo jeśli tego nie zrobisz, jeśli będziesz próbować wykorzystywać seks do ukrywania nałogów, ranienia ludzi, którzy cię skrzywdzili, pozbywania się niepewności, poprawiania sobie samopoczucia, to tylko rozjątrzysz i tak już bolesną ranę...”

Ale doktor Favor była bankrutką, więc blondynka we florenckiej kawiarni wcale nie musiała jej słuchać. Isabel wstała i ujęła jego dłoń.

Na miękkich nogach szła z nim wąskimi ulicami. Zastanawiała się, ile bierze żigolo, i miała nadzieję, że wystarczy jej pieniędzy. Jeśli nie, zapłaci mocno nadwerżoną kartą kredytową. Szli w stronę rzeki. Znow wróciło wrażenie, że go zna. Który z dawnych mistrzów namalował jego twarz? Tak bardzo mąciło jej się w głowie, że nie mogła sobie przypomnieć.

Wskazał herb Medyceuszy na jakimś budynku, a potem podwóreczko z obrośniętą kwiatami fontanną. Przewodnik i żigolo w jednej osobie. Wszecławiat wiele dawał. Dziś obdarzył ją brakującym elementem planu stworzenia nowego życia.

Nie lubiła, gdy mężczyzna patrzył na nią z góry, a on był o głowę wyższy - ale przecież niedługo będą leżeć, więc problem przestanie istnieć. Stłumiła w sobie przerażenie. Mógł być żonaty, lecz wydawał się ledwie ucywilizowany, a co dopiero udomowiony. Mógł być seryjnym zabójcą, ale mimo że istniała u nich mafia, włoscy przestępcy woleli chyba kraść, niż zabijać.

Pachniał bardzo wytwornie. Ten świeży, egzotyczny, kuszący zapach wydawał się pochodzić z jego ciała, a nie z flakonu. Wyobrażała sobie, jak Dante przyciska ją do ściany starego, kamiennego budynku, podnosi jej spódnicę i wchodzi w nią... Tylko że szybko byłoby po wszystkim, a jej chodziło o coś innego. Chciała uciszyć głos Michaela w głowie, żeby wreszcie móc iść dalej.

Wypite wino dawało znać o sobie: wciąż się potykała. Trudno jej było utrzymać równowagę. Podtrzymując ją, wskazał drzwi małego, lecz eleganckiego hotelu.

- *Voui venire eon me al 'albergo.*

Nie zrozumiała słów, ale zaproszenie było jasne.

„Ja pragnę namiętności!” - powiedział Michael.

Wiesz co, Michaelu Sheridanie? Ja też.

Ominęła Dantego i weszła do małego holu. Wytorny wystrój ją uspokoił - aksamitne kotary, złożone krzesła, marmurowa podłoga. Obrzydliwy seks przynajmniej odbędzie się w czystej pościeli. Poza tym nie było to miejsce, w którym jakiś wariat mordowałby naiwną, niedopieczoną turystkę.

Recepcjonista podał klucz, więc Dante był już zameldowany. Żigolo wysokiej klasy. Winda była tak mała, że ocierali się ramionami. Isabel wiedziała, że ciepło w jej brzuchu jest wywołane czymś więcej niż tylko winem i smutkiem.

Wyszli na słabo oświetlony korytarz. Gdy teraz spojrzęła na Dantego, w myśli zobaczyła dziwny obraz mężczyzny w czerni, strzelającego z broni palnej.

Skąd się wzięła ta myśl? Choć Isabel nie czuła się całkiem bezpieczna w jego towarzystwie, nie obawiała się fizycznego zagrożenia. Gdyby zamierzał ją zabić, zrobiłby to w jednej z uliczek, którymi szli, a nie w pięciogwiazdkowym hotelu,

Poprowadził ją na koniec korytarza. Mocno trzymał za ramię. Może w ten sposób dawał sygnał, że od tej pory on rządzi.

O Boże... Co ja robię?

Dobry seks, świetny seks to nie tylko ciało, ale i mózg.

Doktor Isabel miała rację. Ale teraz nie chodziło o świetny seks. Chodziło o zakazany, niebezpieczny seks w obcym mieście, z mężczyzną, którego już nigdy nie zobaczy. Seks, który oczyści jej umysł i przegna strach. Seks, który da jej pewność, że jest jeszcze kobietą. Seks, który wyleczy rany i pozwoli jej żyć dalej.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Kobiety z pewnością dobrze mu płaciły. To nie był zwykły hotelowy pokój, lecz elegancki apartament. Zauważyła lekki bałagan. Z otwartej walizki wysypywały się ubrania, a na środku pokoju leżała para butów.

- *Vnoi un poco di vino?*

*Vino* - znajome słowo. Chciała powiedzieć „tak”, ale coś jej się pomyliło i potrząsnęła głową, tak szybko, że omal nie straciła równowagi.

- *Va hene.* - Krótkie, uprzejme skinienie głową. Minał ją i wszedł do sypialni. Poruszał się jak twór ciemności, smukły i przeklęty. A może to ona była przeklęta, bo nie poszła sobie? Stojąc w drzwiach, patrzyła, jak Dante zbliża się do okna.

Wychylił się, żeby zamknąć okiennice. Wiatr poruszył długimi, jedwabistymi pasmami jego włosów, wysrebrzonymi światłem księżyca. Wskazał ręką przed siebie.

- *Vieni vedere. Il giardino e bellissimo di notte.*

Miała wrażenie, że jej stopy są nasączone alkoholem. Postawiła torebkę na toaletce i podeszła do niego. Wyjrzała przez okno i zobaczyła porośnięte kwiatami podwórko, na którym stało kilka stolików z parasolami zwiniętymi na noc. Zza murów dobiegał hałas ulicy. Wydawało jej się też, że czuje bagnisty zapach Arno.

Wsunał dłoń pod jej włosy. Zrobił pierwszy krok.

Jeszcze mogła wyjść. Mogła mu pokazać, że to był wielki błąd, kolosalny błąd, błąd nad błędami. Ile pieniędzy zostawia się, gdy żigolo nie wykonał swojej pracy? A napiwek? Czy powinna wyjść...

Ale on ją tylko przytulał. To nie było nic złego. Minęło dużo czasu, odkąd do kogoś się tuliła. Z nim było całkiem inaczej niż z Michaeliem. Był za wysoki, ale miał bardzo twarde mięśnie.

Opuścił głowę; Isabel chciała się odsunąć, bo nie była jeszcze gotowa na pocałunek. Potem przypomniała sobie, że przecież chce się w ten sposób oczyścić.

Jego usta dotknęły jej warg pod idealnym kątem. Wsunął język doskonale, nie za nieśmiało, nie za energicznie. To był wspaniały pocałunek, elegancki, bez żadnych odgłosów. Prawie idealny. Zbyt idealny. Choć była zamroczona alkoholem, wiedziała, że Dante nie daje nic z siebie, że to tylko zawodowa rutyna. To dobrze. Tego właśnie by się spodziewała, gdyby miała czas w ogóle czegoś się spodziewać.

Co ja tu robię?

Zamknij się i pozwól mu na wszystko. Myśl o nim jako o seksualnym surogacie. Szanowani terapeuci tak postępują, prawda?

Dante nie lubił pośpiechu. Krew w żyłach Isabel zaczęła krążyć szybciej. Przyznała mu punkty za delikatność.

Choć jego dłoń wsunęła się pod jej bluzkę, gdy ona nie była jeszcze gotowa, nie próbowała go odsunąć. Michael się mylił. Wcale nie musiała panować nad sytuacją. Poza tym dotyk Dantego sprawia! jej przyjemność, więc chyba nie miała aż takich zaburzeń? Szybko rozpiął stanik. Zesztywniała. Odpręż się i pozwól mu pracować. Seks to seks, nawet z obcym facetem.

Odsunął miseczkę stanika i zaczął ją głaskać. Postanowiła mu na to pozwolić. Niech przesuwa palcem po jej sutku. Tak, właśnie tak. Był bardzo zręczny... Nie spieszył się. Może ona i Michael zbyt szybko chcieli osiągnąć szczyt? Ale czego można się spodziewać po zorientowanych na cel pracoholikach?

Była zadowolona, że Dantemu chyba sprawia przyjemność dotykanie jej piersi. Michael też je lubił, ale Dante wydawał się większym znawcą.

Odeszli od łóżka. Podciągnął jej bluzkę. Przedtem mógł tylko dotykać piersi, teraz też je widział. Trochę jato drażniło, ale obciągając bluzkę, mogłaby dowiedzieć, że zarzut Michaela był słuszny, więc stała z opuszczonymi rękami.

Ujął jej pierś w dłoń. Podniósł ją, ułożył, a potem schylił głowę i wziął sutek głęboko w usta. Jej ciało zaczęło reagować.

Poczuła, że spodnie zsuwają jej się z bioder. Ponieważ z natury była chętna do współpracy, zrzuciła buty. On zdjął jej bluzkę i stanik. Był prawdziwym czarodziejem. Żadnego szarpania czy zbędnych ruchów: rozebrał ją zręcznie, szepcząc do ucha czułe słowa po włosku, słowa bez znaczenia.

Stała przed nim tylko w beżowych koronkowych majtkach i złotej bransoletce z wygrawerowanym od wewnątrz słowem „oddychaj”. Zdjął buty i skarpetki - żadnej niezręczności - i rozpiął czarną jedwabną koszulę. Robił to powoli jak striptizer, odsłaniając jeden doskonale wyrzeźbiony mięsień po drugim. Była przekonana, że ćwiczył, aby jego narzędzia pracy wyglądały jak najlepiej.

Jego kciuki ułożyły się na jej sutkach, wciąż wilgotnych od śliny. Ścisnął je w palcach, a ona miała wrażenie, że wypływa z siebie samej - im dalej, tym lepiej.

- *Bella* - szepnął. Głęboki, męski pomruk.

Jego dłoń powędrowała po beżowej koronce między jej nogi, ale Isabel jeszcze tego nie chciała. Dante powinien wrócić do szkoły dla żigolaków.

Ale po chwili, gdy koniec jego palca zaczął powoli wsuwać się za koronkę, już tak nie myślała. Mocno ścisnęła go za ramię, bo nagle ugięły się pod nią nogi. Dlaczego zawsze uważała, zewie lepiej, jak inni ludzie powinni wykonywać swoją pracę? Po raz kolejny przypomniała sobie, że nie jest specjalistką każdej dziedzinie - a właściwie w żadnej - chociaż wolałaby nie uświadamiać już sobie własnej niedoskonałości.

Eleganckim gestem odsunął kołdrę, położył Isabel i opadł obok niej. Zrobił to tak wytwornie, jakby nauczył go tego choreograf. Powinien

napisać książkę: *Seksualne sekrety najlepszego żigolo Wioch*. Oboje powinni napisać książki. Jej byłaby zatytułowana: *Jak udowodniłam, że jestem stuprocentową kobietą i odzyskałam panowanie nad swoim życiem*. Jej wydawca mógłby je sprzedawać jako komplet, w jednym pudełku.

Płaciła mu - on jej dotykał, więc nadszedł czas, by ona dotknęła też jego, chociaż wcale się nie znali i pomyślała, że to zbyt zuchwałe.

Przestań!

Zaczęła ostrożnie dotykać jego klatki piersiowej, a potem pieców. Michael ćwiczył, ale nie tyle co ten mężczyzna.

Dotknęła jego brzucha, wyrzeźbionego jak u sportowca. Nie miał spodni - kiedy się ich pozbył? - a bokserki były z czarnego jedwabiu.

Zrób to!

Dotknęła go przez cienką tkaninę i usłyszała krótkie sapnięcie, nie wiedziała, czy prawdziwe, czy udawane. Ale jedno było pewne. Miał predyspozycje do wykonywania swojego zawodu.

Poczuła, że zsuwa jej majtki. Myślałaś, że w nich zostaniesz? Przesunął się i zaczął całować wewnętrznastronę jej uda. W głowie rozdzwoił jej się dzwonek alarmowy. Gdy jego usta przesuwały się wyżej, czuła się coraz bardziej spięta. Chwyciła go za ramiona i odepchnęła. Nie wszystko mogła zaakceptować, nawet po to, żeby rozprawić się z przeszłością.

Podniósł wzrok. W półmroku zobaczyła jego pytającą minę. Pokręciła głową. Wzruszył ramionami i sięgnął na stolik przy łóżku.

Nawet nie pomyślała o prezerwatywach. Najwyraźniej w okresie załamania rozwinęła się w niej też skłonność samobójcza. Spokojnie naciągnął prezerwatywę, a potem zaczął mocniej tulić Isabel, ale ona odzyskała odrobinę zdrowego rozsądku i podniosła dwa palce.

- *Due?*

- *Deux, s'Uvouslyplait.*

Z miną zdradzającą myśl: zwariowana cudzoziemka, sięgnął po drugą prezerwatywę. Tym razem jego ruchy nie były aż takie gładkie. Musiał się trochę wysilić, żeby wcisnąć lateks na lateks, a ona odwróciła wzrok, bo szarpiąc się z prezerwatywą, Dante stawał się ludzki, czego wcale nie chciała.

Jego dłoń musnęła jej biodro, potem uda. Znów je rozsunął, chcąc jeszcze pieścić, ale ona nie zniosłaby aż takiej intymności. Z kącika jej oka popłynęła łza. Isabel odwróciła głowę i otarła łzę o poduszkę, zanim zauważył. Chciała orgazmu, cholera jasna, a nie pijackiego płaczu i użalania się nad sobą. Potrzebowała doskonałego orgazmu, który oczyściłby jej umysł tak, żeby mogła skupić się wyłącznie na odbudowie swojego życia.

Szarpnęła go, żeby się na niej położył. Gdy się zawahał, szarpnęła mocniej. Wreszcie zrobił to, czego chciała. Jego włosy musnęły jej policzek i usłyszała chrapliwy oddech, gdy wsunął w nią palec. To sprawiało jej przyjemność, ale był zbyt blisko, a wino burczało jej w brzuchu. Pomyślała, że powinna raczej położyć go na plecach i wsunąć na niego.

Dotykał jej coraz wolniej, coraz bardziej ją drażnił, ale ona chciała już skończyć, więc uniosła biodra, żeby go ponaglić. Wreszcie przesunął nogi i ułożył się tak, jak chciała.

Od razu zrozumiała, że nie będzie tak łatwo jak z Michaelem. Zgrzytała zębami i wiała się pod nim, aż przestał panować nad sobą i wszedł w nią.

Nawet wtedy nie chciał się poruszać. Przesunęła biodra, pospieszając go. Chciała, żeby skończył, zanim trzeźwe szeptki wkradające się do jej upojonego winem umysłu zmienią się w krzyk i będzie musiała przyjąć do wiadomości fakt, że naruszyła wszystkie zasady, w które wierzyła, i że postąpiła źle!

Cofnął się trochę i spojrzął na nią rozpalonymi, lśniącymi oczami. Ona zamknęła oczy, żeby na niego nie patrzeć, chociaż był piękny. Wsunął dłoń między ich ciała i głąskał ją, ale jego ciepłość ją zirytowała. Wino zaburczało jej w brzuchu. Odsunęła jego ramię i ruszyła biodrami. W końcu zrozumiał i zaczął powoli pchać. Zagryzła wargę, zaczęła odliczać, potem znów odsunęła jego dłoń, cały czas walcząc z poczuciem, że zdradziła samą siebie.

Upłynęło mnóstwo czasu, zanim wreszcie zadrżał. Wytrzymała to i czekała na chwilę, gdy przewróci się na bok. Wtedy natychmiast wyskoczyła z łóżka.

- Annette?

Zignorowała go i szybko się ubrała.

- Annette? *Che probJema c'e?*

Sięgnęła do torebki, rzuciła na łóżko garść banknotów i uciekła z pokoju.

## Rozdział 4

Choć minęło osiemnaście godzin, świdrujący ból głowy nie ustąpił ani trochę. Była ciemna noc. Isabel znajdowała się gdzieś na południowy zachód od Florencji, jechała fiatem panda z ręczną skrzynią bie-

gów. Na drogowskazach były napisy w języku, którego nie rozumiała. Dzianinowa sukienka gniotła się pod pasem bezpieczeństwa. Isabel była zbyt nieprzytomna, żeby się ucieszać. Nie cierpiała siebie takiej: nieporządnej, zdeorganizowanej i załamanej. Zastanawiała się, ile straszliwych pomyłek może popełnić inteligentna kobieta, żeby nadal móc trzymać głowę wysoko. Myśląc o swojej głowie, uznała, że popełniła ich o kilka za dużo.

Przy drodze mignął drogowskaz, którego nie zdążyła odczytać. Zwolniła, zjechała na pobocze i zawróciła. Nie musiała się martwić, że uderzy w kogoś nadjeżdżającego z tyłu, bo od kilkunastu kilometrów nie widziała żadnego samochodu.

Słyszała, że w Toskanii są przepiękne pejzaże, lecz wyruszyła po zmroku, więc niewiele zobaczyła. Powinna była wyjechać wcześniej, ale nie miała siły wstać z łóżka, zwlokła się dopiero późnym popołudniem. Potem po prostu siedziała w oknie i gapiła się przed siebie, próbując się modlić, ale bez skutku.

Reflektory fiata oświetliły drogowskaz z napisem CASALLEONI-. Isabel zapaliła światełko, żeby spojrzeć na mapę. Jakimś cudem wróciła na właściwą drogę. Bóg czuwa nad głupcami.

Gdzie więc byłeś wczoraj, Boże?

Na pewno gdzie indziej. Ale nie mogła obarczać winą Boga ani nawet wypitego alkoholu. To jej własny, zły charakter doprowadził ją do popełnienia tego kosmicznego głupstwa. Zdradziła wszystko, w co wierzyła, tylko po to, żeby odkryć, że doktor Favor jak zwykle miała rację. Seks nie leczy ran.

Wróciła na drogę. Jak wielu ludzi miała niezabliźnione urazy psychiczne z dzieciństwa. Ale jak długo można obwiniać rodziców za własne niepowodzenia? Jej rodzice, nauczyciele akademicy, wyrastali w chaosie i nadmiarze emocji. Matka przepadała za alkoholem, była błyskotliwa i bardzo zmysłowa. Ojciec lubił alkohol, też był błyskotliwy, ale wrogo nastawiony do wszystkiego. Chociaż byli autorytetami w swoich dziedzinach, żadne z nich nie prowadziło katedry. Matka miała skłonność do romansów ze studentami, a ojciec chętnie wyklócał się z kolegami. Isabel spędziła dzieciństwo, podróżując z campusu do campusu. Była mimowolnym świadkiem życia, które wymknęło się spod kontroli.

Podczas gdy inne dzieci marzyły o ucieczce od rodzicielskiej dyscypliny, Isabel śniła o porządku, którego nigdy nie było. Rodzice wykorzystywali ją w swoich potyczkach. W desperackim przejawie instynktu samozachowawczego odeszła z domu, gdy skończyła osiemnaście lat. Odtąd utrzymywała się sama. Sześć lat temu jej ojciec zmarł na jakieś schorzenie

wątroby, a matka wkrótce po nim. Isabel wywiązała się z ostatniego obowiązku, ale nie bolała nad ich śmiercią tak bardzo jak nad tym, że zmarowali sobie życie.

Światło reflektorów padło na wąską, krętą uliczkę z malowniczymi, kamiennymi budynkami po obu stronach. Jadąc dalej, Isabel zobaczyła sklepy, których wystawy zasłonięto na noc okiennicami. Wszystko w tym mieście wydawało się stare lub staromodne, z wyjątkiem wielkiego plakatu z Melem Gibsonem, naklejonego na ścianie jednego z budynków. Pod tytułem, mniejszymi literami, było napisane: *Lorenza Gage*.

Wtedy zrozumiała, Dante nie przypominał jej postaci z renesansowego malowidła. Przypominał Lorenza Gage'a, aktora, który ostatnio doprowadził do samobójstwa jej ulubioną aktorkę.

Znów zaczęło ją mdlić. Ile filmów z Gage'em obejrzała? Cztery? Pięć? O wiele za dużo. ale Michael uwielbiał filmy akcji, im więcej przemocy, tym lepiej. Teraz nie będzie musiała już oglądać takich rzeczy.

Zastanawiała się, czy Gage miał wyrzuty sumienia z powodu Karli Swenson. Pewnie zyskał jeszcze większą popularność i filmy z jego udziałem lepiej się sprzedawały. Dlaczego porządne kobiety tak bardzo ciągnie do złych mężczyzn? To pewnie fantazja o ratowaniu, wiara, że tylko one potrafią zmienić tych życiowych nieudaczników w dobrych mężów i ojców. Niestety, to nie takie proste. Wyjechała z miasta i znów zapaliła światło w samochodzie, żeby przeczytać wskazówki: drogą z Casalleone jakieś dwa kilometry, potem zakręt przy zardzewiałym złomie.

Zardzewiały złom? O co mogło chodzić? Dwa kilometry dalej zobaczyła przy drodze jakiś kształt, więc zwolniła. Były to szczątki ape 50, jednego z ulubionych pojazdów europejskich rolników. Ten rupieć, który już dawno stracił wszystkie opony, był kiedyś słynnym trójkołowym samochodem.

Gdy skręciła, w podwozie zaczęły stukać kamyki. Miała zapisane coś o Villa dei Angeli, Willi Aniołów, więc jechała dalej pod górę, pokonując serię zakrętów, aż w końcu zobaczyła otwartą żeliwną bramę prowadzącą na główny podjazd. Żwirowa droga, której szukała, znajdowała się tuż za bramą. To była właściwie szeroka ścieżka. Samochód podskakiwał, zjeżdżając w dół i ostro skręcając.

Isabel zobaczyła budynek, więc gwałtownie zahamowała. Przez chwilę po prostu patrzyła przed siebie. W końcu wyłączyła silnik i zgasiła światła, po czym bez sił opadła na siedzenie. Ogarnęła ją rozpacz. Ta rudera była domem, który wynajęła. Nie pięknie odnowionym domkiem,

jak napisała agentka nieruchomości, lecz bezładną kupą gruzu, która wyglądała na walącą się oborę, gdzie w dodatku nadal mieszkają krowy.

Samotność. Odpoczynek. Kontemplacja. Działanie. Terapia seksualna nie była już elementem planu. Nie będzie o tym nawet myśleć.

Dom niewątpliwie mógł zapewnić jej samotność, ale jak odpocząć, nie mówiąc o kontemplowaniu, w takiej ruinie? Isabel bardzo potrzebowała kontemplacji, żeby opracować plan powrotu do życia. Popełniała kolejne błędy. Już zapomniała, czym jest kompetencja.

Przetarła oczy. Przynajmniej wiedziała, dlaczego czynsz był taki niski.

Zdołała zebrać w sobie tyle energii, żeby wysiąść z samochodu i zanieść walizki do środka. Było tak cicho, że słyszała własny oddech. Odałaby wszystko za znajome wycie policyjnej syreny albo cichy warkot samolotu startującego z La Guardii, ale słyszała tylko świeższe.

Drewniane drzwi, zgodnie z obietnicą agentki, nie były zamknięte na klucz. Ich skrzyp przywodził na myśl efekty dźwiękowe z kiepskiego filmu. Isabel uniosła ręce z obawy, że zaraz wyleci na nią stado nietoperzy, ale w domu nie było nic bardziej złowieszczonego niż stęchły zapach starego kamienia.

Użalanie się nad sobą paraliżuje, przyjacielu. Podobnie jak mentalność ofiary. Nie jesteś ofiarą. Masz w sobie ogromną moc. Jesteś...

- Och, zamknij się! - nakazała sobie.

Szła po omacku przy ścianie, aż znalazła wyłącznik i zapaliła stojącą lampę z żarówką o mocy światełek choinkowych. Rozejrzała się. Zauważyła zimną, wyłożoną terakotą podłogę, kilka starych mebli i brzydkie, kamienne schody. Przynajmniej nie było krów.

Miała już dość przykrych wrażeń, więc wzięła najmniejszą walizkę i poszła na górę, gdzie znalazła czynną łazienkę — dzięki Ci, Boże! - i małą sypialnię, która wyglądała jak zakonna cela. Cóż za ironia losu po tym, co zrobiła poprzedniej nocy.

Ren stał na Ponte alla Carraia, patrząc na Arno i mosty zbudowane w miejsce tych, które Luftwaffe zniszczyła podczas drugiej wojny światowej. Hitler oszczędził tylko czternastowieczny Ponte Vecchio. Kiedyś Ren próbował wysadzić londyński Tower Bridge, ale George Clooney zdążył go zabić.

Wiatr zdmuchnął mu na czoło krótki kosmyk włosów. Ren ostrzygł się tego popołudnia. Ogolił się też i - ponieważ nie zamierzał się dziś



pokazywać w miejscach publicznych - zdjął brązowe soczewki kontaktowe. Czuł się obnażony. Czasami miał ochotę wydostać się z własnego ciała.

Ta noc z Francuzką pozostawiła w nim poczucie dziwnego przerażenia. Nie lubił źle oceniać ludzi. Chociaż uprawiali anonimowy seks, którego chciał, stało się coś bardzo niedobrego. Zawsze musiał się wpakować w jakieś kłopoty!

Z drugiego końca mostu szło w jego stronę dwóch uliczników. Tak sowali go wzrokiem: czy będzie się bronił, jeśli spróbuję zabrać portfel? Ich zuchwały krok przypominał mu własne zachowanie z młodości, choć agresję kierował raczej przeciw samemu sobie. Był zadzierającym nosa szczeniakiem, który szybko zrozumiał, że złe postęпки przyciągają uwagę innych. Zawsze było tak samo. Czarny charakter wzbudza największe zainteresowanie.

Sięgnął po papierosa, chociaż rzucił palenie pół roku temu. W pogniecionej paczce, którą wyciągnął z kieszeni, był tylko jeden. Ren zawsze nosił przy sobie jednego papierosa - w razie kryzysu.

Zapalił, wyrzucił zapałkę do rzeki i popatrzył na zbliżających się chłopców. Rozczarowali go, bo tylko wymienili niespokojne spojrzenia i poszli dalej.

Wciągnął dym głęboko w płuca i nakazał sobie zapomnieć o ostatniej nocy. Ale nie potrafił. W jasnobrazowych oczach tej kobiety lśniła inteligencja, a ta skromna wytworność bardzo go podniecała. Pewnie dlatego nie zauważył, że to wariatka. Pod koniec czuł się tak, jakby ją napastował. Gwałcił kobiety na ekranie, ale w prawdziwym życiu była to zbrodnia, której nigdy by się nie dopuścił.

Zszedł z mostu i powędrował pustą ulicą, pogrążony w ponurych myślach, chociaż powinien skakać z radości. Wkrótce miało się spełnić jego aktorskie marzenie. Film Howarda Jenksa zapewni mu wiarygodność, jakiej nie mogła mu dać żadna dotychczasowa rola. Chociaż miał dość pieniędzy, żeby do końca życia nie pracować, lubił grać w filmach, a na taką rolę czekał bardzo długo. Publiczność zapamięta ten czarny charakter tak dobrze, jak Hannibala Lectera. Ale zdjęcia do *Nocnego zabójstwa* miały rozpocząć się dopiero za pół roku, a w mieście ogarniała go klaustrofobia.

Karli... Kobieta ostatniej nocy... Poczucie, że nie zrobił niczego, co miałoby znaczenie... Już dość ponuractwa! Wetknął papierosa w kącik ust i zgarbiony, z rękami w kieszeniach, poszedł dalej. Jak cholerny James Dean na Bulwarze Utraconych Marzeń.

Do diabła z tym wszystkim. Jutro opuści Florencję i pojedzie w miejsce, które przyciągało go do Włoch jak magnes.

## Rozdział 5

Isabel przewróciła się na drugi bok. Podróżny budzik wskazywał dziewiątą trzydzieści, więc powinno być już rano, ale w pokoju panowała ponura ciemność. Zdezorientowana, zerknęła na okno i zobaczyła, że okiennice są zamknięte.

Położyła się na plecach i przyglądała płaskim czerwonym dachówkom i nieheblowanym drewnianym belkom stropu. Z zewnątrz dobiegał dźwięk, który mógł być warkotem przejeżdżającego w oddali traktora. Nic więcej. Brakowało jej znajomego klekotania śmieciarek i melodyjnych krzyków taksówkarzy, wyzywających się od najgorszych w różnych językach Trzeciego Świata. Była we Włoszech i spała w pokoju, który wyglądał jak cela świętego męczennika.

Odchyliła głowę w tył. Na gipsowej ścianie wisiał krzyżyk. Z oczu popłynęły jej łzy. Nie cierpiała płakać, ale teraz opłakiwała swoje dawne życie i mężczyznę, którego, jak jej się wydawało, kochała. Dlaczego zabrakło jej mądrości, dlaczego nie pracowała dość ciężko, dlaczego nie sprzyjało jej szczęście i nie zdołała zachować tego, co miała? I dlaczego puściła się z włoskim żigolakiem o twarzy psychopatycznego gwiazdora filmowego? Próbowwała zwalczyć łzy poranną modlitwą, ale Bóg Matka nie słuchała swojej wyrodnej córki.

Pokusa, by naciągnąć kołdrę na głowę i nie wstawać, była tak silna, że Isabel ze strachu poderwała się z łóżka. Pod stopami poczuła chłodne płytki. Wyszła z ponurego pokoju. Na końcu wąskiego korytarza znajdowała się łazienka, mała, lecz nowoczesna. Może jednak dom nie jest aż taką ruiną?

Wykąpała się, owinęła ręcznikiem i wróciła do celi świętego męczennika. Włożyła szare spodnie i bluzkę bez rękawów. Ubrana, podeszła do okna i otworzyła okiennice.

Zalała ją fala cytrynowego światła. Promienie wpadały przez okno, jakby wylewano je z wiadra. Światło było tak intensywne, że na chwilę musiała zamknąć oczy. Gdy je otworzyła, zobaczyła przed sobą łagodne pagórki Toskanii.

- O rany...

Oparła ramiona na kamiennym parapecie i odetchnęła głęboko, ciesząc się zapachem miodu i różnobarwnych pól, gdzieś tam poprzecinanych rzędami cyprysów, które sterczały jak wyprostowane palce. Żadnych płotów. Granicami między ścierniskami, zagajnikami i winnicami były drogi, doliny albo po prostu nierówności terenu.

Patrzyła na Betlejem. To była Ziemia Święta renesansowych artystów. Malowali znane sobie pejzaże jako tło dla Madonn, aniołów, żłobków i pasterzy. Ziemia Święta... tuż za jej oknem.

Jeszcze przez chwilę patrzyła w dal, potem przeniosła wzrok na okolicę domu. Po lewej stronie rozciągała się tarasowa winnica, a za ogrodem rósł gaj powykrzywianych oliwek. Chciała wyjść, żeby zobaczyć więcej, więc odwróciła się od okna. Stała jak wryta, widząc, jak światło odmieniło pokój. Spłowiałe ściany i ciemne, drewniane belki były teraz piękne w swej prostocie, a niewyszukane meble lepiej opowiadały o przeszłości tego regionu niż opasłe tomiska ksiąg historycznych. To wcale nie była ruina.

Isabel zeszła kamiennymi schodami na parter. Salon, na który poprzedniej nocy tylko zerknęła, miał szorstkie ściany i ceglane sklepienie starej, europejskiej obory, którąkiedyś pewnie był. Chyba gdzieś czytała, że na toskańskich farmach ludzie mieszkali nad pomieszczeniami dla zwierząt. Wnętrze pięknie przebudowano na niewielki, wygodny pokój dzienny, co nie odebrało mu wiejskiej autentyczności.

Kamienne łuki, dość szerokie, by mogły pod nimi przechodzić zwierzęta, służyły jako okna i drzwi. Ściany były pomalowane na rozcieńczony kolor sepii. Najlepsi nowojorscy dekoratorzy wewnątrz kazali sobie płacić tysiące dolarów za takie pomalowanie ścian w mieszkaniach w centrum miasta. Stara podłoga z terakoty była świecąca i gładka - pewnie ponad sto lat chodzono po niej. Pod ścianami stały proste stoły i duży kufer z ciemnego drewna, a naprzeciwko kanapy, przykrytej beżową kapą, fotel z obiciem w blade kwiaty.

Okiennice, które w nocy zasłaniały okna, teraz były otwarte. Ciekawa, kto to zrobił, przeszła pod kamiennym łukiem do dużej, słonecznej kuchni.

Stał tam długi, prostokątny stół, wyszczerbiony i porysowany przez kilka wieków użytkowania. Czerwone, niebieskie i żółte płytki ceramiczne tworzyły wąski pas nad starym kamiennym zlewem. Pod nim, ukryte za zasłonką niebiesko-białą kratę, biegły rury dopływowe. Ma półkach stały kolorowe naczynia ceramiczne, kosze i miedziane garnki. W kuchni był też staromodny piec gazowy i dwa drewniane kredensy. Zniszczone dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do ogrodu pomalowano na kolor butelkowej zieleni. Było tam wszystko, co Isabel spodziewałaby się znaleźć we włoskiej wiejskiej kuchni.

Otworzyły się drzwi i weszła korpulentna kobieta po sześćdziesiątce. Miała pulchne policzki, ufarbowane na czarno włosy i małe czarne oczy. Isabel natychm iast zaprezentowała swoją oszołamiającą, znajomość włoskiego.

- *Buon giorno.*

Choć mieszkańcy Toskanii słynęli z przyjaznego usposobienia, ta kobieta wcale nie wyglądała na miłą. Z kieszeni wypłowiej czarnej sukienki wystawała ogrodnicza rękawiczka. Kobieta miała na sobie nylonowe pończochy i czarne plastikowe klapki. Bez słowa wyjęła z kredensu kłębek sznurka i wyszła na dwór.

Isabel poszła za nią do ogrodu. Przystanąła na chwilę, żeby nacieszyć się widokiem domu z tyłu. Był wspaniały. Naprawdę wspaniały. Odpoczynek. Samotność. Kontemplacja. Działanie. Nie można było sobie wyobrazić lepszego miejsca na realizację tych zamierzeń.

W ostrym porannym świetle stare kamienie, z których zbudowano dom, lśniły kremowym beżem. Wokół wysokich zielonych okiennic wila się winorośl. Po rynnie piął się bluszcz. Na dachu stał niewielki gołębnik, a starą terakotę porastał srebrnawy mech.

Główna część budynku była prostym, nieozdobionym prostopadłościaniem w typowym *stylufattoria*, czyli wiejskiego domu włoskiego, co pamiętała z jakiejś książki. Do jednego boku przylegał pokój, prawdopodobnie dobudowany później.

Uroku cienistego ogrodu nie psuła nawet skwaszona kobieta, kopiająca w ziemi szpadlem. Isabel zaczęła się odprężyć. Za niskim murem, zbudowanym z takich samych złotych kamieni jak dom, rósł gaj oliwny i roztaczał się widok, który podziwiała z okna sypialni. W cieniu magnolii stał drewniany stół ze starym, marmurowym blatem. Wspaniałe miejsce, żeby bez pośpiechu zjeść posiłek albo po prostu cieszyć się widokiem. W dodatku w ogrodzie było więcej takich zakątków. Blżej domu, pod porośniętą glicyniapergołą stały dwie ławeczki. Isabel już sobie wyobrażała, jak siedzi tam z długopisem i kartką papieru.

Żwirowe ścieżki wiły się między grządkami kwiatów i warzyw. Lśniaca bazylia, śnieżnobiałe niecierpki i wesołe róże rosły w pobliżu wielkich glinianych donic z bujnymi, kwitnącymi na czerwono i różowo pelargoniami. Jasnopomarańczowce nasturcje doskonale harmonizowały z delikatnymi, niebieskimi kwiatkami rozmarynu, a srebrzyste liście szalwii tworzyły chłodne tło dla czerwonego pieprzu. Na toskańską modłę po obu stronach wejścia kuchennego ustawiono dwie duże donice z terakoty, w których rosły cytrynowce, i dwie z hortensjami uginającymi się pod ciężarem dużych różowych kwiatów.

Isabel przeniosła wzrok z kwiatów na ławkę pod pergolą i na stół pod magnolią gdzie leżały dwa koty. Gdy wdychała ciepły zapach ziemi i roślin, cichł głos Michaela w jej głowie, a w sercu rodziła się prosta modlitwa.

Błogi nastrój przerwało ponure mruczenie kobiety. Słowa modlitwy zniknęły. Ale Isabel poczuła iskierkę nadziei. Bóg ofiarował jej Ziemię Świętą. Tylko głupiec nie sięgnąłby po tak wspaniały dar.

Pojechała do miasta z o wiele lżejszym sercem. Wreszcie stało się coś, co przyniosło jej ulgę. Kupiła jedzenie w małym *negozio di alimentari*. Po powrocie zastała w kuchni kobietę w czarnej sukience. Zmywała naczynia, których Isabel tam nie zostawiła. Kobieta rzuciła jej nieprzyjemne spojrzenie i wyszła tylnymi drzwiami - była jak wąż w rajskim ogrodzie. Isabel westchnęła i rozpakowała zakupy, układając je w kredensie i małej lodówce.

- *Signora? Permesso?*

Odwróciła się i zobaczyła ładną kobietę, która nie miała jeszcze trzydziestu lat, w okularach przeciwsłonecznych nad czołem. Stała w łuku między kuchnią a jadalnią. Była niska, jej jasnooliwkowa skóra kontrastowała z jasnymi włosami. Miała na sobie brzoskwiniową bluzkę, wąską, beżową spódnicę i szpilki, tak chętnie noszone przez Włoszki. Gdy się zbliżała, obcasy stuknęły po starej terakocie.

- *Buon giorno*, signora Favor, nazywam się Giulia Chiara.

Isabel skinęła głową, zastanawiając się, czy wszyscy w Toskanii wchodzą do cudzych domów bez uprzedzenia.

- Jestem *agente immobiliare*. - Zawahała się, szukając angielskich słów. - Agentką nieruchomości. Zajmuję się tym domem.

- Miło mi panią poznać. Dom bardzo mi się podoba.

- Och, ale nie... To nie jest dobry dom. - Zamachała rękami. - W zeszłym tygodniu wiele razy próbowałam się z panią skontaktować telefonicznie, ale nie mogłam pani zastać.

To dlatego, że Isabel wyłączyła telefon.

- Jest jakiś problem?

- *Si*. Problem. - Młoda kobieta oblizwała wargi i odgarnęła za ucho kręcone pasemko włosów, odsłaniając maleńki perłowy kolczyk. - Bardzo mi przykro to mówić, ale nie może pani tu zostać. - Gestykulowała wdzięcznie, jak wszyscy Włosi podczas nawet najzwyczajszych rozmów. - To niemożliwe. Dlatego próbowałam się z panią skontaktować. Wyjaśnić problem i powiedzieć, że mam dla pani inny dom. Proszę ze mną jechać, pokażę.

Wczoraj Isabel wcale by się tym nie przejęła, ale teraz bardzo zależało jej na tym domu. Prosty, kamienny budynek ze spokojnym ogrodem był stworzony do medytacji i duchowego odrodzenia. Nie zrezygnuje z niego.

- Proszę wyjaśnić, o co chodzi.

- Jest... - Lekkie machnięcie dłonią. - Trzeba przeprowadzić roboty. Nikt nie może tu mieszkać.

- Jakie roboty?

- Dużo. Trzeba kopać. Są problemy ze ściekami.

- Na pewno da się to jakoś załatwić.

- Nie, nie. *Impossibile*.

- Pani Chiara, zapłaciłam za dwa miesiące i zamierzam tu zostać.

- Nie będzie tu pani dobrze. A signora Vesto będzie bardzo zawiedziona, widząc pani niezadowolenie.

- Signora Vesto?

- Anna Vesto. Byłoby jej przykro narażać panią na niewygody. Znalazłam dla pani ładny dom w mieście. Polubi go pani.

- Nie chcę domu w mieście. Chcę ten.

- Bardzo mi przykro. To niemożliwe.

- Czy to signora Vesto? - Isabel wskazała na ogród.

- Nie, to Marta. Signora Vesto jest w willi. - Machnęła rękaw kierunku szczytu wzgórza.

- Czy Marta jest tu gospodynią?

- Nie, nie. Tym domem nikt się nie opiekuje, za to w mieście są bardzo dobre gosposie.

Isabel zignorowała tę uwagę.

- Czy jest ogrodniczką?

- Nie, nie. Dbą o ogród, ale nie jest ogrodniczką. Nie ma ogrodnika.

W mieście może pani mieć ogrodnika.

- W takim razie co tu robi?

- Marta tu mieszka.

- Zrozumiałam, że miałabym dom dla siebie.

- Nie, nie byłaby pani sama. - Giulia podeszła do drzwi kuchennych i wskazała dobudówkę z tyłu domu. - Marta mieszka tutaj. Bardzo blisko.

- A czy byłabym sama wśród tych wszystkich ludzi w miasteczku? - zaryzykowała Isabel.

- *Si!* - Giulia się rozpromieniła. Jej uśmiech był tak uroczy, że Isabel nie chciała go gasić.

- Chyba byłoby najlepiej, gdybym porozmawiała z signora Vesto. Jest teraz w willi?

Giulia wyraźnie się uspokoiła, że uwolniła się od tej sprawy.

- *Si, su* tak będzie najlepiej. Ona pani wytłumaczy, dlaczego nie może pani zostać, a ja wrócę później, żeby zabrać panią do domu, który znalazłam dla pani w mieście.

Isabel zrobiło się jej żaf, więc nie protestowała. Zachowa gorzkie słowa dla signory Anny Vesto.

Poszła ścieżką, która doprowadziła ją do długiego, obsadzonego cyprysami podjazdu. Villa dei Angeli stała na końcu. Na jej widok Isabel poczuła się tak, jakby przeniesiono ją do filmu *Pokój z widokiem*.

Ściany zewnętrzne, z łososioworóżowego stiuku, podobnie jak skrzydła dobudowane tu i ówdzie, były charakterystyczne dla dużych toskańskich domów. W oknach na parterze zamontowano ażurowe, kute czarne kraty, a okna na piętrze były już zasłonięte wysokimi okiennicami, chroniącymi wnętrze przed upałem. Bliżej domu cyprysy ustąpiły miejsca starannie przystrzyżonym żywopłotom z bukszpanu, klasycznym posagom i ośmiokątnej fontannie. Kamienne schody z potężnymi balustradami prowadziły do dwójga lśniących drewnianych drzwi.

Isabel weszła po schodach i uniosła kołatkę w kształcie lwiej głowy. Czekając, zerknęła na zakurzony czarny kabriolet maserati zaparkowany przy fontannie. Signora Vesto musi lubić drogie rzeczy.

Nikt nie otworzył, więc zapukała raz jeszcze.

Okazała kobieta w średnim wieku, z dyskretnie podfarbowanymi rudymi włosami i oczami Sophii Loren, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

- *Si?*

- *Buon giorno, signora.* Jestem Isabel Favor. Szukam signory Vesto. Uśmiech zgaś.

- To ja jestem signora Vesto. - Granatowa sukienka i wygodne buty pasowały raczej do gospodyni niż do właścicielki maserati.

- Wynajęłam domek-powiedziała Isabel-ale chyba jest jakiś problem.

- Nie ma problemu - odparła szybko signora Vesto. - Giulia znalazła pani dom w mieście. Dopilnuje wszystkiego.

Trzymała dłoń na klamce, wyraźnie chcąc, żeby Isabel sobie poszła. Za nią, w przedpokoju, stało kilka dużych, drogich walizek. Isabel mogłaby się założyć, że właściciele willi albo właśnie przyjechali, albo są gotowi do wyjazdu.

- Podpisałam umowę najmu-powiedziała miłym, lecz zdecydowanym tonem. - Zostanę.

- Nie, signora, musi pani się wyprowadzić. Po południu ktoś pani pomoże.

- Nie wyprowadzę się.

- Bardzo mi przykro, signora, ale nic nie mogę dla pani zrobić.

Isabel usławiła sobie, że nadszedł czas, by narzucić ton rozmowie.

- Chciałabym pomówić z właścicielem.

- Nie ma go.

- A te walizki?

Kobieta była zakłopotana.

- Powinna pani już iść.

Cztery filary przydawały się właśnie w takich sytuacjach. Zachowuj się grzecznie, lecz stanowczo.

- Obawiam się, że nie mogę wyjść, dopóki nie porozmawiam z właścicielem. — Isabel wepchnęła się do holu. Zdążyła zobaczyć wysokie sklepienie, połączony brązowy świecznik i wielkie schody, zanim kobieta zastąpiła jej drogę.

- *Ferma! Nie wolno tu wchodzić!*

Ludzie, którzy próbują się ukryć za własną władzą, robią to ze strachu, więc potrzebują naszego współczucia. Jednocześnie nie możemy pozwolić, by ich strach stał się naszym.

- Przykro mi panią niepokoić-powiedziała lak miło, jak tylko potrafiła - ale muszę porozmawiać z właścicielem.

- Kto pani powiedział, że on tu jest? Nikt nie może tego wiedzieć.

Czyli właściciel jest mężczyzną.

- Nic nie powiem.

- Niech pani natychmiast wyjdzie.

Isabel słyszała włoski rock and roli dobiegający z tyłu domu. Ruszyła w stronę ozdobnie rzeźbionego łuku z marmurowymi zielonymi i czerwonymi inkrustacjami.

- Signora!

Isabel miała już dość podłych ludzi: księgowy-oszust, niewierny narzeczony, nielojalny wydawca i nic niewarci fani. Dla nich mieszkała na lotniskach i wygłaszała wykłady mimo zaczynającego się zapalenia płuc. Trzymała ich za ręce, gdy ich dzieci się narkotyzowały, obejmowała, gdy walczyli z załamaniem, i modliła się, gdy byli ciężko chorzy. Ale w chwili, gdy w-jej własnym życiu pojawiły się ciemne chmury, wszyscy rozpierchli się jak króliki.

Pobiegła wąską galerią, gdzie portrety przodków w ciężkich ramach wisiały obok barokowych pejzaży, przez elegancką salę recepcyjną z tapetą w brązowe i złote prążki, minęła ponure freski, przedstawiające sceny myśliwskie i jeszcze smutniejsze portrety świętych męczenników. Miała wrażenie, że jej sandały wypalają dziury w marmurowych posadzkach i dywanikach. Gdy biegła, rzymskie popiersie zachwiało się na piedestale. Dość tego dobrego!

Zatrzymała się w przytulniejszym salonie z tyłu domu. Lakierowane kasztanowe klepki posadzki zostały ułożone w jodełkę, freski przedstawiały sceny ze żniw, a nie polowanie na dzika. Przez otwarte okna wpały promienie słoneczne i dźwięki włoskiej muzyki rockowej.

Na końcu pokoju był łuk, o wiele większy niż w domku, prowadzący do tarasu, skąd dobiegała ogłuszająca muzyka. Z ręką opartą o ścianę stał tam mężczyzna. Zmrużyła oczy, bo raziło ją słońce, i zobaczyła, że ma na sobie dżinsy i pognieciony czarny T-shirt z dziurą w rękawie. Jego profil był tak klasycznie rzeźbiony jak u posagu. Ale coś w niedbałej postawie, w butelce alkoholu przy ustach i w pistolecie, zwisającym z dłoni, mówiło jej, że ten rzymski bóg mógł zejść na złą drogę.

Patrząc ostrożnie na pistolet, odchrząknęła.

- Uch... *scusi*? Przepraszam.

Odwrocił się.

Zamrugła, oślepią słońcem. Zamrugła jeszcze raz. Powiedziała sobie, że to tylko złudzenie optyczne. Tak, złudzenie. To niemożliwe. To nie...

## Rozdział 6

To naprawdę był on. Mężczyzna, który przedstawił się jako Dante, stał oparty o drzwi. Dante o gorących, błyszczących oczach i dekadencym uroku. Tyle że włosy tego mężczyzny były krótsze, a oczy srebrnawoniebieskie, a nie brązowe.

- O w mordę.

Usłyszała amerykańskie słowa - to był język amerykańskiej gwiazdy filmowej - wypowiedziane głębokim, znajomym głosem włoskiego żigolo, którego poznała przedostatniej nocy na Piazza delia Signoria. Zrozumiała dopiero po chwili. Lorenzo Gage i żigolo Dante to jedna i ta sama osoba.

- Ty...-Przełknęła.-Nie jesteś...

Wpatrywał się w nią oczami mordercy.

- Cholera. Zawsze ktoś mnie w końcu namierzy.

- Kim jesteś? - Ale przecież oglądała jego filmy, więc już znała odpowiedź.

- SignoreGage! - Do pokoju wpadła Anna Vesto.-Ta kobieta! Nie chciała wyjść, chociaż jej kazałam. Jest... jest... - Nie potrafiła wyrazić oburzenia po angielsku, więc wyrzuciła z siebie potok włoskich słów.

Lorenzo Gage, gwiazdor filmowy, kobieciarz, który doprowadził Karli Swenson do samobójstwa, był również Dantem, florenckim żigolo, mężczyzną, któremu pozwoliła zbeczczyć część swojej duszy. Opadła na stojący pod ścianą fotel i próbowała odetchnąć.

Warknął coś po włosku do gospodyni.

Odpowiedziała, gwałtownie gestykulując.

Znów warknięcie.

Kobieta parsknęła i wybiegła z pokoju.

Wyszedł na taras i wyłączył muzykę. Gdy wrócił, zauważyła, że czarny lok opadł mu na czoło. Zostawił butelkę, ale pistolet wciąż zwisał z jego dłoni.

- Wtargnęłaś na teren prywatny. - Jego usta prawie się nie poruszały, a słowa, które wycedził, w prawdziwym życiu brzmiały groźniej niż w cyfrowym systemie dolby surround. - Trzeba było najpierw zadzwonić.

Uprawiała seks z Lorenzem Gage'em, który przechwalał się w jakiejś gazecie, że „pieprzył pięćset kobiet”. A ona stała się pięćset pierwszą.

Poczuła ucisk w żołądku. Ukryła twarz w dłoniach i wyszeptwała słowa, którymi nigdy dotąd do nikogo się nie zwróciła, a nawet nie pomyślała, że mogłaby coś takiego powiedzieć.

- Nienawidzę cię.

- Tym zarabiam na życie.

Jak w transie podeszła bliżej i opuściła ręce. Zorientowała się, że nie może oderwać wzroku od pistoletu.

Nie był wycelowany w nią ale też nie można było powiedzieć, że był wycelowany nie w nią. Gage trzymał go luźno przy biodrze. Widziała, że to antyk, prawdopodobnie kilkusetletni, ale to przecież nie musiało oznaczać, że jest niegroźny. Przypomniała sobie, czego omal nie zrobił Julii Roberts samurajskim mieczem.

- A już myślałem, że dziennikarze nie mogą się posunąć do niczego gorszego. Co się stało z twoim *non parter anglais*, Francuzeczko?

- To samo co z twoim włoskim. - Usiadła prosto, wreszcie skupiając się na jego słowach. - Dziennikarze? Myślisz, że jestem reporterką?

- Jeśli chodziło ci o wywiad, wystarczyło poprosić.

Poderwała się z fotela.

- Myślisz, że przeszłam przez to, żeby zdobyć wywiad?

- Możliwe. - Poczuła od niego słaby zapach alkoholu. Położył nogi na fotelu, z którego wstała. Spojrzała na pistolet leżący na jego udzie i próbowała zgadnąć, czy Gage jej grozi, czy też po prostu zapomniał o broni.

- Jak mnie znalazłaś i czego chcesz?
- Chcę domu. - Cofnęła się o krok, za co natychmiast rozzłościła się na siebie. - Tak to robisz? Przebierasz się, żeby podrywać kobiety?
- Wierz lub nie, Fifi, ale świetnie mi to wychodzi bez przebrania. I byłem wart o wiele więcej niż pięćdziesiąt euro, które mi zostawiłaś.
- Kwestia podejścia. Czy ten pistolet jest naładowany?
- Jak najbardziej.
- To go odłóż. - Zacisnęła dłonie.
- Lepiej nie.
- Mam się bać, że mnie zastrzelisz?
- Myśl, co chcesz. - Ziewnął.

Zastanawiała się, ile wypił, i marzyła o tym, żeby nie ugiwały się pod nią nogi.

- Nie toleruję broni.
- To wyjdź. - Rozłożył się na fotelu, z wyciągniętymi nogami, opuszczonymi ramionami i pistoletem na udzie. Wcielenie dekadencji w Willi Aniołów.

Za nic w świecie by nie wyszła, nie dowiedziawszy się, co się stało. Mocniej zacisnęła dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie, i udało jej się usiąść w drugim fotelu, nie przewracając go. Wreszcie zrozumiała, czym jest nienawiść.

Gage przyglądał jej się przez chwilę, a potem wycelował z pistoletu w wielką jak ściana tapiserię przedstawiającą mężczyznę na koniu.

- Mój przodek, Lorenzo de Medici.
- Wielkie mi co.
- Był mecenasem Michała Anioła. A także Botticellego, jeśli historycy się nie mylą. Lorenzo był jednym z najwspanialszych ludzi renesansu. Tylko że... - Pogładził kolbę kciukiem i łypnął na Isabei spod przykniętych powiek. - W 1472 roku pozwolił swoim generałom złupić miasto Volterra. Z Medyceuszami lepiej nie zadzierać.

Był tylko egocentrycznym gwiazdorem, powtarzającym oklepane kwestie. Postanowiła, że nie da się onieśmielić. Przynajmniej nie bardzo.

- Zachowaj te groźby dla widzów.
- Na jego twarzy malowało się teraz znudzenie.
- No dobrze, Fifi, jeśli nie jesteś reporterką, to o co ci chodzi?

Po chwili zastanowienia zrozumiała, że nie może mówić o przedostatniej nocy -jeszcze nie teraz, może nigdy. Dom. To był powód jej wizyty.

- Przyszłam porozmawiać o domu, który wynajęłam. - Starła się mówić autorytatywnie, co zwykle jej się udawało, ale teraz miała z tym kłopot. - Zapłaciłam za dwa miesiące i nie zamierzam się wyprowadzać.

- A co mnie do tego?
- To twój dom.
- Wynajęłaś ten dom? Wątpię.
- Nie ten. Twój domek wiejski. Ale twoi pracownicy próbują mnie wyrzucić.

- Jaki domek?
- U stóp wzgórza.

Wydał wargi.

- Mam uwierzyć, że kobieta, którą przypadkowo spotkałem przedwczoraj we Florencji, wynajęła dom, który do mnie należy? Wymyśl ciekawszą historyjkę.

Sama by nie uwierzyła, chociaż turystyczne serce Florencji było małe, a ona trzy razy tego samego dnia natknęła się na młodą parę, którą widziała w Uffizi.

- Wcześniej czy później każdy turysta we Florencji przywędruje na Piazza delia Signoria. Po prostu znaleźliśmy się tam jednocześnie.

- Ale mamy szczęście. Wyglądasz znajomo. Już przedwczoraj odniosłem takie wrażenie.

- Tak? - Nie miała ochoty drażnić tego tematu. - Wynajęłam domek w dobrej wierze, ale gdy tylko przyjechałam, kazano mi się wynieść.

- Mówisz o domku, w którym mieszkał stary Paolo, tym przy gaju oliwnym?

- Nie wiem, kim jest stary Paolo. Teraz mieszka tam chyba niejaka Marta, która nie przypadła mi do gustu, ale jestem skłonna ją tolerować.

- Marta... Siostra Paola. - Mówił, jakby przypomniało mu się coś z dalekiej przeszłości. - Tak, to chyba rzeczywiście jest część tego majątku.

- Nie obchodzi mnie, kim ona jest. Zapłaciłam i nie zamierzam się wyprowadzać.

- Dlaczego cię wyrzucają?

- Jakieś kłopoty z kanalizacją.

- Dziwne, że chcesz zostać po tym, co między nami zaszło. A może po prostu udajesz wkurzoną.

Jego słowa przywróciły jej poczucie rzeczywistości. Jasne, że nie może zostać. Przecież z tym człowiekiem złamała swoje najważniejsze zasady. Nie zniesie kolejnych spotkań.

Do targających ją bolesnych emocji dołączyło wielkie rozczarowanie. W ogrodzie przy domku po raz pierwszy od kilku miesięcy zaznała spokoju, a teraz jej to odbierano. Zostało jej jednak trochę godności osobistej. Skoro musi się wyprowadzić, zrobi to tak, żeby nie dać mu satysfakcji.

- Pan jest aktorem, panie Gage. Nie ja.  
- To się jeszcze okaże. - Z ogrodów dobiegło ostrzegawcze krakanie kruka. - Jeśli zostaniesz, lepiej trzymaj się z daleka od willi. - Potarł udo łufą pistoletu. - I obyś nie kłamała. Bo nie spodobała ci się konsekwencje.

- To brzmi jak kwestia z twojego okropnego filmu.  
- Miło mi wiedzieć, że mam fankę.  
- Oglądałam te filmy tylko z powodu mojego byłego narzeczonego. Niestety, w porę nie wykryłam związku między jego upodobaniem do tandetnych filmów i skłonnością do seksualnych wyskoków.

Dlaczego to powiedziała?

Położył łokieć na oparciu fotela.

- Czyli nasza sekskapada była twoją zemstą na nim.

Chciała zaprzeczyć, ale był zbyt blisko prawdy.

- Zastanówmy się... - Położył pistolet na stole. - Kto zachował się gorzej dwie noce temu? Ty, mściwa samica, czy ja, niewinny pionek w twojej grze?

Doskonale się bawił. Wstała, żeby spojrzeć na niego z góry, ale natychmiast tego pożałowała, bo drżały jej nogi.

- Jesteś pijany?

- Nawet bardzo.

- Jest dopiero pierwsza.

- W normalnych warunkach przyznałbym ci rację, ale ponieważ jeszcze się nie kładłem, to nie skończyłem pijackiej nocy.

- Sprytnie. - Musiała albo usiąść, albo wyjść. Skierowała się w stronę drzwi.

- Hej, Fifi?

Odwróciła się, od razu tego żałując.

- Jeszcze jedno... - Podniósł kulę z polerowanego marmuru, która leżała na kamiennym cokole, i przesunął po niej kciukiem. - Jeśli nie chcesz, żeby moi fani krążyli wokół tego domku, to lepiej nikomu nie wspominać, że tu jestem.

- Wierz lub nie, ale mam ciekawsze zajęcia niż plotkowanie.

- Oby tak zostało. - Ścisnął marmurową kulę w dłoni, na wypadek gdyby nie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Lekka przesada.

Groźna mina zniknęła z jego twarzy. Zaśmiał się.

- Miło cię było poznać, Fifi.

Udało jej się dojść do drzwi, nie objając się o żaden mebel. Nie mogła sobie odmówić ostatniego spojrzenia.

Przerzucił marmurową kulę z jednej dłoni do drugiej. Piękny Neron, zajęty zabawą, gdy płonie Rzym.

Musiała zwolnić, bo kłuło ją w boku. Żwir uwierał ją w palce, wciskając się przez sandały od Kate Spade, prawdopodobnie ostatnią parę, na jaką było ją stać. Była zadowolona, że nie załamała się przy nim, ale musiała się wyprowadzić. Jeśli spakuje się od razu, powinna być we Florencji o szesnastej.

I co wtedy?

Zobaczyła domek. Skąpany w złotym świetle, wyglądał na solidny i przytulny, a także magiczny. W takim miejscu mogłaby się narodzić wizja nowego życia.

Odwróciła się i ruszyła ścieżką przez winnicę. Na gałązkach wisały purpurowe grona, obrzękłe od soku. Zerwała owoc i włożyła go do ust. Od razu poczuła słodycz na języku. Pestki były tak małe, że nawet ich nie wpluła.

Minęła niewielki murek i weszła głębiej między rzędy krzaczków winorośli. Powinna sobie kupić sportowe buty. Gliniasta ziemia była twarda jak skała pod cienkimi podeszwami sandałów. Ale Isabel nie chciała myśleć o tym, czego potrzebuje, tylko o tym, co ma - tokańskie słońce nad głową, ciepłe winogrona w dłoni, Lorenza Gage'a w willi na szczycie wzgórze...

Tak tanio się sprzedawała. Czy kiedyś zdoła o tym zapomnieć?

Ucieczka na pewno jej nie pomoże.

Odezwał się w niej upór. Miała już dość zamartwiania się. Nigdy dotąd nie była tchórzem. Ma pozwolić, żeby jakiś zdegenerowany gwiazdor odebrał jej coś cennego? To spotkanie nie miało dla niego znaczenia. Najwyraźniej nią gardził, więc pewnie nie będzie jej odwiedzał. A ona powinna tu mieszkać. Instykt podpowiadał, żeby została, że tylko tutaj może znaleźć zarówno samotność, jak i inspirację, niezbędną do zaplanowania sobie życia.

Podjęła decyzję. Nie boi się Lorenza Gage'a. Nikt nie zmusi jej do wyjazdu, jeśli nie będzie tego chciała.

Ren odłożył siedemnastowieczny pistolet skałkowy, który oglądał tuż przed wtargnięciem Fifi. W głowie wciąż słyszał energiczny stukot obcasów, gdy wybiegała z salonu. Wszyscy uważali go za diabła, ale tym razem, jeśli się nie mylił, to pani Fifi zostawiła za sobą zapach spalenizny.

Zaśmiał się i zamknął drzwi szafki. Pistolet był pięknym wytworem rzemiosła, jednym z wielu bezcennych przedmiotów w willi. Odziedziczył posiadłość dwa lata temu, po śmierci ciotki Philomeny, ale dopiero teraz mógł tu przyjechać. Z początku zamierzał sprzedać majątek, lecz dobrze wspominał trzy swoje pobyty tu w dzieciństwie. Czuł, że nie powinien sprzedawać posiadłości, nie odwiedzwszy jej ponownie. Gospodyni i jej mąż spodobali mu się w rozmowie telefonicznej, więc postanowił poczekać ze sprzedażą.

Wziął butelkę szkockiej ze stolika na tarasie, żeby znów się napić, co przerwała mu pani Fifi. Bawiło go dokuczanie jej. Była napięta jak struna, ale jej wizyta podziałała na niego relaksujące. Dziwne.

Przeszedł pod jedną z trzech arkad i powędrował wzdłuż przystrojonego żywopłotu nad basen, gdzie opadł na leżak. Ciesząc się spokojem, pomyślał o ludziach, którzy zwykle kręcili się wokół niego: o wiernym stadku asystentów, menedżerów i ochroniarzy, których od czasu do czasu przydzielało mu studio. Wiele znanych osób otaczało się pomocnikami, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że są gwiazdami. Inni, jak on, robili to, by ułatwić sobie życie. Asystenci bronili go przed zbyt żarliwymi fanami, co było wygodne, ale miało swoją cenę. Mało kto mówił prawdę swojemu pracodawcy, a jemu znudziło się już słuchanie pochlebstw.

Natomiast pani Fifi chyba nie wiedziała, co to pochlebstwo. Dlatego czuł się przy niej dziwnie odprężony.

Odsunął butelkę, nie otwierając jej, i wygodniej ułożył się na leżaku. Powoli zamknął oczy. Bardzo odprężony...

Isabel ukroiła kawałek *pecorino*, który kupiła w miasteczku. Był to owczy ser, uwielbiany przez mieszkańców Toskanii. Gdy odliczała pieniądze, żeby zapłacić, sprzedawczyni wcisnęła jej słoiczek miodu.

- W naszym regionie je się ser z miodem - wyjaśniła.

Isabel nie mogła sobie tego wyobrazić, ale czyż nie walczyła ze swoją sztuywnością? Położyła ser i jabłko na ceramicznym talerzu, obok postawiła słoiczek z miodem. Dziś zjadła tylko kilka winogron, które zerwała w drodze powrotnej z willi trzy godziny temu. Spotkanie z Gage'em odebrało jej apetyt, ale może jedzenie trochę ją pocieszy.

W szufladzie znalazła kilka wykrochmalonych lnianych serwetek. Wyjęła jedną, a pozostałe ułożyła porządniej. Już rozpakowała walizki i poustawiała swoje rzeczy w łazience. Chociaż była dopiero czwarta po południu, otworzyła chianti classico kupione w miasteczku. Dowiedziała

się, że chianti może się nazywać *classico*, jeśli powstało z winogron z regionu Chianti, leżącego kilka kilometrów dalej na wschód.

Wyjęła kieliszek z kredensu. Starła okrągły ślad po wodzie, napełniła kieliszek winem i wyniosła wszystko do ogrodu.

W powietrzu unosił się delikatny zapach rozmarynu i słodkiej bazylii, gdy szła żwirową ścieżką do starego stołu w cieniu magnolii. Dwa z trzech kotów, rezydujących w ogrodzie, przyszły się z nią przywitać. Usiadła i spojrzała na stare wzgórza. Zaorane pola, które rano wydawały się szarawobrazowe, teraz, w popołudniowym słońcu, miały kolor lawendy. Piękne.

Jutro zacznie przestrzegać rozkładu zajęć, który ustaliła na następne dwa miesiące. Nie musiała zerkać do notatek, żeby przypomnieć sobie porządek dnia.

*Pobudka o 6.00.*

*Modlitwa, medytacja, modlitwa dziękczynna i codzienne afirmacje.*

*Joga lub szybki spacer.*

*Lekkie śniadanie.*

*Poranne zajęcia.*

*Praca nad nową książką.*

*Lunch.*

*Zwiedzanie okolicy, oglądanie wystaw lub inne przyjemne czynności (być impulsywną).*

*Sprawdzanie tego, co zostało napisane rano.*

*Kolacja.*

*Inspirujące lektury i prace wieczorne.*

*Sen od 22.00.*

**PAMIĘTAĆ O ODDYCHANIU!**

Nie przejmowała się, że nie ma pojęcia, jaką książkę napisać. Musi tu zostać właśnie po to, żeby odblokować swoje kanały mentalne i emocjonalne.

Wino było wonne i owocowe, ale gdy odchyliła się w tył, żeby cieszyć się jego smakiem, zauważyła kurz na marmurowym blacie stołu. Poderwała się i poszła do domku po ściereczkę. Starła kurz i usiadła znowu.

Wdychała zapach wina i rozmarynu. W oddali widziała wijącą się wśród wzgórz drogę, przypominającą błądą smugę dymu. Jak tu pięknie... A jeszcze wczoraj chciała stąd wyjechać.

Na szczycie góry po prawej stronie zauważyła coś, co mogło być częścią wioski, ale wyglądało jak ruiny z wałącym się murem i resztkami



wieży strażniczej. Już chciała pobiec po operową lornetkę, ale zaraz sobie przypomniała, że ma się odprężyć.

Odetchnęła głęboko, znów usiadła na krześle i szukała w sobie zadowolenia.

Nie znalazła.

- Signora!

Radosny głos należał do smukłego mężczyzny około trzydziestki, idącego w jej stronę przez ogród. Kolejny przystojny Włoch. Gdy podszedł bliżej, zobaczyła, że majasnobrazowe oczy, jedwabiste czarne włosy związane nisko w koński ogon i długi, bardzo kształtny nos.

- Signora Favor, mam na imię Vittorio. - Przedstawił się z dumą, jakby sprawiał jej niezmierną przyjemność.

Uśmiechnęła się i również przywitała.

- Czy mogę usiąść? - Mówił elegancką angielszczyzną z akcentem, który zdradzał, że uczył się języka od brytyjskich, a nie amerykańskich nauczycieli.

- Oczywiście. Napije się pan wina?

- Ach, bardzo chętnie.

Powstrzymał ją, gdy chciała wstać.

- Byłem tu wiele razy - powiedział. - Przyniosę. Proszę siedzieć i cieszyć się widokiem.

Wrócił po niecałej minucie z butelką i kieliszkiem.

- Piękny dzień. - Gdy usiadł przy końcu stołu, podszedł kot i zaczął się o niego ocierać. - Ale przecież wszystkie nasze tokańskie dni są piękne, nieprawdaż?

- Chyba tak.

- Jest pani zadowolona z wycieczki?

- Bardzo. Ale to coś więcej niż wycieczka. Zostanę tu kilka miesięcy.

W przeciwieństwie do Giulii Chiary, Anny Vesto i nieprzyjemnej Marty wyglądał na zachwyconego.

- Tak wielu Amerykanów przyjeżdża tu autokarami tylko na jeden dzień. Czy można w ten sposób poznać Toskanię?

Jego entuzjazm był tak wielki, że nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Skądże.

- Nie spróbowała pani jeszcze *pecorino*. - Zanurzył łyżeczkę w słodzik z miodem i posmarował kawałek sera. - Teraz będzie pani prawdziwą Toskanką.

Nie miała serca psuć mu nastroju, choć podejrzewała, że został tu przysłany, żeby skłonić ją do wyprowadzki. Ugryzła kawałek i ze zdziwieniem stwierdziła, że ser i słodki miód doskonale do siebie pasują.

- Pyszne.  
- Toskańska kuchnia jest najlepsza na świecie. *Ribollita, panzanel-h*, kielbasa z *dzika, fagioli* i szalwią, florenckie flaki...

- To chyba sobie daruję.

- Daruję?

- Nie będę jeść flaków.

- Ach, tak. Może rzeczywiście jemy tu więcej części zwierzęcia niż wy w Stanach.

Uśmiechnęła się. Zaczęli gawędzić o kuchni i miejscowych atrakcjach. Czy była już w Pizie? A w Volterze? Musi objechać kilka winnic w rejonie Chianti. Co do Sieny... Piazza del Campo to najpiękniejszy plac we Włoszech. Czy słyszała o Palio, wyścigach konnych, które odbywają się co lato w Campo? Nie można też nie zwiedzić warownego miasta San Gimignano. Czy już tam była?

Nie.

- Pokażę pani wszystko.

- Och, nie.

- Przecież jestem zawodowym przewodnikiem. Oprowadzam wycieczki po Toskanii i Umbrii. Grupowe i indywidualne. Wycieczki piesze, konne, kulinarne, z degustacją win. Nikt nie proponował pani moich usług?

- Wszyscy byli zbyt zajęci skłanianiem mnie, żebym się wyprowadziła.

- Ach, tak. Kanalizacja. Rzeczywiście nie przyjechała tu pani w najlepszym momencie, ale w pobliżu jest wiele do zwiedzania. Będę panią oprowadzał w ciągu dnia, żeby nie męczył pani hałas i pył, kiedy będą kopać.

- Dziękuję za propozycję, ale niestety nie stać mnie na prywatnego przewodnika.

- Nie, nie... - Elegancki gest. - Pojedziemy wtedy, gdy nie będę miał innych klientów, w dowód przyjaźni. Pokażę pani wszystkie miejsca, których sama pani nie znajdzie. Nie musi się pani obawiać samotnej jazdy samochodem w obcym kraju, poza tym będę też tłumaczem. Zobaczy pani, że to bardzo wygodne.

Niezwykle wygodne. I tak się składa, że przystojny Włoch odciągnie ją od domku.

- Nie mogłabym aż tak się panu narzucać.

- Ależ to żadne narzucanie. Może pani płacić za paliwo.

Właśnie wtedy z dobudówki wyłoniła się Marta. Uskubała kilka listków bazylii i zaniosła je do kuchni.

Upił łyk chianti.

- Jutro mam wolne. Czy ma pani ochotę jechać najpierw do Sieny? A może do Monteriggioni? To prześliczne miasteczko. Dante napisał o nim w *Piekle*.

Słyszac to imię, dostała gęziej skórki. Ale zigoło Dante nie istniał. Był tylko Lorenzo Gage, gwiazdor filmowy i playboy, świadek jej poniżenia. Teraz, gdy go poznała, nietrudno jej było uwierzyć, że doprowadził Karli Swenson do samobójstwa. Zamierzała zrobić wszystko, żeby go już nigdy więcej nie widzieć.

- Właściwie przyjechałam tu, żeby pracować. Muszę zacząć już jutro.

- Pracować? Wielka szkoda. Ale skoro trzeba, to trzeba. - Uśmiechnął się serdecznie, dopił wino i napisał numer telefonu na kawałku papieru, który wyciągnął z kieszeni. - Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić.

- Dziękuję.

Obdarzyła oszołamiającym uśmiechem i pomachał, odchodząc. Przy najmniej chciał z wdziękiem wyprowadzić ją z domku... A może była zbyt podejrzliwa? *Przyniosła Autobiografię jogina Yoganandy*, ale w końcu pochłonięła ją lekтура przewodnika. Planowaniem nowego życia może zająć się jutro.

Wróciła do domku, bo zapadał zmrok. W kuchni pachniało wspaniale. Gdy wchodziła, Marta stawiała właśnie wazę z gęstą zupą na tacy przykrytej śnieżnobiałą serwetką. Obok stał kieliszek wina Isabel, sądząc po butelce, leżały też pokrojone w plasterki pomidory ozdobione ciemnymi, pomarszczonymi oliwkami i kromka chleba. Wszelkie nadzieje na to, że mógł być to posiłek dla Isabel, rozwiały się, bo Marta wyszła z tacą. Isabel stwierdziła, że musi się kiedyś nauczyć gotować.

Tej nocy spała bardzo dobrze, a następnego ranka obudziła się o ósmej zamiast o szóstej, jak planowała. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Będzie musiała skrócić modlitwę i medytację, bo nie uda jej się wypełnić założeń harmonogramu. Odkręciła kran, żeby umyć twarz, ale woda nie chciała się nagrzać. Pobiegła na dół i sprawdziła kran nad zlewem. To samo. Chciała powiedzieć Marcie, że nie ma ciepłej wody, ale w ogrodzie jej nie było. Wreszcie znalazła wizytówkę Giulii Chiaiy.

- Tak, tak - powiedziała Giulia, gdy Isabel się dodzwoniła. - Będzie tu pani bardzo niewygodnie, bo trzeba zrobić tyle rzeczy. A w domu w miasteczku nie będzie pani musiała się niczym martwić.

- Nie przeprowadzę się do miasta - oświadczyła stanowczo Isabel. - Rozmawiałam wczoraj z... z właścicielem. Proszę się postarać, żeby jak najszybciej była ciepła woda, dobrze?

- Zobaczę, co się da zrobić - odparła Giulia z wyraźną niechęcią.

Casalleone było otoczone starymi, rzymskimi murami. Kościelny dzwon dzwonił co pół godziny. Wszędzie roiło się od dzieci. Krzyczały do siebie na boiskach i dreptały przy matkach wąskimi, brukowanymi uliczkami, wijącymi się jak labirynt. Isabel wyjęła wizytówkę Giulii i sprawdziła adres, porównując go z tabliczką z nazwą ulicy. Nazwa była podobna, ale nie ta sama.

Od rozmowy telefonicznej z agentką nieruchomości minął cały dzień, a Isabel wciąż nie miała ciepłej wody. Zadzwoniła do Anny Vesto, ale gospodyni udawała, że nie zna angielskiego, i odłożyła słuchawkę. Marta chyba ani trochę nie przejęła się sprawą. Zgodnie z harmonogramem Isabel powinna teraz pisać, ale problem z wodą bardzo ją rozproszył. Poza tym nie miała nic do napisania. Chociaż uwielbiała samodyscyplinę, tego dnia znów wstała za późno, nie medytowała, a jedyne, co napisała, to były liściki do znajomych.

Podeszła do idącej przez plac młodą kobietą z dzieckiem.

- *Scusi, signora...* - Wyjęła wizytówkę Giulii. - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest Via San Lino?

Kobieta wzięła dziecko na ręce i pospiesznie się oddaliła.

- Przepraszam bardzo. - Isabel zmarszczyła brwi i podeszła do mężczyzny w średnim wieku, w zniszczonej kurtce z łatami na łokciach. - *Scusi, signore*. Szukam Via San Lino.

Wziął wizytówkę Giulii, przyglądał jej się przez chwilę, a potem wbił wzrok w Isabel. Powiedział słowo, które brzmiało jak przekleństwo, schował wizytówkę i odszedł, głośno tupiąc.

- Hej!

Następna osoba zapytana o Via San Lino odpowiedziała: *non parlo inglese*, ale w końcu młody, dobrze zbudowany mężczyzna w żółtym T-shircie wyjaśnił Isabel, jak iść. Niestety, wskazówki były tak skomplikowane, że zawędrowała do opuszczonego magazynu w ślepej uliczce.

Postanowiła pójść do sklepu spożywczego, gdzie pracowała mił; i ekspedientka, która poprzedniego dnia sprzedawała jej ser. W drodze ni plac minęła sklep z butami i perfumierię. W oknach domów przy ulicy wisiały drapowane koronkowe firanki, a na sznurach suszyła się bieli/na,

W przewodniku nazwano te sznury „włoskimi suszarniami”. Ponieważ prąd był drogi, ludzie nie mieli elektrycznych suszarek do bielizny.

Nos zaprowadził ją do malutkiej cukierni, gdzie kupiła ciasto z figami od opryskliwej dziewczyny o fioletowych włosach. Kiedy wyszła, spojrzała na niebo. Wysokie, pierzaste chmury wyglądały tak, że powinno się drukować na niebieskich flanelowych piżamach. Dzień był przepiękny. Isabel postanowiła, że nie pozwoli go sobie zepsuć nawet setce grubiańskich Włochów.

Idąc brukowaną uliczką w stronę sklepu spożywczego, zauważyła kramik z pocztówkami; były na nich winnice, pola słoneczników i urocze tokańskie miasteczka. Zatrzymała się, żeby wybrać kilka, i na niektórych zauważyła Dawida Michała Anioła, a przynajmniej jedną, istotną część tej rzeźby. Marmurowy penis został obfotografowany z przodu i z boku. Wzięła pocztówkę ze stojaka, żeby przyjrzeć się bliżej. Genitalia posagu nie zachwycały gabarytami.

- Zapomniałaś już, jak to wygląda, dziecinko?

Odwrociła się gwałtownie i wbiła wzrok w stare okulary w metalowej oprawce. Należały do wysokiego księdza w czarnej sutannie, z krzaczystymi, ciemnymi wąsami. Ksiądz był wyjątkowo szpetny, nie z powodu wąsów, choć były naprawdę paskudne, ale za sprawą nierównej czerwonej blizny, która tak mocno ściągała skórę na kości policzkowej, że opuścił się kącik srebmawoniebieskiego oka.

Bardzo znajomego srebmawoniebieskiego oka.

## Rozdział 7

Isabel z trudem się powstrzymała, żeby natychmiast nie odłożyć pocztówki na stojak.

- Porównywałam go z okazem, który niedawno widziałam. Ten z posagu robi o wiele większe wrażenie. - To było kłamstwo.

Uśmiechnął się. Szkła okularów zaślniły w słońcu.

- Z tyłu stojaka są pornograficzne kalendarze, jeśli cię to interesuje.

- Nie. - Odłożyła pocztówkę i ruszyła pod górę.

Poszedł za nią, poruszając się z takim wdziękiem, jakby urodził się w długiej sutannie. Ale Lorenzo Gage był przecież przyzwyczajony do noszenia kostiumów.

- Jeśli chcesz wyznać swoje grzechy, słucham - powiedział.

- Idź sobie poszukać chłopców do molestowania.  
- Masz dziś ostry języczek, Fifi. Odmów sto zdrowasiek za obrazę sługi bożego.

- Złożę na pana donos, panie Gage. Włoskie prawo zabrania podszyc się pod księdza. - Zauważyła młodą matkę z dwojgiem dzieci, w pośpiechu wychodzącą ze sklepu.

Kobieta krzyknęła:

- Signora! To nie ksiądz! To jest Lorenzo Gage, amerykański gwiazdor filmowy. - Popatrzyła na Isabel jak na wariatkę, wzięła dzieci i odbiegła.

- Pięknie. Te dzieci prawdopodobnie będą miały uraz do końca życia - powiedział Ren.

- Jeśli prawo jeszcze tego nie zabrania, to powinno. Te wasy wyglądają jak zdechła tarantula. I nie wydaje ci się, że trochę przesadziłeś z blizną?

- Skoro dzięki temu mogę się swobodnie poruszać, nic mi nie przeszkadza.

- Jeśli chcesz anonimowości, dlaczego nie siedzisz w domu?

- Bo urodziłem się wędrowcem.

Przyjrzała mu się uważniej.

- Ostatnim razem, gdy cię widziałam, byłeś uzbrojony. Czy masz broń pod sutanną?

- Nie, jeśli nie liczyć przyklejonych do piersi ładunków wybuchowych.

- Widziałam ten film. Okropny. W tej scenie chodziło o gloryfikację przemocy i pokazanie twoich mięśni.

- Ale film zarobił sto pięćdziesiąt milionów.

- Co potwierdza moją teorię na temat gustu amerykańskich widzów.

- Ludzie, którzy mieszkają w szklanych domach, doktor Favor...

A więc domyślił się, kim jest.

Poprawił okulary na swoim doskonałym nosie.

- Nie interesuję się psychologią, ale nawet ja o tobie słyszałem. Twój doktorat jest prawdziwy czy podrobiony?

- Mam bardzo prawdziwy doktorat z psychologii, co kwalifikuje mnie do postawienia właściwej, dokładnej diagnozy: jesteś dupkiem. Teraz daj mi spokój.

- Zaczynam się wkurzać. - Wydłużył krok. - Nie zaatakowałem cię tamtej nocy i nie przeproszę.

- Udawałeś żigolaka.

- Tylko w twojej bujnej wyobraźni.

- Mówiłeś po włosku.
- A ty po francusku.
- Idź sobie. Nie, zaczekaj. - Odwróciła się do niego. - Jesteś właścicielem domku. Chcę mieć znowu ciepłą wodę.

Skłonił się dwóm starszkom, idącym pod rękę, a potem przeżegnał je znakiem krzyża. Isabel była pewna, że za to czeka go dodatkowe tysiąc lat czyścica. Uświadomiła sobie, że stoi i gapi się na niego, więc szybko ruszyła przed siebie. Niestety, on też.

- Dlaczego nie masz ciepłej wody? - zapytał.
- A bo ja wiem? I twoi ludzie nic z tym nie robią.
- Jesteśmy we Włoszech. Tu wszystko musi potrać.
- Załatw to.
- Zobaczą, co się da zrobić. - Potarł fałszywą bliznę na policzku. - Doktor Isabel Favor... Nie do wiary, że byłem w łóżku z amerykańską strażniczką cnoty w stylu New Age.

- To nie New Age. Jestem staromodną moralistką i dlatego uważam swój wyczyn za odrażający. Ale zamiast w nieskończoność to rozpamiętywać, wytłumaczę sobie, że to było traumatyczne przeżycie, i spróbuję sobie wybaczyć.

- Rzucił cię narzeczony, a twoja kariera legła w gruzach. To jest wybaczone. Ale naprawdę nie powinnaś była kantować urzędu skarbowego.

- Mój księgowy oszukiwał.
- Spodziewałbym się, że osoba z doktoratem z psychologii potrafi lepiej dobierać sobie pracowników.
- Słusznie. Ale jak może zauważyłeś, w mojej psychice powstała czarna dziura, jeśli chodzi o ocenę ludzi.

Jego śmiech zabrzmiał diabolicznie.

- Często pozwalasz się podrywać facetom?
- Idź sobie.
- Nie oceniam cię, zrozum. To tylko ciekawość. - Mrugnął niezniekształconym okiem, gdy wychodzili z zacienionej uliczki na plac.
- Nigdy nie pozwalałam się podrywać. Nigdy! Po prostu... tamtej nocy mi odbiło. Jeśli złapałam od ciebie jakieś paskudne choróbsko...
- Kilka tygodni temu byłem przeziębiony, ale poza tym...
- Nie bądź takim mądrałą. Czytałam tę twoją uroczą wypowiedź. Sam przyznałeś... Jak to było? „Zerznąłem ponad pięćset kobiet”? Nawet przy założeniu, że trochę przesadziłeś, jesteś seksualnym partnerem wysokiego ryzyka.

- Ten cytat ma bardzo niewiele wspólnego z rzeczywistością.

- Nie powiedziałaś tak?
- I tu mnie masz.

Zamierzała rzucić mu pogardliwe spojrzenie, ale ponieważ nie miała doświadczenia w wyrażaniu takich uczuć, efekt pewnie nie był najlepszy.

Pobłogosławił przechodzącego kota.

- Byłem młodym aktorem i walczyłem o popularność. Dlatego powiedziałem tak reporterowi. Hej, człowiek musi z czegoś żyć.

Korciło ją, żeby zapytać, ile kobiet miał naprawdę. Powstrzymała się i przyspieszyła kroku.

- Najwyżej sto.
- Nie pytałam. I to jest obrzydliwe.
- Żartowałem. Nawet ja nie jestem taki rozpustny. Wy, guru, nie macie poczucia humoru.

- Nie jestem guru i tak się składa, że mam bardzo rozwinięte poczucie humoru. Bo inaczej przecież bym z tobą nie rozmawiała.

- Skoro nie chcesz być osądzana po tym, co się stało tamtej nocy, nie powinnaś osądzać i mnie. - Wzięła torbę i zajrzał do środka. - Co to jest?

- Ciasto. Moje! Hej! - Ugryzł duży kęs.
- Dobrze. - Mówił z pełnymi ustami. - Jak ciastka Fig Newton. Chcesz kawałek?

- Nie, dziękuję. Ale ty się częstuj.
- Twoja strata. - Pożarł ciasto. - Jedzenie w Stanach nie smakuje tak dobrze jak tu. Zauważyłaś to już? - Zauważyła, ale doszła do sklepu spożywczego i zignorowała jego pytanie.

Nie wszedł za nią do środka. Widziała przez szybę, jak klęka, żeby pogłaskać stare psisko, które na powitanie zeszło ze schodka. Miłej sprzedawczyni od miodu nie było. Był za to starszy mężczyzna w rzeźnickim fartuchu. Patrzył na nią gniewnie, gdy podawała mu sporządzoną z pomocą słownika listę. Dotarło do niej, że jedyną przyjazną osobą, którą spotkała tego dnia, był Lorenzo Gage. To straszne.

Gdy wyszła, stał oparty o ścianę i czytał włoską gazetę. Wcisnął ją pod ramię i sięgnął po torby z zakupami Isabel.

- Nie ma mowy. Bo wszystko mi zjesz. - Ruszyła w stronę bocznej uliczki, gdzie zaparkowała samochód.

- Powiniennem cię wyrzucić z tego domku.
- Na jakiej podstawie?
- Za to, że jesteś... jak to się mówi? A, już wiem... rura!
- Tylko w kontaktach z tobą. - I zwróciła się głośno do mężczyzny, który opalał się naławeczce: - Signore! Ten człowiek nie jest księdzem. Ib...

Gage zabrał jej torby z zakupami i powiedział coś po włosku do mężczyzny, który pokazał jej język.

- Co mu powiedziałeś?  
, - Że jesteś albo piromanką, albo złodziejką. Te słowa zawsze mi się mylą.

- Nie jesteś dowcipny. - Ale gdyby nie był Lorenzem Gage'em, uśmiełaby się na pewno. - Dlaczego mnie śledzisz? Jestem pewna, że w miasteczku jest kilkadziesiąt kobiet w potrzebie, które byłyby zachwycone twoim towarzystwem.

Elegancki mężczyzna, stojący w drzwiach zakładu fotograficznego, wlepił w nią wzrok.

- Nie śledzę cię. Po prostu mi się nudzi. A ty jesteś najlepszą rozrywką w mieście. Jeśli sama nie zauważyłaś, powiem ci, że tutejsi chyba cię nie lubią.

- Zauważyłam.  
- To dlatego, że wyglądasz na niesympatyczną.  
- Ani trochę! Oni po prostu zwierają szeregi, żeby się chronić przed obcymi.

- Jesteś trochę niesympatyczna.  
- Na twoim miejscu zażądałabym umowy najmu domku.  
- To moje ulubione wakacyjne zajęcie.  
- Ktoś tu kręci i chyba doskonale wiem, o co chodzi.  
- Już mi lepiej.  
- Chcesz tego słuchać czy nie?  
- Nie.  
- Twój domek powinien być cały czas wynajmowany, prawda?  
- Chyba tak.  
- Jeśli sprawdzisz, pewnie odkryjesz, że tak nie jest.  
- A ciebie aż korci, żeby mi powiedzieć dlaczego.  
- Bo Marta uważa ten dom za swój i nie chce go z nikim dzielić.  
- Siostra zmarłego Paola?

Isabel kiwnęła głową.

- Ludzie w małych miasteczkach trzymają się razem przeciwko obcym. Wiedzą, jak się czuje, więc jąchronią. Byłabym zaskoczona, gdyby płaciła ci chociaż centa za wynajem domku... nie żebyś potrzebował tych pieniędzy.

- W twojej teorii spiskowej jest wielka dziura. Jeśli nie dopuszczała do wynajmowania domku, to dlaczego ty...

- Komuś się coś pomyliło.

- W porządku, pojedę tam i ją wyrzucę. Czy muszę ją najpierw zabić?

- Ani się waż jej wyrzucać, chociaż nie jest moją ulubienicą. I lepiej nie wyznaczaj jej czynszu. Ty powinieneś jej płacić. Ogród jest wspaniały. - Zmarszczyła brwi, gdy wziął jedną z toreb z zakupami i zaczął w niej grzebać. - Próbuję ci powiedzieć...

- Masz jeszcze coś na deser?

Wyrwała mu torbę.

- Chodzi o to, że ja w niczym nie zawiniłam. Wynajęłam domek w dobrej wierze i spodziewam się ciepłej wody.

- Obiecałem, że się tym zajmę.

- I nie jestem niesympatyczna. Ci ludzie odnosiliby się wrogo do każdego, kto wynająłby domek.

- Jesteś pewna?

Nie podobało jej się, że jest tak zadowolony z siebie. Na ogół nikomu nie udawało się jej speszyc, ale w porównaniu z nim czuła się bardzo... speszona. Odgryzła mu się:

- Masz bardzo interesującą bliznę na policzku.

- Mówisz teraz jako psycholog, prawda?

- Zastanawiam się, czy ta blizna może coś symbolizować.

- Co takiego?

- To może być zewnętrzny wyraz twoich wewnętrznych blizn. Blizn spowodowanych... och, sama nie wiem... rozpustą czy zdeprawowaniem? A może tylko wyrzutami sumienia?

Miała na myśli jego zachowanie wobec niej, ale gdy z jego twarzy znikła zadowolona mina, zrozumiała, że trafiła w nerw, który nazywa się Karli Swenson. Ona jakimś cudem zapomniała o samobójstwie aktorki. Gage najwyraźniej nie zapomniał. Zaciśnął usta.

- To tylko moja aktorska sztuczka.

Poczuła, że Gage się oddala. O to jej chodziło, ale zmartwił ją grymas bólu na jego twarzy, zanim znów schował się za tarczą obojętności. Isabel miała wiele wad, ale nie była okrutna.

- Nie chciałam...

Spojrzał na zegarek.

- Muszę iść wysłuchać spowiedzi. *Ciao*, Fifi.

Gdy odszedł, przypomniała sobie, że przecież *on* wiele razy sprawił jej przykrość, więc nie miała powodu go przeproszać. Tylko że ona go zraniła, a była z natury uzdrowicielką, nie katem. Wbrew sobie krzyknęła:

- Jutro jadę zwiedzać Volterre!

Odwrócił się i uniósł brew.

- Czy to zaproszenie?

Nie! Ale sumienie wzięło górę nad osobistymi potrzebami.

- To łapówka. W zamian za ciepłą wodę.

- Dobrze, zgadzam się.

- W porządku. - Przekłęła się w myślach. Musi być jakiś lepszy sposób na przeprosiny. - Ja prowadzę - dodała z niechęcią. - Wpadnę po ciebie o dziesiątej.

- Rano?

- Jakiś problem?

Tak, dla niej. Zgodnie z rozkładem zajęć o dziesiątej rano powinna pisać.

- Żartujesz, prawda? To przed świtem.

- Szkoda, że nie możesz. Może innym razem.

- Dobrze, będę gotowy. - Ruszył przed siebie, ale po chwili się odwrócił. - Nie będziesz mi znów płacić za seks, prawda?

- Zrobię co w mojej mocy, żeby oprzeć się pokusie.

- Zuch dziewczyna, Fifi. Do zobaczenia nad ranem.

Wsiadła do samochodu i zamknęła drzwi. Gapiła się z ponurą miną na drogę. Przypomniała sobie, że ma doktorat z psychologii, który kwalifikuje ją do postawienia trafnej diagnozy: jest patentowaną idiotką.

Ren zamówił espresso przy kontuarze w barze na placu. Zaniósł małą filiżankę na okrągły marmurowy stolik i usiadł, zadowolony, że jest w miejscu publicznym, a nikt go nie zaczepia. Odczekał chwilę, aż kawa trochę ostygnie, i wypił ją jednym haustem, tak jak robiła to jego *nonna*. Kawa była mocna i gorzka - taką lubił.

Żałował, że dał się pokonać doktor Favor. Od tak dawna otaczali go sami pochlebcy, że już zapomniał, co to czujność. Skoro jednak nadal zamierzał się spotykać z tą kobietą, powinien sobie przypomnieć dawne nawyki. Na pewno nie imponowała jej jego sława. Cholera, ona nawet nie lubiła jego filmów! A ten moralny kompas, przyklejony do jej pleców, był tak ciężki, że z trudem stała prosto. Czy więc naprawdę chciał z nią spędzić cały dzień?

Tak, naprawdę. Bo jak inaczej mógłby ją znów rozebrać?

Uśmiechnął się i bawił filiżanką. Wpadł na ten pomysł w chwili, gdy zobaczył Isabel z pocztówką. Zmarszczyła brwi i zagryzała te pełne usta, które próbowała zmniejszyć brzydką szminką. Jej jasne włosy z pasemkami były gładko zaczesane w tył, ale jeden niesforny loczek opadał na policzek. Ani sweterek, który narzuciła na ramiona, ani zapięta na wszystkie guziki sukienka w kolorze tostu nie mogły ukryć ciała, zbyt zgrabnie

go i pociągającego, by mogło należeć do kogoś, kto z zawodu kształtuje innych.

Oparł się wygodnie i myślał o tym. Za pierwszym razem, gdy kochał się z ząną panią doktor, coś poszło nie tak, ale teraz dopilnuje, żeby wszystko było w porządku, co znaczy, że może będzie musiał dążyć do celu trochę wolniej.

W przeciwieństwie do tego, co o nim sądzono, miał sumienie, więc poważnie się zastanowił. Nic. Żadnego wyrzutu. Doktor Fifi była dorosła, a gdyby jej się nie podobał, nie poszłaby z nim tamtej nocy. Ale teraz mu się opierała. Czy naprawdę chciał zadawać sobie trud?

Tak, dlaczego nie? Przecież go intryguje. Mimo ostrego języka otacza ją aura dziwnie atrakcyjnej przyzwoitości. Był gotów się założyć, że ona święcie wierzy we wszystkie swoje zasady. Co oznacza, że - nie jak ostatnim razem - będzie oczekiwała związku.

Nienawidził tego słowa. Nie angażował się w związki, a przynajmniej nie był szczery. Ale jeśli będzie dążył do celu, ani na chwilę nie opuszczając gardy, i - to się rozumie samo przez się - będzie cały czas podły i wyrachowany, może mu się uda ominąć związek.

Dawno już nie spotykał się z kobietą, która naprawdę go interesowała, nie mówiąc o takiej, która by go bawiła. Poprzedniej nocy wyspał się po raz pierwszy od kilku miesięcy, a dziś nie musiał jeszcze wyciągać awaryjnego papierosa. Poza tym każdy by przyznał, że doktor Fifi przydałoby się trochę zepsucia. A on mógł jej to zapewnić jak nikt inny.

Następnego ranka z kranu popłynęła gorąca woda. Isabel cieszyła się ciepłą kąpielą. Bez pośpiechu umyła włosy i ogoliła nogi. Ale natychmiast przestała czuć wdzięczność do właściciela, gdy odkryła, że suszarka nie działa, bo nie ma prądu.

Obejrzała w lustrze swoje wytarte ręcznikiem włosy. Już zaczęły się skręcać przy uszach. Jeśli nie wysuszy ich suszarką i nie ułoży szczotką, będzie miała loki, z którymi nie dadzą sobie rady wszystkie żele i odżywki świata. Za dwadzieścia minut będzie wyglądała tak nieporządnie, jak jej matka po powrocie do domu z zakazanej sesji z jakimś studentem.

Psychologiczne korzenie tego łaknienia porządku nie sięgały głęboko. Takiej obsesji na punkcie ładu można się spodziewać u osoby wychowanej w chaosie. Isabel zastanawiała się, czy nie zadzwonić do willi i nie odwołać wycieczki, ale wtedy Gage pomyślałby, że się go boi. Poza tym nie miała aż takiego świra na punkcie włosów. Po prostu nie lubiła wyglądać niechlujnie.

Żeby to sobie zrekompensować, włożyła prostą czarną sukienkę z odsłoniętymi ramionami - która wyglądała bardzo ładnie na jej kształtnych mięśniach - i złotą bransoletkę z napisem „oddychaj”; na niesforne loki wcisnęła słomkowy kapelusz. Była gotowa do wyjścia. Załowała, że nie mogła rano pomedytować, żeby się uspokoić, ale jej umysł odmawiał współpracy.

Chciała przyjechać do willi z piętnastominutowym opóźnieniem, tylko po to, żeby pan Gwiazdor musiał poczekać, ale była tak punktualna, że pięć po dziesiątej dostała trzęsionki i po prostu musiała iść do samochodu. Podjeżdżając pod willę, zerknęła w lusterko wsteczne. Loki wystające spod kapelusza były tak nieznośne, że chciała natychmiast wrócić do domu i jednak coś z tym zrobić.

Zauważyła mężczyznę czającego się w krzakach - był beznadziejnie ubrany i wyglądał na turystę. Poczowała mimowolną litość dla Gage'a. Choć przebrał się wczoraj, nie zdołał ukryć przed fanami miejsca swojego pobytu.

Ten fan miał na sobie sportową koszulkę w paskudną kratkę, workowate bermudy prawie do kolan i sandały na grubej podeszwie, z których wystawały białe skarpetki. Czapeczka Lakersów rzucała cień na jego twarz, a na szyi wisiał aparat fotograficzny. Fioletowa szaszetka dyndała mu u paska jak uszkodzona nerka. Zauważył samochód i kołyszącym krokiem ruszył w jego stronę. Był gruby i niezadarny.

Przygotowała się psychicznie do rozmowy, a potem przyjrzała się uważniej. Z językiem uderzyła czołem w kierownicę.

Wetknął głowę przez drzwi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dzieńdoberek, Fifi.

## Rozdział 8

**N**ie mogę się pokazać publicznie w twoim towarzystwie!  
Uderzył kolanami w deskę rozdzielczą, gramoląc się do malutkiego fiata.

~ Dzięki mojemu przebraniu będziesz mogła spokojnie spędzić ten dzień. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale Włosi uwielbiają moje filmy.

Spojrzała na jego kretyński strój.

- Zrób coś z tą szaszetką.

- Nie do wiary, że wstałem tak wcześnie, kiedy nie muszę pracować. - Skulił się na siedzeniu i zamknął oczy.

- Mówię poważnie. Precz z szaszetką. Zniosę białe skarpetki i te sandały, ale szaszetki nie. - Znów na niego spojrzała. - Nie, białych skarpetek też nie zniosę. Zdejmuj natychmiast.

Ziewnął.

- Zastanówmy się... Jak to skomentują w telewizji? - Ciągnął modulowanym głosem spikera: - Niedawno skompromitowana doktor Isabel Favor, która chyba nie jest tak mądra, jak chce to wmówić legionom swoich wielbicieli, była widziana we włoskim mieście Volterra w towarzystwie Lorenza Gage'a, hollywoodzkiego rozpustnika. Widziano ich razem...

- Ta szaszetka jest prześlizgająca. - Wrzuciła bieg.

- A sandały i białe skarpetki?

- Wraca moda retro.

- Wspaniale. - Zmrużył oczy, szarpiąc suwak szaszetki. Isabel zastanawiała się, jak ktoś tak wysoki może się zmieścić w maserati.

- Co robiłeś w krzakach?

Wyjął ohydne okulary przeciwsłoneczne.

- Tam jest ławka. Uciałem sobie drzemkę. - Mimo narzekań wyglądał na wypoczętego. - Ładna fryzurka. Skąd się wzięły te loki?

- Nagła i tajemnicza awaria prądu. Nie mogłam wysuszyć ich suszarką. Dziękuję za ciepłą wodę. Czy mogłabym teraz odzyskać prąd?

- Nie masz prądu?

- Przedziwne.

- To może być przypadek. Anna powiedziała, że przez całe lato były kłopoty z wodą, dlatego trzeba kopać.

- Dodała też, że koniecznie muszę się przenieść do miasta.

- Chyba o tym wspomniała. Zdejmij ten kapelusz, dobrze?

- Nie ma mowy.

- Będzie zwracał na nas uwagę. Poza tym podobają mi się te loki.

- Serce zabiło mi mocniej.

- Nie lubisz loków?

- Nie lubię nieporządku. - Spojrzała znacząco na jego strój.

- Ach.

- Co?

- Nic. Tylko „ach”.

- Zatrzymaj ochy i achy dla siebie, żebym mogła spokojnie podziwiać widoki.

- Dla ciebie wszystko.

Dzień był piękny. Wzgórza rozciągały się aż po horyzont po obu stronach drogi. Na jednym z pól stały snopy pszenicy. Po innym jechał traktor. Minęli plantację słoneczników, które musiały wyschnąć, zanim zostaną zaorane. Wolałyby, żeby kwitły, ale to by oznaczało, że nie zobaczy już gotowych do zerwania winogron.

- Przyjaciele mówią mi Ren - oznajmił. - Ale dziś byłbym ci wdzięczny, gdybyś nazywała mnie Buddy.

- Zgoda.

- Albo Ralph. Ralph Smitts z Ashtabula w Ohio. Ładnie brzmi. Jeśli koniecznie musisz mieć kapelus, kupię ci coś mniej zwracającego uwagę, kiedy tylko dojedziemy na miejsce.

- Nie, dziękuję.

- Zawzięta jesteś, doktor Favor. Czy to podstawa twojej filozofii? „Będiesz najbardziej spiętą dziewczuchą na planecie”?

- Wcale nie jestem spięta, tylko mam zasady. - Mówiąc to, poczuła się jak nadmuchana ropucha, a przecież wcale taka nie była. Przynajmniej nie w głębi duszy. - Co ty wiesz o mojej filozofii?

- Do wczoraj nie wiedziałem nic, ale poszukałem w Internecie. Bardzo ciekawe. Z tego, co przeczytałem w twoje notce biograficznej, zbudowałaś swoje imperium ciężką pracą. Muszę ci to przyznać. Chyba nikt nie dał ci niczego za darmo.

- Och, dostałam wiele za darmo. - Pomyślała o ludziach, którzy inspirowali ją przez te wszystkie lata. Kiedy tylko w jej życiu działo się coś złego, wszechświat zawsze zsyłał jej anioła w takiej czy innej postaci.

Jej stopa zsunęła się z pedału gazu.

- Hej.

- Przepraszam.

- Albo uważasz na drogę, albo ja poprowadzę - warknął. - Powinnaś ustąpić od razu, bo jestem mężczyzną.

- Zauważyłam. - Mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. - Jestem pewna, że historia mojego życia jest nudna w porównaniu z twoją. Czy aby nie czytałam, że twoja matka pochodziła z królewskiego rodu?

- Była hrabiną. To taki włoski tytuł bez znaczenia. Była przede wszystkim nieodpowiedzialną, wesołą dziewczyną, która miała za dużo pieniędzy. Nie żyje.

- Zawsze mnie fascynowało, jak dzieciństwo wpływa na charakter człowieka. Czy mogę ci zadać niedyskretne pytanie?

- Chcesz wiedzieć, jak mi się dorastało przy matce o poziomie dojrzałości dwunastoletniej kretynki? Wzrusza mnie twoja troska.

Zamierzała zachowywać się wyniośle i nie zniżyć się do pogawędki. Ale co on mógł jej zrobić?

- Powoduje mną wyłącznie ciekawość zawodowa, więc nie próbuj sentymentalnych sztuczek.

- Zastanówmy się. Wpływ matki... Nie pamiętam, kiedy się pierwszy raz upiłem, ale to było mniej więcej wtedy, gdy urosłem na tyle, żeby zdejmować ze stołu kieliszki z alkoholem pozostawione przez gości z jej przyjęć. - Bardzo dobrze ukrył gorycz. - Pierwszego skręta wypaliłem w wieku dziesięciu lat, potem było wiele następnych. Przed ukończeniem dwunastu obejrzałem kilkadziesiąt filmów pornograficznych. Nie myśl, że to nie wypacza poglądów nastolatka na seks. Zmieniałem szkołę na całym Wschodnim Wybrzeżu. Nie sposób zliczyć samochodów, które rozbiłem. Dwa razy siedziałem w areszcie za kradzieże w sklepach, ironia losu, bo miałem duży fundusz powierniczy i o wiele za wysokie dochody jak na przemądrzałego gnojka. Ale za wszelką cenę chciałem zwrócić na siebie uwagę. Och... pierwszą linijkę koki wciągnąłem w wieku piętnastu lat. Dawne, dobre czasy.

Za jego śmiechem krył się ból, którego nie zamierzał pokazywać.

- A twój ojciec? - zapytała.

- Wall Street. Bardzo szanowany. Nadal codziennie chodzi do pracy. Drugą żonę wybrał o wiele rozsądniej. To arystokratka, która od początku trzymała mnie jak najdalej od trójki dzieci. Jeden z ich synów wyrósł na przyzwoitego gościa. Czasami się widzujemy.

- Czy w twoim dzieciństwie były anioły?

- Anioły?

- Dobrzy ludzie.

- Moja *nonna*, matka mojej matki. Pomieszkiwała z nami. Gdyby nie ona, pewnie teraz siedziałbym w więzieniu.

Chyba stworzył sobie własny rodzaj więzienia, grając tylko złoczyńców. Może odzwierciedlał się w nich jego obraz samego siebie. A może i nie. Psycholodzy mają paskudny zwyczaj upraszczania motywów ludzkiego postępowania.

- A ty? - zapytał. - W notce biograficznej było napisane, że utrzymujesz się sama od osiemnastego roku życia. Pewnie było ci ciężko.

- Dzięki temu mam charakter.

- Przebyłaś długą drogę.

- Nie aż tak. Jestem zrujnowana. - Sięgnęła po okulary przeciwsłoneczne w nadziei, że przerwie tę rozmowę.

- Zdarzają się gorsze rzeczy niż bankructwo - powiedział.

- Domyślał się, że nie mówisz z doświadczenia.



- Kiedy miałem osiemnaście lat, na poczcie zaginął czek z funduszu powierniczego. Było fatalnie.

Zawsze lubiła ludzi, którzy potrafią się z siebie śmiać, więc mimowolnie się uśmiechnęła.

Pół godziny później dojechali na przedmieścia VolTerry i zobaczyli usadowiony na wzgórzu zamek z szarego ponurego kamienia. Wreszcie bezpieczny temat do rozmowy.

- To musi być *fortezza* - powiedziała. - Florentczycy wzniesli ją pod koniec XV wieku, rozbudowując etruską osadę z mniej więcej VIII wieku przed naszą erą.

- Czytałaś przewodnik po okolicy, co?

- Kilka.

Minęli stację benzynową Esso i malutki dom z anteną satelitarną na czerwonym dachu.

- Wyobrażałam sobie Etrusków jako jaskiniowców z maczugami, ale to była bardzo rozwinięta cywilizacja. Mieli wiele wspólnego z Grekami. Byli kupcami, żeglarzami, rolnikami, rzemieślnikami. Wydobywali miedź i przetapiali rudy żelaza. A ich kobiety były zaskakująco wyzwolone jak na tamte czasy.

- Dzięki za to Bogu.

Nie majak lekcja historii, żeby utrzymać dystans. Szkoda, że tak późno na to wpadła.

- Gdy ten obszar zajęli Rzymianie, kultura etruska została stopniowo wchłonięta, chociaż niektórzy sądzą, że dzisiejszy styl życia w Toskanii bardziej nawiązuje do przeszłości etruskiej niż rzymskiej.

- Każdy pretekst do zabawy jest dobry.

- Coś w tym rodzaju. - Zobaczyła znak parkingu, więc minęła ładną alejkę z ławeczkami i znalazła miejsce. - Nie wpuszczają samochodów do miasta, musimy się zatrzymać tutaj.

- W mieście jest fantastyczne muzeum etruskich przedmiotów klasy światowej, które powinny ci się spodobać - powiedział, ziewając.

- Byłeś tu?

- Przed wielu laty, ale jeszcze coś pamiętam. Interesowała mnie kultura Etrusków, dlatego uczyłem się historii, zanim wyleciałem ze studiów.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Wiedziałeś to wszystko, o czym mówiłam, prawda?

- Tak, ale dzięki temu miałem czas się zdrzemnąć. Przy okazji, etruskie miasto zostało zbudowane około IX wieku przed naszą erą, nie VIII. Ale co za różnica, sto lat w tę czy w tamtą?

Taki był efekt popisywania się wiedzą. Wysiedli z pandy. Isabel zauważyła, że jeden z kącików jego okularów przeciwsłonecznych jest owinięty taśmą klejącą.

- Nie miałeś takiego przebrania w filmie, w którym próbowałeś zgwałcić Cameron Diaz?

- Chyba próbowałem ją zamordować, nie zgwałcić.

- Nie myśl, że cię krytykuję, ale czy ten sadyzm nie zaczyna ci się udzielać?

- Dziękuję, że mnie nie krytykujesz. A dzięki sadyzmowi zyskałem sławę.

Przeszli przez parking. Ren szedł, kołyszac się, jakby był bardzo otyły. Kolejna aktorska iluzja, która najwyraźniej zdawała egzamin, bo nikt nie zwracał na niego uwagi. Isabel nakazała sobie nie komentować tego, ale trudno było zerwać ze starymi nawykami.

- To ma dla ciebie znaczenie, prawda? - zapytała. - Mimo wszystkich niewygod. Sława!

- Jeśli w pobliżu jest reflektor, lubię, żeby oświetlał mnie. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Myślisz, że motywuje mnie zainteresowanie innych?

- A nie?

- Tylko jako środek przekazu informacji.

- Wierzę ci.

Na pewno nie wierzył. Spojrzała na niego, wiedząc, że powinna odpuścić.

- Czy tylko tyle chcesz od życia? Blasku reflektorów?

- Oszczędź mi wykładów na temat doskonalenia samego siebie. Nie jestem zainteresowany.

- Nie zamierzałam robić ci wykładu.

- Fifi, ty żyjesz, żeby wykładać. Bez wykładów jesteś jak bez powietrza.

- Czujesz w tym zagrożenie? - Szła za nim brukowaną uliczką.

- Czuję zagrożenie we wszystkim, co wiąże się z tobą.

- Dziękuję.

- To nie był komplement.

- Myślisz, że jestem kołtunką, prawda?

- Zauważyłem pewną skłonność.

- Zachowuję się tak tylko przy tobie, i to celowo. - Próbowała powstrzymać uśmiech.

Skęcili w węższą uliczkę, jeszcze bardziej staroświecką niż te, które już widzieli.

- Czy otrzymałaś swoje cztery filary od Boga, jak grom z jasnego nieba - zapytał - czy też gdzieś to wyczytałaś?

- Od Boga; dzięki, że pytasz. - Już nawet nie próbowała być wyniosła. - Lecz nie w postaci gromu z jasnego nieba. Kiedy byłam mała, często się przeprowadzaliśmy. Przez to czułam się samotna, ale i miałam czas obserwować ludzi. Gdy trochę dorosłam, zaczęłam pracować, żeby skończyć szkołę. Dużo czytałam i miałam oczy szeroko otwarte. Widziałam, jak ludzie odnoszą sukcesy i ponoszą klęski, w pracy i w związkach z innymi. Cztery filary wyrosły z tych obserwacji.

- Nie sądzę, żeby sława przyszła natychmiast.

- Swoje obserwacje zaczęłam opisywać na studiach dyplomowych.

- Artykuły w prasie akademickiej?

- Z początku. Ale to było za mało, więc streściłam swoje pomysły i opublikowałam je w magazynie kobiecym, i tak narodziły się cztery filary. - Wiedziała, że trajkocze, ale miło było mówić o pracy. - Zaczęłam wprowadzać te pomysły we własne życie i spodobał mi się efekt. Było mi łatwiej się skoncentrować. Zorganizowałam kilka grup dyskusyjnych w kampusie. Najwyraźniej pomagały ludziom i wciąż się rozrastały. Na spotkania jednej z nich zaczął przychodzić wydawca książek i wszystko od tego się zaczęło.

- Lubisz swoją pracę, prawda?

- Uwielbiam.

- Czyli jednak mamy ze sobą coś wspólnego.

- Naprawdę lubisz grać te role?

- Widzisz, znowu wyłazi z ciebie kołtunka.

- Po prostu nie mieści mi się w głowie, że można lubić pracę, która gloryfikuje przemoc.

- Zapominasz, że zwykle ginę na końcu, więc moje filmy są jak bajki z morałem. To ci się powinno podobać.

Na placu rozdzielił ich tłum. Isabel oglądała stragany, na których było wszystko: od koszy z owocami i warzywami po różnokolorowe zabawki. W powietrzu unosił się zapach ziół, rosnących w doniczkach. Na straganach wisały warkocze czosnku i papryczek. Sprzedawano jedwabne szaliki i skórzane torby. Kolorowe torebki z makaronem leżały obok ślicznych buteleczek z oliwą z oliwek. Isabel minęła wózek z żółtawymi kostkami mydła z dodatkiem lawendy, ziaren maku i skórki cytrynowej. Gdy przystanęła, żeby powąchać te lawendowe, zauważyła Rena w pobliżu drucianej klatki z ptakami. Pomyślała o innych znajomych aktorach. Opowiadali, że muszą szukać w sobie cech postaci, które grają. Zastanawiała się, co takiego zobaczył w sobie Ren, że może tak przeko-

nująco portretować zło. Czy to były nierozwiązane problemy z trudnego dzieciństwa?

Gdy się zbliżyła, wskazał ręką kanarki.

- Nie zamierzam ich zabijać, jeśli o to się martwisz.

- Sądzę, że dwa ptaszki to dla ciebie za małe wyzwanie. - Dotknęła zasuwki przy drzwiczkach. - Nie wpadnij w samozachwyty, ale obiektywnie mówiąc, jesteś chyba świetnym aktorem. Założę się, że wspaniale zagrałbyś wielkiego bohatera, gdybyś tylko chciał.

- Znowu do tego wracamy?

- Czy nie chciałbyś raz uratować dziewczyny, zamiast ją dręczyć?

- Hej, nie chodzi tylko o kobiety. Dręcę każdego. A raz próbowałam uratować dziewczynę, ale nie wyszło. Oglądałaś film pod tytułem *Listopad*?

- Nie.

- Mało kto oglądał. Grałem szlachetnego, lecz naiwnego lekarza, który natyka się na jakąś medyczną aferę, próbując jednocześnie ratować życie bohaterki. Kompletna kłapa.

- Może scenariusz był zły.

- A może nie. - Spojrzał na nią. - Oto życiowa lekcja, którą odebrałem, Fifi: niektórzy rodzą się, żeby grać bohaterów, inni żeby grać tych złych. Walka z własnym przeznaczeniem tylko utrudnia życie. Poza tym ludzie pamiętają czarny charakter długo po tym, jak zapomną bohaterze.

Gdyby tamtego dnia nie zauważyła grymasu bólu na jego twarzy, mogłaby odpuścić, ale grzebanie w ludzkiej psychice było jej drugą naturą.

- Jest wielka różnica między graniem złego na ekranie a graniem go w prawdziwym życiu... albo odczuciem, że się nim jest.

- Niezbyt subtelna aluzja. Jeśli chcesz zapytać o Karli, wal śmiało. Nie chodziło jej tylko o Karli, ale się nie wycofała.

- Może powinieneś porozmawiać o tym, co się stało. Ciemność traci moc, gdy rzucisz na nią światło.

- Zaczekaj tu na mnie, dobrze? Muszę zwymiotować.

Nie obraziła się. Po prostu mówiła ciszej i łagodniej.

- Czy masz coś wspólnego z jej śmiercią, Ren?

- Nie zamkniesz się, prawda?

- Właśnie powiedziałeś, że wystarczy zapytać, więc pytam.

Rzucił jej jadłowite spojrzenie, ale nie odszedł.

- Od ponad roku nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. A gdy byliśmy razem, żadne z nas nie czuło wielkiej miłości. Ona nie zabiła się /mojego

powodu. Zmarła, bo była narkomanką. Niestety, mniej delikatni przedstawiciele mediów chcieli historii o seksie, więc ją sobie wymyślili. A skoro słynę z igrania z prawdą podczas wywiadów, nie mogę mieć im tego za złe.

- Oczywiście, że możesz. - Odmówiła w myśli szybką modlitwę za duszę Karli Swenson. To było tylko kilka słów, ale tkwiąc w duchowej czarnej dziurze, była wdzięczna, że w ogóle potrafi się modlić. - Przykro mi, że tyle przez to przeszedłeś.

Szparka w jego zbroi była mała, więc już po chwili zaczął się zachowywać jak cyniczny łajdak.

- Oszczędź mi litości. Takie artykuły w prasie tylko poprawiają sprzedaż moich filmów.

- Jasne. Rezygnuję z wszelkiego współczucia.

- I nigdy więcej mi nic współczuj. - Wziął ją za ramię i poprowadził przez tłum.

- Dziś nauczyłam się, że nie wolno zadzierać z kimś, kto nosi szetkę przy pasku.

- Bardzo śmieszne.

Uśmiechnęła się do siebie.

- Widzisz tych ludzi, którzy się na nas gapią? Nie mogą pojąć, dlaczego taka laska jak ja pokazuje się w towarzystwie takiego kretyna.

- Myśla, że jestem cholernie bogaty, a ty jesteś prezencikiem, który sobie kupiłem.

- Prezencikiem? Naprawdę? - To jej się podobało.

- Przestań się już cieszyć. Jestem głodny. - Ścisnął jej ramię i wprowadził do malutkiej lodziarni, gdzie w szklanej chłodni znajdowały się okrągłe tuby z pysznymi włoskimi lodami. Ren powiedział coś do nastolatka za ladą, posługując się koślawym włoskim ozdobionym amerykańskim akcentem z Południa. Isabel parsknęła śmiechem.

Uciszył ją zabójczym spojrzeniem. Po chwili wyszli z lodziarni. Isabel dotknęła czubkiem języka kulki o smaku mango, a potem tej o smaku jeżyn.

- Mogłeś zapytać, jaki chcę smak.

- Po co? Zamówiłabyś po prostu waniliowe.

Wybrałaby czekoladowe.

- Tego nie wiesz.

- Lubisz wszystko rozgrywać bezpiecznie.

- Jak możesz mówić coś takiego po tym, co zaszło?

- Znowu wracamy do naszej grzesznej nocy?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- To dowodzi, że mam rację. Gdybyś nie lubiła bezpiecznej gry, nie miałabyś obsesji na punkcie tego, co okazało się niezbyt chwalebny doświadczeniem.

Żałowała, że ujął to w ten sposób.

- Gdyby seks był świetny, to obsesja byłaby uzasadniona. - Zwolnił kroku i spojrzał na nią znad okularów. - Wiesz, o co mi chodzi, prawda, Fifi? O seks, który wprowadza cię w taki stan, że chciałabyś zostać w łóżku do końca życia. Żebyś nie mogła się nasycić ciałem partnera, żeby każdy dotyk dawał wrażenie, że ocierasz się o jedwab, żebyś była tak podniecona i...

- Wyjaśniłeś już, o co chodzi! - Pomyślała sobie, że Ren Gage po prostu znów się popisuje i próbuje ją dobić tymi spojrzeniami i chrapliwym, uwodzicielskim głosem. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

Minał ich nastolatek na skuterze. Słońce odbijające się od kamieni ogrzewało nagie ramiona Isabel. W powietrzu czuła zapach ziół i świeżego chleba. Jego ramię otarło się o jej ramię. Lizała lody, delektując się smakiem mango i jeżyn. Czuła, że chłonie życie wszystkimi zmysłami.

- Próbujesz mnie uwieść? - Wcisnął okulary na nos.

- O czym mówisz?

- O tym, co robisz językiem.

- Jem lody.

- Dziwnie energicznie.

- Wcale nie... - Przerwała i spojrzała na niego. - To cię kręci?

- Może.

- Tak! - Przeszyły ją iskierki szczęścia. - Kręci cię patrzeć, jak jem.

Chyba się zirytował.

- Ostatnio brak mi seksu, więc niewiele trzeba, żeby mnie podniecić.

- Jasne. Minęło ile? Pięć dni?

- Nawet nie licz tamtego żalospotkania.

- Dlaczego? Przecież byłeś zadowolony.

- Tak?

Nastrój trochę jej się popsuł.

- Nie?

- Zraniłem twoje uczucia?

Zauważyła, że wcale się nie zmartwił. Zastanawiała się, czy odpowiedzieć szczerze. Nie.

- Dopieknę mi do żywego - powiedziała. - Chodźmy już do tego muzeum, zanim całkowicie się rozkleję.

- Kołtuńska i sarkastyczna.

W porównaniu z nowojorskimi lśniącymi pomnikami przeszłości Muzeum Guarnacci nie robiło wrażenia. Mały hol był zaniedbany i trochę ponury, ale w szklanych gablotach na parterze zobaczyła mnóstwo fascynujących przedmiotów: broni, biżuterii, naczyń, amuletów i przedmiotów kultu. Ale jeszcze bardziej imponująca była niezwykła kolekcja alabastrowych urn.

W innych muzeach widziała kilka takich urn pogrzebowych, ale tu, w staromodnych witrynach, stały ich setki. Przeznaczone na prochy zmarłych prostokątne urny były różnej wielkości, niektóre małe jak miejskie skrzynki pocztowe, inne duże jak skrzynki na narzędzia. Wiele z nich zdobiły na szczycie pochylone figury - kobiece lub męskie. Na bokach wyrzeźbiono sceny mitologiczne i inne, od bitew po wspaniałe uczty.

- Etruskowie nie mieli literatury - powiedział Ren, gdy wreszcie weszli po schodach na drugie piętro. Było tam jeszcze więcej urn słoczonych w staromodnych witrynach. - Wiele z tego, co wiemy o ich życiu codziennym, pochodzi z tych płaskorzeźb.

- Są znacznie bardziej interesujące niż nasze współczesne rzeźby cmentarne. - Isabel zatrzymała się przed dużą urną, ozdobioną u góry postaciami dwojga starszych ludzi.

- Urna degli Sposi - wyjaśnił Ren. - Jedna z najsłynniejszych na świecie.

Isabel spojrzała na pomarszczone twarze staruszków.

- Są tacy prawdziwi. Gdyby mieli inne ubrania, wyglądałoby jak małżeństwo, które mijaliśmy dziś na ulicy. - Urna pochodziła z 90 roku przed naszą erą. - Ona na pewno go uwielbiała. To musiało być szczęśliwe małżeństwo.

- Słyszałem, że coś takiego istnieje.

- Ale nie dla ciebie? - Próbowała sobie przypomnieć, czy gdzieś nie wyczytała, że był żonaty.

- Zdecydowanie nie.

- Próbowałeś?

- W wieku dwudziestu lat. Z koleżanką z dzieciństwa. Trwało to rok i było katastrofą od samego początku. A ty?

Pokręciła głową.

- Wierzę w małżeństwo, ale to instytucja nie dla mnie. - Rozstanie z Michaeliem zmusiło ją do spojrzenia prawdzie w oczy. To nie brak czasu powstrzymywał ją od zaplanowania ślubu; to podświadomość ostrzegała, że w małżeństwie nie będzie jej dobrze, nawet z mężczyzną lepszym niż Michael. Choć nie sądziła, że każde małżeństwo jest piekłem

jak związek jej rodziców, uważała, że małżeństwo jest z natury niszczycielskie, więc nie powinna nawet próbować.

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. Zatrzymała się tak gwałtownie, że na nią wpadł.

- Co to jest?

Spojrzał w kierunku, w którym patrzyła.

- Najwspanialszy eksponat w muzeum.

Pośrodku pomieszczenia w pojedynczej witrynie stał niezwykły, brązowy posążek młodego chłopca. Akt miał około sześćdziesięciu centymetrów wysokości i tylko kilka szerokości.

- To jedno z najsłynniejszych etruskich dzieł - powiedział, gdy zbliżali się do figurki. - Ostatnim razem, gdy go widziałem, miałem osiemnaście lat, ale wciąż go pamiętam.

- Jest piękny.

- Nazywa się *Cień wieczoru. Ombra della sera*. Widzisz dlaczego.

- Och, tak. - Wydłużona sylwetka chłopca przypominała ludzki cień pod koniec dnia. - Wygląda tak współcześnie... Jak dzieło sztuki nowocześniejszej.

- Pochodzi z IFI wieku.

Rzeźba miała niewiele szczegółów, co potęgowało wrażenie współczesności. Krótkie włosy i miękkie rysy mogłyby sugerować, że to postać kobiety, gdyby nie mały penis. Długie, chude ramiona chłopca przylegały do boków, a nogi miały małe zgrubienia zamiast kolan, Isabel zauważyła, że stopy są trochę za duże w stosunku do głowy.

- Posążek jest niezwykły, bo to akt - powiedział Ren. - Nie ma ani jednej ozdoby, która wskazywałaby na status tego człowieka, choć Etruskowie przykładali do tego wielką wagę. Prawdopodobnie to figurka wotywna.

- Fantastyczna.

- W XIX wieku wykopał ją rolnik, orzący pole. Używał jej jako pogrzebacza, aż wreszcie ktoś rozpoznał, co to jest.

- Wyobraź sobie kraj, w którym można wykopać takie cuda.

- W domach całej Toskanii znajdują się etruskie i rzymskie przedmioty ukryte w kredensach. Po kilku kieliszkach grappy właściciele zwykle je pokazują, jeśli się o to poprosi.

- Masz taką skrytkę w willi?

- Z tego, co wiem, wszystkie przedmioty, które zebrała moja ciołka, są wystawione. Przyjdź jutro na kolację, to ci je pokażę.

- Na kolację? Może lepiej na lunch?

- Boisz się, że po zmroku zmienię się w wampira?

- Słyszysz z tego.

Zaśmiał się.

- Mam już dość pogrzebowych urn. Chodźmy coś zjeść.

Ostatni raz spojrzała na *Cień wieczoru*. Fakt, że Ren zna historię, wprawił ją wielkie zakłopotanie. Wołała pierwsze wrażenie: ćwierćinteligenta myślącego tylko o seksie i o sobie. Ale dwie cechy z trzech to i tak niezły powód do pogardy.

Pół godziny później sączyli chianti w kawiarnianym ogródku. Uznała, że picie alkoholu w porze lunchu to czysty hedonizm, podobnie jak towarzystwo Lorenza Gage'a. Nawet kretyńskie przebranie i sklezione taśmą okulary przeciwsłoneczne nie mogły do końca zakamuflować jego dekadentkiej wytworności.

Zanurzyła *gnocchi* w sosie z oliwy z oliwek, czosnku i świeżej szalwii.

- Podczas pobytu tutaj utyję pięć kilogramów.

- Masz świetną figurę. Nie martw się o nią. - Zjadł kolejnego małża.

- Świetną figurę? Nie przesadzaj.

- Widziałem cię nago, Fifi. Jestem upoważniony do wyrażenia opinii.

- Przystaniesz mi to wypominać?

- Uspokój się. Przecież nikogo nie zabiłaś.

- Może zabiłam cząstkę swojej duszy.

- Oszczędź mi tych wynurzeń.

Zirytował ją jego lekko znudzony wyraz twarzy. Odłożyła widelec i pochyliła się ku niemu.

- Pogwałciłam wszystko, w co wierzę. Seks jest święty, aja nie lubię być hipokrytką.

- Ty to masz ciężkie życie.

- Zaraz powiesz coś obrzydliwego, prawda?

- Zauważam tylko, jak trudno jest utrzymać się na wąskiej ścieżce do doskonałości.

- Nie tacy jak ty próbowali mnie z niej zepchnąć. Jestem odporna. Życie jest cenne. Nie wolno przechodzić przez nie po łebkach.

- Ale szarżowanie też się chyba nie sprawdza? Z tego, co wiem, masz zszarganą opinię i jesteś bankrutką bez pracy.

- A dokąd cię doprowadziła filozofia cieszenia się chwilą? Czy dałeś światu coś, z czego mógłbyś być dumny?

- Dałem ludziom kilka godzin roziywki. To wystarczy.

- Ale na czym ci zależy?

- Teraz? Najedzeniu, winie i seksie. Czyli na tym samym, co tobie. I nawet nie próbuj się wypierać. Gdyby seks nie był ważny, nie pozwoliłabyś mi się poderwać.

- Byłam pijana, a ta noc nie miała nic wspólnego z seksem. To był emocjonalny bałagan.

- Bzdura. Nie byłaś aż tak pijana. Chodziło o seks. - Przerwał na chwilę i uniósł brew. - Nam chodzi o seks.

Przełknęła.

- Nie chodzi nam o seks.

- To co tu robimy?

- Nawiązaliśmy dziwną przyjaźń, to wszystko. Dwoje Amerykanów w obcym kraju.

- To nie przyjaźń. My nawet za sobą nie przepadamy. To cielesna, zwierzęca żądza.

- Żądza?

- Tak, żądza. - Wycedził to słowo tak, że zabrzmiało niemal pieszczotliwie.

Przeszył ją lekki dreszcz; sprawił, że trudno jej było odezwać się obrażonym tonem.

- Ja nie czuję żadnej żądz.

- Zauważyłem.

Wystawiła się całkowicie.

- Ale byś chciała. - Nagle wydal się jej Włochem w każdym calu. - A ja jestem gotów pomóc.

- Ze wzruszenia oczy zachodzą mi mgłą.

- Mówię tylko, że chciałbym spróbować jeszcze raz.

- Nie wątpię.

- Nie chcę mieć złych referencji w świadectwie pracy, a nie wykonałem roboty, którą mi zleciłaś.

- Zgodzę się na refundację.

- To sprzeczne z polityką firmy. Możemy tylko wymienić towar. - Uśmiechnął się. - Czyli nie jesteś zainteresowana?

- Ani trochę.

- Myślałem, że szczerłość jest podstawą twoich czterech filarów.

- Chcesz szczerości? Dobrze. Niech będzie, że jesteś bardzo przystojnym mężczyzną. Oszołamiającym. Ale tylko w ten nierealny, gwiazdorski, fantazyjny sposób. Aja wyrosłam z fantazjowania o gwiazdach, kiedy miałam trzynaście lat.

- Od tak dawna masz problemy seksualne?

- Mam nadzieję, że skończyłeś lunch, boja tak. - Rzuciła serwetkę na stół.

- A ja myślałem, że stoisz zbyt wysoko na drabinie ewolucji, żeby obrażać się o byle co.

- Myliłeś się.

- Proponuję tylko, żebyś trochę przesunęła granice. W twojej notce biograficznej jest napisane, że masz trzydzieści cztery lata. Nie sądzisz, że w tym wieku nie powinnaś być aż tak obciążona?

- Nie mam problemów z seksem.

Wygięta ze znużeniem brew wprawiła ją w zakłopotanie. Pogładził kącik ust.

- W imię posługi wobec drugiej istoty ludzkiej, powinnaś docenić tę filozofię, jestem gotów pomóc ci przełamać seksualne zahamowania.

- Zaraz, zaraz. Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyssałam bardziej obraźliwą propozycję. Nie. Dość tego.

Uśmiechnął się.

- To nie była obelga, Fifi. Kręcisz mnie. Pociąga mnie coś w tej kombinacji świetnego ciała, mózgu pierwszej klasy i kołtuńskiej osobowości.

- Znów mam łzy w oczach.

- Kiedy spotkał się wczoraj w miasteczku, wyobraziłem sobie, że widzę cię naga... mam nadzieję, że nie jestem zbyt obcesowy... z rozpostartymi skrzydłami. - Powolny uśmiech, który wykrzywił kąciki jego ust, był bardziej chłopięcy niż podły. Ren świetnie się bawił.

- Ach... - Starła się być wytworna jak młoda Faye Dunaway, ale on wytrącił ją z roli. Ten facet promieniował seksem, nawet gdy zachowywał się skandalicznie. Zawsze chwaliła ludzi, którzy mieli jasne cele, więc uznała, że lepiej będzie przemówić do niego jak racjonalna doktor Favor. - Proponujesz, żebyśmy stworzyli seksualny związek.

Pogładził kciukiem kącik ust.

- Proponuję, żebyśmy spędzili każdą minutę każdej nocy przez najbliższe tygodnie, angażując się w grę wstępną, odpoczywanie po akcji... akt... - Przeciągnął to słowo. - Proponuję, żebyśmy mówili tylko o seksie. Myśleli tylko o seksie. Zajmowali się tylko...

- Zmyślasz to, czy recytujesz scenariusz?

- ...seksem, aż nie będziesz mogła chodzić, a ja nie będę mógł stać prosto. - W jego głosie były tysiące woltów napięcia. - Aż oboje będziemy wrzeszczeć. Aż pozbędziesz się wszelkich zahamowań i jedynym celem twojego życia będzie orgazm.

- Mój szczęśliwy dzień. Świntuszenie za darmo.-Poprawiła okulary przeciwsłoneczne. - Dziękuję za propozycję, ale chyba spasuję.

Od niechcenia wodził palcem wskazującym po krawędzi kieliszka, uśmiechając się zwycięsko.

— Chyba się jeszcze przekonamy, prawda?

## Rozdział 9

Nawet duży, poranny wysiłek nie wyczerpał niespożytej energii Rena. Napił się wody z butelki i spojrzął na stos gałęzi, które Anna chciała usunąć z ogrodu przy willi. Zamierzała poprosić o pomoc męża, Massima, który opiekował się winnicą, albo syna, Giancarla, ale Ren potrzebował ruchu, więc sam się zaoferował.

Dzień był gorący, a niebo bezchmurne i błękitne jak szata Madonny, lecz Ren, nawet przewożąc kolejne taczki gałęzi, nie mógł przestać myśleć o Karli. Gdyby bardziej postarał się do niej dotrzeć, mogłaby jeszcze żyć - ale on zawsze wybierał łatwe wyjścia z sytuacji. Był beztroski wobec kobiet, wobec przyjaźni, wobec wszystkiego z wyjątkiem pracy.

„Nie chcę cię widzieć w pobliżu moich dzieci” - powiedział ojciec, gdy Ren miał dwanaście lat. Ren zemścił się, kradnąc mu portfel.

Jasne, odkupił swoją winę w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ale trudno było się pozbyć starych nawyków, a on zawsze miał serce grzesznika. Może dlatego czuł się taki odprężony w towarzystwie Isabel. Nosiła swoją dobroć jak tarczę. Teraz czuła się słaba, ale była twarda jak stal, tak twarda, że nawet on nie mógł jej złamać.

Wywiózł następną porcję gałęzi na skraj winnicy i wyspał je do pustej metalowej beczki, w której palono chrust. Podpalając gałęzie, spojrzął w kierunku domku. Gdzie ona jest? Od wycieczki do Voltery minął już cały dzień, a ona nadal nie miała prądu, i to dlatego, że nie zlecił Annie usunąć awarii. Przecież nie dzięki dobrym uczynom odnosił sukcesy. Tym podstępem powinien bez trudu zwabić Pannę Doskonałą na swój teren.

Zastanawiał się, czy będzie miała na głowie kapelusz, kiedy w końcu wbiegnie na wzgórze i będzie wrzeszczeć, że nie ma prądu, czy może rozpuści znieawidzone loki. Głupie pytanie, Isabel Favor nigdy niczego nie rozpuści. Będzie zapięta pod samą szyję, będzie wyglądać wytwornie i elegancko i pewnie przyniesie plik dokumentów, grożących mu

dożywotnym więzieniem za to, że jest złym gospodarzem. Dlaczego jeszcze jej niema?

Rozważał, czy nie pójść do domku, ale to kłóciło się z celem. Nie, Panna Doskonała musi przyjść do niego. Czarny charakter zawsze woli zwabić bohaterkę do swojej kryjówki.

Isabel znalazła w kredensie niewielki żyrandol ozdobiony metalowymi kwiatami. Biała farba złuszczyła się z biegiem lat, a jaskrawe kiedyś kolory wyblakły i stały się pastelowe. Wykręciła stare żarówki i wstawiła w ich miejsce świece. Znalazła mocny sznurek i powiesiła żyrandol na drzewie magnolii, po czym rozejrzała się za kolejnym zajęciem. Uprząła brudne rzeczy, ustawiła książki na półkach w salonie i próbowała wykapać koty. Do tej pory ani razu nie udało jej się zrealizować harmonogramu zajęć. Nie mogła się skoncentrować, żeby pisać, nie miało też sensu medytować. W głowie wciąż słyszała uwodzicielski, niski głos, nawołujący ją do upadku.

„Seks, aż oboje będziemy wrzeszczeć... Aż pozbędziesz się wszelkich zahamowań...”

Sięgnęła po ściereczkę, żeby przetrzeć szyby. Znów się zastanowiła, czy nie zadzwonić do Anny Vesto, ale podejrzewała, że teraz warunki dyktuje Ren. Chciał, żeby przyszła do niego do willi, żeby tańczyła, jak jej zagra. Ale nawet brak prądu jej do tego nie zmusi. Ren jest sprytny, lecz ona ma przecież cztery filary.

Założmy, że straci głowę i ulegnie pokusie? Nie chciała nawet o tym myśleć. Już raz sprzedała duszę. Nigdy więcej tego nie zrobi.

Jej uwagę zwrócił jakiś ruch na zewnątrz. Przez otwarte drzwi kuchenne zobaczyła, że do gaju oliwnego wchodzi dwóch robotników. Zadowolona, że ktoś ją wyrwał z rozmyślań, podeszła do nich.

- Przyszli panowie włączyć mi prąd?

Starszy mężczyzna miał pomarszczoną twarz, przywodzącą na myśl mapę samochodową, i kręcone siwiejące włosy. Młodszy był dobrze zbudowany, ciemnooki, o oliwkowej cerze. Na jej widok odłożył kilof i łopatę.

- Prąd? - Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów, jak wszyscy Włosi. - Nie, signora. Przyszliśmy zobaczyć, co ze studnią.

- Podobno były jakieś kłopoty z kanalizacją.

- *Si* - potwierdził starszy. - Syn źle mówi po angielsku. Jestem Massimo Vesto. Dbam o teren wokół willi. A to Giancarlo. Obejrzymy wszystko, żeby sprawdzić, czy możemy kopać.

Zerknęła na kilof i łopatę. Dziwne narzędzia do oglądania. Ale może Massimo też nie najlepiej mówi po angielsku.

- Będzie dużo hałasu - powiedział Giancarlo, błyskając zębami. - Dużo pyłu.

- Przeżyję.

Wróciła do domku. Kilka minut później pojawił się Vittorio z długimi włosami rozwianymi na wietrze.

- Signora Favor! Dziś jest pani szczęśliwy dzień.

Wracając do domu, żeby skryć się przed popołudniowym upałem, Ren był w ponurym nastroju. Anna powiedziała, że Isabel odjechała czerwonym fiatem z mężczyzną o imieniu Vittorio. Kim do cholery był ten Vittorio i dlaczego Isabel śmiała gdzieś wyjechać, gdy on miał w związku z nią własne plany?

Popływał w basenie, a potem zadzwonił do swojego agenta, który wcześniej zostawił mu wiadomość. Zaproponowano mu podłożenie głosu do reklamy samochodów marki Jaguar, a „Beau Monde” chciało napisać o nim artykuł. Co najważniejsze, wysłano już do niego scenariusz filmu Howarda Jenksa.

Ren długo rozmawiał z Jenksem o roli Kaspara Streeta. Street był seryjnym zabójcą, złym człowiekiem o bardzo złożonej psychice. Zabijał kobiety, które kochał. Ren przyjął tę rolę, nie czytając ostatecznej wersji scenariusza, bo Jenks, który zawsze trzymał swoją pracę w tajemnicy, nie skończył jeszcze poprawek. Ren chyba nigdy nic ekscytował się tak żadnym filmem. Ale nie zapomniał o Isabel i mężczyźnie w czerwonym fiacie.

Gdzie ona jest?

- Dzięki, Vittorio, to było cudowne popołudnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. — Uśmiechnął się uroczo. - Niedługo pokażę ci Sienę, a wtedy dowiesz się, jak jest w niebie.

Z uśmiechem patrzyła, jak odjeżdża. Wciąż nie wiedziała, jak bardzo był zaangażowany w akcję usunięcia jej z domku. Zachowywał się bez zarzutu. Nadskakiwał jej, ale nie przekraczał granic dobrego smaku. Powiedział, że klienci odwołali wycieczkę, i nalegał, żeby obejrzała z nim małe miasteczko Monteriggioni. Gdy spacerowali po ślicznym placu, nie próbował jej namówić do przeprowadzki do Casalleone. Ale wyciągnął ją z domu na całe popołudnie. Ciekawe, co się tam działo podczas jej nieobecności.

Zamiast wejść do środka, poszła do gaju oliwnego. Nie znalazła żadnych śladów kopania, ale zobaczyła, że w pobliżu magazynu, zbudowanego przy zboczu wzgórza, ziemia jest trochę wzruszona. Ślady na piasku przy drewnianych drzwiach wskazywały, że ktoś tu był. Nie wiedziała jednak, czy wszedł do środka. Spróbowała pchnąć drzwi, ale były zamknięte na klucz.

Usłyszała chrzęst żwiru i podniosła wzrok. Na skraju ogrodu stała Marta i wpatrywała się w nią. Isabel poczuła się tak, jakby przyłapano ją na myszkowaniu. Marta nie spuszczała z niej oczu. Isabel dała za wygraną i odeszła.

Tej nocy zaczęła, aż starsza kobieta zniknie w swoim pokoju, a potem zaczęła szukać klucza do magazynu. Ale wciąż nie miała prądu, nie mogła więc zaglądać do szuflad i kredensów; postanowiła spróbować rano.

Idąc do sypialni, zastanawiała się, co robi Ren. Pewnie kocha się z jakąś piękną signorą z wioski. Ta myśl coś za bardzo ją przygnębiła.

Wychyliła się, żeby otworzyć okiennice, które Marta zamykała na noc, i zobaczyła blade światło, sączące się przez zasłony w jej oknie. Czyli prądu nie zabrakło w całym domku.

Niemal do świtu przewracała się z boku na bok, myśląc o elektryczności, Renie i pięknych Włoszkach. W rezultacie obudziła się dopiero o dziewiątej. Dzienny rozkład zajęć znowu wziął w łeb. Umyła się szybko, a potem, sfrustrowana do granic wytrzymałości, zadzwoniła do willi i poprosiła Rena do telefonu.

- Signore Gage wyszedł — poinformowała Anna.
- Może mi pani powiedzieć, dlaczego w domku nie ma prądu?
- Zajmiemy się tym. - I rozłączyła się.

Isabel korciło, żeby pójść do willi i wygarnąć mu wszystko, ale Ren był przebiegły, a ona nie mogła zwalczyć poczucia, że próbował nią manipulować. Widziała przecież, jak omotał Jennifer Lopez.

Pobiegła do ogrodu, napełniła miednicę wodą z mydłem i pomaszowała po kota. Czuła, że oszaleje, jeśli zaraz nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia.

Ren sięgnął do kieszeni po awaryjnego papierosa i zorientował się, że już go wypalił. Niedobrze; była dopiero jedenasta. Isabel okazała się twardszą sztuką, niż przypuszczał. Może powinien uwzględnić fakt, że jest psychologiem. Ale, cholera jasna, chciał, żeby ona przyszła do niego, a nie odwrotnie.

Mógł czekać dalej, na co nie miał już cierpliwości, albo oddać tę rundę. Ta myśl go złościła, ale w dłuższej perspektywie co za różnica? Tak czy inaczej wypełnią swoje seksualne przeznaczenie.

Postanowił przejść się po gaju oliwnym, który przecież do niego należał. Taki zwykły spacer. Nic wielkiego. Jeśli przypadkiem zobaczy ją w ogrodzie, powie: „Hej, Fifi, masz już prąd? Nie? O cholera... Wiesz co, a może pójdziesz ze mną do domu i razem pogadamy z Anną?”

Ale szczęście mu nie dopisało. W ogrodzie zobaczył tylko trzy bardzo niezadowolone koty.

Miał nadzieję, że uspokoi go filiżanka espresso i lektura gazety, chociaż tak naprawdę chciał zapalić kolejnego papierosa. Gdy wsiadał do maserati, w głowie tańczyły mu obrazy czerwonego fiata. Krzywiąc się, włożył kluczyk do stacyjki i włączył silnik.

Dojechał właśnie do końca posiadłości, gdy jazobaczył. Zahamował gwałtownie i wyskoczył z samochodu.

- Co ty robisz, do jasnej cholery?

Spojrzała na niego spod ronda słomkowego kapelusza. Mimo roboczych rękawic wyglądała godnie jak królowa.

- Zbieram śmieci przy drodze. - Wrzuciła do plastikowego worka pustą butelkę po lemoniadzie.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Proszę, nie wymawiaj boskiego imienia w gniewie. Bóg Matka tego nie lubi. A śmieci wszędzie szkodzą środowisku.

Złota bransoletka zaślniła w słońcu, gdy Isabel włożyła rękę w kępę dzikiego kopru, żeby wyciągnąć zgniecione opakowanie po papierosach. Jej nieskazitelnie biała bluzka była włożona w obcisłe żółto-brązowe szorty, które odsłaniały zgrabne nogi. Chyba trochę za bardzo się wystroiła.

Skrzyżował ramiona i spojrzał na nią, wreszcie dostrzegając komizm sytuacji.

- Nie masz pojęcia, jak się odprężyć, prawda?

- Oczywiście, że umiem się odprężyć. To jest bardzo odprężające zajęcie. Sprzyja kontemplacji.

- Kontemplacji, akurat! Jesteś napięta jak struna.

- Cóż, każdy byłby spięty bez najbardziej podstawowych wygod.

Pokazał, czego się nauczył w szkole aktorskiej: popatrzył pustym wzrokiem, potem lekko rozszerzył oczy i zmarszczył brwi.

- Nie masz jeszcze prądu? Nie wierzę. Kurczę blade, przecież mówiłem Annie, żeby się tym zajęła. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Znał swój zawód i nie bez powodu zarabiał fortunę. Isabel przez chwilę przyglądała mu się badawczo, ale dała się nabrać.



- Myślałam, że wiesz.  
- Wielkie dzięki! Już wiem, co o mnie myślisz.  
Powinien był odpuścić, kiedy miał przewagę, bo teraz jej oczy zwały się podejrzliwie. Schwycił telefon komórkowy i zadzwonił do swojej gospodyni.  
- Anno, rozmawiam właśnie z Isabel Favor. W domku nie ma prądu. Każ to naprawić jeszcze dziś, dobrze? Nie obchodzą mnie koszty.  
Rozłączył się i oparł o samochód.  
- To powinno wystarczyć. Tymczasem wybierzmy się na przejażdżkę. Kiedy wrócimy, sprawdzę, czy wszystko gra.  
Zawahała się, a potem spojrzała na maserati.  
- Dobrze, aleja poprowadzę.  
- Nic z tego. Prowadziłaś ostatnim razem.  
- Bo bardzo to lubię.  
- Ja też, a to mój samochód.  
- Będiesz przekraczał dozwoloną prędkość.  
- To mnie aresztuj. Wsiadasz, na miłość boską?  
- Bluźnierstwo jest nie tylko świętokradztwem - zauważyła, okazując zadowolenie, co go zirytowało. - To także znak, że ktoś ma ograniczoną zdolność posługiwania się językiem.  
- Wszystko jedno. A ty chcesz prowadzić, bo lubisz nad wszystkim panować.  
- Dzięki temu świat jest lepszy.  
Jej wredny uśmiech bardzo go rozbawił. Może i miała rację. Gdyby doktor Isabel Favor rządziła światem, byłby przynajmniej bardziej uprządkowany.  
- Najpierw pomożesz mi zebrać śmieci - zarządziła.  
Otworzył usta, żeby powiedzieć, że żadna kobieta na świecie nie jest warta takiego poświęcenia, ale ona już się schyliła, a obcisłe szorty opięły biodra. Po chwili uświadomił sobie, że w jednej ręce ma kawałek bieżnika opony, a w drugiej stłuczoną butelkę po piwie.  
Jechał na wschód bocznymi drogami, wijącymi się między staromodnymi wiejskimi domami, a potem przez doliny i winnice regionu Chianti. W pobliżu Raddy włożył czapkę bejsbolową i kretyńskie okulary przeciwsłoneczne. Gdy zatrzymali się w małej winiarni, kazał Isabel złożyć zamówienie. Właściciel przyniósł im wino rocznik 1999 do stolika w cieniu granatowca.  
Przy drugim stoliku siedziało kilkoro turystów. Z początku nie zwracali na nich uwagi, ale nagle zaczęła im się przyglądać młoda kobieta w srebrnych kolczykach i T-shircie z napisem UNIWERSYTET STANU MAS-

SACHUSETTS. Zaniepokoił się, gdy wstała z krzesła, ale okazało się, że jego czapeczka i okulary spełniły swoje zadanie - to nie o niego chodziło.

- Przepraszam. Czy pani nie jest doktor Isabel Favor?

Doznał nieznanego wrażenia, że musi ją chronić, ale Isabel tylko się uśmiechnęła i skinęła głową.

- To naprawdę pani? - ciągnęła kobieta. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale byłam na pani wykładzie i mam wszystkie pani książki. Bardzo mi pani pomogła przejść przez chemioterapię.

Ren dopiero teraz zauważył, jak chuda i blada jest ta kobieta. Zakłuło go w sercu na widok łagodnego wyrazu twarzy Isabel. Pomyślał o swoich fanach. Mówili: „Stary, byliśmy z kumplami zachwyceni, jak wyprąłeś mu flaki!”

- Bardzo się cieszę - powiedziała Isabel.

- Przykro mi z powodu pani problemów. - Kobieta zagryzła dolną wargę. - Czy mogłaby pani... Mam na imię Jessica. Czy pomodli się pani za mnie?

Isabel wstała i uściskała ją.

- Oczywiście.

Poczuł kulę w gardle. Isabel Favor była szczerym złotem. A on miał zamiar ją zepsuć.

Kobieta wróciła do swojego stolika, a Isabel usiadła. Pochyliła głowę i spojrzała w kieliszek z winem. Ren uświadomił sobie z przerażeniem, że ona się modli. Przy wszystkich, na miłość boską!

Sięgnął po papierosa, ale przypomniał sobie, że już wypalił dzienną rację, i dopił wino.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego z łagodnym, lecz pewnym siebie uśmiechem.

- Ona wyzdrowieje.

Równie dobrze mogła go walnąć łomem w głowę. Już wiedział, że nic z tego nie będzie. Nie uwiedzie kobiety, która modli się za obcych, zbiera śmieci przy drodze i chce dla wszystkich dobra. Co on sobie myśli? To byłoby jak uwodzenie zakonnic.

Bardzo seksownej zakonnicy.

Miał dość. Odwiezie ją do domku i zapomni o niej. Przez resztę wakacji będzie się zachowywał tak, jakby Isabel Favor w ogóle nie istniała.

Bardzo go to przygnębiło. Lubił jej towarzystwo, nie tylko dlatego, że go podniecała i bawiła. Przyciągała go jej przyzwyczajenie. Byłajak świeżo malowana ściana czekająca na małe graffiti.

Isabel uśmiechnęła się do niego, ale niczego to nie zmieniło.

- Tacy ludzie pomogli mi przetrwać ostatnie sześć miesięcy. Wiedziałam, że moje książki i wykłady coś dla nich znaczą. Niestety, zostało ich za mało, żeby wypełnić choć jedną salę.

Otrząsnął się z zamyślenia.

- Twoim byłym wielbicielem nadal podoba się to, co masz do powiedzenia, ale nie jesteś już na topie, a oni nie chcą być niemodni.

- Dziękuję za wotum zaufania, lecz sądzę, że większość ludzi woli przyjmować rady od kogoś, czyje życie nie legło w gruzach.

- To też.

W drodze powrotnej milczała, więc przypuszczał, że się modli. Czy to przypadkiem nie był znak? Może powinien się spakować i wrócić do Los Angeles. Ale nie chciał jeszcze wyjeżdżać z Włoch.

Kiedy dotarli do domku, odgonił ponure myśli i sprawdził, czy naprawiono instalację elektryczną. Wszystkie światła się paliły. Wyszedł na zewnątrz i ostentacyjnie sprawdził, czy palą się lampy przed domem.

- Ładnie tu - powiedział, spoglądając na ogród.

- Nigdy tu nie byłeś?

- Byłem, ale bardzo dawno temu. W dzieciństwie kilka razy odwiedziłem willę. Kiedyś ciotka przyprowadziła mnie tu, żebym poznał starego Paola. Z tego, co pamiętam, był zrzędlwym draniem.

Ciszę wieczoru nagle zakłóciły wysokie krzyki. Ren rozejrzał się i zobaczył troje dzieci zbiegających ze wzgórza od strony willi. Dwie dziewczynki i chłopiec - cała trójka biegła do niego, drąc się co sił w płucach.

- Tatusiu!

## Rozdział 10

**R**en cofnął się o krok, gdy dziewczynki ze śmiechem rzuciły się na jego nogi. Chichotały tak piskliwie, że Ren bał się o szyby w oknach. Tylko chłopiec trzymał się z tyłu.

Isabei zakręciło się w głowie. Tatusiu? Ren nigdy nie mówił, że ma dzieci. Przyznał się do krótkotrwałego małżeństwa, gdy był młody, ale trójka dzieci zupełnie nie pasowała do określenia „krótkotrwałe”.

Spojrzała w górę i zobaczyła kobietę na szczycie wzgórza. Stała na tle nieba, z małym dzieckiem na ręku; wiatr przyklejał jej bawełnianą sukienkę do wielkiego brzucha. Była w zaawansowanej ciąży.

- Tatusiu! Tatusiu! Tęskniłeś za nami? - zaskrzeczała po amerykańsku starsza dziewczynka, podczas gdy młodsza wciąż związała się ze śmiechem.

Ren cofnął się, jakby dzieci były promieniotwórcze, i z wyrazem paniki w oczach spojrzał na Isabei.

- Przysięgam na Boga, że nigdy w życiu ich nie widziałem.

Isabei przekrzywiła głowę i popatrzyła w stronę wzgórza.

- Może lepiej powiedz to jej.

Ren podniósł wzrok.

Kobieta pomachała ręką. Wiatr rozwiewał jej długie ciemne włosy.

- Hej, kochasiu!

Ośłonił oczy.

- Trący? Cholera, Trący, to ty?

- Powiedziałaś „cholera”. — Najmłodsza dziewczynka, cztero- lub pięcioletnia, walnęła go w nogę.

- Jemu wolno, głupia - odezwał się chłopiec.

- Możecie się już odsunąć, dzieci! - zawołała kobieta. - Jest wystarczająco przerażony.

- On chyba jest zły, mamó - powiedziała młodsza dziewczynka. - Jest pan zły, proszę pana?

- Lepiej uważaj - ostrzegł ją chłopiec. - On zabija ludzi. Nawet dziewczynki. I wyłupia im oczy, prawda, proszę pana?

- Jeremy Briggsie! - krzyknęła kobieta, nie ruszając się ze szczytu wzgórza. - Wiesz, że nie wolno ci oglądać takich filmów.

- Był dozwolony od trzynastu lat.

- Masz jedenaście!

Isabei zwróciła się do Rena:

- Wyłupiasz ludziom oczy w filmach dozwolonych od trzynastu lat? Pięknie.

Posłał jej gniewne spojrzenie, które mówiło, że następne oczy, które wyłupi lub wytnie, mogą być jej.

- Co pan z nimi zrobił? - zapytała maleńka. - Zjadł je pan? W samolocie uderzyłam się w pochwę.

Dwoje starszych dzieci zachichotało, a Ren zbladł jak ściana.

- Uderzyłam się o oparcie fotela - ciągnęła mała niezrażona. - Chce pan zobaczyć moje majteczki w delfiny?

- Nie!

Ale ona już zadarła kraciastą sukienkę.

- Mam też wieloryby - dorzuciła.

- Bardzo ładne. - Isabei zaczęło to wszystko bawić. Patrzenie, jak Pan Twardziel wije się jak na torturach, było najlepszą rozrywką

tego dnia. - Na pewno już kiedyś widziałeś wieloryby na bieliźnie damy, Ren.

Ciemne brwi gniewnie zbiegły się w charakterystyczny dla niego sposób.

Matka przełożyła dziecko na drugie biodro.

- Z tego wzgórza mogę tylko zjechać na plecach, więc lepiej chodźcie do mnie. Brittany, włóż majtki. Pamiętaj, że twoje ciało jest prywatne.

Ciemnowłosa dziewczynka- aniołek rozebrała się spokojnie, jak zawodowa striptizerka. Ren spojrział tylko raz i puścił się pędem na wzgórze, jakby gonili go Denzel i Mel. Chłopiec ruszył za nim, ale zaraz się rozmyślił i pobiegł do maserati zaparkowanego w pobliżu domku.

- A pani ma delfiny? - Aniołek zwrócił się teraz do Isabel.

- Brittany, to niegrzecznie - skarciła ją siostra.

Isabel uśmiechnęła się do obu dziewczynek i pomogła młodszej włożyć majtki.

- Nie mam delfinów. Tylko koronki.

- Mogę zobaczyć?

- Niestety nie. Twoja mama ma rację, ciało jest prywatne. - I przypomniała sobie, że nie powinna oddawać swojego ciała Renowi Gage'owi, choć przez całe popołudnie ani razu nie wspomniał o seksie. Może bał się, że miałby z nią zbyt wiele roboty. A może, podobnie jak Michael, po prostu uważał, że przesadza we wszystkim.

Gdy Brittany się ubrała, Isabel wzięła dziewczynki za ręce i zaprowadziła je na wzgórze, żeby nie stracić ani chwili z rozmowy, która już się zaczęła. Zauważyła, że gniewna mina ani trochę nie szpeci Rena.

- Chyba zapomnieli mi przekazać, że telefonicznie uprzedziłaś o przyjeździe, Tracy.

Kobieta wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Ja też cię witam.

Jedwabiste ciemne włosy opadały jej bezładnie na ramiona. Skórę miała bladą jak Królowa Śnieżka, a jasnoniebieskie oczy lekko skośne i podkrążone, jakby od pewnego czasu się nie wysypiała. Miała na sobie pogniecioną, ale modną szkarłatną sukienkę ciążową i drogie sandały na płaskim obcasie. Nie pomalowała paznokci u stóp, a obcasy sandałów były trochę starte. Coś w jej postawie, no i nonszalancja w ubiorze świadczyły o tym, że od dawna jest przyzwyczajona do luksusu.

- Tatusiu! - krzyknęło dziecko, które trzymała w ramionach, i wyciągnęło rączki do Rena. Cofnął się tak gwałtownie, że wpadł na Isabel.

- Spokojnie - powiedziała Tracy. - Mówi tak na każdego mężczyznę.

- To każ mu przestać. Jaka z ciebie matka, że kazałaś własnym dzieciom podbiec do obcego człowieka i nazwać go... tym słowem, którym mnie nazwały.

- Bawię się, kiedy tylko mogę. Kosztowało mnie to pięć doliców od łebka.

- To nie było śmieszne.

- Mnie się podobało. - Spojrzała z zainteresowaniem na Isabel. Duży brzuch i egzotyczne oczy przydawały jej wyglądu bogini seksu i płodności. Isabel poczuła się brzydka. Pomyślała jednak, że za swobodnym tonem kobiety kryje się smutek.

- Jestem Tracy Briggs. - Wyciągnęła rękę. - Wygląda pani znajomo.

- Isabel Favor.

- Oczywiście. Teraz panią poznaję. - Spojrzała na nich oboje, nie kryjąc ciekawości. - Co pani z nim robi?

- Wynajmuję od Rena domek.

- Bez żartów. - Z jej miny wynikało, że nie uwierzyła. - Czytałam tylko jedną pani książkę, *Zdrowe związki w niezdrowych czasach*, i bardzo mi się podobała. Ja... - Zagryzła wargę. - Próbuję podjąć decyzję, czy rzucić Harry'ego.

- Nie mów, że odejdziesz od kolejnego męża - wtrąci! się Ren.

- Mam dopiero drugiego. - Zwróciła się do Isabel. -- Ren wciąż jest wściekły, że go rzuciłam. Tak między nami, był strasznym mężem.

A więc to ekszona Rena. Jedno wydawało się jasne. Jeśli kiedykolwiek płonęły między nimi jakieś iskierki, lora/, zgasły. Isabel czuła się tak, jakby oglądała kłótnię rodzeństwa, a nic byłych kochanków.

- Pobraliśmy się, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat i byliśmy jeszcze głupi - powiedział Ren. - Co ktoś tak młody może wiedzieć o małżeństwie?

- Ja wiedziałam więcej niż ty. - Tracy wskazała głową swojego syna, który usadowił się na przednim siedzeniu maserati. - To Jeremy, najstarszy. Steffie jest następna. Skończyła osiem lat. - Steffie miała fryzurkę elfa i lekko zaniepokojoną minę. Ona i siostra zaczęły rysować obcasami sandałów koła na żwirze. - Brittany ma pięć lat. A to Connor. Właśnie skończył trzy latka, ale jeszcze nie chce siadać na nocniku, prawda, wielkoludzie? - Poklepała dużą pieluchę, a potem swój brzuch. - Connor miał być naszym ostatnim dzieckiem. A tu niespodzianka.

- Pięcioro dzieci, Tracy? - powiedział Ren.

- Różne rzeczy się zdarzają. - Znowu zagryzła wargę.

- Czy nie miałaś tylko trojga, kiedy rozmawialiśmy miesiąc temu?  
- To było dwa miesiące temu i miałam czworo. Nigdy nie słuchasz, kiedy o nich mówię.

Ośmioletnia Steffie wrzasnęła przeraźliwie.

- Pająk! Tu jest pająk!

- Chrząż pająka. - Brittany ukucnęła na żwirze.

- Jeremy! Wsiądź z...

Ale Trący krzyknęła za późno. Maserati, z jej synem w środku, już zaczęło zjeżdżać w dół.

Ren popędził za nim. Zbiegł ze wzgórza właśnie w tym momencie, gdy jego drogi sportowy wóz rozbił się o ścianę domku. Przednia część samochodu wyglądała jak ptaszek origami.

Isabel musiała mu to przyznać: wyciągnął Jeremy'ego z auta i najpierw sprawdził, czy jedenastoletkowi nic się nie stało, a dopiero potem przyjrzał się zniszczonemu samochodowi. Tymczasem Trący staczała się ze wzgórza. Przez wielki brzuch i dziecko na ręku omal nie straciła równowagi. Isabel szybko złapała ją za ramię. Udało im się bez przygód dojść do Rena i Jeremy'ego.

- Jeremy Briggsie! Ile razy ci mówiłam, żebyś się nie zbliżał do cudzych samochodów! Zaczekaj, aż dowie się twój ojciec! - Trący kilka razy głęboko odetchnęła, a potem nagle opadła z sił. Opuściła ramiona, w jej oczach pokazały się łzy.

- Pająk! - zawołała Steffie ze wzgórza.

Dziecko na ręku widziało, co dzieje się z jego matką, i zaczęło płakać.

- Pająk! Pająk! - darła się Steffie.

Ren spojrział na Isabel. Miał komicznie bezradny wyraz twarzy.

- Hej, panie Ren! - zawołała Brittany ze szczytu wzgórza. - Niech pan popatrzy! - Machała majtkami jak flagą. - Mam też koniki morskie.

Trący głośno zaszlochała, a potem uderzyła Rena w pierś.

- Teraz rozumiesz, dlaczego się wprowadzamy?

- Nie może tego zrobić! - Ren przestał na chwilę chodzić po pokoju i gwałtownie odwrócił się do Isabel, jakby obciążał ją winą za to wszystko, co się stało. Byli w salonie na tyłach willi, drzwi otwarli na ogród. Dzieci biegały po całym domu. Tylko Anna była zadowolona. Śmiała się do dziewczynek, targała włosy Jeremy'emu, wzięła na ręce małego Connor'a i poszła z nim do kuchni przygotować kolację.

- Idź na górę i każ Trący się wynieść!

- Nie sądzę, żeby usłuchała. - Isabel zastanawiała się, czy Ren zdaje sobie sprawę, że toczy przegraną bitwę. Odtwarzani przez niego bohaterowie byliby zdolni zabić kobietę w ciąży i jej czworo dzieci, ale w rzeczywistości Ren wydawał się jej o wiele łagodniejszy. To jednak nie musiało oznaczać, że będzie łaskawy.

- Rozwiedliśmy się czternaście lat temu. Ona nie może się tu wprowadzić z taką kupą dzieciaków.

- Chyba już to zrobiła.

- Sama słyszałaś, że próbowałem jej zarezerwować pokój w hotelu. Wyrwała mi słuchawkę i przerwała połączenie.

Isabel poklepała Steffie po ramieniu.

- Wystarczy już tego preparatu owadobójczego, kochanie. Oddaj mi puszkę, zanim wszyscy rozchorujemy się na raka.

Steffie niechętnie oddała preparat i zaniepokojona spojrzała pod nogi, bojąc się, że gdzieś blisko czai się pająk.

Ren spojrział na nią gniewnie.

- Jest wrzesień. Nie powinniście wszyscy być w szkole?

- Dopóki nie wrócimy do Connecticut, będzie nas uczyć mama.

- Przecież ona z trudem dodaje.

- Dodaje bardzo dobrze, ale ma kłopoty z dzieleniem, więc ja i Jeremy musimy jej pomagać. - Steffie podeszła do sofy i energicznie zajrzała pod poduszkę, a potem usiadła. - Mogę dostać z powrotem ten spray na pająki?

Isabel ścisnęło się serce. Ukradkiem podała puszkę Renowi, usiadła obok dziewczynki i przytuliła ją.

- Wiesz, Steffie, to, czego się boimy, nie zawsze jest naprawdę straszne. Tak właśnie jest z pajakami. Większość z nich nam nie zagraża, ale w twojej rodzinie wiele się ostatnio stało i możliwe, że to właśnie tak cię dręczy. Wszyscy czasami się boimy. To nic złego.

Ren mruknął pod nosem coś, co sugerowało, że jest odwrotnie. Rozmawiając ze Steffie, Isabel patrzyła przez oszklone drzwi na Jeremy'ego, który odbijał o ścianę willi piłeczkę tenisową. Pomyślała, że to tylko kwestia czasu, kiedy stłucze szybę.

- Patrzcie wszyscy! - Brittany wpadła do pokoju i zrobiła kilka fikoków, coraz bardziej zbliżając się do gablotki z miśnieńską porcelaną.

- Uważaj! - Ren rzucił się naprzód i złapał ją w ostatniej chwili.

- Docenij pozytywną stronę - powiedziała Isabel. - Ma na sobie majtki.

- Ale zdjęła wszystko inne!

- Jestem mistrzynią! - Pięciolatka podskoczyła na nogi i wyciągnęła ramię w geście zwycięstwa.

Isabel uśmiechnęła się i pokazała jej kciuki do góry. W tym momencie rozległ się charakterystyczny dźwięk tłuczonego szkła, a zaraz potem Trący wrzasnęła:

- Jeremy Briggsie!

Ren skierował puszkę z preparatem owadobójczym na swoje czoło i nacisnął zawór.

To był długi wieczór. Ren zagroził Isabel, że odetnie jej prąd na zawsze, jeśli sobie pójdzie, więc została w willi. Trący zamknęła się w pokoju. Jeremy dla zabawy straszył Steffie wymyślonymi pajakami, Brittaney schowała wszystkie swoje ubrania, a Ren bez przerwy narzekał. Wszędzie, gdzie chodził, zostawiał za sobą swoje rzeczy: okulary przeciwsłoneczne, rozrzucone buty, bluzy. Tak zachowuje się mężczyzna przyzwyczajony do tego, że sprząta po nim służba.

Gdy pojawiły się dzieci, Anna zmieniła się nie do poznania. Śmiała się i ciągle podawała coś do jedzenia. Była miła dla wszystkich, nawet dla Isabel. Ona i Massimo mieszkali w domu oddalonym o półtora kilometra, z dwoma dorosłymi synami i synową. Ponieważ po kolacji miała wrócić do domu, poprosiła Martę, żeby przyszła do willi na noc. Przy dzieciach Marta również wydawała się inną kobietą.

Anna szybko upodobała sobie Connora. Ciągle był przy niej, z wyjątkiem chwil, gdy znikał w kąciaku, żeby zabrudzić pieluszkę. Isabel zauważyła, że trzylatek ma bardzo rozwinięte słownictwo. Jego ulubionym powiedzeniem było: „Nocnik jest paskudny”.

Dziewczynki bardzo polubiły Rena, chociaż zupełnie o to nie zabiegał, przeciwnie, ignorował je, jak tylko mógł; w końcu jednak pozwolił się ubłagać Jeremy'emu i nauczył go kilku ruchów ze sztuk walki. Było już dawno po zmroku, gdy wszystkie dzieci znalazły się wreszcie w łóżkach.

Isabel wymknęła się do domku, kiedy Ren rozmawiał przez telefon. Dowlokła się do łóżka i natychmiast zasnęła, ale o pierwszej w nocy obudzi! ją huk i głośne przekleństwo. Zerwała się jak oparzona.

W przedpokoju zapaliło się światło i do sypialni wsunął głowę Ren.

- Przepraszam. Walnąłem plecakiem w kufer i przewróciłem lampę. Zamrugała i naciągnęła kołdrę na ramiona.

- Co ty tu robisz?

- Chyba nie sądziłaś, że mógłbym tam zostać? - Nastroszył się oburzony.

- Tu nie możesz się wprowadzić.

- No to popatrz. - Zniknął.

Wyskoczyła z łóżka i pobięła za nim w zwiewnej jedwabnej koszuli nocnej.

Rzucił plecak na łóżko w sąsiednim pokoju, który był mniejszy niż jej sypialnia, ale równie oszczędnie umeblowany. Towarzyscy Włosi nie marnowali pieniędzy na urządzenie tak samotnych miejsc jak sypialnie, gdy mogli je wydać na kuchnie i ogrody, gdzie najchętniej się zbierali. Gdy wbiegła do środka, przerwał rozpakowywanie i spojrzał na podkreślający kształtne piersi koronkowy stanik jej koszuli nocnej, w kolorze kości słoniowej, i powiewną halkę do kostek.

- Masz pod tym jakieś delfiny?

- Nie twoja sprawa. Ren, willa jest ogromna, a ten dom mały. Nie możesz...

- Willa jest za mała. Jeśli myślisz, że będę mieszkał pod jednym dachem z ciężarną wariatką i czwórka jej dzieci psychopatów, to jesteś jeszcze bardziej kopnięta niż oni wszyscy.

- W takim razie idź gdzie indziej.

- To właśnie zrobiłem. - Jeszcze raz obejrzał ją od stóp do głów. Czekąca na jakąś prowokującą uwagę, ale ją zaskoczył. - Dziękuję, że byłaś tam przez cały wieczór, chociaż dałbym sobie radę bez tych twoich znaków.

- Zagroziłeś, że wyłączysz mi prąd, jeśli wyjdę.

- Nie nabierzesz mnie. I tak byś została, bo uwielbiasz sprzątać po innych. - Wyjął z plecaka kłęb pogniecionych T-shirtów. - Pewnie dlatego lubisz moje towarzystwo. Ale jesteś skazana na przegraną.

- Nie lubię twojego towarzystwa. Jestem do niego zmuszona. No dobrze, może i trochę lubię. - Aż świerzbiły ją palce, żeby podnieść koszulkę, którą właśnie rzucił na podłogę, lecz oparła się pokusie. - Dziś możesz tu spać, ale jutro wracasz do willi. Mam robotę, a ty tylko będziesz mi przeszkadzał.

Oparł się ramieniem o drzwi i skrzyżował nogi w kostkach, przyglądając się jej.

- Za bardzo bym cię rozpraszał, co?

Zrobiło jej się gorąco. Był wcielonym diabłem. Właśnie w ten sposób doprowadzał kobiety do zguby.

- Powiedzmy, że teraz muszę się skupić na tym, co duchowe.

- Słusznie. - Posłał jej złowieszczy uśmiech. - I nawet nie myśl o tym, co stało się Jennifer Lopez, kiedy spała w pokoju obok mojego.

Rzuciła mu spojrzenie, które mówiło, jak bardzo jest dziecinny, po czym go ominęła i wyszła. Gdy dotarła do przedpokoju, zobaczyła lampkę

stojącą na kufrze tuż przed nią. Jeszcze zanim usłyszała jego diabelski chichot, wiedziała, że widzi, co ma pod koszulą.

- Żadnych delfinów. Ty mnie wykończysz, Fifi.
- Bardzo możliwe.

Następnego ranka Isabel zrobiła sobie szklankę soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy i zanosła ją na jedno z niebieskich metalowych krzeseł w słonecznym miejscu przy domu. Na liściach drzew oliwnych była rosa, a nad doliną unosiły się jeszcze nieliczne pasma mgły. Odmówiła krótką modlitwę dziękczynną- chociaż tyle mogła zrobić - i wypita pierwszy łyk soku, gdy Ren wyłonił się z domu w całej swojej pogniecionej okazałości.

- Wstałem wcześniej, żeby pobiegać, zanim będzie za gorąco. - Ziewnął.

- Jest prawie dziewiąta.
- No właśnie.

Postawiła szklankę z sokiem i patrzyła, jak szara koszulka bez rękawów unosi się, gdy Ren zaczął się rozciągać. Miał twarde mięśnie brzucha, a cienka linia ciemnych włosów nikła w czarnych spodenkach. Podziwiała całe jego ciało - kości policzkowe, piracki zarost, pierś sportowca, wszystko.

Zauważył, że mu się przygląda. Rozbawiony splótł ręce na piersi.

- Mam się odwrócić, żebyś obejrzała tył?

Odgryzła się:

- Sądysz, że tego bym chciała?
- Och, tak.

- Przystojniakom chyba bardzo trudno się żyje. Nigdy nie wiesz, czy ludzie lgną do ciebie z powodu twojego charakteru, czy tylko wyglądu.

- Zdecydowanie wyglądu. Nie mam charakteru.

Nie mogła nie odpowiedzieć.

- Masz bardzo silny charakter. Wypaczony, to prawda, ale nie do końca.

- Dziękuję, chociaż nie wiem za co.

To cudowne, jak po dobrze przespanej nocy kobiecie z łatwością przychodzi dokuczyć mężczyźnie. Naśladowała jego uśmiech.

- Czy mógłbyś obrócić się bokiem, żebyś nacieszyła się twoim profilem?

- Przestań się mądrzyć. - Opadł na krzesło obok jej krzesła i wypił szklankę soku, który wyciskała dziesięć minut.

Zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że będziesz biegać.

- Nie poganiaj mnie. Powiedz, że nie pokazał się tu żaden z potworków / racy.

- Jeszcze nie.

- To cwane małe dranie. Znajdą nas. Pójdiesz ze mną kiedy się wykąpię. Będziesz świadkiem naszej rozmowy. Powiem jej, że dochodzisz do siebie po załamaniu nerwowym, więc potrzebujesz ciszy i spokoju. Potem załaduję wszystkich do tego jej volva i wyślę ich do świetnego hotelu; koszty pokryję.

Isabel stwierdziła, że to nie będzie takie proste.

- Jak cię znalazła?

- Zna mojego agenta.

- To interesująca kobieta. Jak długo byliście małżeństwem?

- Jeden marny rok. Nasze matki się przyjaźniły, dorastaliśmy razem, razem wpadaliśmy w tarapaty i nawet udało nam się w tym samym czasie wylecieć z uczelni. Ponieważ nie chcieliśmy, żeby rodzice odcięli fundusze i kazali nam samodzielnie się utrzymywać, postanowiliśmy odwrócić ich uwagę, biorąc ślub. - Odstawił pustą szklankę. - Wiesz, co się dzieje, kiedy pobiera się dwoje rozpieszczonych gnojków?

- Na pewno nic przyjemnego.

- Trzaskanie drzwiami, ataki furii, wrywanie włosów. A ona była jeszcze gorsza niż ja.

Isabel się zaśmiała.

- Wyszła za mąż ponownie dwa lata po naszym rozwodzie. Widziałem się z nią kilka razy, kiedy przyjeżdżała do Los Angeles. Telefonujemy do siebie co kilka miesięcy.

- Niezwykły związek jak na rozwiedzione małżeństwo.

- Przez parę lat po rozwodzie wcale się nie kontaktowaliśmy, ale żadne z nas nie ma rodzeństwa. Jej ojciec zmarł, a matka jest kopnięta. Myślę, że łączy nas przede wszystkim wspomnienie złego dzieciństwa.

- Nigdy nie widziałeś jej dzieci ani męża?

- Widziałem dwoje starszych, kiedy były małe. Męża nie znam. To typ biznesmena. Ma głos sztywniaka. - Przeniósł ciężar ciała na jedno biodro i wyjął z kieszeni szortów kartkę papieru. - Znalazłem to w kuchni. Wyjaśnij, o co chodzi?

Chyba była masochistką. W przeciwnym razie nie zostawiłaby tego na wierzchu.

- Dawaj.

Naturalnie trzymał kartkę w bezpiecznej odległości.

- Potrzebujesz mnie jeszcze bardziej, niż myślałam. — Zaczął czytać plan zajęć, który sporządziła pierwszego dnia. - Pobudka o szóstej rano. Dlaczego, do cholery, chcesz wstawać tak wcześnie?

- Chyba jednak nie chcę, bo dziś wstałam dopiero o ósmej.

- Modlitwa, medytacja, modlitwa dziękczynna i codzienne afirmacje - ciągnął. - Co to jest afirmacja? Nie, lepiej mi nie mów.

- Afirmacje to pozytywne stwierdzenia. Panowanie nad myślami.

Na przykład: niezależnie ód tego, jak bardzo będzie mnie denerwował Lorenzo Gage, nie zapomnę, że on też jest stworzeniem boskim. Może nie najbardziej udanym, ale...

- A to co za bzdura? Pamiętać o oddychaniu?

- To nie bzdura, tylko przypomnienie, żeby się skupić.

- To znaczy...

- To oznacza, że trzeba zachować spokój i nie dać się byle kłopotom.

- To nudne.

- Czasami nudne znaczy dobre.

- Aha. — Stuknął palcem w kartkę. - Inspirująca lektura. Równie ciekawa jak magazyn „People”!

Pozwoliła mu się nacieszyć.

- Być impulsywną. - Wygiął swoją piękną brew. - Tak rzeczywiście będzie. Zgodnie z tym planem powinnaś teraz pisać.

- Właśnie zamierzam. - Bawiła się guzikiem bluzki.

Złożył kartkę i spojrzał na Isabel przenikliwie.

- Nie masz pojęcia, o czym będziesz pisać, prawda?

- Zaczynam notatki do nowej książki.

- O czym?

- O pokonaniu osobistego kryzysu. - To było pierwsze, co wpadło jej do głowy, i wydawało się logiczne.

- Żartujesz.

Zirytowała ją jego niedowierzająca mina.

- Wiem coś o tym. Jeśli nie zauważyłeś, pokonuję własny kryzys.

- Chyba to przegapiłem.

- To twój problem. Za wiele ci umyka.

Znow zrobił tę denerwującą, pełną współczucia minę.

- Odpuść trochę, Isabel. Nie rób niczego na siłę. Wyluzuj i dla odmiany trochę się zabaw.

- Jak miałabym to zrobić? Och, czekaj. Już wiem. Idąc z tobą do łóżka, zgadza się?

- Rzeczywiście, zaproponowałbym to, ale pewnie każdy ma inny pogląd na rozrywkę, więc wybierz, co chcesz. Chociaż nie. Dochodzę do wniosku, że dla nas obojga będzie lepiej, jeżeli to ja dokonam wyboru.

- Jeśli naprawdę o to ci chodzi, tracisz czas.

Usadowił się wygodnie.

- Wiele przeszłaś przez ostatnie sześć miesięcy. Nie sądzisz, że powinnaś trochę odetchnąć?

- Urząd skarbowy dosłownie mnie pogrzebał. Nie stać mnie nawet na chwilę oddechu. Muszę odpowiednio pokierować karierą zawodową i zacząć zarabiać na życie, a jedynym sposobem na to jest praca. - Mówiąc to, czuła narastającą panikę.

- Pracować można na wiele sposobów.

- Ty oczywiście sugerowałbyś, żebym pracowała na plecach?

- Jeśli wolisz, możesz być na górze.

Westchnęła.

Wstał z krzesła i odwrócił się w stronę gaju oliwnego.

- Co tu robią Massimo i Giancarlo?

- Coś z nowym ściekiem czy studnią, zależnie od tłumaczenia.

Znow ziewnął.

- Idę pobiegać, a potem oboje pogadamy z Trący. I nic kłóć się, chyba że chcesz mieć na sumieniu przedwczesną śmierć kobiety w ciąży i jej czworga obrzydliwych dzieci.

- Och, nie będę się kłócić. Koniecznie muszę zobaczyć, jak odra- dzasz się w płomieniach i świat zaczyna mieć z ciebie pożytek.

Skrzywił się tylko i odbiegł.

Po godzinie, gdy zmieniała swoją pościel, usłyszała, że wrócił i wszedł do łazienki. Z uśmiechem podkra- dła się do drzwi. Niedługo potem rozległ się jego ryk.

- Zapomniałam ci powiedzieć! - zawołała słodko. - Nie mamy ciepłej wody!

Trący stała pośrodku sypialni. Na podłodze wokół niej walały się walizki, ubrania i przeróżne zabawki. Ren oparł się o ścianę, spoglądając groźnie na obie kobiety, a Isabel zaczęła oddzielać brudne ubrania od czystych.

- Teraz rozumiesz, dlaczego się z nim rozwiodłam? - Trący miała czerwone oczy i była wyraźnie zmęczona, a jednak wyglądała przepięknie w malinowym kostiumie kąpielowym i płaszczu kąpielowym (ego

samego koloru. Isabel chciałyby być tak piękna, nie wkładając w to żadnego wysiłku. Trący i Ren stanowili dobraną parę. - To zimny sukinyś pozbawiony uczuć. Dlatego go rzuciłam.

- Nie jestem pozbawiony uczuć. - Ton jego głosu temu przeczył. - Ale mówiłem, że przez słabe nerwy Isabel...

- Masz słabe nerwy, Isabel?

- Nie, chyba żeby uwzględnić wielki życiowy kryzys. - Rzuciła koszulkę na stos brudnych rzeczy, a potem zaczęła rozwijać czystąbieliznę. Dzieci były w kuchni z Anną i Martą, ale podobnie jak Ren wszędzie zostawiała ślady swojej obecności.

- Przeszkadzają ci moje dzieci? - zapyła Trący.

- Sąspaniałe. Bardzo je lubię. - Isabel zastanawiała się, czy Trący rozumie, że złe zachowanie jej dzieci prawie na pewno wynika z napięcia emocjonalnego pomiędzy rodzicami.

- Nie o to chodzi - powiedział Ren. - Ale wtargnęłaś tu bez uprzedzenia i...

- Czy chociaż raz pomyślisz nie tylko o sobie? - Trący rzuciła na ziemię grę GameBoy, rozwalając starannie ułożony przez Isabel stosik ubrań. - Nie mogę zamknąć czworga dzieci w pokoju hotelowym.

- W apartamencie! Wynajmę ci apartament.

- Poza tym jesteś moim najstarszym przyjacielem. Kto mi pomoże, jeśli nie przyjaciel z dzieciństwa?

- Nowsi przyjaciele. Rodzice. A twoja kuzynka Petrina?

- Nie cierpię Petrinie od wczesnej młodości. Nie pamiętasz, jak próbowała mi cię odbić? W dodatku nikogo z nich akurat nie ma w Europie.

- To kolejny powód, żebyś wróciła do domu. Nie znam się na kobietach w ciąży, ale jestem przekonany, że najlepiej czują się w znajomym otoczeniu.

- Może tak było w XVIII wieku. - Trący zrobiła bezradny gest w stronę Isabel. - Czy mogłabyś mi polecić dobrego terapeuty? Poślubiłam dwóch mężczyzn, którzy mają kamień zamiast serca, więc potrzebuję pomocy... Ren przynajmniej nie robił skoków w bok.

Isabel przesunęła ułożone przez siebie ubrania w bezpieczne miejsce.

- Mąż cię zdradził?

- Nie chce się przyznać. - Głos Trący się łamał.

- Ale sądzisz, że ma romans.

- Przyłapałam ich razem. Szwajcarska lalunia z jego pracy. On...

Był wściekły, kiedy znów zaszłam w ciążę. - Zamrugała. - W ten sposób się mści.

Isabel poczuła pogardę dla pana Harry'ego Briggsa.

Trący przekrzywiła głowę. Włosy opadły jej na jedno ramię.

- Bądź rozsądny, Ren. Przecież nie wprowadzam się tu na zawsze. Potrzebuję tylko kilku tygodni, żeby się trochę pozbierać, zanim będę miała siłę wrócić do domu.

- Kilku tygodni?

- Dzieci i ja będziemy cały czas przy basenie. Nawet nas nie zauważysz.

- Mamusiuuuuu! - Do pokoju wparowała Brittany, naga, nie licząc fioletowych skarpetek. - Connor wymiotował! - Wybiegła z powrotem.

- Brittany, wracaj! - Trący pospieszyła za nią kołysząc biodrami z wysiłku. - Brittany!

Ren potrząsnął głową.

- Trudno uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która wściekała się, kiedy pokojówka obudziła ją przed południem.

- W rzeczywistości jest o wiele delikatniejsza. Dlatego do ciebie przyjechała. Rozumiesz, że musisz pozwolić jej tu zostać?

- Muszę natychmiast stąd wyjść. - Chwytał ją za ramię. Zdażyła tylko złapać słomkowy kapelusz leżący na łóżku. - W miasteczku postawię ci kawę i kupię taki pornograficzny kalendarz, który ci się podobał.

- To bardzo kuszące, ale muszę zacząć robić notatki do nowej książki. Tej o pokonywaniu osobistego kryzysu - dodała.

- Uwierz mi na słowo. Osoba, którą bawi zbieranie śmieci przy drodze, nie ma pojęcia o pokonywaniu kryzysu. - Schodził już po schodach. - Pewnego dnia przyznasz, że życie jest zbyt skomplikowane, żeby dało się je wcisnąć w te porządne, małe cztery filary.

- Doskonale widziałam, jak skomplikowane potrafi być życie. - Mówiła słabym głosem, ale nie mogła nic na to poradzić. - Widziałam na własne oczy, jak cztery filary je ułatwiają. Nie chodzi tylko o mnie, Ren. Mam świadectwa.

Czyż to nie brzmiało żałośnie?

- Nie wątpię. I jestem pewien, że cztery filary sprawdzają się w wielu sytuacjach, ale nie zawsze i nie dla wszystkich. Teraz nie przynoszą ci korzyści.

- Bo nie stosuję ich odpowiednio. - Zagryzła wargę. - Może będę musiała dodać kilka nowych elementów.

- A mogłabyś się po prostu odprężyć?

- Tak jak ty?

- Najpierw spróbuj, potem krytykuj. Przynajmniej mam jakieś życie.



- Grasz obrzydliwe role w ohydnych filmach. Nie pokazujesz się publicznie bez przebrania. Nie masz żony ani rodziny. To nazywasz życiem?

- Możesz sobie marudzić do woli. - Podszedł do drzwi frontowych.
- Zachowaj takie uwagi dla innych. Na mnie nie działają.
- Bo zapomniałaś się śmiać. - Położył dłoń na klawce.
- Nieprawda. Ty mnie teraz rozśmieszasz. Ha!

Nagle otworzyły się drzwi. Na progu stał obcy mężczyzna.

- Ty draniu, ukradłeś mi żonę! - wycedził intruz i zamachnął się ramieniem.

## Rozdział 11

Isabel skoczyła do drzwi, ale mężczyzna trafił tylko w ramię i Ren zdążył już się podnieść. Był napięty jak struna i miał w oczach żądzę zabijania. Isabel spojrzała z niedowierzaniem na napastnika.

- Oszalał pan?

Sens słów mężczyzny zrozumiała dopiero w chwili, gdy Ren rzucił się do ataku.

- Ren, stój! Nie bij go.

Już trzymał go za gardło.

- Podaj jeden dobry powód.

- To jest Harry Briggs. Nie możesz go zabić, chyba że Trący cię poprosi.

Zwolnił uścisk, ale nie puścił Briggsa. W jego oczach wciąż błyszczała furia.

- Dlaczego mnie walnąłeś? Wyjaśnisz to teraz, czy dopiero kiedy cię stłukę?

Musiała przyznać, że Briggs wcale się nie uląkł, a groziła mu bardzo bolesna śmierć.

Gdzie ona jest, sukinsynu?

- Nie tkniesz jej!

- Już raz ją skrzywdziłeś. Więcej tego nie zrobisz.

- Tatusiu!

Ren odskoczył od Briggsa, bo do holu wpadł Jeremy. Chłopiec upuścił pękniętą dachówkę, którą miał w rękach, i rzucił się w ramiona ojca. Jego zwykle ponura twarz rozpuściła się.

- Jeremy. - Briggs przyciągnął syna do siebie, wsunął dłonie w jego włosy i na chwilę zamknął oczy.

Ren patrzył na nich, masując sobie ramię.

Choć Harry Briggs rzucił się na niego, nie wyglądał zbyt groźnie. Był drobnej budowy, kilka centymetrów niższy i miał miłe, regularne rysy. Isabel wyczuwała w nim pedanta, czyli swoją bratnią duszę. Tylko że jego coś opętało. Proste, krótko ostrzyżone brązowe włosy ostatnio nie oglądały grzebienia. Powinien się też ogolić. Oczy, widoczne zza okularów w drucianej oprawie, były wyraźnie zmęczone. Miał na sobie pogniecione spodnie khaki i beżową koszulkę polo, którą nosił o dzień za długo. Nie wyglądał na kobieciarza - ale przecież tego nie można wyczytać z twarzy - za to na ostatniego mężczyznę na świecie, który mógłby być mężem pięknej i efektownej Trący.

Gdy przytulił syna, zauważyła porządny zegarek i złotą obrączkę.

- Dbałeś o wszystkich? - zapytał Jeremy'ego.

- Chyba tak.

- Zaraz pogadamy, ale najpierw muszę się zobaczyć z twoją mamą.

- Jest nad basenem z małymi.

Harry przekrzywił głowę w stronę drzwi.

- Zobacz, czy nie porysowałem samochodu, jechałem tutaj po zwirowych drogach.

Jeremy miał zaniepokojoną minę.

- Nie wyjedziesz beze mnie, prawda?

Harry jeszcze raz dotknął włosów syna.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Isabel zauważyła, że Harry nie odpowiedział na pytanie chłopca. Gdy Jeremy nie mógł ich już słyszeć, zwrócił się znów do Rena. Znikła cała łagodność, którą okazał w rozmowie z synem.

- Gdzie jest basen?

Gniew Rena chyba się wypalił, chociaż Isabel bała się, że w każdej chwili może wybuchnąć od nowa.

- Może najpierw się uspokój.

- Nieważne. Sam ją znajdę. - Harry minął ich i wybiegł z holu.

Ren podniósł pękniętą dachówkę, którą upuścił Jeremy, przez chwilę na nią patrzył, a potem westchnął ciężko jak męczennik.

- Nie możemy zostawić ich samych.

Isabel poklepała go po ramieniu.

- Życie nie jest proste.

Trący spostrzegła Harry'ego. Serce instynktownie jej podskoczyło, ale zaraz znów posmutniała. Wiedziała, że mąż wcześniej czy później ją znajdzie, ale nie sądziła, że tak szybko.

- Tatusiu! - Dziewczynki wyskoczyły z wody. Connor zapiszczał na jego widok. Szeroka pielucha przesuwiała się na boki, gdy biegł na powitanie uwielbianego przez siebie człowieka, nie wiedząc, że ten człowiek wcale nie chciał jego urodzin.

Harry jakimś cudem zdołał podnieść całą trójkę. Zwykle dbał o ubranie, ale zapominał o nim przy dzieciach, więc wcale mu nie przeszkadzało, że się zamoczył. Dziewczynki obsypywały go całusami. Connor przekrzywił mu okulary. Trący z bólem w sercu patrzyła, jak odwzajemnia buziaki i okazuje dzieciom takie samo zainteresowanie jak jej, gdy jeszcze się kochali.

Pojawił się Ren. Jego widok nie sprawiał Trący takiej przykrości jak widok Harry'ego. Ten dorosły Ren był twardszy i mądrzejszy niż chłopak, który uczył ją palić skręty, ale stał się też bardziej cyniczny. Próbowła dociec, jaki wpływ wywarło na niego samobójstwo Karli Swenson.

Isabel podeszła do Rena, spokojna i opanowana, w bluzce bez rękawów, beżowych spodniach i słomkowym kapeluszu. Jej doskonały profesjonalizm z pewnością by onieśmielał, gdyby nie była taka miła. Dzieci pokochały ją od razu, co na ogół dobrze świadczy o charakterze człowieka. Jak każda kobieta, która znalazła się w pobliżu Rena, była nim zafascynowana, ale w przeciwieństwie do innych, próbowała to zwalczyć. Trący przyznała jej w myślach dużo punktów za wystawienie się na próbę, nawet gdyby nie udało się jej wygrać - bo pożądanie Rena było oczywiste. Pewnie jednak nie zdoła mu się oprzeć, a szkoda, bo krótki romans to dla niej za mało. Była kobietą, która pragnie wszystkiego tego, czego Ren nie może dać. On po prostu ją wykorzysta, a ona nawet nie będzie wiedziała, co się stało. Wykorzysta ją w najgorszym sensie tego słowa.

Użalanie się nad Isabel było mniej bolesne niż użalanie się nad sobą, ale teraz był tu Harry, a ona nie mogła już skrywać bólu. Kim jesteś? - chciała zapytać. Gdzie się podział ten miły, czuły mężczyzna, w którym się zakochałam?

Podniosła się z fotela jak osiemdziesięciokilogramowy wieloryb wyrzucony na plażę. Jeszcze siedem kilogramów i będzie ważyć więcej niż mąż.

- Dziewczynki, weźcie Connora i idźcie poszukać signory Anny. Obiecała, że upiecze ciasteczka.

Dziewczynki przytuliły się mocniej do ojca i popatrzyły na nią gniewnie. W ich oczach to ona była złą czarownicą, która zabrała je od tatusia. Ścisnęło ją w gardle,

- Idźcie - powiedział Harry do córeczek, wciąż na nią nie patrząc. - Niedługo do was przyjdę.

Zawsze bardziej słuchały jego niż jej, więc ani trochę się nie zdziwiła, gdy wzięły Connora i grzecznie odmaszerowały.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać - powiedziała, kiedy dzieci weszły do domu.

W końcu na nią spojrzął, ale oczy miał chłodne jak ktoś zupełnie obcy.

- Nie pozostawiłaś mi wyboru.

To był człowiek, z którym dzieliła życie, który, jak sądziła, zawsze będzie ją kochał. Kiedyś spędzali w łóżku całe weekendy, rozmawiając i kochając się. Pamiętała, jak się cieszyli po urodzeniu Jeremy'ego i dziewczynki. Pamiętała wyprawy całą rodziną, wakacje, radość, spokój. Ale zaszła w czwartą ciążę i wszystko zaczęło się zmieniać. Chociaż Harry nie chciał więcej dzieci, pokochał najmłodszego syna w chwili, gdy tylko mały wysunął się z jej ciała. Z początku była pewna, że ona też pokocha to dziecko. Teraz jednak wiedziała, że będzie inaczej.

„Rozmawialiśmy o tym i podjęliśmy wspólną decyzję. Nie będziemy mieć więcej dzieci”.

„Nie zaszłam w ciążę sama, Harry”.

„Nie zwalaj winy na mnie. Chciałem się poddać wazektomii, pamiętasz? Ale ty się wściekłaś, więc ustąpiłem. Mój błąd”.

Położyła dłoń na tym jego „błędzie” i pogłaskała napiętą skórę.

- Pomóc ci się pakować? — zapytał chłodno, - Czy poradzisz sobie sama?

Był jak odległa planeta. Mimo że upłynęło już tyle miesięcy, nie mogła się przyzwyczaić do jego obojętności. Pamiętała dzień, w którym powiedział, że firma chce go wysłać do Szwajcarii, żeby nadzorował ważną transakcję. Oznaczało to nie tylko awans, na który długo pracował, ale i szansę pokazania, co potrafi.

Niestety, jej ciąża pokrzyżowała im plany. Miał wyjechać w sierpniu i wrócić w listopadzie, tymczasem termin porodu przypadał na koniec października. Ponieważ Harry Briggs zawsze postępował, jak należy, postanowił zrezygnować z wyjazdu. Ale ona nie chciała, żeby był mężczyzną, więc zaproponowała, że razem z dziećmi pojedzie z nim. Przecież Szwajcarki też mają dzieci. Urodzi swoje piąte w tym kraju.

Od razu się okazało, że popełnili błąd. Trący miała nadzieję, że pobyt poza domem znów ich zbliży i zablizni rany, ale jeszcze bard/iej się od siebie oddalili. Mieszkanie, które wynajęła im firma, było za małe dla dużej rodziny. Dzieci nie miały się z kim bawić, więc z tygodnia nu

tydzień zachowywały się coraz gorzej. Planowała rodzinne wypadki na weekendy - wycieczka do Eurodisneylandu, rejs po Renie i przejażdżki kolejką linową- ale kończyło się tak, że jechała sama z dziećmi, bo Harry bez przerwy pracował. Nie było go wieczorami, w soboty, a czasami nawet w niedziele. Ale załamała się dopiero dwa dni temu, gdy przyłapała go w restauracji z inną kobietą.

- Pomóc ci się spakować? - powtórzył nazbyt cierpliwie, tak jakby strofował niegrzeczne dziecko.

- Nigdzie nie wyjadę, Harry, więc nie muszę się pakować.

- Musisz. Nie zostaniesz tu. - Z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji. W głosie nie słyszała ani bólu, ani troski; było to raczej beznamiętne, zimne stwierdzenie człowieka, który miał obowiązek tak zareagować.

- Uważaj.

Stojący tuż za Harrym Ren zmarszczył brwi. Wiedziała, że jej tu nie chce, ale gdyby bąknął o tym choć słowo przy Harrym, nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Harry wciąż na nią patrzył, chociaż zwrócił się do Rena:

- Dziwię się, że ją chcesz. Pomijając fakt, że jest w ósmym miesiącu ciąży, jest tak samo rozpieszczona i bezmyślna, jak wtedy, kiedy byłeś jej mężem.

- W przeciwieństwie do niewiernego łajdaka i tyрана? - odcięła się. Drgnął mu mięsień na szczęce.

- Doskonale. Sam spakuj rzeczy dzieci. Siedź tu, jak długo chcesz. Damy sobie radę bez ciebie.

Dzwoniło jej w uszach. Głos wydobywający się z ust brzmiał jak syk.

- Jeśli myślisz, że odejdziesz z moimi dziećmi...

- Tak właśnie myślę.

- Po moim trupie.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabyś się sprzeciwiać. Od wyjazdu do Zurychu tylko na nie narzekasz.

Był tak niesprawiedliwy, że omal się nie udławiła.

- Nie mam ani chwili wytchnienia! Jestem z nimi dzień i noc. I cały weekend, kiedy ty kleisz się do swojej anorektycznej przyjaciółki!

Choć ona się złościła, nawet nie drgnął.

- Sama chciałaś ze mną jechać.

- Idź do diabła.

- Jeśli chcesz, odejść. Wezmę czworo dzieci, które mamy. Możesz zatrzymać to kolejne.

Równie dobrze mógłby ją spoliczkować. To teraz, pomyślała. To właśnie jest najstraszliwsza chwila mojego życia.

Usłyszała cichy jęk Isabel. Ren, jej stary przyjaciel z dzieciństwa, zrobił krok do przodu..

- Nigdzie nikogo nie zabierzesz, kolego.

Twarz Harry'ego wyrażała znany Trący upór. Jej mąż wiedział, że Ren może go stłuc na kwaśne jabłko, nie dostając nawet zadyszki, ale to był Harry, więc po prostu poszedł w stronę domu.

Ren zrobił krok za nim. Trący zaczęła krzyżeć, ale Isabel była szybsza.

- Nie ruszajcie się, oboje!

Mówiła tonem kogoś, kto ma władzę. Trący całe dzieciństwo buntowała się przeciwko takim ludziom, ale jeszcze nigdy nie czuła do nikogo takiej wdzięczności za to, że coś jej narzucił.

- Ren, proszę, odsuń się. Harry, wróć tu. Trący, powinnaś usiąść.

- Kim jesteś? - zapytał Harry zimnym i wrogim tonem.

- Isabel Favor.

Trący nie wiedziała, jak Isabel tego dokonała, ale Ren się odsunął, Harry podszedł z powrotem do basenu, a ona sama usiadła przy jednym ze stolików.

Isabel zrobiła krok do przodu, mówiła łagodnie, lecz stanowczo:

- Przestańcie już obrzucać się wyzwiskami j zaczniecie rozmawiać o tym, co najważniejsze.

- Nie przypominam sobie, żeby któreś z nas prosiło cię o zdanie - powiedział jadownicie Harry.

- Ja - usłyszała swój głos Trący. - Ja proszę.

- Ja nie - odparł Harry.

- W takim razie będę mówić w imieniu waszych dzieci. - Isabel miała w sobie pewność, której Trący bardzo jej zazdrościła. - Chociaż nie jestem specjalistką od psychologii dziecięcej, mogę powiedzieć, bez ryzyka błędu, że to, co teraz robicie, zniszczy życie pięciu małych istot. Nie wyobrażacie sobie do jakiego stopnia.

- Rodzice zawsze się rozwodzili - odparł Harry - a ich dzieci dorastają bez problemu.

Trący poczuła dotkliwy ból w sercu. Rozwód. Choć było bardzo źle, żadne z nich dotąd nie wymówiło tego słowa. Ale czego się spodziewała? Przecież odeszła. Nie sądziła, że tak to się skończy. Chciała tylko zwrócić na siebie uwagę męża. Rozbić ten gruby, lodowy mur, którym się otoczył.

Harry nie miał już tak obojętnej miny, ale trudno było stwierdzić, co czuje. Potrafił odsunąć emocje na bok i poczekać na dogodny moment.

żeby jakoś sobie z nimi poradzić. Ona za to obnosiła się ze swoimi uczuciami.

- Ludzie rzeczywiście się rozwodzą- przyznała Isabel. - I czasami jest to nieuniknione. Ale tu chodzi o pięcioro dzieci. Nie sądzicie, że rodzice powinni zrobić wszystko, żeby wspólnie naprawić swój związek? Wiem, że teraz was kusi, by się rozstać, ale nie wolno wam uciekać, sami tak postanowiliście, zostając rodzicami.

- Nie o to chodzi - przerwała jej Trący.

Isabel popatrzyła na nią jeszcze większym współczuciem.

- Bijecie się? Czy w rodzinie jest przemoc?

- Oczywiście, że nie-warknął Harry.

- Nie. Harry nie zastawia nawet pułapek na myszy.

- Czy ktoś z was maltretuje dzieci?

- Nie!-odpowiedzieli razem.

• - Wszystko inne da się załatwić.

Trący nie mogła już ukryć goryczy.

- Mamy za duże problemy, żeby dało się je rozwiązać. Zdrada. Cudzołóstwo.

- Niedojrzałość. Paranoja - zrewanżował się Harry. - Poza tym rozwiązywanie problemów wymaga logiki. To wyklucza Trący.

- Wymaga również pewnej znajomości ludzkich emocji, a Harry nie czuje nic od lat.

- Słuchacie siebie nawzajem? - Isabel lekko potrząsnęła głową. Trący trochę się zawstydziała. - Oboje jesteście dorośli i nie ulega wątpliwości, że bardzo kochacie swoje dzieci. Jeśli wasze małżeństwo nie układa się tak, jak byście chcieli, zróbcie coś z tym. Nie uciekajcie.

- Na to jest już za późno - stwierdziła Trący.

Isabel wciąż miała pełną współczucia minę.

- Teraz nie stać was na luźny związek. Macie święte obowiązki, więc urażona duma nie może tłumaczyć rozstania. Tylko egoiści i smarkacze wykorzystują swoje wspaniałe dzieci jako broń w wojnie między sobą.

I Larry'ego nigdy w życiu nie nazwano smarkaczem, więc miał wyjątkowo niepewną minę. Trący doświadczyła więcej, dlatego nie uraziło jej to aż tak dotkliwie.

Isabel drażyła dalej.

- Nadszedł czas, żebyście, zamiast się kłócić, skupili się na myśleniu o nowym, wspólnym życiu.

- Pomijając fakt, że nie masz prawa się wtrącać-przerwał jej Harry - powiedz, co to by było za życie dla dzieci, gdyby ich rodzice nie mogli na siebie patrzeć?

Trący chciało się płakać. Uciekał od niej. Harry Briggs, najpracowitszy, najbardziej uparty i przyzwoity człowiek, jakiego znała, uciekał.

- Możecie żyć razem - stwierdziła stanowczo Isabel. — Musicie tylko wymyślić plan. - Skupiła wzrok na Harrym. - Masz ważne sprawy do załatwienia. Zadzwoń do pracy i zawiadom, że nie będzie cię kilka dni.

- Tracisz czas - powiedziała Trący. - Harry nigdy nie opuścił nawet jednego dnia pracy.

Isabel nie zwracała na nią uwagi.

- W willi jest mnóstwo sypialni. Wybierz jedną i rozpakuj swoje rzeczy.

Brwi Rena podskoczyły.

- Hej!

Isabel zignorowała jego protest.

- Trący, powinnaś na trochę zostać sama. Może się przejedziesz? Harry, dzieci bardzo się za tobą stęskniły. Spędź z nimi popołudnie.

Harry był oburzony.

- Zaraz, zaraz. Nie będę...

- Och tak, będziesz. - Isabel może i była najbardziej kruchą osobą przy basenie, ale złość dała jej ogromną moc. Zagniewana, wyglądała cudownie. - Zrobisz to, bo jesteś przyzwoitym człowiekiem oraz dlatego, że dzieci cię potrzebują. A jeśli te argumenty nie wystarczają... - ciągnęła - zrobisz to, boja tak każe. - Bardzo długo patrzyła mu w oczy, a potem odwróciła się i odeszła. Ren, który równie silnie jak Harry nie cierpiał porywów emocji, nie zdążył jej dogonić.

Harry zaklął pod nosem. Trący czuła, że nie może z nim być teraz sam na sam, więc pobiegła do domu. Isabel miała rację. Powinna przez chwilę побыć sama.

Gdzieś daleko rozdzwoniły się kościelne dzwony. Trący cierpiała tak bardzo, że trudno jej było oddychać. Co się z nami stało, Harry? Nasza miłość miała trwać wiecznie.

Ale ich wieczność chyba już minęła.

Ren popędził za Isabel przez ogród i zbiegł ze wzgórza ścieżką prowadzącą do winnicy. Jej włosy pod słomkowym kapeluszem podskakiwały miękko i beładnie, choć poruszała się bardzo energicznie. Rena zazwyczaj nie pociągały boginie wojowniczkki, ale przecież w jego zainteresowaniu Isabel od samego początku nie było nic normalnego.

Dlaczego tego domku nie wynajęła zwykła kobieta? Taka, która by rozumiała, że seks to tylko seks, i nie układałaby wszystkim życia.

A przede wszystkim taka, która nie modliłaby się w jego obecności. Dziś miał nieodparte wrażenie, że modliła się za niego. Po co komu modlitwy kobiety, od której chce się tylko seksu?

Dogonił ją.

- Widziałem właśnie cztery filary w akcji, prawda?

- Oboje cierpią, ale muszaprzez to przejść. Pod stawą dobrego życia jest odpowiedzialność osobista.

- Przypomnij mi, żebym nigdy cię nie wkurzył. Och, czekaj, przecież już to zrobiłem. - Oparł się pokusie zniszczenia tego głupiego kapelusza. Kobiety takie jak Isabel nie powinny nosić kapeluszy. Powinny chodzić po świecie z gołą głową, z mieczem w jednej ręce, tarczą w drugiej i prowadzić za sobą chór aniołów „Alleluja”. - Czy to tylko wyobraźnia płata mi figle, czy naprawdę nazwałeś te potworki z piekła rodem wspaniałymi dziećmi?

Zamiast się uśmiechnąć, posmutniała tak bardzo, że chciał przyprawić sobie czerwony gumowy nos i robić głupie miny.

- Uważasz, że nie powinnam się w to mieszać, prawda? Że naciskam i tyranizuję. A może nawet jestem nawiedzona, wymagająca i trudna w pożyciu?

- Z ust mi to wyjął. - Wcale tak nie myślał. Zachowała się super. Ale gdyby jej to powiedział, chciałaby zapanować nad całym światem. - Nie nauczyli cię na psychologii, żebyś nie wtrącała się w życie innych, jeśli o to nie proszą?

Zwolniła kroku. Wydało mu się, że znów narasta w niej złość.

- Skąd ci przyszło do głowy, że luźne małżeństwa to coś dobrego? Czy ludzie nie powinni już wiedzieć, że nie będzie im łatwo? Małżeństwo wymaga ciężkiej pracy. Poświęcenia i zaangażowania... Pary potrzebują...

- On ją zdradza.

- Naprawdę? Czyżbym tylko ja zauważyła, że Trący nie jest najbardziej wiarygodnym źródłem informacji? Po dzisiejszej scenie sądzę, że nie przedyskutowali ani jednego ze swoich problemów. Czy słyszałeś, żeby któryś z nich powiedział choć słowo o poradzie psychologicznej? Boja nie słyszałam. Za to widziałam urażoną dumę w otoczce agresji.

- A to, popraw mnie, jeśli się mylę, nie jest najlepsza metoda na utrzymanie małżeństwa.

- Nie, jeśli wrogość jest prawdziwa. Wychowałam się w takich warunkach i wierz mi, taka walka zatruwa wszystko dookoła, zwłaszcza dzieci. Ale Trący i Harry nie są takimi rodzicami jak moi.

Nie chciał myśleć, że dorastała w domu pełnym wrogości. To nic, że jego wychowali dranie - on szybko się uodpornił i zobojętniał. Ale jej za

bardzo zależało na ludziach, którzy ją otaczali, przez co była bardziej narażona na krzywdę.

Miała coraz bardziej gniewną minę.

- Nie cierpię, kiedy ludzie próbują się wycofać bez walki. To emocjonalne tchórzostwo, pogwałcenie wszystkiego, co powinno być ważne w życiu. Kochali się dość mocno, by począć pięcioro dzieci, a teraz chcą wybrać najłatwiejsze wyjście z sytuacji. Czy nikt już nie ma kręgosłupa?

- Hej, nie wściekaj się na mnie. Jestem tylko twoim seksualnym partnerem.

- Nie jesteś.

- Teraz nie, ale są dobre widoki na przyszłość. Tylko musisz przestać się modlić. To mnie odrzuca. Ale ty mnie pociągasz.

Wzniosła twarz do nieba.

- Błagam, Boże, nie zabijaj tego człowieka piorunem, choć na to zasługuje.

Uśmiechnął się, zadowolony, że wreszcie udało mu się ją rozbawić.

- Nie wygłupiaj się. Pragniesz mnie. Przynajmniej. Pragniesz mnie tak bardzo, że aż nie możesz tego znieść.

- Kobiety, które cię pragną, kończą w grobie.

- Te silne uchodzą z życiem. Rozepnij bluzkę.

Jej usta się rozchyliły, a oczy otwarły szerzej. Przynajmniej na chwilę odciągnął jej myśli od kłopotów Briggsów.

- Co powiedziałaś?

- Nie kłóć się ze mną bo to bez sensu. Rozepnij bluzkę.

Zakłopotana mina znikła. Teraz Isabel przyglądała mu się uważnie, coś kombinując. Wiedział, że jeśli nie będzie bardzo ostrożny, wbije mu w gardło te swoje ładnie pomalowane paznokietki.

Warknął na nią z przymkniętymi oczami, a potem ściągnął groźnie usta, tak żeby mocniej zabiło jej serce.

Zacisnęła zęby. To nie wróżyło nic dobrego.

Stanął bliżej i spojrzał na nią z góry. Zdażył już zauważyć, że ona bardzo tego nie lubi. Potem podniósł rękę i powoli przesunął kciuk po jej szyi.

Teraz poruszyła nozdrzami.

Świetnie się bawił. Tylko... Co ja robię, do cholery? Za wszelką cenę starał się nie onieśmielać kobiet w prawdziwym życiu, ale przy Isabel celowo zachowywał się najagresywniej, jak potrafił. Jeszcze bardziej zaskoczyły go isierki oburzenia w jej miodowobrazowych oczach. To mogło oznaczać, że doceniała jego wysiłek.

Szepnął grobowym głosem:

- Chyba wydałem ci rozkaz.
- Rzeczywiście.

Była bezczelna. Teraz sama się prosiła.

- W pobliżu nikogo nie ma. Rób, co mówię.
- Rozpiąć bluzkę?
- Nie każ mi się powtarzać.

- Niech się zastanowie. - Nie zastanowiła się. - Nic z tego.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego robić. - Przesunął palec po rozpiętym guziku przy kołnierzyku bluzki. Nie była aż tak oburzona, żeby się cofnąć. - Chyba powinienem ci przypomnieć to, co oczywiście. - Odczekał trochę, żeby zbudować napięcie. Miał nadzieję, że ją podnieca bo ona bardzo podniecała jego. - I to, jak bardzo tego pragniesz. Albo jak to jest.

Zamrugała oczami, pełne wargi się rozchyliły. Och, tak...

Przysunęła się kilka centymetrów bliżej.

- Przyjmuję to przypomnienie do wiadomości.

Powstrzymał uśmiech. Już nie jesteś taka bezczelna, co, kochanie?

- Musimy się upewnić.

Spojrzał na wydatne usta i pomyślał o przyjemności, jaką sprawi mu ich całowanie.

- Wyobraź sobie, że słońce ogrzewa twoje nagie piersi. Czujesz na sobie mój wzrok. Mój dotyk. - Zaczął się pocić i poczuł napięcie w podbrzuszu. - Zerwę największe winogrono, jakie znajdę, i wycisnę sok na twoje sutki. A potem zliżę każdą kropelkę.

Jej miodowe oczy przybrały odcień ciemnego syropu. Uniósł jej podbródek, schylił głowę pod rondo kapelusza i dotknął ustami jej ust. Było o wiele przyjemniej, niż zapamiętał. Czuł smak słońca, soku z winogron, który sobie wyobraził, i zapach cnotliwej, podnieczonej kobiety. Opanowała go pierwotna żądza. Chciał ją wziąć teraz, natychmiast, w tej winnicy. Chciał ją położyć na ziemi swoich przodków, w cieniu, który rzuciły stare krzaki winorośli. Chciał zrobić to tak, jak jego przodek Medyceusz, który brał tu chętną wieśniaczkę. Albo opierającą się. Ale tym nie musiał się martwić, bo Isabel mocno się do niego przytuliła.

Zrzucił jej kapelusze i zagłębił palce w niesforne loki. Bardzo jej przagnął. Odsunął się odrobinę, żeby szepnąć jej w same usta:

- Chodźmy do domu.

- Nie. - Zabrzmiało to jak westchnienie. Isabel nie chciała nigdzie iść. Wolała się całować. A potem rozpiąć bluzkę, tak jak kazał, i pozwolić mu robić z jej piersiami to, co mu się podobało.

Opanowały ją zmysłowe doznania. Gorąco tokańskiego słońca, zapach dojrzałych winogron, ziemi, i przede wszystkim mężczyzny. Czuła

się jak pijana, upojona pocałunkiem, erotyczną słowną grą wstępną lekką groźbą która nie powinna jej podniecać, ale podniecała - i wcale nie miała zamiaru tego analizować. Ren wsunął język w jej usta. To był pocałunek duszy. Tak powinno się nazywać pocałunek zbyt intymny, by można nim było obdarzyć byle kogo.

Jego dłonie były już na jej biodrach. Przyciągnął ją do siebie.

- Rozepnij - szepnął.

A ona nie mogła odmówić.

Rozpinała guziki powoli, od góry do dołu. Odsunął się trochę - poły bluzki rozchyliły się na boki, odsłaniając koronkowy beżowy stanik. W oczach Rena nie było tryumfu, tylko szczerze męskie pożądanie. Rozpięta stanik i zdjęła koronkowe miseczki.

Jęknął cicho, podniósł ręce i ujął jej piersi tak, jakby zostały wykute z kości słoniowej i złożone w ofierze. Głaskał kciukami twarde jak kamyki sutki. Sięgnął ręką w stronę krzewu i zerwał winogrono.

Nie rozumiała, co robi, dopóki nie ścisnął go w palcach. Sok popłynął lśniącem strumyczkiem po krągłej piersi i sutku. Zadrzała. Próbowwała złapać oddech. Ale Ren jeszcze nie skończył.

Powoli rozprowadził rozgrzaną od słońca maź po sutku, zataczając coraz mniejsze kręgi, coraz bardziej zbliżając się do stwardniałego końca. Syknęła z rozkoszy, gdy dotarł do celu.

Wziął wyciśnięty owoc - miąższ i skórkę - i wcisnął na jej sutek. Winogrono. Miąższ. Pestki. Obracał go w palcach, zadając jej najśrodszy ból, jaki kiedykolwiek czuła. Oddychała coraz szybciej, przesywały ją dreszcze rozkoszy. On dotykał językiem wnętrza jej ust, potem znów pieścił piersi. Ssał, zjadał to, co zostało z owocu, pobudzając jej ciało tak, że prawie *nie* mogła wytrzymać.

- Boże... - wyszeptał to słowo jak modlitwę, odsuwając się trochę, żeby na nią spojrzeć. Na policzku miał plamę z soku, powieki przymknięte, usta lekko obrzmiałe. ~ Wcisnę winogrono w ciebie i zjem je z twojego ciała.

Krew krążyła jej coraz szybciej. Isabel była odurzona żądzą i wielką radością. Te bezrozumne Saturnalie zmysłów były prawdziwą namiętnością. Położył dłoń na jej spodniach i zaczął pocierać. Wyprężyła się, jakby tańczyła jakiś powolny, święty taniec. Jej ciało kleiło się od soku. Miała wrażenie, że jest tak nabrzmięta jak winogrona.

Nagle Ren się cofnął. Ośłupiała. Z chrapliwym warknięciem podniósł jej kapelusze z ziemi i poprowadził ją w stronę domku.

- Jestem na to o wiele za stary.

On ją odrzuca?

- Signore Gage!

Spojrzała w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczyła zbliżającego się Massima. To nie było odrzucenie. Przeszkodzono im w wyjątkowo nieodpowiednim momencie. Złapała poły bluzki i potykając się, pobiegła do domu. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś takiego, więc chciała jeszcze.

Wpadła do domku, pobiegła do łazienki i odkręciła kran z zimną wodą. Opryskała twarz, a potem oparła się dłońmi o umywalkę, żeby złapać oddech. Przypomniała sobie, co sama kiedyś mówiła:

„Jeśli nigdy nie będziemy poszerzać granic naszego życia, jak możemy się rozwijać jako ludzie, moi przyjaciele? Bóg uśmiecha się do nas, gdy sięgamy do gwiazd, nawet jeśli nie uda nam się ich dotknąć. Sama chęć próbowania oznacza, że nie poprzestajemy na małym. Stajemy na palcach, wyjemy do księżycy i czcimy świętość daru, który stał się naszym udziałem”.

Zdjęła pogniecioną, poplamioną sokiem bluzkę. Jej pociąg do Lorenza Gage'a nie był święty. Natomiast pragnienie wycia do księżycy stało się tak silne, że prawie nie do odparcia.

Doprowadziła się do porządku i pojechała samochodem do miasteczka. Przechadzając się po placu targowym, próbowała obrócić swoje zmęczone myśli w modlitwę, ale nie mogła przywołać słów. Odzyskała zdolność modlenia się za innych, ale wciąż nie potrafiła modlić się za siebie.

Oddychaj... Starowała się skupić uwagę na sprzedawanych na targu towarach. Oglądała oberżyny, smukłe i dojrzałe w purpurowych skórkach, oraz rubinowe główki rzodkiewek wycierające spomiędzy karbowanych liści sałaty. Skrzynki z pomarszczonymi czarnymi oliwkami stały obok piramid z jabłek i gruszek. W słomianych koszach były grzyby *porcini* z resztkami leśnej ściółki przyklejonymi do trzonek. Isabel powoli się uspokajała.

Przed przyjazdem do Toskanii niewiele myślała o tym, że nie umie gotować, ale tutaj, w kulturze, w której jedzenie jest wszystkim, czuła, że omija ją coś ważnego, afirmacja życia. Może dobrze by jej zrobiło kilka lekcji gotowania podczas przerw w pisaniu. Bo, mimo kpin Rena, będzie pisać.

Podeszła do straganów z kwiatami i wybrała wiejski bukiet. Płacąc, zauważyła Vittoria wyłaniającego się ze sklepu po drugiej stronie placu, z Giulią Chiara, nieskuteczną agentką nieruchomości. Widziała, jak przyciąga Giulie do siebie i całuje. To nie był przyjazny buziak, lecz namiętny pocałunek.

Oboje byli młodzi i atrakcyjni, więc nie dziwiła się, że są razem, zwłaszcza że Casalleone było małym miasteczkiem. Ale przecież gdy

wspomniała o Giulii, opowiadając o kłopotach z domkiem, Vittorio nie zdradził ani słowem, że z nią jest.

- Dzięki, że uciekłaś.

Poczuła pulsowanie w gardle. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego, niechlujnie ubranego robotnika ze zniszczoną przepaską na oku i płaską czapeczką na ciemnych włosach. Wolałaby, żeby zostawił ją samą, aż zdąży się pozbierać.

- Miałam coś do załatwienia. Jak się tu dostałeś? Myślałam, że twój samochód jest w warsztacie.

- Pożyczyłem wóz od Anny. - Zachowywał się tak, jakby ich erotyczne spotkanie było zwykłym uściskiem dłoni. To znów przypomniało jej o emocjonalnej przepaści, która ich dzieliła. A ona chciała się kochać z tym mężczyzną...

Na samą myśl o tym drgnęła i uderzyła się łokciem o metalowy słup.

- Uważaj.

- Próbuję! — Powiedziała to za głośno, więc kilka osób obejrzało się na nią. Najwyraźniej miała utajone skłonności samobójcze. To było jedyne wyjaśnienie. Ale po co udawać? Dzisiejszy incydent dowodził, że na pewno podda się czemuś, co jeszcze bardziej zakłóci jej życie. Chyba że...

Chyba że bardzo jasno określi swój cel. To będzie czas dla ciała. Tylko dla ciała. Serce i duszę - szczególnie duszę - trzeba schować gdzieś bardzo głęboko i bezpiecznie. Nie będzie to wcale trudne, bo Rena nie interesuje nic poza seksem. Cóż za niebezpieczny człowiek. Podrywał już wiele kobiet, a potem je ćwiartował. A ona dobrowolnie zrobiła mu miejsce w swoim życiu.

Ponieważ wciąż czuła się niepewnie, zmarszczyła brwi.

- Czy to przez przypadek zawsze masz pod ręką takie rzeczy jak przepaska na oko, czy też kradniesz je ludziom, którzy naprawdę ich potrzebują?

- No, no. Jak facet upadł, to od razu oddałem mu białą laskę.

- Jesteś nienormalny. - Ale nie czuła już irytacji.

- Spójrz na to świetne jedzenie. - Rozejrzał się po targu. - Nie jem dziś żadnego posiłku z nikim o nazwisku Briggs, więc pozwolę, żebyś zaprosiła mnie na kolację, którą sama ugotujesz.

- Chciałabym. Niestety, byłam zbyt zaprzętnięta budowaniem swojego imperium, żeby nauczyć się gotować. - Popatrzyła dookoła i zobaczyła, że Vittorio i Giulia zniknęli.

- Chyba tracę słuch. Naprawdę jest coś, czego nie potrafisz?

- Wiele rzeczy. Na przykład nie mam zielonego pojęcia, jak wyłu-  
pić komuś oczy.

- Dobrze, wygrałaś tę rundę. - Wziął od niej bukiet i powąchał. -  
Przykro mi, że nam przerwano. Naprawdę przykro. Massimo powiedział  
mi, jak dojrzewają winogrona, i zapytał o moje zdanie co do terminu  
zbiorów, chociaż wie, że się kompletnie na tym nie znam. Przypuszcza,  
że możesz mieć ochotę pomóc w *yendemmia*.

- Co to takiego?

- Winobranie. Zacznie się mniej więcej za dwa tygodnie, w zależ-  
ności od pogody, księżycy, ptaków i kilku innych czynników, których nie  
rozumiem. Wszyscy pomagają.

- Zapowiada się dobra zabawa.

- Raczej praca, czego wolałbym uniknąć. Za to ty bez wątpienia  
zgłosisz się na ochotnika, by zorganizować całą imprezę, chociaż nie wiesz  
nic o winobranii.

- Mam wrodzony talent.

Prychnął i zaczął się targować ze starszą kobietą sprzedającą oberzy-  
ny. Potem kupił inne warzywa, dojrzałe gruszki, kawałek *pecorino* i bo-  
chenek tokańskiego chleba. Kupując mięso, długo spierał się z rzeźni-  
kiem i jego żoną o wady i zalety różnych sposobów przyrządzania pieczeni.

- Naprawdę umiesz gotować czy tylko udajesz? - zapytała wresz-  
cie.

- Jestem Włochem. Oczywiście, że umiem gotować. - Odeszli sprzed  
sklepu rzeźnika. - A dziś zrobię ci świetną kolację.

- Jesteś tylko w połowie Włochem. Twoja druga połowa to bogata  
gwiazda filmowa, wychowana na Wschodnim Wybrzeżu w otoczeniu służ-  
**hy**.

- Ale moja babcia z Lucca nie miała wnuczki, której mogłaby prze-  
kazać stare przepisy.

- Babcia nauczyła cię gotować?

-- Chciała mi znaleźć zajęcie, żebym nie zrobił dziecka pokojówce.

Nie jesteś nawet w połowie tak zgniły, za jakiego się uważasz.

Posłał jej uśmiech, który stopiłby najtwardszy głaz.

- Kochanie, poznałaś tylko moją dobrą stronę.

- Przestań.

- Ten pocałunek naprawdę cię poraził, co?

- Och, lak. - Zaśmiał się, co ją zirytowało, więc przytoczyła słowa  
Michaela. - Jestem schizofreniczką, jeśli chodzi o seks. Czasami mnie  
wciąga, a czasami chcę jak najszybciej skończyć.

- Fajnie.

- To nie jest śmieszne.

- Spokojnie. Nie stanie się nic, czego byś nie chciała.  
Tego właśnie się obawiała.

## Rozdział 12

**R**en poszedł na górę, żeby zdjąć przepaskę z oka i przebranie robotni-  
ka. Isabel rozpakowała zakupy i posprzątała bałagan, który po sobie  
zostawił. Podeszła do drzwi i spojrzała na ogród. W gaju oliwnym nie  
było już robotników, a Marta chyba przeprowadziła się na jakiś czas do  
willi. To był dobry moment, żeby poszukać klucza do magazynu.

Przetrasnęła szuflady i kredensy w kuchni, a potem poszła do salo-  
nu, gdzie wreszcie znalazła druciany koszyk ze staromodnymi kluczami  
związanymi sznurkiem.

- Co się dzieje?

Podskoczyła, gdy Ren stanął za nią. Przebrał się w dzinsy i lekki  
bawełniany sweter. Zauważyła, że jakimś cudem w domku znów była  
ciepła woda.

- Mam nadzieję, że którymś z tych kluczy można otworzyć maga-  
zyn.

Poszedł za nią do ogrodu.

- Dlaczego to dla ciebie ważne?

Gdy szli do gaju oliwnego, zakrakało kilka kruków, jakby protesto-  
wały.

- Myślałam, że wszyscy chcą się mnie pozbyć, bo Marta nie lubi  
z nikim mieszkać, ale teraz wydaje mi się, że sprawa jest o wiele bardziej  
złożona.

- Przynajmniej w twojej wyobraźni.

Dotarli do gaju. Isabel zaczęła szukać śladów kopania. Wkrótce za-  
uważyła, że ziemia przy magazynie jest bardziej podeptana niż wczoraj.

Ren spojrzał na ślady stóp.

- Kiedy byłem mały, kręciłem się tu. Podobało mi się, że magazyn  
jest wbudowany w zbocze wzgórza. Chyba przechowywano tu wino i oli-  
wę z oliwek.

Wkładała kolejne klucze w stary żelazny zamek. Wreszcie znalazła/In  
właściwy. Nie mogła otworzyć drewnianych drzwi, choć pchała z całej  
siły, więc Ren odsunął ją na bok i spróbował sam. Drzwi się otworzyły.



Weszli do ciemnego, wilgotnego wnętrza i zobaczyli stare beczki, skrzynki z pustymi butelkami po winie i kilka mebli. Gdy oczy jej przywykły do półmroku, spostrzegła na ziemi ślady, jakby ktoś coś ciągnął.

Ren też je zauważył, więc obszedł połamany stół, żeby dokładniej je obejrzeć.

- Ktoś odsunął te skrzynki od ściany. Skocz do domu i poszukaj latarki. Chcę się lepiej przyjrzeć.

- Proszę bardzo. - Wyciągnęła z kieszeni małą latarkę.

- Wiesz, jakie to wkurzające?

- Postaram się więcej tego nie robić.

Świecił latarką po ścianach, zwracając szczególną uwagę na miejsca, gdzie skała została wzmocniona kamieniami i zaprawą murarską.

- Popatrz.

Podeszła bliżej i zobaczyła zadrapania wokół kamieni, jakby ktoś próbował je wydłubać.

- No, no... Co teraz myślisz o mojej wyobraźni?

Przesunął palcami po zadrapaniach.

- Może lepiej mi powiedz, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu.

- Czy nie próbowałeś kiedyś kogoś zabić w takim miejscu?

- Brada Pitta. Niestety, on zabił mnie. Ale ty nie masz szans, Fifi, więc gadaj natychmiast.

Odgarnęła pajęczynę i podeszła do ściany naprzeciwko, żeby ją obejrzeć.

- Massimo i Giancarlo mają kopać studnię w gaju oliwnym. Ale to wcale mi nie wygląda na gaj oliwny.

- Dziwne miejsce na studnię.

Rozglądali się jeszcze chwilę, lecz nie zauważyli nic podejrzanego. Wyszła za nim przed magazyn. Wyłączył latarkę.

- Porozmawiam z Anną- oświadczył.

- Zaprze się i nic nie powie.

-~ To moja posiadłość i muszę wiedzieć o wszystkim, co się tu dzieje

Nie sądzę, żeby udało ci się coś z niej wyciągnąć.

- Masz lepszy sposób? Głupie pytanie. Oczywiście, że masz.

Już to przemyślała.

- Może lepiej zachowujemy się, jakbyśmy nie zauważyli nic dziwnego, a potem powiedzmy wszystkim, że gdzieś wyjeżdżamy. Kiedy Giancarlo i Massimo znów przyjdą, obserwujemy ich z miejsca, gdzie nas nie zobaczą.

- Czyli mamy szpiegować. To chyba sprzeczne ze wszystkimi filarami, które już wzniosłaś, i kilkoma innymi, których jeszcze nie wymyśliłaś.

- Nie do końca. Filar osobistych związków nawołuje do agresywnego dążenia do celu, a filar odpowiedzialności zawodowej zachęca do nietuzinkowego myślenia. Poza tym oni nas okłamują, a filar duchowej dyscypliny nakazuje szczerość i uczciwość.

- Oczywiście szpiegowanie jest świetnym sposobem na krzewienie tych cech.

- Taki był zawsze problem z czterema filarami. Zostaje bardzo mało miejsca na niedoskonałość.

Roześmiał się.

- Twój pomysł jest zbyt skomplikowany. Pogadam z Anną.

- Proszę bardzo, ale zapewniam, że niczego się nie dowiesz.

- Tak? Zapomniałaś o jednym, mądralo.

- O czym?

- Mam sposoby, żeby zmusić ludzi do mówienia.

- W takim razie próbuj.

Niestety, sposoby te nie podziały na Annę Vesto. Ren wrócił do domku, nie dowiedziawszy się niczego.

- A nie mówiłam? - zapytała, żeby go ukarać za popołudnie, które spędziła w sadzie, myśląc o pocałunku w winnicy, zamiast pracować nad zarysem książki o pokonywaniu osobistych kryzysów.

Nie chwycił przynęty.

- Powiedziała, że trochę obsuwa się ziemia i że ludzie nie mogą kopać, dopóki nie sprawdzą stabilności wzgórza.

- Dziwne tylko, że musieli wejść do magazynu, który niewątpliwie jest najstabilniejszą częścią tego wzgórza, żeby zacząć wzmocnienia.

- Tak samo pomyślałem.

Stali w kuchni. Ren przygotowywał kolację. Wprowadził się do jej domu, robiąc niewyobrażalny bałagan, a ona nawet nie próbowała go powstrzymać.

Upiła łyk wina i oparła się o blat kuchenny, patrząc, jak Ren wyjmie z małej lodówki kurczaka, którego kupił na targu. Naostrzył groźnie wyglądający nóż ostrzażką znaną w szufladzie.

- Kiedy powiedziałem Annie, że wzmocnienia wzgórza nie powinno się chyba zaczynać od magazynu, wrzuciła tylko ramionami i stwierdziła, że włoscy robotnicy wiedzą więcej o obsuwaniu się ziemi i kopaniu studni niż niewiele wart amerykański gwiazdor filmowy.

- Tylko że ujęła to grzeczniej.

- Może trochę. Potem rzuciła się na mnie ta pięcioletnia ekshibicjonistka. Przrzekam, że nie pójdę tam więcej bez osobistej ochrony, czyli ciebie.

- Brittny próbuje zwrócić na siebie uwagę. Gdyby wszyscy ignorowali jej negatywne zachowania i wzmacniali te pozytywne, przestałaby to robić.

- Łatwo ci mówić. To nie na ciebie się rzuciła.

- Podobasz się kobietom. - Uśmiechnęła się i wypięła jeszcze łyk wina. - Jak się czują Trący i Harry?

- Jej nie było, a Harry celowo mnie nie zauważał. - Odsunął żółty talerz z gruszkami, które kupił na targu. - Już wiem, jak rozwiążemy naszą zagadkę. Powiemy wszystkim, że na cały dzień wybieramy się do Sieny. Spakujemy samochód i wyjedziemy, a po jakimś czasie zawrócimy i znajdziemy dogodny punkt, z którego będziemy mogli obserwować gaj oliwny.

- Ciekawy plan. Pozwolę sobie zauważyć, że mój.

- Właściwie to zajmę się tym sam. - Dźgnął pierś kurczaka. - Ty natomiast pojedziesz sobie do Sieny.

- Dobrze.

Wykrzywił jedną z tych pięknych brwi, dzięki którym stał się idolem.

- W filmach wyzwolona kobieta mówi bohaterowi macho, że chyba jest wariatem, jeśli myśli, że pójdzie na taką niebezpieczną misję bez niej.

- Właśnie dlatego tobie, temu złemu, zawsze udaje się porwać jakąś głupią samicę.

- Chyba nie musisz się obawiać, że Massimo i Giancarlo chcą cię porwać. Powiedz prawdę ojcu Lorenzo. Nie chcesz łamać swoich zasad, s/piegując, więc zwalasz na mnie czarną robotę.

- Dobra teoria, ale mylna. Pomyśl, co wybiorę: pieczenie się cały dzień na słońcu czy przechadzkę po ocienionych uliczkach Sieny? - Poza tym spacer po Sienie nie będzie takapokusając kilka godzin spędzonych samotnic z Renem. Chociaż już prawie zdecydowała, że będzie z nim miała romans, chciała sobie dać jeszcze jedną szansę na odzyskanie trzeźwości umysłu.

- N i c /nam drugiej tak nieprzewidywalnej kobiety.

Wzięta oliwkę z naczynia na blacie.

- Dlaczego tak ci zależy, żebym pojechała do Sieny?

Odsunął nożem kurczące udko.

- Zwariowana baba! Po pięciu minutach na posterunku odkurzała-byś chwasty i układała liście w równe stosy. Potem zaczęłabyś robić ze mną porządek, a wtedy musiałbym cię zastrzelić.

- Umieję się zrelaksować. Jeśli dobrze się skoncentruję.

Zaśmiała się.

- Będziesz tu stać i bawić mnie rozmową, czy chcesz się nauczyć gotować?

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Myślałam o wzięciu kilku lekcji.

- Po co ci lekcje, kiedy ja tu jestem? - Umył kurczaka w zlewie. - Zaczynaj czyścić te warzywa, a potem pokrój paprykę.

Spojrzała na kurczaka, którego właśnie pochwartała.

- Nie wiem, czy chcę robić z tobą cokolwiek, do czego używa się noża.

Roześmiał się, ale kiedy spojrzał na nią, spoważniał. Przez chwilę wydawał się zakłopotany, potem pochylił się i zaczął ją bardzo powoli całować. Czują na jego ustach smak wina i czegoś jeszcze, co było Lorenzem Gage'em - siłą, sprytem i ukrytą podłość. A może wymyśliła tę podłość, próbując się zniechęcić do tego, czego pragnęła?

Odsunął się powoli.

- Pomówimy wreszcie o gotowaniu, czy cały czas będziesz mnie rozpraszać?

Chwyciła notesik, który zostawiła na stole.

- Mów.

- Co to takiego?

- Notes.

- Odłóż go, na miłość bosą... do cholery jasnej.

- To mają być lekcje, prawda? Najpierw muszę zrozumieć zasady.

- Na pewno zrozumiesz. Oto pierwsza: kto pracuje, ten je. Kto pisze bzdury w notesie, głoduje. Wywal to i posiekaj warzywa.

- Nie używaj słowa „posiekać”, gdy jesteśmy sami. - Otworzyła najbliższą szufladę. - Potrzebny mi fartuszek.

Westchnął, wziął ściereczkę i zawiązał jej w talii. Jego dłonie przylgnęły do jej bioder, a w głosie zabrzmiała chrapliwa nutka.

- Zdejmij buty.

- Po co?

~ Chcesz się nauczyć gotować czy nie?

- Tak, ale nie rozumiem... Och, dobrze. - Gdyby zaprotestowała, powiedziała, że jest sztywna, więc zdjęła sandały. Uśmiechnął się, gdy

- Może trochę. Potem rzuciła się na mnie ta pięcioletnia ekshibicjonistka. Przyrzekam, że nie pójdę tam więcej bez osobistej ochrony, czyli ciebie.

- Brittany próbuje zwrócić na siebie uwagę. Gdyby wszyscy ignorowali jej negatywne zachowania i wzmacniali te pozytywne, przestałaby to robić.

- Łatwo ci mówić. To nie na ciebie się rzuciła.

- Podobasz się kobietom. - Uśmiechnęła się i wypięła jeszcze łyk wina. - Jak się czują Trący i Harry?

- Jej nie było, a Harry celowo mnie nie zauważał. - Odsunął żółty talerz z gruszkami, które kupił na targu. - Już wiem, jak rozwiążemy naszą zagadkę. Powiemy wszystkim, że na cały dzień wybieramy się do Sieny. Spakujemy samochód i wyjedziemy, a po jakimś czasie zawrócimy i znajdziemy dogodny punkt, z którego będziemy mogli obserwować gaj oliwny.

- Ciekawy plan. Pozwolę sobie zauważyć, że mój.

- Właściwie to zajmę się tym sam. - Dźgnął pierś kurczaka. - Ty natomiast pojedziesz sobie do Sieny.

- Dobrze.

Wykrzywił jedną z tych pięknych brwi, dzięki którym stał się idolem.

- W filmach wyzwolona kobieta mówi bohaterowi macho, że chyba jest wariatem, jeśli myśli, że pójdzie na taką niebezpieczną misję bez niej.

- Właśnie dlatego tobie, temu złemu, zawsze udaje się porwać jakąś głupią samicę.

- Chyba nie musisz się obawiać, że Massimo i Giancarlo chcą cię porwać. Powiedz prawdę ojcu Lorenzo. Nie chcesz łamać swoich zasad, s/piegując, więc zwalasz na mnie czarną robotę.

- Dobra teoria, ale mylna. Pomyśl, co wybiorę: pieczenie się cały dzień na słońcu czy przechadzkę po ocienionych uliczkach Sieny? - Poza tym spacer po Sienie nie będzie takapokusając kilka godzin spędzonych samotnic z Renem. Chociaż już prawie zdecydowała, że będzie z nim miała romans, chciała sobie dać jeszcze jedną szansę na odzyskanie trzeźwości umysłu.

- N i c /nam drugiej tak nieprzewidywalnej kobiety.

Wzięta oliwkę z naczynia na blacie.

- Dlaczego tak ci zależy, żebym pojechała do Sieny?

Odsunął nożem kurczące udko.

- Zwariowana baba! Po pięciu minutach na posterunku odkurzała-byś chwasty i układała liście w równe stosy. Potem zaczęłabyś robić ze mną porządek, a wtedy musiałbym cię zastrzelić.

- Umieję się zrelaksować. Jeśli dobrze się skoncentruję.

Zaśmiała się.

- Będziesz tu stać i bawić mnie rozmową, czy chcesz się nauczyć gotować?

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Myślałam o wzięciu kilku lekcji.

- Po co ci lekcje, kiedy ja tu jestem? - Umył kurczaka w zlewie. - Zaczynaj czyścić te warzywa, a potem pokrój paprykę.

Spojrzała na kurczaka, którego właśnie pochwartała.

- Nie wiem, czy chcę robić z tobą cokolwiek, do czego używa się noża.

Roześmiał się, ale kiedy spojrzał na nią, spoważniał. Przez chwilę wydawał się zakłopotany, potem pochylił się i zaczął ją bardzo powoli całować. Czują na jego ustach smak wina i czegoś jeszcze, co było Lorenzem Gage'em - siłą, sprytem i ukrytą podłość. A może wymyśliła tę podłość, próbując się zniechęcić do tego, czego pragnęła?

Odsunął się powoli.

- Pomówimy wreszcie o gotowaniu, czy cały czas będziesz mnie rozpraszać?

Chwyciła notesik, który zostawiła na stole.

- Mów.

- Co to takiego?

- Notes.

- Odłóż go, na miłość bosą... do cholery jasnej.

- To mają być lekcje, prawda? Najpierw muszę zrozumieć zasady.

- Na pewno zrozumiesz. Oto pierwsza: kto pracuje, ten je. Kto pisze bzdury w notesie, głoduje. Wywal to i posiekaj warzywa.

- Nie używaj słowa „posiekać”, gdy jesteśmy sami. - Otworzyła najbliższą szufladę. - Potrzebny mi fartuszek.

Westchnął, wziął ściereczkę i zawiązał jej w talii. Jego dłonie przylgnęły do jej bioder, a w głosie zabrzmiała chrapliwa nutka.

- Zdejmij buty.

- Po co?

~ Chcesz się nauczyć gotować czy nie?

- Tak, ale nie rozumiem... Och, dobrze. - Gdyby zaprotestowała, powiedziałałby, że jest sztywna, więc zdjęła sandały. Uśmiechnął się, gdy

nad laptopem o pierwszej w nocy, gdy próbowała napisać jeszcze kilka słów, zanim zgasi światło... Nawet niedziele przestały się odróżniać od dni powszednich. Stwórca odpoczął siódmego dnia, ale nie miał tyle pracy co Isabel Favor.

Czuła smak wina na języku. Bardzo się starała panować nad swoim życiem, ale miało to swoją cenę.

- Łatwo zapomnieć o prostych przyjemnościach.
- No, skoro stajesz na głowie. - Usłyszała w jego głosie coś, co mogło być współczuciem.
- Hej, przecież muszę dbać o świat. - Powiedziała te słowa lekko, choć miała wrażenie, że ją dławia.
- *Permesso?*

Odwróciła się i zobaczyła idącego przez ogród Vittoria. Z czarnymi włosami związanymi w kucyk i pięknym etruskim nosem wyglądał jak renesansowy poeta. Tuż za nim szła Giulia Chiara.

- *Buona sera.* - Otworzył ramiona w powitalnym geście. Uśmiechnęła się, dyskretnie zapięła górny guzik i uniosła się odrobinę, pozwalając, by ucałował ją w policzki. Chociaż mu nie ufała, przepadała za jego towarzystwem. Wątpiła jednak, żeby przyszedł tu z Giulią przez przypadek. Wiedziała, że ich widziała, więc przyszedł zbadać tego skutki.

Ren nie miał zbyt zadowolonej miny, ale Vittorio chyba tego nie zauważył.

- Signore Gage, jestem Vittorio Chiara. A to moja piękna żona Giulia.

Nigdy nie wspomniał ani słowem, że ma żonę. Nie podał nawet Isabel swojego nazwiska. Mężczyźni raczej nie przyznają się, że są żonaci, żeby podrywać inne kobiety, ale Vittorio flirtował tak nieszkodliwie, że musiał mieć jakiś inny powód.

Giulia była ubrana w minispódniczkę w kolorze śliwkowym i prążkowaną bluzkę. Odgarnęła jasnobrązowe włosy za uszy, w których miała złote okrągłe kolczyki. Skrzywiony do tej pory Ren nagle się uśmiechnął, co sprawiło, że Isabel poczuła do Giulii jeszcze większą antypatię, niż przedtem, gdy ta nie odpowiadała na jej telefony.

• Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział Ren. A potem dodał, zwracając się do Vittoria: - Widzę, że już rozeszła się wiadomość o moim przyjeździe.

- Przeciwnie. Anna jest bardzo dyskretna, ale ktoś musiał jej pomóc przygotować willę na pana wizytę. Jesteśmy rodziną, Anna to siostra mojej matki, więc wic, że może mi ufać. To samo dotyczy Giulii. - Obdarzył

żonę uśmiechem. - Jest najlepszą agentką nieruchomości w okolicy. Właściciele domów stąd po Sienę powierzają jej swoje posiadłości do wynajęcia.

Giulia uśmiechnęła się z przymusem do Isabel.

- Wiem, że próbowała pani się ze mną skontaktować. Nie było mnie w mieście i dopiero dziś po południu otrzymałam pani wiadomości.

Isabel nie wierzyła ani przez chwilę.

Giulia z wdziękiem przekrzywiła głowę.

- Anna na pewno zajęła się wszystkim, kiedy mnie nie było.

Isabel mruknęła coś pod nosem, ale w Renie nagle odezwał się dobry gospodarz.

- Przyłączycie się do nas?
- Na pewno nie będziemy przeszkadzać? - Vittorio już prowadził żonę w stronę krzesła.
- Skądże. Przyniosę wino. - Ren wyszedł do kuchni i szybko wrócił z kieliszkami, kawałkiem *pecorino* i świeżymi *bruschetta*.

Wkrótce wszyscy siedzieli przy stole, śmiejąc się z opowieści Vittoria o przygodach podczas oprowadzania turystów. Giulia dodała własne historyjki, głównie o bogatych cudzoziemcach, którzy wynajmowali domy w okolicy. Była mniej otwarta niż mąż, ale równie miła, więc Isabel zaczęła zapominać, że jej nie lubi.

Cieszyła się, że nie wypytywali Rena o Hollywood, a kiedy opowiadała z rezerwą o swojej pracy, nie naciskali. Ren kilka razy poszedł do kuchni, żeby sprawdzić, jak piecze się kurczak, aż w końcu zaprosił ich na kolację, a oni przyjęli propozycję.

Isabel przysmażała *porcini*, Giulia wyjęła chleb, a Vittorio otworzył butelkę wody mineralnej. Robiło się ciemno, więc Isabel ustawiła na stole świece, po czym poprosiła Vittoria, żeby wszedł na krzesło i zapalił świece w żyrandolu, który powiesiła na drzewie. Na liściach magnolii zaczęły tańczyć złote błyski.

Ren nie kłamał, chwając się, jak dobrym jest kucharzem. Kurczak był doskonały, soczysty i wonny, a duszone warzywa pachniały rozmarynem i majerankiem. Jedli pod lekko kołyszającym się żyrandolem, rzucającym wkoło migoczące błyski. Cykały świerszcze, płynęło wino, a oni opowiadali coraz śmielsze historyjki. Wszyscy byli bardzo odprężeni, bardzo weseli, bardzo włoscy.

- Pełnia szczęścia - westchnęła Isabel, gryząc kawałek ostatniego grzybka.

- Nasze *funghi* są najlepsze na świecie - stwierdziła Giulia. Muśisz się wybrać ze mną na grzybobranie, Isabel. Znam tajemne miejsca.

Isabel zastanawiała się, czy zaproszenie Giuiii było szczerze, czy też miało na celu wywabić ją z domu, ale zbyt dobrze się bawiła, żeby się tym przejmować.

Vittorio poklepał Giulie w podbródek.

- Każdy w Toskanii ma tajemne miejsca, gdzie znajduje *porcini*. Ale *norma* Giuiii była jedną z *mjstynniejszych fitngcirola* w okolicy, czyli grzybiarka, i przekazała wnuczce całą swoją wiedzę.

- Pójdziemy wszyscy, prawda? - zaproponowała Giulia. - Bardzo wczesnym rankiem. Najlepiej po deszczu. Włożymy stare buty, weźmiemy koszyki i znajdziemy najlepsze porem; w całej Toskanii.

Ren przyniósł wysoką, wąską butelkę złotego vinsanto, miejscowego wina deserowego, oraz półmisek, na którym ułożył gruszek i ser. Zgasła jedna świeca w żyrandolu, gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Jedli już dwie godziny, ale to była Toskania i nikomu się chyba nie spieszyło. Isabel wypila łyk wina i znów westchnęła.

- Jedzenie było tak pyszne, że nie sposób opisać go słowami.

- Ren gotuje o wiele lepiej niż Vittorio - dokuczała mężowi Giulia.

- I lepiej niż ty - zrewanżował się ze złośliwym uśmiechem.

- Ale nie tak dobrze jak *mamma* Vittoria.

- Ach, moja *mam mai* — Vittorio ucałował jej palce.

~ To cud, że Vittorio nie jest *mammoni*. - Widząc zdziwioną minę Isabel, Giulia wyjaśniła: - Czyli... jak to się mówi po angielsku?

Ren się uśmiechnął.

- Maminsynek.

Vittorio się roześmiał.

- Wszyscy włoscy mężczyźni są maminsynkami.

- I słusznie-powiedziała Giulia. - Zgodnie z tradycją Włosi mieszkają z rodzicami, aż wezmą ślub. Matki im gotują, piorą, załatwiają ich sprawy, traktują ich jak królów. Mężczyźni nie chcą się żenić, bo wiedzą, że młodsze kobiety, takie jak ja, nie będą się nimi opiekować tak dobrze jak *mamma*.

- Ach, ale robisz inne rzeczy. - Vittorio przesunął palcem po jej nagim ramieniu.

Isabel poczuła mrowienie: Ren uśmiechnął się do niej tak, że krew zaczęła szybciej krążyć. Widziała ten uśmiech na ekranie, zwykle tuż przed tym, jak zabijał niczego niepodjęzawającą kobietę. Ale... to w końcu nie byłaby najgorsza śmierć.

Giulia przytuliła się do Vittoria.

- Coraz mniej Włochów się żeni. To dlatego mamy tak niski wskaźnik urodzeń, jeden z najniższych na świecie.

- Naprawdę? - zapytała Isabel.

Ren kiwnął głową.

- Liczba ludności we Włoszech może maleć o połowę nawet co czterdzieści lat, jeśli ta tendencja się nie zmieni.

- Ale to katolicki kraj. Czy to nie oznacza, że wszyscy powinni mieć dużo dzieci?

- Większość Włochów nawet nie chodzi do kościoła - wyjaśnił Vittorio. - Moi amerykańscy goście zawsze się dziwią, jak mały procent ludności stanowią praktykujący katolicy.

Przerwali rozmowę, gdy omiotły ich światła podjeżdżającego samochodu. Isabel zerknęła na zegarek. Było po jedenastej, trochę za późno na wizyty. Ren wstał.

- Zobaczę, kto to jest.

Po kilku minutach pojawił się w ogrodzie z Trący Briggs, która, zmęczona, powoli pomachała Isabel.

- Cześć.

- Usiądź, zanim upadniesz - warknął Ren. - Przyniosę ci coś do jedzenia.

Kiedy Ren był w domu, Isabel dokonała prezentacji. Trący znów miała drogą, lecz pogniecioną sukienkę ciążową i te same znoszone sandały co wczoraj. Mimo to wyglądała wspaniale.

- Jak tam zwiedzanie? - zapytała Isabel.

- Świetnie. Bez dzieci.

Ren wyłonił się z domu z talerzem - nic wszystko zjedli - energicznie postawił go przed Trący i nalał *Q* wody do szklanki.

- Jedz i wracaj do domu.

Vittorio był wstrząśnięty.

- Byliśmy kiedyś małżeństwem - wyjaśniła Trący, gdy zgasła ostatnia świeczka w żyrandolu. - Ren nadal ma mi za złe.

- Nie spiesz się z powrotem - powiedziała Isabel. - Ren po prostu jest niewrażliwy. - Nie aż tak niewrażliwy, żeby nie nakarmić byłej żony.

Trący spojrzała tęsknie na wiejski domek.

- Tu jest tak spokojnie. Tak dobrze.

- Nic z tego-oświadczył. - Już się wprowadziłem, więc nie ma dla ciebie miejsca.

- Nie wprowadziłeś się - zaprotestowała Isabel, chociaż wiedziała, że właśnie tak się stało.

- Spokojnie - łagodziała Trący. - Było mi bardzo przyjemnie otfo-

." czuć od dzieci, ale cały czas tęskniłam za nimi jak wariatka.

- Nie będziemy cię więc zatrzymywać.

- Już śpią. Nie ma powodu się spieszyć.  
Chyba że po to, by pogodzić się z mężem, pomyślała Isabel.

- Powiedz, gdzie dziś byłeś - poprosił Vittorio.

Zaczęli rozmawiać o okolicy. Tylko Giulia milczała. Isabel uświadomiła sobie, że od przyjscia Trący Giulia jest przygnębiona, a może nawet zła. Ponieważ Trący była bardzo miła, Isabel zupełnie tego nie rozumiała.

- Jestem zmęczona, Vittorio - powiedziała nagle Giulia. — Wracajmy do domu.

Isabel i Ren odprowadzili ich do samochodu. Gdy do niego doszli, Giulii poprawił się nastrój i zaprosiła ich na kolację w następnym tygodniu.

- I niedługo pójdziemy zbierać *funghi*, tak?

Isabel już prawie zapomniała, że Giulia i Vittorio są w spisku, że chcą wywabić ją z domu, i przyjęła zaproszenie na kolację.

Gdy para odjechała, Trący ruszyła do swojego samochodu, żując skórkę chleba.

- Czas wracać.

- Jeśli chcesz, jutro mogę się przez jakiś czas zająć dziećmi - powiedziała Isabel. - Ty i Harry będziecie mogli porozmawiać.

- Nie masz czasu - wtrącił Ren. - Już coś zaplanowaliśmy. Poza tym Isabel nie lubi wtykać nosa w nie swoje sprawy. Prawda?

- Przeciwnie. Żyję tylko po to, żeby się wtrącać.

Zmęczona Trący uśmiechnęła się do niej blado.

- W porze lunchu Harry będzie już w połowie drogi do granicy szwajcarskiej. Taki drobiazg jak rozmowa z żoną nie przeszkodzi mu w pracy.

- Może go nie doceniasz.

- A może przeceniam. - Trący uściskała ją, a potem Rena, który pocieszająco poklepał ją po ramieniu i pomógł wsiąść do samochodu. - Dam Annie i Marcie duże napiwki za to, że zajęły się dziś dziećmi - powiedziała. - Dziękuję za kolację.

- Nie ma za co. Nie rób nic głupszego niż zwykle.

- Cóż znowu.

Gdy Trący odjechała, Isabel poczuła się jak na diabelskim młynie. Nie była gotowa zostać sam na sam z Renem. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby pogodzić się z tym, że prawie postanowiła zostać kolejnym śladem na poznaczonym węzłowie jego łóżka.

- Znów cię nosi - stwierdził, gdy szła do kuchni.

- Tylko trochę posprzątam.

- Zapłacę Marcie, żeby zrobiła to jutro. Przestań się tak denerwować, na miłość boską. Nie rzucę się na ciebie.

- Myślisz, że się ciebie boję? - Wzięła ściereczkę. - Panie Uroczy, decyzja co do naszego związku należy wyłącznie do mnie.

- Nie będę nawet mógł głosować?

- Przecież wiem, jak byś głosował.

Jego uśmiech był czysto seksualnym sygnałem.

- A ja jestem prawie pewien twojego głosu. Chociaż... - Uśmiech znikł. - Oboje musimy mieć pewność co do tego, dokąd zmierzamy.

Chciał ją odstraszyć, jakby była zbyt naiwna, żeby zrozumieć, że on nie proponuje długotrwałego związku.

- Daruj sobie. Jedyne, czego mogłabym ewentualnie, podkreślam, ewentualnie, bo jeszcze się zastanawiam, chcieć od ciebie, to twoje zachwycające ciało. Lepiej od razu powiedz, czy złamię ci serce, gdy w końcu cię rzucę.

- Boże, nie jesteś w porządku.

Wzniosła oczy do nieba.

- Nieprawda, Boże. Wybacz Renowi ten brak szacunku.

- To nie była modlitwa.

- Powiedz to Jemu.

Musiał wiedzieć, że już niedługo skłoni ją do ostatecznego kroku. Jeden superpocałunek załatwi sprawę. Isabel patrzyła, jak Ren się waha. Nie wiedziała, czy się cieszy, czy nie, kiedy ruszył w stronę schodów.

Trący weszła na górę, mocno trzymając się balustrady. Czuła się jak krowa, ale przecież zawsze tak się czuła w siódmym miesiącu - jak duża, zdrowa krowa z okrągłymi oczami, lśniącem nosem i łańcuchem na szyi. Uwielbiała być w ciąży, nawet gdy wymiotowała i miała nabrzmiąle kostki, a ładne stopy były tylko wspomnieniem. Do tej pory nigdy nie martwiła się rozstępami, które znaczyły jak błyskawice jej brzuch i duże, nabrzmiąle piersi - bo Harry powiedział, że są piękne. Mówił, że w ciąży pachnie seksem. Oczywiście teraz nie była już dla niego seksowna.

Poszła długim korytarzem do swojego pokoju. Ciężkie ornamenty, pokryte malowidłami sklepienia i szklane ozdoby nie podobały jej się, ale doskonale pasowały do złowieszczej elegancji jej eksmeża. Choć wtargnęła do jego domu bez pardonu, zachował się całkiem na poziomie, czego się nie spodziewała. To dowodziło, że nigdy nie można przewidzieć zachowania ludzi, nawet tych, których zna się bardzo dobrze.

Otworzyła drzwi do sypialni i stanęła jak wryta, gdy światło z korytarza padło na jej łóżko. Leżał tam na plecach Harry. Dźwięki wydobywa juce

się z jego ust nie były typowym chrapaniem — ani nie chrapał, ani chrapał.

Wciąż tu był. Nie miała pewności, czy Harry zostanie do końca dnia. Pozwoliła sobie na chwilę nadziei, ale zaraz oprzytomniała. Od wyjazdu powstrzymało go poczucie obowiązku. Rano na pewno wyruszy w drogę.

W porównaniu z Renem Harry wyglądał zwyczajnie. Miał trochę za długą twarz i zbyt wydatną szczękę, a jasnobrązowe włosy zaczęły mu się przerzedzać na czubku głowy. Przy kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, których nie miał dwanaście lat temu, gdy podczas przyjęcia wylała mu wino na kolana, udając, że to przypadek.

Chciała go rozebrać, gdy tylko go zobaczyła, lecz on jej nie ułatwiał. Później wyjaśnił, że mężczyźni tacy jak on nie są przyzwyczajeni do tego, by podrywały ich piękne kobiety. Ale ona dobrze wiedziała, czego chce: chciała Harry'ego Briggsa. Jego chłodna inteligencja i niepozorny wygląd były antidotum na jej szalone, pozbawione celu życie.

Teraz na jego piersi leżał Connor; paluszki pulchnej rączki trzymały podkoszulek ojca. Brittany przytuliła się z boku. Szczątki jej podartej koszulki owinięte były wokół jego ramienia. Steffie skuliła się przy jego nogach; wyglądała jak kulka. Brakowało tylko Jeremy'ego. Trący podejrzewała, że stoczył walkę ze sobą, żeby zostać w pokoju, zamiast przytulić się do ojca i „szczeniaków”.

Przez dwanaście lat Harry gasił jej ogień, łagodził dramaty i emocje, które składały się na jej osobowość. Mimo wielkiej miłości nie byli zgodną parą. Jej bałaganiarstwo doprowadzało go do szału, a ona nie cierpiała, jak zamykał się w sobie, gdy próbowała go nakłonić do wyrażenia uczuć. Zawsze się bała, że w końcu zostawi ją dla kobiety bardziej podobnej do niego.

Conor poruszył się i zsunął trochę z piersi ojca. Harry instynktownie przyciągnął go do siebie, Ile nocy spędzili z dziećmi w łóżku? Nigdy ich nie przeganił. Przecież to nielogiczne, żeby zapewniający bezpieczeństwo w rodzinie rodzice mogli być razem w nocy, a najmłodszy i najsłabszy jej członkowie spali sami. Po urodzeniu Brittany przenieśli wielki materac na podłogę, żeby się nie bać, że dzieci spadną w nocy i zrobią sobie krzywdę.

Przyjaciele nie dowierzali. „Jak możecie się kochać?” Ale drzwi w ich domu miały mocne zamki, więc zawsze znajdowali jakiś sposób. Przynajmniej tak było do ostatniej ciąży, kiedy to Harry wreszcie stwierdził, że ma dość swojej żony.

Drgnął i otworzył oczy. Rozglądał się nieprzytomnie, aż ją dostrzegł. Przez chwilę myślała, że dojrzała błysk tej znajomej, spokojnej miłości,

ale potem jego mina przestała cokolwiek wyrażać i Trący nie zobaczyła już nic.

Odwróciła się i poszła poszukać pustego łóżka.

W małym kamiennym domu na przedmieściach Casalleone Vittorio Chiara przyciągnął żonę do siebie. Giulia lubiła spać z palcami wplecionymi w jego długie włosy. Tak było i teraz. Ale nie spała. Czuł łyżę na swojej piersi, pod jej policzkiem. Ten milczący płacz ranił mu serce.

- Isabel wyjedzie przed listopadem - szepnął. - Do tej pory będziemy robić, co możemy.

- A jeśli nie wyjedzie? A jeśli on jej sprzeda domek?

- Nie martw się na zapas, *cara*.

- Wiem, że masz rację, ale...

Pogłaskał ją po ramieniu, żeby ją uspokoić. Kilka lat temu kochałby się z nią, ale teraz nie było to już takie zabawne.

- Czekaliśmy bardzo długo - szepnął. - A do listopada niedaleko.

- To mili ludzie.

Miała tak smutny głos, że krajało mu się serce, więc powiedziała jedyną rzecz, która mogła poprawić jej nastrój.

- W środę wieczorem będę w Cortonie z Amerykanami. Możesz się tam ze mną spotkać?

Przez chwilę nie odpowiadała, ale potem przytaknęła.

- Dołączę do ciebie - powiedziała głosem tak smutnym, jak smutne były jego myśli.

- Tym razem się uda, zobaczysz.

Jej oddech łaskotał jego skórę.

- Gdyby tylko wyjechała...

Coś obudziło Isabel. Poruszyła się, po chwili znów zaczęła zapadać w sen, ale znowu usłyszała stukanie w okno. Odwróciła się na bok i nasłuchiwała.

Po chwili odgłos się powtórzył: jakby ktoś rzucał kamykami w szybę. Wstała i podeszła do okna. Na ogród padała biała poświata księżycy. Wtedy Isabel zobaczyła...

To był duch.

Szedł przez gaj oliwny. Był jak z pary. Chciała obudzić Rena, ale zaraz pomyślała, że raczej nie powinna się zbliżać do jego łóżka. I cpioj poczekać do rana.

Duch przesunął się za drzewo i odpłynął. Isabel pomachała do niego, zamknęła okno i wróciła do łóżka.

## Rozdział 13

Co za luksus: Trący nie obudziło szturchanie pięciolatki ani leżenie na mokrej plamie z przeciekającej pieluchy Connora. Jeśli mały nie nauczy się szybko siadać na nocnik, chyba pójdzie z nim do lekarza.

Usłyszała miauczenie Jeremy'ego i przerażony krzyk Steffie. Znow jej dokuczał. Brittany pewnie chodziła nago, a Connor dostał biegunki, jeśli zjadł za dużo owoców na śniadanie. Ale zamiast wstać, ukryła twarz w poduszce. Było jeszcze wcześniej. A jeśli Harry nadal tu jest? Nie mogłaby patrzeć, jak odjeżdża.

Zamknęła oczy i próbowała zasnąć, ale dziecko uciskało jej pęcherz, więc zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki. Gdy usiadła na sedesie, drzwi nagle się otworzyły i wpadła Steffie.

- Nienawidzę Jeremy'ego! Powiedz, żeby przestał mi dokuczać.

Pojawiła się Brittany - ubrana, ale cała wymazana szminką Trący.

- Mamusiu! Popatrz na mnie!

- Weź mnie na ręce! - zażądał Connor, też wparowując do łazienki.

A potem przyszedł Harry. Patrzył na nią, stojąc w drzwiach. Jeszcze się nie wykąpał. Miał na sobie dżinsy i podkoszulek do spania. Tylko Harry Briggs mógł mieć T-shirty przeznaczone wyłącznie do spania. To były te, które uważał za zbyt wysłużone, żeby nosić je w dzień, ale jeszcze nienadające się do kosza. Nawet w podkoszulku do spania wyglądał lepiej niż ona na sedesie, w podkasanej koszuli nocnej.

- Czy mogłabym na chwilę zostać sama?

- Nienawidzę Jeremy'ego. Nazwał mnie...

- Porozmawiam z nim. Teraz wyjdźcie. Wszyscy.

Harry odsunął się od drzwi.

- Idźcie, dzieci. Anna powiedziała, że śniadanie zaraz będzie. Dziewczynki, weźcie braciszka.

Dzieci z ociąganiem wyszły. Została z Harrym, ostatnią osobą, z którą chciałaby teraz być.

- Wszyscy, czyli ty też. Dlaczego jeszcze nie wyjechałeś?

Przyglądał jej się zza okularów.

- Bo jest tu moja rodzina.

- Tak jakby ci na niej zależało. - Rano zawsze była w złym humorze, ale dziś ogarnęła jawę i świadomość. - Wyjź. Muszę się wysuszyć.

- Siusiaj. - Przysiadł na krawędzi wanny i czekał.

Wcześniej czy później każda kobieta w ciąży zostaje całkowicie odarta z godności. To był właśnie taki moment. Kiedy skończyła, podał jej równo złożony kawałek papieru toaletowego. Zgniotła go, żeby pokazać, że nie wszystko w życiu może być tak porządne, jak on chce. Spuściła wodę, wstała i umyła ręce, ani razu na niego nie patrząc.

- Proponuję, żebyśmy porozmawiali, kiedy dzieci jedzą śniadanie. W południe chciałbym wyruszyć.

- Po co czekać do południa, jeśli możesz wyjechać już teraz? - Wycisnęła pastę na szczoteczkę.

- Mówiłem ci to wczoraj. Nie wyjadę bez dzieci.

Przecież oboje wiedzieli, że nie mógł jednocześnie pracować i dbać o dzieci. Dlaczego więc chciał je zabrać? Poza tym Harry wiedział, że Trący nie pozwoliłaby sobie zabrać dzieci nawet całej armii mężów o kamiennych sercach. Zrozumiała. Próbował ją skłonić do powrotu do Zurichu.

- Dobrze, weź je. Przyda mi się odpoczynek. - Zaczęła myć zęby, jakby nie miała żadnych kłopotów.

W lustrze zobaczyła, że Harry zamrugał. Jej reakcja go zaskoczyła. Zauważyła, że jest ogolony. Uwielbiała poranny zapach jego skóry i bardzo pragnęła przytulić twarz do jego szyi.

- Okej-powiedział powoli.

W przypływie masochizmu odłożyła szczoteczkę do zębów i chwyciła się rękami za brzuch.

- Z wyjątkiem tego. Umówiliśmy się. Kiedy się urodzi, będzie tylko moje.

Po raz pierwszy nie mógł spojrzeć jej w oczy.

- Ja... nie powinienem był tego mówić.

- Nie przyjmuję przeprosin. - Wypłuła pastę do umywalki i wypłukała usta. - Chyba wrócę do nazwiska panińskiego. Będzie je też nosiło dziecko.

- Przecież nie cierpisz tego nazwiska.

- Racja. Vastermeen brzmi okropnie.

Poszedł za nią do sypialni. Chciał, żeby zraniła go tak, jak on ją.

- Wrócę do Gage, Zawsze podobało mi się Trący Gage, - Odepchnęła walizkę leżącą na podłodze. ~ Mam nadzieję, że to będzie chłopiec, wtedy dam mu na imię Jake. Jake Gage. Imię i nazwisko twardego.

- Jak diabli.



Wreszcie udało jej się przerwać mur obojętności. Ale nie poczuła satysfakcji, że go zraniła. Przeciwnie, chciało jej się płakać.

- Co za różnica? Przecież nie chcesz tego dziecka.
- Nie cieszy mnie ta ciąża, ale to nie znaczy, że nie zaakceptuję dziecka.
- Mam być ci wdzięczna?
- Nie przeproszę cię za to, co czuję. Cholera, Trący, zawsze mnie oskarżasz, że nie odczuwam emocji, ale tak naprawdę chodzi tylko o te emocje, które ci odpowiadają!

Pomyślała, że Harry wreszcie zaczyna tracić panowanie nad sobą, ale zaraz wrócił do chłodnego tonu, który doprowadzał ją do szału.

- Connora też nie chciałem, a teraz nie mogę sobie wyobrazić życia bez niego. To logiczne, że tak samo pokocham to dziecko.

- Dzięki Bogu za logikę. - Wzięła kostium kąpielowy z kupki ubrań na podłodze.

- Nie bądź dziecinna. Wściekasz się po prostu dlatego, że czujesz się zaniedbana. Bóg jeden wie, jak bardzo lubisz być w centrum zainteresowania.

- Idź do diabła.
- Przed wyjazdem z Connecticut wiedziałaś, że będę dużo pracować.

- Nie uprzedziłeś tylko, że zamierzasz mnie zdradzać.
- Nie zdradzałem cię.

Od tego spokoju w jego głosie rozbolały ją zęby.

- Czy wyjaśniłeś to tej małej z restauracji?
- Trący...
- Widziałam cię z nią! Obściskiwaliście się w kącie. Całowała cię! Miał czelność zrobić zirytowaną minę.

- Dlaczego mi nie pomogłaś, tylko mnie z nią zostawiłaś? Wiesz, że nie radzę sobie dobrze w niezręcznych sytuacjach.

- Och, tak... Sytuacja była niezręczna. - Wzięła sandały.
- Daj spokój, Trący. Twoje dramatyczne sztuczki są stare jak świat.

Ta kobieta jest nowym wiceprezesem Worldbridge i za dużo pije.

Szczęściarz z ciebie.

Przestań się zachowywać jak rozpieszczona gówniara. Doskonale wiesz, że jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który zdradziłby żonę, ale musiałaś wymyślić grecką tragedię z pijaną kobietą, bo czułaś się zaniedbana.

- Jak, racja. Jest mi po prostu trochę smutno. - Nie wiedziała dlaczego, ale łatwiej by jej było pogodzić się ze zdradą niż z tym straszliwym, emocjonalnym odrzuceniem. Od początku w głębi serca wiedziała,

że nie miał romansu. - Prawda jest taka, Harry, że zaczęłaś mnie traktować chłodno kilka miesięcy przed wyjazdem do Szwajcarii. Prawda jest taka, Harry... Zrezygnowałaś z naszego małżeństwa i odszedłaś ode mnie.

Bardzo chciała, żeby zaprzeczył, ale tego nie zrobił.

- To ty odeszłaś. Nie zrzucisz winy na mnie. i dokąd uciekłaś? Do swojego imprezowego chłopczyka, byłego męża.

Harry nie mógł pogodzić się z tym, że Trący utrzymuje kontakt z Renem. Przez dwanaście lat unikał spotkania z nim i mówił lodowatym tonem, gdy Ren zadzwonił. To nie było w jego stylu.

- Uciekłam do Rena, bo wiedziałam, że mogę na niego liczyć.
- Tak? Wcale nie wyglądał na zadowolonego z twojego przyjazdu.
- Nie zrozumiałbyś uczuć Rena Gage'a nawet za milion lat.

Wreszcie miała nad nim przewagę, więc naturalnie postanowił zmienić temat.

- To ty nalegałaś, żebym podjął pracę w Zurychu. I uparłaś sięjechać ze mną.

- Bo wiedziałam, ile to dla ciebie znaczy. Nie chciałam też, żebyś mi wypominał, że zniszczyłam ci karierę zawodową, znowu zachodząc w ciążę.

- Kiedy ostatnio coś ci wypominałem?

Nigdy. Mógł wypomnieć jej wiele zdarzeń z początkowego okresu ich małżeństwa, kiedy jeszcze uczyła się miłości, ale nigdy tego nie zrobił. Zanim zaszła w czwartą ciążę, okazywał jej ogromną cierpliwość. Bardzo pragnęła, żeby znów taki był. Tęskniła za jego cierpliwością i za poczuciem, że jest przy nim bezpieczna. Ale przede wszystkim pragnęła, żeby wróciła miłość. Trący zawsze wierzyła, że miłość nie stawia warunków.

- Racja - powiedziała z goryczą. - To ja ciągle się obrażam. Ty jesteś doskonała, dlatego to wielka szkoda, że masz taką niedoskonałą żonę. - Przerzuciła kostium kąpielowy przez ramię, wzięła koszulkę i uciekła do łazienki.

Gdy wróciła, już go nie było, ale kiedy poszła do kuchni sprawdzić, co z dziećmi, usłyszała, jak woła coś do Jeremy'ego w ogrodzie. Grali w piłkę.

Na chwilę pozwoliła sobie udawać, że wszystko jest w porządku.

- Co widziałaś?

- Ducha. - Isabel spojrzała na mokrą od potu koszulkę Rena. Przej jej ciemnym granacie jego oczy lśniły wyjątkowo złowrogim, srebrnym

blaskiem. Przyglądała mu się o kilka chwil za długo. W końcu zaczęła odkładać na miejsce naczynia, które Marta zostawiła na suszarce, gdy przyszła z willi, żeby pozmywać. - To był duch, bez dwóch zdań. Jak możesz biegać w takim upale?

- Zasnęłam, więc nie zdążyłam pobiegać w porannym chłodzie. Jaki to był duch?

- Taki, który rzuca kamykami w moje okna i biega po gaju oliwnym ubrany w białe prześcieradło. Pomachałam mu.

Nie ubawiło go to.

- To już za długo trwa.

- Też tak uważam.

- Dzwoniłem do Anny. Powiedziałem, że jedziemy dziś do Sieny. Wszyscy się dowiedzą, że dom będzie pusty. - Wziął szklanek świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, który bezmyślnie zostawiła na blacie, wypił go i wszedł na schody. - Wezmę tylko prysznic i za dziesięć minut będę gotowy do wyjazdu.

Po dwudziestu minutach wrócił w dżinsach, czarnym T-shircie i czapce Lakersów. Spojrzał podejrzliwie na jej szare spodnie, tenisówki i grafitowy T-shirt, który najwyraźniej pożyczyła od niego.

- Nie ubrałaś się na zwiedzanie.

- Kamuflaż. - Wzięła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła do samochodu. - Zmieniłam zdanie i postanowiłam czatować z tobą.

- Nie zgadzam się.

- Muszę być przy tobie. Bo inaczej zaśniesz i przegapisz coś ważnego. - Otworzyła drzwi po stronie kierowcy. - Albo, co gorsza, z nudów będziesz wrywać nóżki konikowi polnemu, podpalać motyle lub... Co robiłeś w swoich filmach?

- Nie mam pojęcia. - Odsunął ją i usiadł za kierownicą. - Ten samochód jest beznadziejny.

- Nie wszystkich stać na maserati. - Przeszła na drugą stronę fiata i wsiadła.

Incydent z duchem wskazywał, że ktoś jest bardzo zdesperowany. Isabol musiała rozgryźć tę sprawę, nawet jeśli wiązało się to z sam na sam /. Renem w miejscu, gdzie szaleńczych pocałunków nie przerwą ani zbieracze winogron, ani dzieci, ani gospodynie.

Będą sami. Serce zabiło jej szybciej. Była już gotowa, ale najpierw musieli poważnie porozmawiać. Bez względu na to, co mówiło jej ciało, umysł nakazywał określić granice.

- Wzięłam trochę rzeczy na piknik. Są w bagażniku.

Rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

- Tylko dziewczucha robi sobie piknik na czatach.  
- Co powinnam była wziąć?  
- Nie wiem. Jedzenie na czaty. Tanie pączki, termos gorącej kawy i pustą butelkę do siania.

- Ale jestem głupia.

- I to nie mała. Dużą butlę.

- Spróbuję zapomnieć, że jestem psychologiem.

Ren pomachał do Massima i skreślił w stronę willi.

- Muszę sprawdzić, czy przyszedł już scenariusz od Jenksa. Poza tym potwierdzą, że nie ma nas w domku.

Patrzyła z uśmiechem, jak znika w willi. Przez tych kilka dni z Renem Gage'em śmiała się więcej niż przez trzy lata z Michaelem. Posmutniała na myśl o tamtym związku. Pozostawił rany, które jeszcze się nie zagoiły, chociaż bolały inaczej. To nie był ból złamanego serca, lecz żal, że straciła tyle czasu na związek z góry skazany na niepowodzenie.

Jej związek z Michaelem był jak cichy staw - żadnych wstrząsów, żadnych podwodnych prądów, żadnych skał, które zmusiły by jedno z nich lub oboje do zmiany kursu. Nigdy się nie kłócili, nigdy nie rzucali sobie wyzwania. Nie było ekscytacji i - Michael miał rację - nie było namiętności.

Za to związek z Renem byłby samą namiętnością... Namiętnością wzburzonego oceanu usianego skałami. Ale przecież ona wcale nie musi rozbić się o skałę.

Ren wrócił do samochodu, wspaniały w swoim gniewie.

- Mała nudystka znalazła mój krem do golenia i zrobiła sobie bikini.

- Pomysłowo. Czy scenariusz już jest?

- Nie, do diabła. I chyba złamałem sobie palec u stopy. Jeremy ćwiczył moimi ciężarkami i zostawił jeden na schodach. Nie wiem, jak Trący sobie z nimi radzi.

- Z własnymi dziećmi chyba jest inaczej. - Próbowała sobie wyobrazić Rena z dziećmi i zobaczyła śliczne, małe diabełki, które wiążą nianie, podkładają śmierdzące bomby i pyskują starszym. Niezbyt sympatyczny obrazek.

Spojrzała na niego.

- Pamiętaj, że ty w dzieciństwie też nie byłeś wiele wart.

- Racja. Psycholog, do którego wysłał mnie ojciec, kiedy miałem jedenaście lat, wyjaśnił, że rozrabiam, by zwrócić na siebie uwagę rodziców. Bardzo wcześnie nauczyłem się grać czarny charakter, żeby wszyscy na mnie patrzyli.

- I zacząłeś to stosować w dorosłym życiu zawodowym.

- W dzieciństwie to się sprawdziło. Każdy pamięta czarny charakter. To nie była odpowiednia pora, żeby rozmawiać o ich związku, ale postanowiła spróbować wytrącić Rena z równowagi.

- Rozumiesz, że jako dzieci kształtujemy w sobie zachowania dysfunkcyjne, bo wydaje nam się, że pozwolą nam przetrwać?

- Uhm.

- Proces dojrzewania obejmuje wyrastanie z takich zachowań. Oczywiście chyba wszyscy świetni aktorzy lubią zwracać na siebie uwagę, więc twoja dysfunkcja stała się bardzo funkcjonalna.

- Myślisz, że jestem świetnym aktorem?

- Masz ogromne możliwości, ale nigdy nie zostaniesz wielkim aktorem, jeśli ograniczysz się do jednego typu ról.

- Bzdura. Każda rola ma swoje niuanse, więc nie mów, że wszystkie są takie same. Poza tym wszyscy aktorzy lubią grać czarne charaktery. To szansa rozwoju artystycznego.

- Nie mówimy o aktorach w ogóle. Mówimy o tobie i o tym, że nie chcesz grać żadnej innej roli. Dlaczego?

- Już ci mówiłem, zresztą o tak wczesnej porze nie będę prowadzić takich rozmów.

- Bo masz wypaczony obraz samego siebie. W dzieciństwie zostałeś emocjonalnie skrzywdzony, dlatego teraz musisz jasno określić, co skłania cię do wyboru takich ról. - Pomęcz go jeszcze trochę, a potem da mu spokój. - Lubisz grać sadystów czy też raczej nie czujesz się warte grania bohatera?

Walnął pięścią w kierownicę.

- Bóg mi świadkiem, ostatni raz spotykam się z cholernym psychologiem w spódnicy.

Uśmiechnęła się do siebie.

- Wcale się nie spotykamy. A ty za szybko jedziesz.

- Zamknij się!

Zapisała sobie w pamięci, żeby dać mu listę przepisów walki fair z filara zdrowych związków. Żadna z tych zasad nie dopuszczała wrzasku „zamknij się!”

Dotarli do miasteczka. Gdy jechali przez plac, zauważyła, że przyglądają im się ludzie.

Nie rozumiem. Chociaż ciągle się przebierasz, niektórzy na pewno cię poznają. A jednak nie proszą o autografy. Nie wydaje ci się to dziwne?

- Powiedziałem Annie, że kupię sprzęt sportowy do tutejszej szkoły, jeśli wszyscy zostawią mnie w spokoju.

- Skoro lubisz być w centrum zainteresowania, musisz się dziwnie czuć incognito.

- Czy od samego rana planowałeś, że mnie wkurzysz, czy po prostu tak wyszło?

-- Znow przekraczasz dozwoloną prędkość.

Westchnął.

Kilka kilometrów za miasteczkiem skręcili z głównej szosy w węższą, boczną drogę. Ren w końcu łaskawie się odezwał:

- Tędy dojedziemy do opuszczonego zamku na wzgórzu nad domem. Powinniśmy mieć dobry widok.

Droga była coraz bardziej wyboista. Skończyła się przy szlaku turystycznym. Ren zjechał na pobocze. Gdy ruszyli pod górę między drzewami, wziął od niej torby z prowiantem.

- Przynajmniej nie zabrałeś głupiego, piknikowego koszyka.

- Wiem co nieco o tajnych operacjach.

Prychnął.

Dotarli do polany na szczycie wzgórza. Ren stanął przed zniszczoną tablicą informacyjną, żeby przeczytać notę historyczną. Isabel rozejrzała się wokoło i stwierdziła, że ruiny nie są pozostałością jednej budowli, lecz fortyfikacji, na którą kiedyś składało się wicie budynków. Zwalone mury i resztki wieży strażniczej oplótł bluszcz, wśród fragmentów dawnych łuków rosły drzewa, a pomiędzy kamieni, które mogły być fundamentami stajni lub spichlerza, wyzierały polne kwiaty.

Ren skończył czytać i podszedł do Isabel, która patrzyła na pola i lasy.

- Zanim zbudowano zamek, było tu etruskie miejsce pochówków - powiedział.

- Ruiny na ruinach. -- Nawet gołym okiem widziała domek, ale w ogrodzie i gaju oliwnym nikogo nic było. - Nic się nie dzieje.

Zerknął przez lornetkę.

- Za krótko nas nie ma. To są Włochy. Ludzie potrzebują czasu, żeby się zorganizować.

Z gniazda na murze wyleciał ptak. Isabel miała wrażenie, że stojąc tak blisko Rena, zakłóca spokój tego miejsca, więc się odsunęła. Nadejęła na dziką miętę. Owiał ją słodki zapach.

Zauważyła pozostałości muru z niszą i częścią kopuły. Podchodząc bliżej, zorientowała się, że kiedyś była to kaplica. Na resztkach kopuły widać było jeszcze blade kolory: rudy - pewnie kiedyś karmazyn - przykurzone odcienie błękitu i spłowiała ochra.

- Tu jest niebiańsko spokojnie. Ciekawe, dlaczego mieszkańcy odeszli.

- Przeczytałem, że w XV wieku wybuchła zaraza, poza tym sąsiednie biskupstwa kazały sobie płacić za wysokie daniny. A może mieszkańców odpędziły duchy pochowanych tu Etrusków?

Znów był trochę zirytowany. Odwróciła się do niego plecami i spojrzała na kopułę. Kościoły na ogół ją uspokajały, ale Ren był za blisko. Nagle poczuła dym, więc odwróciła się gwałtownie. Zapalił papierosa.

- Co ty wyprawiasz?
- Pałę tylko jednego dziennie.
- Mógłbyś przy mnie tego nie robić?

Zignorował ten protest i głęboko się zaciągnął, a potem podszedł do jednej z bram i oparł się o nią. Chyba miał zły nastrój i zamknął się w sobie. Może niepotrzebnie zmusiła go do wspomnienia dzieciństwa.

- Mylisz się - rzucił nagle. - Doskonale umiem oddzielić prawdziwe życie od tego na ekranie.

- Nie powiedziałaś, że nie umiesz. - Usiadła na kamieniu i przyglądała mu się z profilu. Miał doskonałe proporcje. - Zasugerowałam tylko, że twój obraz samego siebie, ten, który powstał w dzieciństwie, gdy oglądałeś i robiłeś rzeczy niepożądane dla żadnego dziecka, może już nie pasować do mężczyzny, na którego wyrosłeś.

- Nie czytasz gazet?

Wreszcie zrozumiała, co go naprawdę gryzie.

- Nie możesz przestać myśleć o śmierci Karli?

W milczeniu zaciągnął się papierosem.

- Może powiesz prawdę na konferencji i prasowej? - Zerwała żdźbło dzikiej mięty i zgniotła je w palcach.

- Ludzie są zepsuci. Wierzą w to, co chcą.

- Zależało ci na niej, prawda?

- Tak. Była urocza... i taka utalentowana. Przykro było patrzeć, jak się marnuje.

Objęła ramionami kolana.

- Długo byliście razem?

- Tylko kilka miesięcy, zanim się zorientowałem, jak poważny problem ma z narkotykami. Potem wyobraziłem sobie, że mogę ją uratować, więc przez następne miesiące próbowałem jej pomóc. - Strzepnął popiół i znów się zaciągnął. - Próbowałem ją namówić na odwyk. Nic nie wskórałem, dla logo w końcu odszedłem.

- Rozumiem.

Spojrzał na nią ponuro.

- Co?

- Nic. - Powąchała listek mięty, żałując, że nie potrafi się powstrzymać od ulepszania życia innym. Bez sensu, bo przede wszystkim powinna poprawić własne.

- To dlaczego mówisz „rozumiem”? Mów, co myślisz. Powinnaś to łatwo rozgryźć.

- A jak sądzisz, co myślę?

Dym płynął mu z nosa.

- Myślę, że mi powiesz.

- Nie jestem twoim psychiatrą, Ren.

- Wypiszę ci czek. Powiedz, co myślisz.

- Moje zdanie nie ma znaczenia. Liczy się to, co myślisz ty.

- Chyba mnie osądzasz. - Najeżył się. - Myślisz, że mogłem coś zrobić, żeby ją uratować. To mi się nie podoba.

- Tak uważasz? Osądzam cię?

Rzucił papierosa na ziemię.

- To nie moja wina, do jasnej cholery! Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy.

- Naprawdę?

- Może powinienem był zostać? - Zdusił niedopałek. - Miałem jej podawać igłę, kiedy chciała się naćpać? A może samemu ćpać, dla niej? Mówiłem ci, że w dzieciństwie miałem kłopoty z narkotykami. Muszę się od nich trzymać z daleka.

Przypomniała sobie żartobliwą uwagę o wciąganiu kokainy. Teraz mówił poważnie.

- Tuż po dwudziestce przeszedłem odwyk, ale wciąż przeraża mnie myśl, że mogłem spieprzyć sobie całe życie. Od tej pory nie zbliżam się do narkotyków. - Potrząsnął głową. - To, co się z nią stało... tak się zmarnowała.

Bolało ją serce.

- Gdybyś przy niej był, mógłbyś ją uratować?

Odwrócił się do niej z wściekłą miną.

- Bzdura. Nikt nie mógł jej uratować.

- Na pewno?

- Myślisz, że ja jeden próbowałem? Była przy niej rodzina. Wielu przyjaciół. Aleją interesowała tylko następna działka.

- Mogłeś coś powiedzieć? Zrobić?

- Była ćpunką, cholera! Nadszedł moment, w którym powinna była sama sobie pomóc.

- Ale tego nie zrobiła?

Dłubał w ziemi palcem u nogi.  
Isabel wstała.  
- Nie mogłeś tego załatwić za nią, choć bardzo chciałeś. Po jej śmierci odchodzisz od zmysłów, zastanawiasz się, co mogłeś powiedzieć lub zrobić, żeby jej jednak pomóc.  
Wetchnął ręce w kieszenie i patrzył w dal.  
- Nie było nic takiego.  
- Jesteś całkiem pewien?  
Westchnął ciężko.  
- Tak.  
Stała obok niego i pogłaskała go po plecach.  
- Powtarzaj to sobie bardzo często.  
Spojrzał na nią. Zmarszczki między jego brwiami trochę się wygładziły.  
- Naprawdę wypiszę ci czek.  
- Niech to będzie zapłata w naturze za lekcję gotowania.  
Jego usta wykrzywiły się w leciutkim uśmiechu.  
- Tylko się za mnie nie módl, dobrze? To mnie przeraża.  
- Nie zasługujesz na kilka modlitw?  
- Nie, ponieważ ciągle wyobrażam sobie, jak modląca się za mnie osoba wygląda bez ubrania. - Podniósł rękę i powoli odgarnął jej lok za ucho. - Takie już mam szczęście. Kilka miesięcy żyłem bardzo przykładowie, a kiedy wreszcie jestem gotów poszaleć, trafiam na bezludną wyspę z zakonnicą.  
- Tak o mnie myślisz?  
Bawił się jej uchem.  
- Próbuję, ale to nie wychodzi.  
- Całe szczęście.  
- Isabel, wysyłasz więcej sprzecznych sygnałów niż zepsuty radioodbiornik. - Sfrustrowany, cofnął dłoń.  
Oblizła wargi.  
- Bo... bo we mnie są sprzeczności.  
- Nieprawda. Pragniesz tego równie silnie jak ja, ale zwlekasz, bo nie wiesz, jak wpisać nasz romans w swój życiowy plan. A ja bardzo chciałbym poczuć twoje stopy na moich ramionach.  
Zaschło jej w ustach.  
- Doprowadzasz mnie do szału! - krzyknął.  
- Myślisz, że ty mnie nie?  
- Wreszcie jakaś dobra wiadomość. Dlaczego tak stoimy?  
Wyciągnął do niej rękę, ale odskoczyła.

- Ja... muszę się pozbierać. Ty też. Powinniśmy porozmawiać.  
- Tego właśnie nie chcę. - Teraz on cofnął się o krok. - I nie chcę, żeby znów ktoś mi przerwał, a kiedy cię dotknę, na pewno zaczniesz coś działać w domku. Może byś przygotowała jedzenie, bo muszę czymś zająć myśli?  
- Myślałam, że mój piknik jest dla ciebie zbyt dziewczynski.  
- Z głodu odkrywam w sobie kobiecą stronę. Natomiast seksualna frustracja budzi we mnie zabójcze instynkty. Powiedz, że nie zapomniałaś o winie.  
- Jesteśmy na czatach, mój panie. To nie przyjęcie koktajlowe. Popap się przez lornetkę, a ja wyjmę jedzenie.  
Chociaż raz nie zaprotestował. Isabel rozpakowała poranne zakupy: kanapki z cieniutkimi jak bibułka plasterkami *prosciutto* między świeżo pieczonymi *focaccia*, sałatka z dojrzałych pomidorów, świeżej bazylii *ifarro*, popularnego w tokańskiej kuchni zboża podobnego do owsa. Isabel położyła wszystko na zaciemnionym fragmencie muru, z którego był widok na domek, po czym postawiła jeszcze butelkę wody mineralnej i wyjęła gruszki, których nie zjedli poprzedniego dnia.  
Oboje chyba wiedzieli, że powinni przerwać tę werbalną grę wstępną, więc rozmawiali o jedzeniu i książkach - byle nie o seksie. Ren był inteligentny, wesoły i na wielu rzeczach znalazł się lepiej niż ona.  
Sięgała po gruszkę, gdy nagle chwycił lornetkę.  
- Chyba się zaczęło.  
Przez swoją operową lornetkę zobaczyła, że ogród i gaj oliwny stopniowo wypełniają się ludźmi. Massimo i Giancarlo przyszli pierwsi, z mężczyzną, którego rozpoznała: to Bernardo, brata Giancarla. Bernardo był miejscowym *poliziotto*. Na szczycie muru stała Anna z Martą i kilkoma innymi kobietami w średnim wieku. Chyba kierowały coraz liczniejszymi młodymi ludźmi. Isabel rozpoznała ładną rudowłosą dziewczynę, od której wczoraj kupiła kwiaty, przystojnego młodzieńca z zakładu fotograficznego i rzeźnika.  
- Patrz, kto jeszcze idzie.  
Zwróciła się w stronę, w którą patrzył Ren, i zobaczyła, jak do ogrodu wchodzi Vittorio i Giulia. Dołączyli do grupy, która kamień po kamieniu rozbierała mur.  
- Nie powinnam czuć rozczarowania - powiedziała. — Ale czuję.  
- Tak, ja też.  
Marta odegnała jednego z młodszych mężczyzn od swoich róz.  
- Ciekawe, czego szukają? I dlaczego czekali do mojego przyjazdu, a teraz próbują się mnie pozbyć z domku?

- Może przedtem nie wiedzieli, że to coś zginęło. - Odłożył lornetkę i zaczął wkładać śmieci do torebek. - Czas zareagować.

- Pamiętaj, że nie wolno ci używać niczego, co ma ostrze lub spust.
- Tylko w ostateczności.

Gdy szli szlakiem do samochodu, trzymał dłoń na ramieniu Isabel, żeby ją uspokoić. Wrzucili rzeczy do bagażnika i natychmiast ruszyli. Pędził fiałem pandą najszybciej, jak się dało.

- Zaskoczymy ich - powiedział, omijając Casalleone, zamiast jechać krótszą drogą przez miasteczko. - Wszyscy we Włoszech mają telefony komórkowe. Nie chcę, żeby ktoś w domku dowiedział się, że wracamy.

Zostawili samochód na bocznej drodze niedaleko willi i pobiegli przez las. Wyjął liść z jej włosów, gdy szli gajem oliwnym w stronę domu.

Anna zauważyła ich pierwsza. Postawiła dzbanki z wodą, które niosła. Ktoś wyłączył radio, więc ucichła skoczna muzyka. Ludzie przestali rozmawiać i stanęli w grupkach. Giuina podeszła do Vittoria i wsunęła dłoń w jego rękę. Bernardo, w mundurze *poliziotto*, stał obok swojego brata Giancarla.

Ren zatrzymał się na skraju gaju oliwnego, obrzucił wzrokiem pobojowisko i spojrzał na zgromadzonych ludzi. Wyglądał jak urodzony morderca. Wszyscy to zrozumieli.

Isabel cofnęła się o krok, żeby zrobić mu miejsce.

Nie spieszył się. Wodził wzrokiem po przerażonych twarzach. Grał czarny charakter, tak jak tylko on potrafił. Gdy cisza stała się nie do zniesienia, wreszcie się odezwał. Po włosku.

Rozmowa nie mogła odbyć się po angielsku, ale Isabel o tym nie pomyślała, więc teraz chciało jej się krzyżeć z bezsilnej złości.

Gdy przerwał, wszyscy zaczęli odpowiadać naraz. Miała wrażenie, że patrzy na armię nadpobudliwych dydygentów. Wykonywali przeróżne gesty, wskazywali niebo, ziemię, głowy, klatki piersiowe. Donośne głosy, w/.ruszanie ramionami, oczy w słup. Była wściekła, że nie rozumie, co mówią.

Po angielsku - syknęła, ale on zbyt zapamiętał się w krzyku, żeby zwrócić na to uwagę. Anna wysunęła się na czoło tłumu. Odpowiedziała mu jak diwa wykonująca tragiczny recytatyw.

Wreszcie jej przerwał i powiedział coś do wszystkich. Kiedy skończył, zaczęli się rozchodzić, pomrukując coś między sobą.

- Co mówią? - zapytała.
- Dalej bzdury o studni.
- Znajdź słaby punkt.

- Już znalazłem. - Wszedł głębiej w ogród. - Giuina, Vittorio, nigdzie nie pójdzicie.

## Rozdział 14

Vittorio i Giuina zerknęli na siebie niepewnie, a potem z ociąganiem zawrócili. Anna i Marta zniknęły, więc zostali tylko we czworo. Ren miał w oczach żądę mordu.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje w mojej posiadłości. I nie obrażajcie mnie tym bełkotem o problemach z wodą.

Vittorio miał tak zakłopotaną minę, że Isabel prawie zrobiło się go żal.

- To bardzo skomplikowane - mruknął.

- Więc uprosić, żebyśmy zrozumieli - wycodził Ren.

Vittorio i Giuina spojrzeli na siebie. Jej twarz wyrażała upór.

- Musimy im powiedzieć, Vittorio.

- Nie - odparł. - Idź do samochodu.

- Sam sobie idź! - Giuina zamachała rękami. - Ty i twoi przyjaciele nie dajcie rady. Teraz moja kolej.

- Giulio... - W jego głosie pobrzmiwała groźba, ale ona ją zignorowała.

- Ta sprawa... dotyczy... Paola Baglio, brata Marty - wyrzuciła z siebie.

- Dość tego! - Vittorio związał się z kimś, kto jest bezradny w obliczu nieuchronnej katastrofy.

Giuina stanęła naprzeciw Rena.

- On... on był miejscowym... przedstawicielem. Przedstawicielem... Rodziny.

- Mafii. - Ren usiadł na murze.

Isabel stwierdziła, że za bliski mu jest temat przestępczości zorganizowanej. Vittorio odwrócił się, jakby słowa żony były dla niego zbyt bolesne.

Giuina chyba się zastanawiała, co może powiedzieć.

- Paolo był... odpowiadał za to, żeby nasi miejscowi przedsiębiorcy nie wpadli w kłopoty. Rozumiecie, o co mi chodzi? Żeby nocą nie wybijano szyb w sklepowych witrynach i żeby furgonetka kwiaciarza nie zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Pieniądze za ochronę - powiedział Ren.

- Nazwij to, jak chcesz. - Wykręcała swoje delikatne dłonie ozdobione obrączką i małymi pierścionkami. - To mała miejscina, ale wszyscy zrozumieli zagrożenie, więc pierwszego dnia miesiąca Paolo dostawał swoją dolę od przedsiębiorców. Dzięki temu okna były całe, kwiaciarz dowoził kwiaty i nigdy nie mieliśmy kłopotów. - Obracała obrączkę na palcu. - Nagle Paolo zmarł na zawał. - Zagryzła wargę. — Z początku wszystko było w porządku, oczywiście nie dla Marty, której bardzo brakowało brata. Ale tuż przed twoim przyjazdem, Isabel, w mieście pojawili się jacyś ludzie. Mocno niesympatyczni. Przyjechali z Neapolu. - Skrzywiła się, jakby zjadła coś bardzo kwaśnego. - Poszli do naszego burmistrza i... To straszne. W końcu zrozumieliśmy, że Paolo był bardzo głupi. Oszukiwał ich. Ukradł im miliony starych lirów i gdzieś je schował. - Odechnęła głęboko. - Ci ludzie dali nam miesiąc na znalezienie i zwrot pieniędzy. Jeśli tego nie zrobimy...

Głos jej się załamał, ale Vittorio przejął pałeczkę. Teraz, gdy Giulia już zaczęła, przestał się opierać.

- Marta jest pewna, że Paolo ukrył pieniądze gdzieś w pobliżu domu. Na pewno ich nie wydał. Marta pamięta, że przed śmiercią ciągle coś robił przy murze.

- Zbliża się termin - dodała Giulia. - Nie chcieliśmy was okłamywać, ale co innego mogliśmy zrobić? Niebezpiecznie byłoby was w to mieszać. Chcieliśmy was chronić. Czy teraz rozumiesz, dlaczego naciskaliśmy, żebyś przeniosła się do miasta, Isabel? Bardzo się martwimy, że ci ludzie się zniecierpliwią i przyjadą. Jeśli staniecie im na drodze... - Szybkim gestem pokazała podryzanie gardła.

- Bardzo źle się stało. Trzeba znaleźć pieniądze, więc musimy jak najszybciej rozebrać mur - wyjaśnił Vittorio.

- *Si*. Ci ludzie są okropnie niebezpieczni.

- Ciekawe. - Ren wstał. - Muszę to przemyśleć.

- Tylko proszę, nie zadługo... - Giulia spojrzała na niego błagalnie.

- Tak nam przykro, że musieliśmy was okłamywać - powiedział Vittorio. - Isabel, przepraszam cię za tego ducha. To był Giancarlo. Gdybym wiedział, zabroniłbym mu. W przyszłym tygodniu przyjdziecie do nas na kolację, prawda?

- I pójdziemy na grzyby, Isabel? - zapytała Giulia. - Po następnym deszczu.

- Oczywiście - odparła Isabel.

Gdy odeszli, westchnęła i usiadła na murze. Przez chwilę cieszyła się spokojem ogrodu, a potem spojrzała na Rena.

- Wierzysz im?

- Ani trochę.  
- Zupełnie jak ja. - Zaczęła skubać paznokieć przy kciuku, lecz szybko przestała. - Ale w jedno wierzę: coś tu ukryto.

- W tym kraju jest pełno zakopanych przedmiotów. - Poklepał się po tylnej kieszeni dżinsów, przypomniał sobie jednak, że wypalił już przeznaczony na ten dzień papierosa. - Każdy historyczny przedmiot, nawet znaleziony na prywatnym terenie, jest własnością państwa. Może dobrzy ludzie z Casalleone mają coś tak cennego, że nie chcą tego oddać.

- Wierzysz w spisek całego miasteczka? Bernardo jest policjantem. To raczej nieprawdopodobne.

- Zdarzają się gliniarze oszuści. Masz lepsze wyjaśnienie? - Spojrzała na wzgórze.

- To by musiał być cholernie cenny przedmiot. - Tuż obok niej spadł liść. Strąciła go z muru ręką. - Musimy chyba udawać, że im wierzymy.

- Też tak uważam. I będę się przyglądała rozbiórcę muru.

- Ja również. - Kot ocierał się o jej nogi. Nachyliła się, żeby go pogłaskać.

- Muszę wrócić po samochód, a potem wpaść na chwilę do willi, niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

- Dobrze. Moja robota czeka, a ty mnie rozpraszasz.

- Książka o kryzysie?

- Tak. I ani słowa!

- To nie w moim stylu. A więc cię rozpraszam?

Zacisnęła pięść.

- Naprawdę, Ren. Nie czaruj mnie już, bo i tak nie posuniemy się dalej, dopóki nie porozmawiamy.

Westchnął, zrezygnowany.

- Możemy dziś zjeść kolację w San Gimignano. I pogadać.

- Dziękuję.

Jego usta wykrzywiły się w lubieżnym uśmiechu.

- Ale kiedy tylko skończysz mówić, będę mógł położyć ręce, gdzie zechcę. Ubierz się seksownie. Najlepiej włóż coś z dużym dekoltem i zrezygnuj z bielizny.

- Wy, chłopcy ze szkoły średniej, po prostu mnie rozbrajacie. Jeszcze jakieś życzenia?

- Nie, to chyba wszystko. - Odszedł, pogwizdując. Wyglądał jak przystojny utracjusz, a nie jak hollywoodzki psychopata.

Po krótkiej kąpieli zapisała na kartce kilka pomysłów do książki, ale jej umysł nie chciał dobrze pracować, więc poszła do willi, żeby sprawdzić, jak się ma Trący.

- Świetnie. - Była żona Rena leżała na leżaku przy basenie. Miała zamknięte oczy. - Harry i dzieci mnie nienawidzą, a przez kolejne dziecko w brzuchu mam gazy.

Isabel zobaczyła dzieci - wysiadały z samochodu Harry'ego. Buzie umazane miały lodami.

- Gdyby Harry cię nienawidził, chyba już by go tu nie było.

Trący podniosła oparcie leżaka i włożyła okulary przeciwsłoneczne.

- Ma poczucie winy wobec dzieci. Wyjeżdża jutro.

- Próbowaliście porozmawiać?

- Głównie ja mówiłam, a on miał taką minę, jakby robił mi łaskę.

- Spróbujcie jeszcze raz. Dziś, gdy dzieci zasną. Daj mu kieliszek wina i poproś, by wymienił trzy rzeczy, które mogłabyś zrobić, żeby go uszczęśliwić.

- To proste. Podwyższyć iloraz inteligencji o dwadzieścia punktów, być zorganizowaną, a nie ciężarną, i całkowicie zmienić swoją osobowość.

Isabel parsknęła śmiechem.

- Użalamy się nad sobą, co?

Trący spojrzała na nią znad okularów, mrużąc oczy.

- Jesteś dziwnym psychologiem.

- Wiem. Zastanów się nad tym, dobrze? Zapytaj go, tylko szczerze.

Bez sarkazmu.

- Bez sarkazmu? Nie da się. Lepiej opowiedz mi o sobie i Renie.

Isabel opadła na leżak.

- Wolałabym nie.

- Dobra pani doktor widzi, co się dzieje, ale nie może tego znieść.

Miło, że nie jestem jedyną załamana kobietą przy tym basenie.

- Zdecydowanie nie. Czy to nie jest oczywiste? Straciłam głowę.

- On tak działa na kobiety.

- Nie jestem sobą.

- A jednocześnie jesteś odporna na tanie chwytły, więc doskonale wiesz, w co się pakujesz. To ci daje dużą przewagę nad innymi kobietami.

Chyba tak.

- Mamusiuuuu! - Connor wyskoczył zza rogu. Biegł, kołyszając się z boku na bok, bo wielka pielucha utrudniała mu ruchy.

- Hej, olbrzymie! - Trący wstała, podniosła go i wyciągała ubrudzone lodami policzki. Spojrzała przez jej ramię na Isabel i uśmiechnął się szeroko, wesoło odsłaniając ząbki.

Isabel zakłuło w sercu. Życie Trący, choć teraz bardzo burzliwe, miało swoje zalety.

Ren chwycił kopertę z firmy wysyłkowej, leżącą na konsolce w holu, i pobiegł do swojej sypialni. Zamknął drzwi przed małymi intruzami i usiadł w fotelu przy oknie. Patrząc na granatową okładkę z wydrukowanym tytułem *Nocne zabójstwo*, czuł niezwykle podniecenie; tak podekscytowany nie był od lat. Howard wreszcie skończył scenariusz.

Ze wstępnych rozmów wiedział, że Howard zamierza postawić widowni kłopotliwe pytanie: czy Kaspar Street jest po prostu psychopata, czy może raczej nieuniknionym produktem ubocznym społeczeństwa oswojonego z przemocą? Nawet Święta Isabel musiałaby pochwalić ten przekaz. Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak pięknie wyglądała niecałą godzinę temu: słońce rozświetlało jej włosy, a piękne oczy wpatrywały się w niego. Uwielbiał jej zapach, który kojarzył mu się z seksem i ludzką dobrocią jednocześnie. Ale teraz nie mógł o niej myśleć. Teraz stał u progu wielkiej kariery. Usiadł wygodnie i zaczął czytać.

Skończył po dwu godzinach, zlany zimnym potem. To było najlepsze dzieło Howarda Jenksa. Rola Streeta miała ponure aspekty i drobne niuanse, będzie więc musiał wykazać się wszystkimi swoimi umiejętnościami aktorskimi. Nic dziwnego, że każdy w Hollywood chciał grać w tym filmie.

Ale od ostatniej rozmowy zaszła istotna zmiana, której Howard nie omówił z Renem. Jednym genialnym pociągnięciem wzmocnił przekaz filmu i zmienił go w egzystencjalny koszmar. Kaspar Street nie mordował już ukochanych kobiet. On molestował dzieci.

Ren oparł się w fotelu i zamknął oczy. Zmiana była genialna, ale...

Żadnych ale. To rola, dzięki której będą się o niego bić najlepsi reżyserzy w Hollywood.

Wziął kartkę papieru, żeby zrobić kilka notatek na temat postaci. Zawsze od tego zaczynał, i to tuż po pierwszej lekturze scenariusza, gdy wrażenie było jeszcze świeże. Notował to, co czuł w związku z rolą, zapisywał swoje wyobrażenia kostiumów i ruchów, wszystko, co przychodziło mu do głowy i mogło pomóc stworzyć postać.

Bawił się nakrętką długopisu. Zwykle pomysły napływały same, ale wprowadzona przez Jenksa zmiana wytrąciła go z równowagi i nie mógł nic wymyślić. Potrzebował czasu, żeby oswoić się z nowym Streoleni. Spróbuj jutro.



Wracając po kilku godzinach do domku, postanowił nie mówić Isabel o zmianie. Nie chciał jej do siebie zrazić teraz, gdy długa gra wycieczki zbliżała się do końca.

Isabel zignorowała sugestię Rena, że powinna włożyć coś seksownego, i wybrała prostą czarną sukienkę, a nagie ramiona okryła czarnym szalem z frędzlami, ozdobionym złotymi gwiazdkami. Karmiła koty, gdy usłyszała za sobą jakiś ruch. Serce zabiło jej mocniej. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach ponurego intelektualistę. Z potarganymi włosami, okularami w drucianej oprawce, w czystej, lecz pogniecionej koszuli i znoszonych spodniach khaki, z plecaczkiem przewieszonym przez jedno ramię wyglądał jak młodszy brat Rena Gage'a, w dodatku o poetyckich skłonnościach.

Uśmiechnęła się.

- Zastanawiałam się, z kim się dziś spotkam.
- Obrzucił wzrokiem jej skromny strój i westchnął.
- Wiedziałem, że nie ma co liczyć na minispódniczkę.
- Przed domem, za jej fiatem, stało srebrne alfa romeo.
- Skąd się wziął ten samochód?
- Mój będzie gotowy dopiero za jakiś czas, więc na pocieszenie கா-załem sobie przywieźć ten.
- Na pocieszenie ludzie kupują batoniki, a nie samochody.
- Tylko biedni, tacy jak ty.

Miasto San Gimignano położone na szczycie wzgórza wyglądało jak korona. Na tle zachodzącego słońca rysowało się wyraźnie czternaście wież strażniczych. Isabel próbowała sobie wyobrazić, jak odbierają ten widok pielgrzymi z północnej Europy, zmierzający do Rzymu. Po niebezpieczeństwach i trudach podróży pewnie mają wrażenie, że dotarli do przybytku spokoju i bezpieczeństwa.

Myśli Rena chyba podążały tym samym torem.

- Właściwie powinniśmy tam iść pieszo.

Te buty nie są dla pielgrzymów. Pięknie tu, prawda?

To najlepiej zachowane średniowieczne miasto w Toskanii. Jeśli nie miałas czasu przeczytać przewodnika, powiem ci, że przetrwało przypadkiem.

- Jak to?
- Miasto miało ogromne znaczenie w tym regionie, ale czarna śmierć zabiła połowę mieszkańców.

- Tak jak w zamku.

- Bez antybiotyków było bardzo ciężko. San Gimignano przestało być ważnym przystankiem na pielgrzymim szlaku i straciło swój status. Na szczęście dla nas nieliczni obywatele, którzy przeżyli, nie mieli pieniędzy na unowocześnienie miasta, dlatego do dziś zachowało się tu tyle wież. Kręcono tu części *Herbatki z Mussolinim*. - Z przeciwnej strony nadjechał autokar wycieczkowy. - To nowa czarna śmierć - dodał Ren. - Zbyt wielu turystów. Ale nie mają tu gdzie nocować. Anna powiedziała, że późnym popołudniem miasto opustoszeje.

- Znow z nią rozmawiałeś?

- Wyraziłem zgodę na rozbiórkę muru, od jutra, ale pod warunkiem że przy tym będę.

- Na pewno nie była zadowolona.

- Zapytaj, czy mnie to obchodzi. Wyznaczyłem Jeremy'emu rolę strażnika.

Ren zaparkował na parkingu tuż przy starożytnych murach i włożył plecak. Większość turystów wyjechała i choć strój nawiedzonoego intelektualisty nie zmienił go tak, jak poprzednie przebrania, nie zwracał na siebie uwagi, gdy zwiedzali miasteczko.

Opowiedział jej wszystko, co wiedział o freskach w dwunastowiecznym romańskim kościele, i okazał wyjątkową cierpliwość, kiedy zagłębiała do sklepów. Potem poszli wąskimi uliczkami do Rocca, starożytnej fortecy, i wspięli się na jej zachowaną wieżę, żeby spojrzeć na odległe wzgórza i pola, wyjątkowo piękne w gasnącym, wieczornym świetle.

Wskazał winnice.

- Uprawiają winogrona na vernaccia, miejscowe białe wino. Może skosztujemy go przy kolacji, podczas tej rozmowy, na której tak bardzo ci zależy?

Uśmiechnął się tak, że dostała gęsiej skórki i chciała zaproponować, żeby zrezygnowali z wina i rozmowy i poszli prosto do łóżka. Ale była zbyt okaleczona psychicznie, żeby znieść kolejny cios, więc postanowiła trzymać się planu.

Mała restauracja w hotelu Cisterna - kamienne ściany, stoliki z lnianymi obrusami w kolorze brzoskwiowym i oszołamiający widok z okien; takie widoki w całej Toskanii każdy może podziwiać za darmo. Siedząc przy stoliku w kącie między oknami, mogli spoglądać na spadziste czerwone dachy San Gimignano i patrzeć, jak zapalają się światła w domach i na farmach otaczających miasteczko.

Uniósł kieliszek.

- Za rozmowę. Oby była łaskawie krótka i szalenie produktywna).

Upiwszy łyk cierpkiego vernaccia, przypomniała sobie, że kobiety, które nie okazują siły, pozwalają po sobie deptać.

- Będziemy mieli romans.
- Dzięki Ci, Boże.
- Ale na moich warunkach.
- To ci niespodzianka.
- Musisz być zawsze taki sarkastyczny? Bo jeśli tak, to wiedz, że to żadna atrakcja.
- Jesteś równie sarkastyczna jak ja.
- Dlatego wiem, co mówię.
- A więc? Na pewno bardzo chcesz wyłożyć karty na stół. Mam nadzieję, że słowo „wyłożyć” odgrywa kluczową rolę. Czy to też sarkazm?

Już zaczynał się z niej śmiać.

- Musimy mieć jasność co do pewnych kwestii. - Nie zwracała uwagi na kpiarskie iskierki w jego oczach. Zbyt wiele kobiet oddało duszę swoim kochankom. Ona się przed tym uchroni. - Po pierwsze, nie możesz mnie krytykować.

- Dlaczego, do cholery, miałbym to robić?
- Dlatego że nie jestem seksualnym wyczynowcem jak ty, oraz dlatego że ci zagrażam, czego przecież nie lubisz.
- Dobrze. Żadnej krytyki. Ale wcale mi nie zagrażasz.
- Po drugie... odmawiam udziału w zboczonych grach. Prosty seks. Jego srebraawoniebieskie oczy zerknęły na nią chytrze zza okularów.

- Jaka jest twoja definicja prostego seksu?
- Definicja ogólnie przyjęta.
- Rozumiem. To wyklucza seks grupowy. I zabawki. Szkoda, ale przeżyję.

- Daj spokój! Darujmy to sobie! - Rzuciła serwetkę. - Znasz się na tym o wiele lepiej niż ja. Nie wiem, jak mogło mi przyjść do głowy, że to może się udać.

- Przepraszam. Trochę mi się nudziło. - Pochylił się nad stołem, żeby ułożyć jej serwetkę na kolanach. - Wolisz pozycję misjonarską czy może lubisz być na górze?

Oczywiście wszystko obrócił w żart. Trudno. Mężczyźni znajdują wiele sposobów, żeby łądzić się co do własnej wyższości. Ona nie da się nabrać.

- Co do tego możemy być spontaniczni.

- A czy możemy zdjąć ubrania?
- Ty możesz. To nawet wskazane.

Uśmiechnął się.

- Jeśli nie chcesz się rozbierać, nie będę miał ci tego za złe. Dzięki czarnym kabaretkom i paskowi bez trudu zachowasz poczucie skromności.

- Jaki jesteś dobry! - Przesunęła palcem po brzegu kieliszka. - Oczywiście chodzi tylko o ciało. Żadnego czynnika emocjonalnego.

- Skoro tak mówisz.

Doszła do trudnego warunku, ale postanowiła się nie wycofywać.

- Jeszcze jedno... Seks oralny nie wchodzi w grę.

- A dlaczego?

- To mi się nie podoba. Jest zbyt... przyziemne.

- Ograniczasz moje możliwości.

Zacisnęła zęby.

- Zgadzasz się albo rezygnujesz.

Och, zgadzam się, pomyślał, patrząc na uparty grymas tych cudownych ust. W filmach i w prawdziwym życiu kochał się z najpiękniejszymi kobietami świata, ale w żadnej z tych ślicznych twarzy nie było tyle życia co w twarzy Łabel. Widział w niej inteligencję, humor, determinację i wielkie współczucie dla ludzi. A jednak myślał tylko o tym, że pragnie ją wziąć na ręce i zanieść do najbliższego łóżka. Niestety doktor Fifi nie była typem kobiety, która pozwala się nosić. Przecież ma plan. Wcale nie byłby zdziwiony, gdyby sporządziła jakąś umowę i najpierw kazała mu podpisać.

Zadowolony zauważył, że na jej szyi lekko pulsuje żyłka, Łabel nie potrafiła całkowicie zapanować nad sobą.

- Trochę zbiłaś mnie z pantałyku - powiedział.

- Dlaczego? Przecież dostaniesz, czego chcesz.

Wiedział, że ma niewielkie pole manewru, ale nie chciał jej oddać całej władzy.

- To, czego chcę, ma naklejone znaki zakazu.

- Nie jesteś przyzwyczajony do kobiet, które otwarcie wyrażają swoje zdanie. Rozumiem, że możesz się czuć zagrożony.

Kto by pomyślał, że błyskotliwy umysł może być taki seksowny?

- A jednak moje ego straciło parę.

- Metafizycznie rzecz ujmując, to dobrze.

- Fizycznie rzecz ujmując, wcale nie. Chcę wierzyć, że nie mo/cs/ mi się oprzeć.

- Nie mogę ci się oprzeć.
- Mogłabyś to powiedzieć z większym entuzjazmem?
- To mój słaby punkt.
- To, że nie możesz mi się oprzeć?
- Tak.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

Kelner przyniósł *antipasto* z kiełbasą, oliwkami i złotymi kawałkami duszonych warzyw. Ren podał jej widelec do ust,

- Podsumujmy: żadnej krytyki i seksu oralnego. Tak powiedziałaś, prawda? I nic zbyt wymyślnego.

Miał nadzieję, że skłoni ją do zmiany zdania, ale była silna.

- Tak powiedziałam.

Wsunął kawałek jarzyny w jej usta.

- Pewnie nie powinienem nawet pytać o bat?

Nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć na to głupie pytanie, i delikatnie otarła serwetką kącik ust.

- Ani o kajdanki-dodał.

- Kajdanki? - Dłoń trzymająca serwetkę, zawisła nad jej kolanami.

Czyżby to była iskierka zainteresowania? Isabel trochę się speszyła, ale nie był głupi, więc udał, że tego nie zauważył.

- Nieważne. Zachowałem się niegrzecznie, więc przepraszam.

- P-przeprosiny przyjęte.

Usłyszał to lekkie zająknięcie i stłumił chichot. Czyli maniaczka na punkcie władzy nie miałaby nic przeciwko lekkiemu związaniu. Chociaż doskonale wiedział, które z nich skończy w kajdankach, uznał, że to dobry początek. Miał tylko nadzieję, że Isabel nie zgubi kluczyka.

Podczas posiłku dotykał jej pod byle pretekstem. Jego nogi ocierały się o jej nogi pod stolikiem. Głaskał jej kolano, bawił się palcami i podawał do ust kaski ze swojego talerza. Filmowym gestem drażnił kciukiem jej dolną wargę. Jak bardzo wyrachowany może być człowiek? I wszystko działało.

Odsunął pustą filiżankę po cappuccino. Jedzenie było wyśmienite, ale Isabel nie pamiętała żadnej z potraw, które jadła.

- Skończyłaś? - zapytał.

Och, tak, skończyła.

Wyprowadził ją restauracji na skrzypiące schody, ale zamiast zejść, ruszył na górę.

- Dokąd idziemy?

- Może masz ochotę spojrzeć na plac z lotu ptaka?

Miała dość pięknych widoków. Chciała wrócić do domku. A może zamierzał to zrobić w samochodzie? Nigdy nie kochała się w samochodzie, ale to był odpowiedni wieczór na nowe doświadczenia.

- Chyba daruję sobie widoki. Może wrócimy do samochodu.

- Nie tak szybko. Na pewno chcesz popatrzeć. - Ujął ją pod łokieć i poprowadził w korytarzyk. Wyjął z kieszeni ciężki klucz.

- Kiedy zdążyłeś to załatwić?

- Chyba nie myślałaś, że pozwolę ci zmienić zdanie?

Pokój był malutki, ze złoconymi zdobieniami na ścianach, cherubinami namalowanymi na suficie i podwójnym łóżkiem z prostą białą pościelą.

- To był jedyny wolny pokój, ale myślę, że się nadaje. - Położył plecak.

- Bardzo tu miło. - Zdjęła sandały. Za nic nie pozwoli mu zapanować nad sytuacją. Rzuciła szal na krzesło z prostym oparciem, wyjęła z torebki prezerwatywę i położyła ją na stoliku przy łóżku. Oczywiście to go rozśmieszyło.

- Nie jesteś optymistką. - Zdjął okulary.

- Mam więcej.

- Jasne. - Odwrócił się i zamknął drzwi na klucz. - Przy okazji, ja też.

Przypomniała sobie, że ta noc nie ma nic wspólnego z miłością ani z trwałym związkiem. Chodzi tylko o seks - to była przewidywalna konsekwencja znajomości z Lorenzem Gage'cm. Teraz był jej osobistą zabawką. Och, wyglądał cudownie.

Zastanawiała się, jak zacząć. Czy najpierw go rozebrać? Rozpakać jak prezent urodzinowy? A może pocałować?

Położył klucz na toalecie i zmarszczył brwi.

- Robisz listę?

- Dlaczego pytasz?

- Bo masz taki wyraz twarzy.

- To cię denerwuje, prawda? - Podeszła do niego, objęła go ramionami i przyciągnęła jego głowę, żeby dotknąć tych pięknych ust. Lekko ugryzła go w dolną wargę. Hej! Niech wie, że ma do czynienia z tygrysią.

Uśmiechnęła się, przytuliła go mocniej i pocałowała namiętnie - ca ty czas czuwała, żeby to ona miała inicjatywę.

Chyba mu to nie przeszkadzało.

Oplotła go nogą. Chwycił ją za pośladki i uniósł. To było fantastyczne, bo patrzyła na niego z góry, a przecież uwielbiała mieć przewagę.

Pocałowała go jeszcze bardziej namiętnie i wsunęła stopę między jego nogi.

To mu się spodobało, więc zaczął ją nieść w stronę łóżka, już próbując przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Najpierw się rozbierz - nakazała.
- Rozebrać się?
- Uhm... Powoli.

Posadził ją na krawędzi łóżka i rzucił jej spojrzenie, z którego łatwo wyczytała jego lubieżne zamiary. Odezwał się, prawie nie poruszając swoimi pięknie rzeźbionymi ustami.

- Jesteś pewna, że masz w sobie dość kobiecości, żeby mi sprostać?
- Tak, całkiem pewna.
- Nie chcę, żebyś musiała się za bardzo wysilać.
- Zrób to, jak najlepiej potrafisz.

Zauważyła jego rozbawienie, choć zdradził je tylko lekki ruch tych ciemnych drugich rzęs. Wiedziała, że nie będzie napinał mięśni i przybiebrał póź do dobrych do kalendarza dla chłopców. Był prawdziwy.

Powoli... bez pośpiechu... rozpiął koszulę. Guzik po guziku, ledwie muskając palcami. Isabel szepnęła chrapliwie:

- Wspaniale, Cudownie jest mieć własną gwiazdę filmową.

Koszula zsunęła się na ziemię. Opuścił dłoń do klamry paska, ale zamiast ją rozpiąć, wygiął brew.

- Najpierw mnie natchnij.

Sięgnęła pod sukienkę, zdjęła majtki i rzuciła na bok.

- Wspaniale - teraz on szeptał. - Cudownie jest mieć własnego guru od seksu.

Zdjął pasek, buty i skarpetki, rozsunał rozporek o kilka centymetrów. Zaschło jej w ustach. To był doskonały striptiz.

Czekała, aż rozepnie rozporek do końca, ale on potrząsnął głową.

- Brak mi natchnienia.

Zsuwała suwak sukienki o wiele dalej niż on swój. Ramiączko opadło z jednego ramienia. Zdjęła klipsy.

- Słabiotko. - Ściągnął spodnie i stanął przed nią w jedwabnych granatowych bokserkach. Osiemdziesiąt pięć kilogramów ciała tylko dla niej.

- Zanim zobaczysz coś więcej, poproszę o kolejną dawkę natchnienia.

Znów próbował zapanować nad sytuacją, ale przecież byłoby po frajdzie. Przywołała go palcem - nie sądziła, że jest zdolna do takiego gestu - lecz nie była ani trochę zaskoczona, gdy podszedł.

Oparła się na poduszkach i wyciągnęła ręce. Tak go pragnęła, że czuła się, jakby tonęła w pościeli. Uniósł jej sukienkę. Nie do samej góry,

tylko do szczytu ud, ale ona już miała wrażenie, że skóra jej płonie. Materac się ugiął, gdy Ren ułożył się na niej. Oparł się na przedramionach, tak że ich piersi się nie dotykały, i pochylił głowę.

Czuła pokusę, żeby przyjąć zaproszenie do pocałunku. Ale było jej tak radośnie panować nad tą ciemnowłosą bestią, że chciała się jeszcze pobawić. Wysunęła się spod niego i mocno go pchnęła. Przewrócił się na plecy.

- Coraz lepiej - powiedział.
  - Sprawianie przyjemności jest naszym celem.
- Gdy położyła się na nim, łypnął na nią szelmowsko.
- Zadowolona?
- Uśmiechnęła się.
- Tak.

Milszy, bardziej wrażliwy mężczyzna po prostu pozwoliłby jej robić, co chce, ale on nie był miły, więc delikatnie ugryzł ją w ramię i zaczął ssać.

- Nie igraj z ogniem, bo możesz się oparzyć.
- Przerażasz mnie. - Przesunęła nogą po jego biodrach. -A ze strachu dostaję świra. - Podciągnęła kolana i usadowiła się na nim i jego granatowych bokserkach.

Wciągnął powietrze.

Zachichotała.

- Zwolnić trochę? Nie chciałabym cię wystraszyć.
- Och... nie. Nie ruszaj się. - Wsunął dłonie pod jej sukienkę i zamknął je na pośladkach.

Nie wyobrażała sobie nigdy, jak cudownie jest mieć ciało tak podniecone jak umysł. Jednocześnie chciało jej się śmiać. Od tych sprzecznych doznań zakręciło jej się w głowie.

- Będziesz tak siedzieć całą noc? - zapytał. - Czy zaczniesz... działać?

- Zastanawiam się.
- Nad czym?
- Czy jestem gotowa, żebyś zaczął mnie podniecać.
- Jeszcze ci mało?
- Och, tak...

- Dość tego! - Zepchnął ją z siebie i przewrócił na plecy. - Kobieta nie nadaje się do męskiej roboty.

Sukienka podfrunęła jej do pasa. Rozsunął jej uda.

- Przykro mi, kochanie, ale tak trzeba. - Zanim zdążyła się sprzeciwić, dotknął jej ustami.

W głowie strzelały jej fajerwerki. Krzyknęła cicho, chrapliwie.  
- Czekaj - mruknął w jej wilgotne ciało. - Zanim się zorientujesz, będzie koniec.

Próbowała ścisnąć nogi, ale była tam jego głowa. Zresztą kolana i tak nie chciałyby się zsunać, bo to, co robił, było zbyt przyjemne.

Gdy dotykał jej ustami, z rozkoszy miała wrażenie, że unosi się nad łóżkiem. Nawet nie próbował drażnić, ona i tak się unosiła.

Gdy trochę oprzytomniała, zobaczyła, że granatowe bokserki znikły. Położył ją na sobie i wsunął się do środka, ale nie do końca. Patrzył na nią czule. Odgarnął jej lok z twarzy.

- To było konieczne.

- Mówiłam, że się nie zgadzam - wykrztusiła, zdziwiona, że udało jej się wydobyć głos.

- Ukarz mnie.

Chciała się roześmiać, ale nie mogła. Była podniecona i gotowa na więcej.

- Mam tylko jedną. - Przekrzywił głowę w stronę opakowania po prezerwatywie. — Trzymaj kciuki.

- Dobrze, naśmiewaj się ze mnie, kochasiu. Długo się nie pośmiesz. - Zdjęła sukienkę, czując go w sobie, prawie do końca, ale jeszcze nie.

Przyłożył jej palce do swoich ust i pocałował. Miała na sobie tylko czarny koronkowy stanik i złotą bransoletkę z wygrawerowanym słowem „oddychaj”. Zaczęła się powoli poruszać, ciesząc się swoją władzą - poczuła się kobietą, która potrafi zaspokoić takiego mężczyznę.

Jego dłonie niedługo pozostały nieruchome. Po chwili rozpięty jej stanik, zrzuciły go i dotknęły piersi. Potem chwyciły ją za pośladki i głaaskały tam, gdzie dotykały się ich ciała. W końcu pociągnął ją dół, przylgnął do ust. Jego biodra unosiły się pod nią. Chciała, żeby było mu tak samo cudownie jak jej, więc nawet gdy się całowali, zwolniła rytm, próbując zignorować żądę własnego ciała.

Jego skóra załśniła od potu. Mięśnie drżały. Poruszała się wolniej... Coraz wolniej... Umierała z rozkoszy, tak jak on. Mógł doprowadzić ją do końca, ale tego nie zrobił. Wiedziała, ile go kosztuje ten wysiłek. Ona też nie mogła już wytrzymać... Mimo to poruszała się jeszcze wolniej.

Jeszcze wolniej. Prawie wcale.

Tylko delikatne tarcie... Maleńki skurcz...

Aż nawet tego...

...Było za wiele.

## Rozdział 15

Przez szmer porannego deszczu przebijał cichy odgłos dzwonów San Gimignano. W hotelowym pokoju zrobiło się chłodno, więc Isabel chętnie skuliła się pod kołdrą. Było jej ciepło i czuła się bezpiecznie. Chroniły ją starożytne wieże strażnicze i duchy dawnych mieszkańców.

Ostatnia noc była dla niej jak pielgrzymka. Isabel z uśmiechem przewróciła się na plecy. Miała władzę i ją oddała, nie myślała i myślała, a każda chwila była cudowna. Ren był niestrudzonym kochankiem, czego się spodziewała. Ale zaskoczyło ją, że mu dorównała.

Teraz była sama w pokoju. Ziewnęła, wstała z łóżka i poszła do łazienki. Na podłodze, pod jej szalem, leżał rozpięty plecak. Zobaczyła szczoteczkę do zębów i tubkę pasty bez nakrętki. Zaplanował to, a ona przecież zawsze ceniła planowanie.

Po krótkiej kąpieli owinęła się w duży hotelowy ręcznik i zajrzała do plecaka, żeby sprawdzić, czy Ren pomyślał o grzebieniu. Zamiast grzebienia znalazła czerwone koronkowe stringi.

Wsadził głowę przez drzwi.

- Mały dowód mojego uczucia. Włóż je, to zjem z tobą śniadanie.

- Nie ma jeszcze dziewiątej. Bardzo wcześnie wstałeś.

- Szkoda dnia. Mamy dużo roboty. - Uśmiechnął się do niej tak, że od razu wiedziała, o czym mówi.

- Zostaw mnie samą, bo muszę się ubrać.

- Niby po co?

Ren nigdy nie widział kogoś tak cudownego jak doktor Fifi w nieładzie, wilgotna po kąpieli, w potarganych lokach, z zaróżowionymi policzkami i piegami na nosie. Ale w jej kształtnym ciele i jasnoczerwonych stringach, które trzymała w swoich zręcznych paluszkach, nie było nic niewinnego.

Ostatnia noc była szaleństwem. Isabel wydawała mu rozkazy, a potem leżała grzecznie w jego ramionach. Nigdy dotąd nie było mu tak dobrze, więc nie mógł się doczekać powtórki.

- Chodź tu.

- O nie. Jestem głodna. Co mi przyniosłeś?

- Nic. Zdejmij ten ręcznik.

Obracała stringi na palcu.

- Czuję kawę.

- Wyobraźnia.

- Nie sądzę. Nalej. Zaraz przyjdę.

Zamknął drzwi, uśmiechnął się znowu i wyjął białą papierową torbę z termosem z kawą i bułkami, które kupił. Sklepiarz rozpoznał go i poprosił o autografy dla swoich krewnych, ale Ren był tak zadowolony, że nic nie mogło popsuć mu nastroju.

Otworzyły się drzwi łazienki. Omal nie rozlał kawy. Stała w nich, ubrana tylko w czarny szal z frędzlami i koronkowe stringi, które kupił wczoraj pod wpływem impulsu.

- O to ci chodziło?

- Jest nawet lepiej.

Uśmiechnęła się, poruszyła ramionami i zrzuciła szal.

Kiedy wreszcie chcieli się napić kawy, była zimna jak lód.

- Uwielbiam San Gimignano - powiedziała, gdy jechali do domu w strugach deszczu. - Mogłabym tam zostać na zawsze.

Ukrył uśmiech i włączył wycieraczki.

- Znowu mi zapłacisz?

- Kolesiu, jeśli ktoś ma komuś płacić za seksualne usługi, to raczej ty mnie, bo świetnie się spisałam. Przyznaj!

Była tak zadowolona z siebie, że nie chciał się sprzeczać.

- Światowa klasa.

- Też tak myślę.

Zaśmiała się. Chciała ją znów pocałować, ale zawsze gdy zdejmowała rękę z kierownicy, robiła mu wykład.

Założyła nogę na nogę. Sandał kołysał się na palcach jej stopy.

- Gdybyś miał przyznać mi numer, który by to był?

- Numer?

- Ranking.

- Mam ci przyznać miejsce w klasyfikacji? - A już myślał, że ta kobieta nie może go niczym zaskoczyć. Tymczasem dostał jak obuchem w głowę.

- Tak.

- Nie sądzisz, że to upokarzające?

- Nie, bo sama o to proszę.

Nie był głupi, więc od razu wyczuł pułapkę.

- Dlaczego tego chcesz?

- Nie zamierzam z tobą konkurować. Chcę się dowiedzieć, co uznany autorytet sądzi o moim poziomie. Jak daleko już zaszłam. I, w interesie samodoskonalenia, ile jeszcze muszę nadrobić.

- To „zaszłam”...

- Odpowiedz na pytanie.

- Dobrze. - Oparł się wygodnie. - Muszę być szczery. Nie jesteś numerem jeden. Nie przeszkadza ci to?

- Mów dalej.

Skreślił.

- Numerem jeden była bardzo doświadczona francuska kurtyzana.

- Ach, cóż, Francuzka.

- Pani numer dwa szkoliła się w bliskowschodnim haremie, więc chyba się nie spodziewasz, że możesz z nią konkurować.

- Chyba nie. Chociaż myślę...

- Co do numeru trzy, nie mogę się zdecydować... Albo biseksualna akrobatka z Cirque du Soleil, albo para rudowłosych bliźniaczek z ciekawym fetyszem. Numer cztery...

- Mów, które mam miejsce.

- Pięćdziesiąte ósme.

- No już, baw się moim kosztem.

- Świetnie się bawię.

Prychnęła, uśmiechnęła się i usadowiła wygodnie.

- Nie mówiłam poważnie. Jestem zbyt pewna siebie, żeby dbać o to, które miejsce mi przyznasz. Chciałam zobaczyć, jak się płaczesz.

- Chyba nie ja jeden się płaczę. Może po prostu czujesz się nieswojo, tylko nie chcesz tego okazać.

- To te stringi. — Szarpnęła je przez spódnice. - Bielizna dla desperatek.

- Mnie się podobają.

- Zauważyłam. Rozumiesz chyba, że teraz musisz się wyprowadzić do willi?

Ni stąd, ni zowąd znów mu dowaliła.

- O czym ty mówisz?

- Jestem gotowa na romans, ale nie będziemy razem mieszkać.

- Wczoraj mieszkaliśmy razem.

- To było przed ostatnią nocą.

- Nie wrócę do willi o piątej rano. - Mocniej wcisnął pedał gazu. - A jeśli myślisz, że nie będziemy znów razem spać, to chyba masz krótką pamięć.

- Nie powiedziałam, że od czasu do czasu nie możesz zostać na noc. Ale nie możesz dalej mieszkać w domku.

- Drobną różnicą.

- Bardzo duża. - Isabel doskonale to rozumiała i podejrzewała, że on też wie, o co chodzi. Dotknęła bransoletki. Nie skoncentruje się, jeśli

nie będzie miała dużo czasu dla siebie. - Nasz romans opiera się wyłącznie na seksie. - Oderwał wzrok od drogi i rzucił jej zabójcze spojrzenie, które zignorowała. - Wspólne mieszkanie bardzo to skomplikuje.

- Nie wiem, co w tym skomplikowanego.
- Kiedy dwoje ludzi mieszka razem, tworzy się emocjonalna więź.
- Zaraz...
- Och, nie rób takiej przerażonej miny. Ona właśnie świadczy o tym, że mam rację. To będzie krótki, fizyczny związek, bez czynnika emocjonalnego. Dostajesz ode mnie tylko ciało. To powinno cię cieszyć.

Zrobił ponuraminię; nie rozumiała, bo przecież zaplanowała związek idealny dla niego. Pewnie się boczył, bo to ona ustaliła warunki. Typowy mężczyzna. Ale że w obecności tego mężczyzny niczego nie była do końca pewna, mówiła dalej:

- Żeby wszystko było jasne... Dopóki uprawiamy seks, oboje będziemy wierni.
- Przystaniesz używać sformułowania „uprawiać seks”? To brzmi jak jakaś choroba. I nie musisz mi robić wykładów o wierności.
- Nie robię wykładu.
- To go rozśmieszyło.
- Niech ci będzie - zgodziła się. - Może i zrobiłam wykład. Mów.

Tvoja kolej.

- Mam prawo głosu?
- Oczywiście. Z pewnością postawisz jakieś warunki.
- ^ Owszem.

Gorączkowo próbował coś wymyślić. Kusiło ją, żeby udzielić mu kilku wskazówek, ale się powstrzymała.

- Dobrze - powiedział. - Wyniosę swoje rzeczy, kiedy tylko wrócimy. Ale kiedy będziemy „uprawiać seks”, potem nie wracam do domu.
- Zgoda.
- A kiedy nie będziemy „uprawiać seksu” i spędzę noc w willi z tymi chuliganami, których towarzystwem mnie obarczyłaś, nie spodziewaj się, że następnego dnia będę w dobrym nastroju. Jeśli zechcę się kłócić, pokłócimy się.
- Okej. - Rozplotła nogi. - Ale nie wolno ci mówić „zamknij się”. Zamknij się.
- Jeszcze jedno.
- Nic więcej.
- Ostatniej nocy przekroczyłeś granicę. Może się myliłam, ale to nie oznacza, że masz to powtarzać.

Patrzył na nią chytrze.

- Powiedz, którą granicę przekroczyłem.
- Dobrze wiesz.
- Mów mi świństwa. Czy chodziło o tę chwilę, kiedy miałas kolana...
- Właśnie o tę.
- Kochanie, kiedy już się mylisz, to na całego. - Zaśmiał się szatańsko. - Bardzo się mylisz. Zastanawiałem się...
- Nie wiem. Myślę o tym.
- Skąd wiesz, o co zapytam?
- Jestem bardzo sprostregawcza. Jak każdy mężczyzna lubisz, żeby ci się odwzajemniano.
- Nie musimy zrywać umowy. To, co jest, bardzo mi odpowiada.
- Miło słyszeć.
- Nie chcę, żebyś czuła się do czegoś zmuszona.
- Dziękuję. Nie będę.
- Mówię to, bo chcę cię uspokoić. Wiedz, że jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się na... nowe doświadczenie, przyrzekam, że będę dżentelmem.
- Jak mógłbyś być kim innym?
- Doskonale mnie rozumiesz.

Z powodu deszczu wszyscy byli uwięzieni w willi do wczesnego popołudnia. Harry krążył z pokoju do pokoju z telefonem komórkowym przy uchu, nie wchodził tylko tam, gdzie była Trący. Bawiła się z dziećmi lalką Barbie, aż rozżłościło ją to tak, że omal nie urwała głowy tej małej anorektyczce. Chciała zagrać z Jeremym w karty, ale odmówił. Dzieci się kłóciły, Connor marudził, a jej obrzękły kostki, znak że powinna odstawić sól, a jaki sens ma życie bez soli? Na samą myśl o tym chciała zjeść całą paczkę chipsów.

Wreszcie ułożyła Connora do snu. Deszcz przestał padać, więc pozostałe dzieci pobiegły się bawić na dworze. Chciała już zapłakać z wdzięczności, ale zdenerwowała ją widok Harry'ego, który znów gdzieś dzwonił. Pomyślała o słowach Isabel, o pytaniu, które miała zadać: jakie trzy rzeczy mogłaby zrobić, żeby go uszczęśliwić? A co on mógł zrobić, żeby uszczęśliwić ją? W tym momencie nienawidziła Isabel Favor prawie tak bardzo jak Harry'ego.

Popełnił błąd, przechodząc obok niej w chwili, gdy potknęła się o torbę od jego laptopa, przywleczoną przez Connora. Podniosła ją i rzuciła w męża. Nie krzyknął, ale przecież on nigdy nie krzyczał. W ich

rodzinie wydzieriała się ona. Harry po prostu spojrzął na nią z dezaprobatą, tak jak patrzył na dzieci, gdy były niegrzeczne, i próbował załagodzić sytuację.

- Na pewno miałaś jakiś powód, żeby to zrobić.

- Szkoda, że to nie było krzesło. Całe rano lało jak cholera, a ty nawet nie pomogłeś mi przy dzieciach.

- Miałem ważnątelekonferencję. Mówiłem ci. Odwołałem wszystkie spotkania i przełożyłem dwie prezentacje, ale to musiałem załatwić.

Wiedziała, że chodzi o coś naprawdę ważnego, a on już został tu dłużej, niż spodziewała się w najśmielszych marzeniach. Spędził z dziećmi więcej czasu niż ona. Ale za bardzo cierpiała, żeby być sprawiedliwa. Musiała postawić na swoim.

- Chciałabym móc telefonować zawsze, gdy mam na to ochotę. - Kiedy stała się takąjędzą? Gdy mąż przestał ją kochać.

- Uspokój się, dobrze? Chociaż udawaj raz w życiu, że jesteś rozsądna.

Dystans... zawsze ten dystans. Udawał, że jej uczucia się nie liczą, żeby się z nimi nie zmagać.

- O co chodzi, Harry? Po co udawać? Jestem znów w ciąży, a ty nie możesz na mnie patrzeć, nawet mnie nie lubisz. Na twój widok chce mi się rzygać.

- Przestań być taka melodramatyczna. Zaakceptuję kolejne dziecko. Przesadzasz, bo się nudzisz i brak ci rozrywki.

Ciągle ją lekceważył. Miała już dość tego chłodnego oddalenia, świadomości, że ich miłość tak mało dla niego znaczy.

- Przesadzasz, bo jesteś w ciąży - ciągnął. - Przez hormony stałaś się kompletnie nieracjonalna.

- Rok temu nie byłam w ciąży. Czy byłam nieracjonalna, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę do Newport, a ty cały czas rozmawiałeś przez "telefon?

- To była pilna sprawa.

-- Zawsze jest coś pilnego.

-- Czego ode mnie chcesz? Powiedz mi, Trący. Co mogę zrobić, żeby cię uszczęśliwić?

- Sam się domyśl!

Znudzona, zimna mina.

- Spróbuj się opanować.

- Żeby się zmienić w takiego robota jak ty? Nie, dziękuję.

Potrząsnął głową.

- To nie ma sensu. Mój pobyt tutaj to strata czasu.

- No to wynocha! Przecież tego chcesz. Jedź, żebyś nie musiał więcej oglądać swojej grubej, rozhisteryzowanej żony.

- Może i tak zrobię.

- Jedź!

- Sama chciałaś. Pożegnaj się z dziećmi i już mnie nie ma. - Kopnął torbę po laptopie i odszedł.

Trący opadła na krzesło i rozpłakała się. Wreszcie się na to zdobyła. Przepędziła go na dobre.

„Powiedz mi, Trący. Co mogę zrobić, żeby cię uszczęśliwić?”

Przez chwilę zastanawiała się, czy rozmawiał z Isabel. Ale nie. Przecież jego pytanie cięto jak bicz. Mimo wszystko żałowała, że nie odpowiedziała szczerze.

Kochaj mnie, Harry. Kochaj tak jak kiedyś.

Harry znalazł najstarszego syna i najmłodszą córkę przed willą. Zdejmując Brittany z jednego z posagów, na którym posadził ją Jeremy, uświadomił sobie, że się poci. Nie mógł pokazać dzieciom rozpacz, więc zmusił się do uśmiechu.

- Gdzie Steffie?

- Nie wiem - odparł Jeremy.

- Usiądźcie. Muszę wam coś powiedzieć.

- Znowu wyjeżdżasz, tak? - Jasnoniebieskie oczy Jeremy'ego, takiego samego koloru jak oczy matki, patrzyły na niego oskarżycielsko. - Wracasz do Zurychu i rozwiedziesz się z mamą.

- Nie rozwodzimy się. - Ale to był następny, logiczny krok. Harry'ego tak bardzo bolało serce, że z trudem oddychał. - Po prostu muszę wrócić do pracy.

Jeremy patrzył tak, jakby Harty zestrzelił słońce.

- Nie ma się czym przejmować. Naprawdę. - Harry uściskał ich oboje i posadził na ławce. Powiedział wszystko, co uważał za stosowne, tylko nie mógł określić, czy następnym razem zobaczy się z nimi tu, czy w Zurychu. Nie mógł niczego zaplanować, nie mógł myśleć. Od kilku miesięcy bardzo źle spał. Ostatnie dwie noce, gdy tuliły się do niego dzieci, przedrzemał, ale to nie było to samo głębokie ukojenie jak wtedy, gdy Trący kładła ręce na jego piersi, a w jego snach unosił się słodki, egzotyczny zapach jej czarnych, rozwichrzonych włosów.

- Zobaczymy się tak szybko, że nawet nie zdążycie się stęsknić.

- Kiedy? - Jeremy zawsze bardziej przypominał Trący niż Harry'ego. Miał wygląd twardziela, ale był bardzo wrażliwy. Jak on to wszystko zniesie?



- Będę dzwonił codziennie - obiecał Harry.
- Brittany wpełchnęła do buzi kciuk i zdjęła buty.
- Nie wyjeżdżaj.

Dzięki Bogu Connor jeszcze spał. Harry'emu chyba pękło serce, gdyby ufne rączki synka objęły go za szyję. Nie zniósłby lepkich pocałunków na policzku. Tej bezwarunkowej miłości syna, którego nie chciał. Jak mógł oczekiwać, że Trący wybaczy mu to, czego on sam nigdy sobie nie wybaczy? A kolejna ciąża sprawiła, że wszystkie niepokoje odżyły.

Wiedział, że pokocha to dziecko, gdy tylko się urodzi. Cholera, Trący zawsze dobrze go rozumiała, więc też o tym wiedziała. Ale nie mógł znieść świadomości, że tylko dzieci pozwoliły jej się spełniać. On nie wystarczył.

Musiał jeszcze znaleźć Steffie. Obawiał się rozmowy ze starszą córką. Z natury była pesymistką, jak on. Gdy inne dzieci domagały się jego uwagi, ona stała z boku, ze smutną miną, jakby nie wiedziała, czy zasługuje na miejsce wśród nich. Czasami krajało mu się serce. Chciałby umieć dodać jej siły.

Jeremy zaczął kopać ławkę. Brittany szaiapała sukienkę. Nie zdawał sobie sprawy, jak wielką krzywdę im wyrządza.

- Poszukajcie Steffie, dobrze? Za kilka minut wrócę.

Uśmiechnął się do nich i poszedł do domku, do byłego męża Trący. Powinien był to zrobić dwa dni temu, ale sukinsyn gdzieś się zapodział.

Ren stał w drzwiach domku i patrzył na zbliżającego się Harry'ego Briggsa. Deszcz ochłodził powietrze i Ren chciał pobiegać, ale musiał chyba trochę poczekać.

Zawsze w głębi ducha podziwiał ludzi takich jak Briggs, błyskotliwych matematyków prawie pozbawionych emocji. Ludzi, których praca nie wymaga grzebania w swojej świadomości w poszukiwaniu wspomnień i emocji, dzięki czemu aktor przekonuje publiczność, że jest zdolny do morderstwa. Albo do molestowania dziecka.

Ren bił się z myślami. Będzie musiał zmienić podejście. Tego wieczoru usiądzie gdzieś z notesem i zabierze się do pracy.

Spotkał się z Harrym przy pandzie Isabel. Harry miał na sobie prążkowaną koszulę, spodnie z kantem ostrym jak brzytwa i wypolerowane buty, ale na okularach była plamka wyglądająca jak ślad małego kciuka. Ren oparł się niedbale o samochód, żeby go trochę rozdrażnić. Skoro Briggs unieszczęśliwił Trący, nie zasłużył na nic lepszego, niewierny bydlak.

- Wracam do Zurychu - oświadczył lodowato Briggs. - Ale zanim wyjadę, chcę cię ostrzec. Uważaj. Trący jest teraz bardzo słaba, więc nie waż się jej denerwować.

- Może zostawię to tobie.

Ściągną na szyi Briggsa mocno się napięły.

- Naprawdę, Gage. Nie próbuj nią manipulować, bo pożałujesz.
- Nudzisz mnie, Briggs. Gdyby ci zależało, nie zdradzałbyś jej, prawda?

Na jego twarzy nie było widać ani śladu poczucia winy, co wydawało się dziwne w przypadku takiego gościa jak Briggs. Ren przypomniał sobie, że Isabel miała zastrzeżenia do historii Trący, więc postanowił trochę podrażnić.

- Zabawne, co? Przyjechała do mnie, bo jest nieszczęśliwa. A wiesz, co jeszcze jest zabawne? Może i byłem gównianym mężem, ale przynajmniej trzymałem się z dala od innych kobiet. - W każdym razie się starał.

Harry otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo ze szczytu wzgórze zbiegał Jeremy.

- Tatusiu, nie możemy nigdzie znaleźć Steffie.

Harry drgnął.

- Czy ktoś sprawdził basen?

- Mama tam jest. Powiedziała, żebyśmy natychmiast przyszli.

Briggs puścił się biegiem.

Ren popędził za nim.

## Rozdział 10

Steffie nie było w basenie, nie schowała się też w ogrodzie. Rozdzielili się, żeby przeszukać wszystkie pomieszczenia w domu, również strych i piwnicę, ale nigdzie jej nie znaleźli. Gdy Ren zawiadomił policję, Harry zrobił się popielaty.

- Wezmę samochód i poszukam przy drodze - powiedział, kiedy Ren odłożył słuchawkę. - Jeremy, przyda się druga para oczu. Pojedziesz ze mną.

- Przeszukam gaj oliwny i winnicę - oświadczył Ren. - Isabel, może Steffie ukrywa się w domku. Sprawdź. Trący, zostań tu, na wypadek gdyby wróciła.

Trący wzięła Harry'ego za rękę.

- Znajdź ją. Proszę.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

- Znajdziemy ją - zapewnił Harry.

Isabel miała zamknięte oczy, więc Ren wiedział, że się modli. Choć raz był z tego zadowolony. Steffie była zbyt nieśmiała, żeby gdzieś sobie iść. Ale jeśli nie poszła i nie zdarzył się wypadek, to pozostała tylko jedna możliwość. Odpędził złe myśli, które zaczęły lęgnąć się w jego głowie. Scenariusz *Nocnego zabójstwa* już wywarł na niego wpływ.

- Nic jej nie będzie - szepnęła Isabel do Trący. - Jestem tego pewna. - Z uśmiechem ruszyła w stronę domku.

Ren poszedł przez mokry ogród do winnicy. Mięśnie na jego szyi napinały się coraz bardziej. Ten przeklęty scenariusz... Przypomniawszy sobie, że nie są w mieście, gdzie mordercy czają się w uliczkach i opuszczonych budynkach, lecz na wsi.

Ale Kaspar Street znalazł jedną z ofiar na wsi. To była siedmioletnia dziewczynka, która jechała na rowerze po piaszczystej drodze.

To tylko film, na miłość boską!

Starał się skupić na rzeczywistości i w myślach podzielił winnicę na sektory. Była dopiero trzecia po południu, ale niebo tak się zachmurzyło, że prawie nic nie widział. Do butów przyklejało mu się błoto, gdy szedł między rzędami krzaczków. Trący powiedziała, że Steffie miała na sobie czerwone szorty. Szukał wzrokiem plamy koloru. Miał nadzieję, że tam, gdzie jest Steffie, nie ma pajaków.

Street wykorzystałby pajaki.

Zesztywniał mu kark. Nie mógł sobie teraz pozwolić na myślenie o Streecie. No, Steffie. Gdzie jesteś?

Gdy przyjechał Bernardo, Trący dała mu zdjęcie Steffie, które nosiła w portfelu. Poprosiła Annę, by pomogła jej jako tłumaczka, żeby nie było żadnych nieporozumień. Od czasu do czasu uspokajała Brittany i przytulała Connora, ale nie potrafiła opanować paralizującego strachu. Jej cudowna córeczka...

Isabel przeszukała domek, ale dziecko się tam nie ukryło. Sprawdziła ogród, zajrzała nawet pod pergolę z glicynią. W końcu chwyciła latarkę i poszła do lasu przy drodze, między willą a domkiem. Idąc, bez przerwy się modliła.

Harry powoli jechał drogą. Jeremy patrzył w prawo, a on w lewo. Na niebie kłębiły się chmury, więc widoczność pogarszała się z każdą chwilą.

- Myślisz, że ona nie żyje, tatusiu?

- Skądże! - Przełknął ślinę. - Nie, Jeremy. Poszła na spacer i zabłądziła.

- Steffie nie lubi spacerów. Za bardzo boi się pajaków.

Harry próbował o tym zapomnieć.

W przednią szybę uderzyły krople deszczu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Steffie po prostu zabłądziła.

Deszcz tak lał, że Ren nie zauważyłby drzwi magazynu, gdyby nie błyskawica, która rozświetliła mrok, gdy je mijał. Dwa dni temu były zamknięte na klucz. Teraz - uchylone.

Otarł krople z oczu. To nieprawdopodobne, żeby bojące się pajaków dziecko weszło do środka. Prawie na pewno nie zrobiłoby tego z własnej woli. Pamiętał, jak trudno otwierały się drzwi. Nie miałyby siły otworzyć ich sama. Ale drzwi mógł otworzyć ktoś inny i zanieść ją do środka...

Kaspar Street bardzo go wystraszył. Ren ruszył do drzwi. Pchając je, zauważył, że ustępują łatwiej niż poprzednio. Deszcz musiał wymyć trochę ziemi. Otworzył drzwi na oścież.

W środku było sucho i bardzo ciemno. Omijając stertę pudeł, żałował, że nie ma przy sobie latarki.

- Steffie?

Cisza, tylko szum deszczu. Ren uderzył się golenią o drewnianą skrzynkę. Przesunęła się po podłodze tak cicho, że prawie tego nie usłyszał.

Nagle ktoś załkał.

A może tylko to sobie wyobraził.

- Steffie?

Żadnej odpowiedzi.

Zamiast rzucić się naprzód, odczekał kilka sekund, aż usłyszał to ponownie - stłumione łkanie dobiegające gdzieś z tyłu, z lewej strony.

Poczuł ogromną ulgę. Chciał jej szukać, ale się zawahał. Nie wiedział, w jakim Steffie jest stanie. Jeśli nie będzie uważał, przestraszy ją jeszcze bardziej. A tego nie chciał.

„Nie straszyć malutkich. Dopiero kiedy będzie za późno i nie będą mogły uciec”.

Zaburczało mu w brzuchu. Tylko raz czytał scenariusz, ale miał dobrą pamięć, więc zapamiętał wiele kwestii.

- Steffie? - zapytał łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

Usłyszał jakiś szelest, ale znów żadnej odpowiedzi.

- Wszystko w porządku - zapewnił. - Możesz ze mną porozmawiać.

W ponurym pomieszczeniu rozległ się cichutki, przerażony szept.

- Jesteś potworem?

Zacisnął oczy. Nie teraz, kochanie, ale daj mi jeszcze miesiąc.

- Nie, maleńka - odparł cicho. - To ja, Ren.

Czekał.

- Proszę, odejź.

Nawet w takiej chwili pamiętała o dobrych manierach. „Grzeczne dziewczynki to najłatwiejsze ofiary - powiedział w scenariuszu Street. - Grzeczność tłumi w nich instynkt samozachowawczy”.

Choć było mu zimno, zaczął się pocić. Dlaczego padło na niego? Dlaczego nie znalazł jej ojciec albo Isabel? Poruszał się najciszej, jak potrafił.

- Wszyscy cię szukają, kochanie. Rodzice się martwią.

Usłyszał jakiś ruch. Podejrzywał, że Steffie ze strachu nie pozwoli mu podejść bliżej. Ale co? Ją tak przeraziło?

Był wściekły na siebie, że w ten sposób ją podchodzi. Jeszcze bardziej go rozżłościło, że automatycznie wrzucił tę wściekłość do swojego wewnętrznego śmietnika, czyli warsztatu aktora. Przeszukiwał ten śmietnik, gdy musiał znaleźć w sobie najgorsze ludzkie cechy. Każdy aktor miał w sobie taki magazyn, ale Ren podejrzewał, że jego śmietnik jest największy i najokropniejszy.

Mogła tu wejść tylko z rozpaczy. Chyba że nie dano jej wyboru...

- Jesteś ranna? - mówił spokojnie. - Czy ktoś cię skrzywdził?

Jąkała się z przerażenia.

- Tu jest... dużo pajaków.

Bał się podejść, by nie wystraszyć jej jeszcze bardziej, więc wrócił do drzwi, żeby nie mogła uciec.

- Czy... czy przyszłaś tu sama?

- Drzwi były otwarte, więc weszłam.

- Sama?

- Bałam się grzmotu. Ale nie wiedziałam, że tu jest tak... ciemno.

Nie mógł przestać myśleć o Streecie.

- Na pewno z nikim tu nie przyszłaś?

- Nie. Sama.

Uspokoił się trochę.

- Drzwi są bardzo ciężkie. Jak je zamknęłaś?

- Ciągnęłam bardzo mocno obiema rękami.

Odetchnął głęboko,

- Musisz być silna. Mogę dotknąć twoich mięśni?

Co minutę na świecie rodził się jakiś kretyń, ale Steffie nie była głupia.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo... bo ty nie lubisz dzieci.

Tu mnie masz. Zanim wyjdzie na plan, będzie musiał popracować nad swoim podejściem do dzieci. Jedną z cech, które czyniły ze Streeta takiego potwora, była umiejętność poruszania się w świecie dzieci. Nie wyczuwały w nim zła, aż było za późno.

Zmusił się, żeby wrócić do rzeczywistości.

- Hej, uwielbiam dzieci. Kiedyś też byłem dzieckiem. Ale nie takim grzecznym jak ty. Ciągłe wpadałem w tarapaty.

- Ja też chyba będę miała kłopoty.

Możesz być tego pewna.

- Skądże. Tak się ucieszą z twojego powrotu, że nic ci nie powiedzą.

Nie ruszała się, ale jego wzrok przyzwyczaił się już do półmroku i zobaczył niewyraźny kształt przy czymś, co wyglądało jak przewrócony fotel.

- Powiedz jeszcze raz, kochanie. Jesteś ranna? Czy ktoś cię skrzywdził? - Musiał się upewnić.

- Nie. - Dostrzegł lekki ruch. - Pajaki we Włoszech są bardzo duże.

- Tak, ale mogę je pozabijać. Jestem w tym dobiy.

Nic nie odpowiedziała.

Steffie zastanawia się, czy może mu zaufać, a tymczasem Trący i Harry przeżywają katusze. Czas podejść do sprawy poważnie.

- Steffie, twoi rodzice bardzo się boją. Muszę cię do nich zabrać.

- Nie, dziękuję. Czy mógłbyś już sobie iść?

- Nie. - Znów ruszy! w jej stronę, bardzo powoli. - Nie chcę, żebyś się bała, ale musimy natychmiast wrócić do domu.

Pociągnięcie nosem.

- Na pewno jesteś głodna.

- Wszystko zepsujesz. - Rozpłakała się. Cichy szloch ranił mu serce.

Zatrzymał się, żeby dać jej trochę czasu.

- Co zepsujesz?

- Wszystko.  
- Powiedz mi, o co chodzi. - Stał trochę z boku, między jakimiś skrzynkami.  
- Nie zrozumiesz.  
Był już tak blisko, że mógł jej dotknąć, ale tego nie zrobił. Ukucnął na ziemi półtora metra od dziewczynki, żeby pomniejszyć swój wzrost.  
- Dlaczego?  
- Dlatego.  
Przytłaczała go własna ignorancja. Nie wiedział nic o dzieciach i nie miał pojęcia, jak sobie poradzić w tej sytuacji.  
- Mam pomysł. Znasz doktor Isabel? Lubisz ją prawda? O wiele bardziej niż mnie. - Dopiero po chwili dotarło do niego, że tak nie powinno się zadawać pytania grzecznemu dziecku. - Nie szkodzi. Nie gniewam się. Ja też bardzo lubię doktor Isabel.  
- Jest taka miła.  
- Pomyślałem sobie... Ona rozumie różne rzeczy. Może pójdziemy do niej i powiesz, co się stało?  
- Mógłbyś ją tu przyprowadzić?  
Trący nie wychowała głupiej córki. To musiało potrwać.  
Oparł się o skrzynkę.  
- Nie mogę, kochanie. Muszę zostać z tobą. Ale przyrzekam, że cię do niej zabiorę.  
- Czy mój tatuś musi o tym wiedzieć?  
- Tak.  
- Nie, dziękuję.  
O co w tym wszystkim chodzi? Stara! się nie okazywać emocji.  
- Boisz się taty?  
- Mojego taty?  
Usłyszał w jej głosie zaskoczenie, więc się odprężył.  
- Uważam, że jest bardzo miły.  
- Tak. - W tym słowie zamknął się cały wszechświat smutku. - Ale wyjeżdża.  
- Chyba musi wrócić do pracy. Dorośli muszą pracować.  
- Nie. - Znów zaszlochała. - On wyjeżdża na zawsze.  
Kto ci to powiedział?  
~ Sama słyszałam. Bardzo się pokłócili, już się nie kochają i on wyjeżdża.  
Wszystko jasne. Steffie podsłuchiwała kłótnię Trący i Briggsa. Co robić? Chyba gdzieś czytał, że trzeba pomagać dzieciom werbalizować uczucia.

--To fatalnie.  
- Nie chcę, żeby wyjeżdżał.  
- Dopiero poznałem twojego tatę, ale jestem pewien, że nie zostawiłby was na zawsze.  
- Nie wyjedzie, jeśli się zgubię. Będzie musiał zostać i mnie szukać. Bingo.  
Musiał przyznać, że jest odważną dziewczynką. Stała oko w oko ze swoim wielkim strachem, byle tylko nie stracić ojca. Ale teraz jej rodzice szaleli z rozpaczy. Nie był z siebie dumny, lecz musiał to zrobić.  
- Nie ruszaj się! Widzę wielkiego, jadowitego pająka!  
Skoczyła na niego. Przywarła do jego piersi, cała drżąca, w mokrym ubraniu, z lodowatymi nóżkami. Wziął ją na kolana i przytulił.  
- Poszedł sobie. To chyba nie był pająk, tylko kulka ziemi.  
Dziewczynki nie pachną jak dorosłe dziewczyny, zauważył. Steffie pachniała potem, ale to nie był nieprzyjemny zapach. Chyba myła włosy szamponem o zapachu gumy do żucia. Rozcierał jej ramiona, próbując ją trochę ogrzać.  
- Oszukałem cię. - Musiał się przyznać. - To nie był pająk. A le twoi rodzice bardzo się martwią więc muszą się szybko przekonać, że nic ci nie jest.  
Zaczęła się trochę szarpać, ale on nadal rozcierał jej ramiona, żeby ją uspokoić. Jednocześnie próbował sobie wyobrazić, jak zareagowałaby Isabel. Powiedziałyby na pewno coś właściwego, jakieś czułe, mądre, doskonale pasujące do sytuacji słowa.  
Chrzanić Isabel.  
- Twój plan był do niczego, Steffie. Nie mogłaś się ukrywać w nieskończoność. Wcześniej czy później musiałybyś iść po coś do jedzenia i wszystko na marne.  
- Martwiłam się o to.  
Odprężyła się trochę, więc się uśmiechnął.  
- Powinnaś wymyślić nowy plan. Bez słabych punktów. Przede wszystkim powiesz rodzicom, dlaczego się tak zachowałam.  
- Sprawię im przykrość.  
- No to co? Oni przecież sprawili przykrość tobie. Posłuchaj mądrego człowieka, mała. Jeśli będziesz szła przez życie, myśląc tylko o tym, żeby nikomu nie zrobić przykrości, to staniesz się mięczakiem. A nikt nie lubi mięczaków. - Wyobrażał sobie, jak Isabel marszczy brwi, ale co tam. Nie było jej, a on robił, co mógł. Wprowadził drobną poprawkę. - Niemowicie, że masz ranić ludzi celowo. Po prostu walcz o to, co jest dla

ciebie ważne, a jeśli przy tym sprawisz komuś przykrość, to jego problem, nie twój. - Niewiele lepiej, ale taka jest prawda.

- Mogą się rozgniewać.  
- Nie mówiłem o tym wcześniej, ale myślę, że twoi rodzice rozgniewają się i tak. Nie od razu. Na twój widok tak bardzo się ucieszą, że będą się nad tobą roztkliwiać. Ale to minie. Potem będziesz musiała nieźle pogłótkować.

- Co to znaczy?  
- Że musisz sprytnie rozegrać sprawę, żeby uniknąć surowej kary.  
- Jak?  
- No... Kiedy wreszcie przestaną się roztkliwiać, rozzłoszczą się, że uciekłaś. Wtedy będzie niebezpiecznie. Musisz się przyznać, że słyszałaś ich kłótnię, i, to bardzo ważne, powinnaś przy tym trochę płakać i mieć smutną minę. Potrafisz?

- Nie wiem.  
Uśmiechnął się do siebie.  
- Podejźmy do drzwi, bo tam jest jaśniej. Pokażę ci. Dobrze?  
- Tak.

Wziął ją na ręce i zaniósł do drzwi. Jej sandały obijały się o jego nogi. Trzymała go za szyję. Była za duża, żeby ją nosić, ale teraz bardzo tego potrzebowała. Gdy dotarli do drzwi, nie zwracając uwagi na błoto, usiadł i posadził ją sobie na kolanach. Deszcz ustał i było dość jasno, żeby zobaczyć umorusaną buzię ze smugami łez oraz myślące, wyraziste oczy patrzące na niego tak, jakby był Świętym Mikołajem. Gdyby tylko wiedziała...

- Cel jest taki, żebyś nie dostała szlabanu na resztę życia, tak? Poważnie pokiwała głową.  
- Kiedy się uspokoją postanowią cię ukarać, żebyś nigdy więcej czegoś takiego nie zrobiła. - Rzucił jej groźne spojrzenie. - Jeszcze jedno. Jeśli w przyszłości znów wytniesz taki numer, nie będzie ci już tak łatwo manipulować rodzicami, więc lepiej od razu mi obiecaj, że wymyślisz lepsze metody rozwiązywania problemów.

Kolejny uroczysty ruch głową: tak.  
Obiecuję.  
- Dobrze.-Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Kiedy rodzice zaczną mówić o konsekwencjach twojego zachowania, czyli zaczną wymierzać karę, musisz im wyjaśnić, dlaczego uciekłaś. Nie zapomnij powiedzieć, jak wielką przykrość sprawiła ci ich kłótnia. To jest twój as w rękawie. Naturalnie znów zrobi ci się smutno, i dobrze, bo musisz to wykorzystać, żeby mieć jak najżałośniejszy wyraz twarzy. Rozumiesz?

- Mam płakać?  
- Nie zaszkodzi. Pokaż teraz, jak to robisz. Popatrz na mnie smutno. Spojrzała na niego wielkimi, smutnymi oczami. Była to najsmutniejsza mina, jaką widział - ale Steffie dopiero zaczęła. Omal się nie roześmiała, kiedy wykrzywiła twarz, ściągnęła usta i głośno, dramatycznie pociągnęła nosem.

- Przesadzasz, malutka.  
- Dlaczego?  
- Musi być bardziej prawdziwie. Pomyśl o czymś smutnym, na przykład o tym, że ktoś cię zamknie w pokoju na resztę życia i zabierze wszystkie zabawki. Pokaż to buzią.  
- Mogę myśleć o tym, że tatuś odejdzie na zawsze?  
- Dobry pomysł.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym zrobiła bardzo nieszczęśliwą minę, a jej usta drżały.  
- Doskonale. - Trzeba było skończyć tę lekcję aktorstwa, żeby małej nie poniosło. - Teraz szybko streść scenariusz.

Wytarła nos grzbietem chudej rączki.  
- Jeśli zaczną się wściekać, powiem im, że słyszałam kłótnię. Powiem, jak bardzo się martwię, że tatuś odejdzie, nawet jeśli sprawię im przykrość. I cały czas mogę płakać. Pomyślę o czymś smutnym, na przykład że tata nas zostawi, i będę miała smutną minę.

- Zrozumiałaś. Przybij piątkę.  
Steffie się uśmiechnęła, a Ren poczuł się tak, jakby wyszło słońce.  
Gdy prowadził ją za rękę po mokrej trawie na wzgórze, przypomniał sobie wcześniejszą obietnicę i lekko się skrzywił.

- Nie musisz już chyba rozmawiać z doktor Isabel, prawda? - Nie chciał, żeby Dobra Pani zepsuła całajego pracę, a taki byłby efekt szczerzej rozmowy. Nie wystarczy nawet drżenie ust.

- Nie muszę. Ale... - Chwyciła jego dłoń trochę mocniej. - Czy mógłbyś... zostać ze mną, kiedy będę z nimi rozmawiać?  
- To nie jest dobry pomysł.  
- A ja myślę, że jest. Gdybyś ze mną został, mógłbyś, no wiesz, też smutno wyglądać.

- Wszyscy chcą reżyserować.  
- Co takiego?  
- Wierz mi, zepsułbym twoją wielką scenę. Ale obiecuję, że sprawdzę, jak sobie radzisz. A jeśli postanowię wtrącić do lochu, przeszmuguję ci jakieś batoniki.  
- Nie zrobią tego?

Lekki wyrzut w jej oczach przypomniawszy mu Isabel. Uśmiechnęła się.

- Właśnie. Więc czego się boisz?

Briggs właśnie przyjechał sprawdzić, czy Steffie wróciła, więc wszyscy byli przed domem, gdy Ren ją przyprowadził. Na jej widok oboje rodzice zaczęli biec. Padli na kolana na żwirowej ścieżce, omal nie dusząc biednego dziecka.

- Steffie! Mój Boże, Steffie!

Całowali ją, sprawdzali, czy nie jest ranna, a potem Trący próbowała obsypać pocałunkami Rena. Nawet Briggs chciał go uściskać, ale Ren szybko się schylił, żeby zawiązać sznurowadło. Isabel stała wyprostowana i wyraźnie z niego dumna. Wkurzyło go to. Czego się po nim spodziewała? Że zabije to dziecko?

Wtedy uświadomił sobie, że w pewnym momencie rozmowy ze Steffie przestał myśleć o Kasparze Streecie.

Bardzo pragnął znów dotknąć Isabel, choć minęło zaledwie kilka godzin, odkąd wyszli z łóżka. Pragnął jej nawet mimo postawionych przez nią warunków, którymi nie był zachwycony. On też nie chciał emocjonalnego zaangażowania - naprawdę nie chciał! - ale czy musiała być aż tak lodowata? Poza tym miał zagrać Kaspara Streeta. Isabel nie podobało się, że grał morderców młodych kobiet. Jak by zareagowała na wiadomość o roli zbrojnego, który molestuje dzieci?

Wreszcie odciągnął ją na bok, demonstrując, że jest przemoczony, zmarnięty do szpiku kości i głodny. No i obudził w niej kobiecy instynkt - na co liczył - i po godzinie byli już razem w łóżku.

- Gniewacie się? - szepnęła Steffie.

Harry miał w gardle gulę wielkości Rhode Island. Nie mógł mówić, więc tylko odgarnął córce włosy z czoła i potrząsnął głową. Leżała skulona w łóżku, ze swoim ukochanym misiem przytulonym do policzka. Była wykąpana i miała na sobie ulubioną koszulę nocną z niebieskiej bawełny. Pamiętał, jak była malutka i szła do niego, potykając się, z wyciągniętymi rączkami. Pod kołdrą wydawała się taka mała. Bardzo ją kochał.

- Nie gniewamy się - powiedziała cicho Trący z drugiej strony łóżka. - Ale bardzo się zdenerwowaliśmy.

- Ren obiecał, że jeśli zamkniecie mnie w lochu, przyniesie mi batoniki.

- Wariat! - Trący wygładziła prześcieradło. Makijaż zszedł jej kilka godzin temu i miała podkrążone oczy, ale wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką Harry widział w życiu.

- Przepraszam, że tak bardzo was przestraszyłam.

Trący patrzyła na nią poważnie.

- Już przeprosiłaś. Ale cały jutrzejszy ranek spędzisz w swoim pokoju.

Trący miała więcej siły niż Harry, który był skłonny zapomnieć o dyscyplinie. Ale Steffie nie uciekła z jej powodu. Zrobiła to przez niego. Czuł się bezradny i dezorientowany. Gardził samym sobą. Jak mógł się stać takim bydlakiem?

- Cały ranek? - Steffie była tak malutka i nieszczęśliwa, że omal nie odwołał narzuconej przez Trący kary i nie obiecał, że zabierze ją na lody.

- Cały ranek - powtórzyła stanowczo Trący.

Steffie chwilę się zastanawiała. Nagle zaczęły jej drżeć usta.

- Wiem, że nie powinnam uciekać tylko dlatego, że zrobiło mi się smutno, bo słyszałam twoją kłótnię z tatusiem.

Żołądek Harry'ego się ścisnął, a Trący zmarszczyła brwi.

- Do wpół do jedenastej - powiedziała szybko.

Usta Steffie przestały drżeć. Westchnęła jak dorosła osoba, z czego zwykle się śmiał.

- Chyba mogło być o wiele gorzej.

Trący pociągnęła córkę za loczek.

- Oj, mogło. Nie zamykam cię w lochu, jak mówił Ren, bo masz uczulenie.

- I jeszcze z powodu pajaków.

- To też. - Głos Trący się załamał, a Harry wiedział, że myślało tym samym. To, żeby rodzice się nie rozstawali, było dla Steffie tak ważne, że była gotowa stanąć oko w oko ze swoim najgorszym strachem. Jego córka miała więcej odwagi niż on.

Trący pochyliła się, żeby ją pocałować, trzymając się mocno wez-głowia łóżka. Została w tej pozycji jakiś czas, z zamkniętymi oczami i policzkiem przytulonym do policzka Steffie.

- Bardzo cię kocham, malutka. Przymknij, że już nigdy czegoś takiego nie zrobisz.

Harry wreszcie odzyskał głos.

- I przymknij, że następnym razem, kiedy coś cię zdenerwuje, powiesz nam, o co chodzi.

- Nawet jeśli sprawi wam to przykrość?

- Nawet wtedy.

Wcisnęła misia pod podbródek.

- Czy ty... wyjedziesz jutro?

Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko pokręcił głową.

Trący poszła sprawdzić, co u Connora i Brittany, którzy mieszkali w jednym pokoju- przynajmniej do chwili, gdy budzili się i szli do ojca. Jeremy siedział jeszcze na gorze, grał na komputerze.

Harry i Trący nie byli ze sobą sami od okropnej kłótni tego popołudnia. Harry nie chciał być z nią sam teraz, gdy czuli się tak podle, ale przecież rodzice nie zawsze mogą robić to, co chcą.

Trący zamknęła drzwi i wyszła do przedpokoju. Oparła się plecami o ścianę. Robiła to w końcowej fazie ciąży, żeby zmniejszyć napięcie. Przy poprzednich ciążach Harry ją masował, ale teraz tego nie robił.

Miał coraz większe poczucie winy.

Położyła dłoń na brzuchu. Znikła beczelna, rozpieszczona dziewczyna, z którą dwanaście lat temu zaczął wspólne życie. Stała przed nim boleśnie piękna kobieta o smutnych oczach.

- Co zrobimy? - szepnęła.

Co ty zrobisz? - chciał zapytać. To ona odeszła. Ona nigdy nie była zadowolona. Zdjął okulary i przetarł oczy.

- Nie wiem.

- Nie potrafimy już rozmawiać.

- Potrafimy.

- Nie. My tylko obrzucamy się wyzwiskami.

Nic podobnego. To ona miała ostry język i wybuchowy temperament. On ograniczał się do uników.

- Ja cię nie obrażam. - Wsunął okulary na nos.

- No pewnie.

Nie powiedziała tego sarkastycznie, ale miał wrażenie, że węzeł w jego żołądku zaciska się coraz mocniej.

- To, co się dziś stało, było gorsze niż wyzwiska.

Mimo dobrych chęci powiedział to oskarżycielskim tonem, więc przygotował się na atak gniewu, ale ona tylko zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę.

Tak, zgadzam się z tobą.

Chciał ją objąć i błagać, żeby przestała się gniewać, ale ona podjęła już decyzję, na którą nie miał żadnego wpływu. A skoro nie mógł jej tego wytłumaczyć, nie widział szans dla ich związku.

- Dzisiejsze zdarzenie dowodzi, że od początku miałem rację. Musimy się wziąć do roboty. Chyba oboje to rozumiemy. Musimy jak najszybciej zrobić to, co należy.

- Czyli?

Na jej twarzy dostrzegł szczere zdziwienie. Jak mogła nie rozumieć? Próbował ukryć złość.

- Zaczniemy zachowywać się jak dorośli.

- Ty zawsze zachowujesz się jak dorosły. Ja chyba mam z tym kłopoty.

Tak rzeczywiście było - to właśnie próbował jej przekazać - ale miała tak bezradną minę, że krajało mu się serce. Dlaczego nie mogła się przystosować? Dlaczego nie mogli iść dalej? Szukał właściwych słów, ale targało nim zbyt wiele uczuć. Trący uważała, że w chwilach złego nastroju należy wszystko rozpamiętywać, a on myślał inaczej. Dostrzegł tylko wady takiego postępowania.

Na chwilę zamknęła oczy. Powiedziała łagodnie:

- Powiedz, co mogę zrobić, żeby cię uszczęśliwić.

- Bądź rozsądna! Ludzie się zmieniają. My się zmieniliśmy. Jesteśmy starsi, życie daje nam w kość. Nie spodziewaj się, że zawsze będzie tak pięknie jak na początku. Ciesz się tym, co mamy.

- Chodzi ci o stagnację?

Kłębili się w nim emocje.

- Musisz być realistą. Ja zresztą też. Małżeństwo nie może zawsze być usłane różami. Nie nazwałbym tego stagnacją.

- A ja tak. - Miała potargane włosy. Odepchnęła się od ściany. - Dla mnie to jest stagnacja, więc się nie zgadzam. Nie chcę udawać. Będę walczyć, nawet jeśli tylko ja w naszym małżeństwie mam do tego zapał.

Podniosła głos, ale nie mogli znów się kłócić, bo Steffie była za blisko.

- Nie możemy tu rozmawiać. - Wziął ją pod ramię i poprowadził korytarzem. - To, co mówisz, nie ma sensu. Nigdy, ani razu w całym naszym małżeństwie nie powiedziałaś niczego, co miałoby dla mnie sens.

- Bo masz komputer zamiast mózgu! - krzyknęła, gdy skręcili do drugiego skrzydła domu. - Nie boję się walczyć. Będę walczyć. Jeśli trzeba, oboje zalejemy się krwią.

- Urządzasz kolejną scenę. - Był przerażony własnym gniewem, ale nie mógł się uspokoić. Otworzył najbliższe drzwi, wszedł z nią do środka i zapalił światło. Wielki pokój, wielkie meble. Sypialnia pana domu.

- Naszych dzieci nie będą wychowywać rodzice, któich małżeństwo jest fikcją! - krzyknęła.

- Przestań! - Wmawiał sobie, że kieruje nim gniew. Gniew, nie rozpacz, bo nad gniewem można zapanować. - Jeśli nie przestaniesz...

Czuł się potworem. - Nie możesz tak postępować. - Wciągnął powietrze.

- Musisz przestać. Przestań, zanim wszystko zniszczysz.

- Jak mogę zniszczyć...

Czuł się tak, jakby w głowie wybuchła mu bomba.

- Mówiąc rzeczy, których nie można cofnąć.

- O co ci chodzi? O to, że przestałeś mnie kochać? - W jej oczach zalśniły łzy złości. - O to, że jestem gruba, a przyjemność pieprzenia kobiety w ciąży minęła troje dzieci temu? O to, że nie umiem się posługiwać książeczką czekową, gubię twoje kluczyki do samochodu i że co rano budzisz się z żalem, że nie poślubiłeś kobiety tak uporządkowanej jak Łsabel? Tego mam nie mówić?

Trący potrafiła godzinami gadać od rzeczy. Chciał nią potrząsnąć.

- Nigdy nie rozwiążemy problemu, jeśli nie będziesz logiczna.

- Bardziej logiczna być nie umiem.

Usłyszał w jej głosie rozpacz, którą czuł w sobie. Ale dlaczego miałyby się czuć zrozpaczona, skoro plotła takie bzdury?

Nigdy nie miała przy sobie chusteczek, więc wytarła nos wierzchem dłoni.

- Dzisiaj zapytałeś, jak mógłbyś mnie uszczęśliwić, a ja uciekłam, zamiast odpowiedzieć. Wiesz, co chciałam ci powiedzieć?

Wiedział i nie chciał tego słuchać. Nie chciał słuchać, że jest nudny, łysieje i w niczym nie przypomina mężczyzny, na którego ona zasługuje. Nie chciał słuchać, że spełnił swój obowiązek, dając jej dzieci, i że powinien teraz ustąpić miejsca komuś bardziej pasującemu do niej.

Na jej policzkach zalśniły łzy.

- Kochaj mnie, Harry. To właśnie chciałam powiedzieć. Kochaj mnie tak jak kiedyś. Jakbym była kimś wyjątkowym, a nie krzyżem, który musisz dźwigać. Jakby to, że się różnimy, było dobre, a nie złe. Chcę, żeby znów było jak wtedy, gdy patrzyłeś na mnie, jakbyś nie wierzył, że naprawdę jestem twoja. Jakbym była najcudowniejszą istotą na świecie. Wiem, że już tak nie wyglądam. Wiem, że mam rozstępy, a piersi, które tak kochałeś, teraz opadają mi do kolan. Jestem na to wściekła. Wściekam się, że nie kochasz mnie tak jak kiedyś, i dlatego, że każesz mi żebrać o miłość!

To było absurdalne. Kompletnie nielogiczne. Myliła się tak bardzo, że nic wiedział, jak jej to wytłumaczyć. Ze wszystkich... Otworzył usta, ale od czego zacząć? Pustka. Zamknął i spróbował jeszcze raz. Za późno. Już uciekła.

Stał łak, odrętwiały, próbując zrozumieć, dlaczego to powiedziała. Była dla niego wszystkim. Jak mogła choć przez chwilę myśleć, że już jej nie kocha? Była dla niego jak pępek świata, jak powietrze, bez którego by umarł. To nie on... To ona nie potrafiła go już kochać.

Usiadł na krawędzi łóżka i podparł czoło dłońmi. Trący myśli, że on jej nie kocha? Chciało mu się wyć.

Skrzypnęły drzwi. Zjeżyły mu się włoski na karku, bo odgłos nie dobiegał z korytarza, lecz gdzieś z pokoju.

Podniósł głowę. Tam była łazienka... Żołądek ścisnął mu się ze strachu, gdy otworzyły się drzwi i wyszedł mężczyzna. Wysoki, przystojny, z burzą włosów na głowie.

Ren Gage pokręcił głową i patrzył na Harry'ego z litością.

— Stary, ale masz przerąbane.

Jakby sam nie wiedział.

## Rozdział 17

**F**orcinil  
Mokra gałązka uderzyła Łsabel w twarz, gdy Giulia wyskoczyła przed nią z krzaków. Łsabel pomyślała, że zniszczy sobie adidas, chodząc w nich po mokrej od wczorajszego deszczu ściółce. Pobiegnęła w stronę zwalonego drzewa i ukucnęła obok Giulii przed wianuszkami brązowych, aksamitnych *porcini*. Ich płaskie kapelusze były tak duże, że mogły się pod nimi skryć leśne wróżki.

- Mmm... złoto Toskanii. - Giulia wyciągnęła szczyryk, obcięła grzybki tuż przy ziemi i ułożyła je w koszu. Łsabel wiedziała już, że *fungaroli* nigdy nie zbierają grzybów do plastikowych torebek, lecz do koszy, żeby spora i kawałki korzonków spadały na ziemię - w następnym roku wyrosną nowe grzyby. - Szkoda, że Vittorio nie mógł się z nami wybrać. Narzeka, kiedy budzę go o świcie, ale uwielbia grzybobranie.

Łsabel żałowała, że nie ma z nimi Rena. Gdyby poprzedniego wieczoru nie odesłała go do willi, mogłaby obudzić go nad ranem i zaciągnąć do lasu. Chociaż byli kochankami od zaledwie dwudziestu czterech godzin, wczorajszej nocy szukała go przez sen i budziła się, nie mogąc znaleźć. Był jak narkotyk. Niebezpieczny narkotyk. Mieszanka kokainy z heroiną. Kiedy romans się skończy, będzie musiała przeprowadzić program dwunastu kroków.

Wsunęła palce pod sweter i dotknęła złotej bransoletki. Oddychaj. Bądź skupiona i oddychaj. Czy będzie miałajeszcze okazję, żeby zbierać *porcini* w lasach Toskanii? Mimo wilgoci, nieobecności Rena i ciągłego



strzykania w kregosłupie czuła się świetnie. Ranek był jasny i czysty, Steffie nic się nie stało, a ona miała kochanka.

- Powąchaj. Nie do opisanego, prawda?

Isabel wciągnęła ostro *zapachfunghi* i pomyślała o seksie. Wszystko kojarzyło jej się z seksem! Już czekała na powrót do domku i spotkanie z Renem. O dziesiątej przyjdą ludzie z miasteczka, żeby do końca rozebrać mur, a on będzie im pomagać.

Przypomniała sobie, że wczoraj przed wyjściem miał bardzo zły nastrój. Z początku myślała, że to przez nią, bo go wyrzuciła, ale się rozśmiała. Gdy zapytała, co się stało, odpowiedział krótko, że jest zmęczony. Nie przekonał jej. Może to była opóźniona reakcja po odnalezieniu Steffie. Jedno wiedziała na pewno: Ren doskonale się maskuje, więc jeśli nie chce jej powiedzieć, co mu jest, ona ma bardzo małą szansę się domyślić.

Ruszyły dalej, wyteżając wzrok. Laskami, które wzięła Giulia, odsuwały gałęzie krzewów przy korzeniach drzew i obok gnijących kłód. Deszcz ożywił spieczoną słońcem ziemię, a w powietrzu unosił się zapach rozmarynu, lawendy i dzikiej szalwii. Isabel znalazła *porcini* pod stosem liści i włożyła je do koszyka.

- Bardzo dobrze ci idzie - powiedziała Giulia szeptem, a szeptała całe rano. *Porcini* były cenne, a grzybobranie uważała za tajną operację. Kosz miał nawet przykrywą, na wypadek gdyby mijały kogoś w lesie, choć przecież nikt nie dałby się nabrać. Ziewnęła po raz czwarty w ciągu czterech minut.

- Nie wyspałaś się? - zapytała Isabel.

- Wczoraj pojechałam do Vittoria do Montepulciano, a przedwczeraj do Pienzy. Wracalam bardzo późno.

- Zawsze do niego jeździsz, kiedy nie ma go w mieście?

Giulia zajrzała pod chwasty, pod którymi szukała ledwie przed chwilą.

- Czasami. W niektóre noce.

Cokolwiek to znaczyło.

Ponieważ dochodziła dziesiąta, wrócili do domku. Na zmianę niosły pełny kosz. Ludzie już zaczęli się schodzić, a Ren przyglądał się murowi. Miał na sobie zakurzone buty, dzinsy i spłowiwały podkoszulek, ale wyglądał jak na pokazie mody. Na jej widok uśmiechnął się tak, że rozwiął się cały chłód poranka. Na widok kosza szerzej otworzył oczy.

- Może postawię go w bezpiecznym miejscu?

- O nie!

Ale było już za późno. Wyrwał kosz Giulii i zniknął z nim w domku.

- Szybko. - Isabel chwyciła Giulie za ramię i pociągnęła ją do kuchni. - Oddaj to natychmiast. Nie można ci ufać.

- Ranisz mnie. - Oczy oszusta patrzyły teraz niewinnie jak oczka ministranta. - Właśnie miałem zaproponować, że ugotuję nam czworgu kolację. Nic wielkiego. Możemy zacząć od przysmażonych *porcini* na opiekanych *crostini*. Potem może spaghetti *al porcino*, z lekkim sosem, bardzo prostym. Podsmażę grzyby na oliwie z oliwek z dodatkiem czosnku i posypię świeżą natką pietruszki. Te większe możemy upiec i wykorzystać do sałatki z rukwi wodnej. Oczywiście jeśli się zapędziłem...

- Koniecznie! - Giulia podskoczyła jak dziecko. - Vittorio dziś przyjedzie. Wiem, że teraz nasza kolej, by zaprosić was na kolację, ale ty lepiej gotujesz, więc dziękuję w imieniu nas obojga.

- Do zobaczenia o ósmej. - *Porcini* znikły w kredensie.

Zadowolona Giulia wyszła do ogrodu, żeby przywitać się ze znajomymi. Ren zerknął na zegarek, uniósł władczo brew i aroganckim gestem wskazał kciukiem sufit.

- Ty. Na górę. Już. Biegiem.

Nie on jeden umiał się bawić. Ziewnęła.

- Raczej nie.

- Chyba muszę zastosować bardziej drastyczne środki.

- Wiedziałam, że zapowiada się dobry dzień.

Ze śmiechem zaciągnął ją do salonu, przycisnął do ściany i pocałował tak, że zakręciło jej się w głowie. Niestety, z kuchni zawołała ich Giulia.

Pracujący przy murze ludzie z ożywieniem i dramatycznymi gestami rozprawiali o tym, jak wielką poczują ulgę, gdy znajdą ukryte pieniądze Paola i nie będą musieli się bać o własne życie. Isabel zastanawiała się, czy całe miasteczko może dostać Oscara za aktorstwo.

Trący przysła z Martą i Connorem, a pół godziny później pojawił się Harry z pozostałymi dziećmi. Był zmęczony i załamany. Isabel zaskoczona patrzyła, jak podchodzi do niego Ren i o czymś rozmawiają.

Steffie stała przy ojcu. Odeszła tylko na chwilę, żeby coś uzgodnić z Renem. Chyba lubił jej towarzystwo - dziwne, bo przecież skarżył się na obecność dzieci w domu. Może wczorajszy incydent go odmienił. Przykucnęła nawet, żeby porozmawiać z Brittany, mimo że zdjęła T-shirt.

Zauważywszy, że Ren okazuje tyle zainteresowania jego siostrą, Jeremy zaczął rozrabiać, ale rodzice byli chyba zbyt przygnębieni, żeby to zauważyć. Ren z podziwem popatrzyła jego mięśnie, po czym zapędził go do noszenia kamieni.

Isabel wolała pomagać w kuchni, niż pracować fizycznie, więc z innymi kobietami robiła kanapki i nalewała wodę do dzbanków. Marta zganiła ją o włosku - choć raczej łagodnie - że za cienko pokroiła *apanforte*. Ludzie, którzy wcześniej byli do niej wrogo nastawieni, teraz po kolei starali się jej to wynagrodzić. Giancarlo przeprosił za incydent z duchem, a Bernardo, który tego ranka nie miał służby, przedstawił jej swoją żonę Fabiolę - miała wyjątkowo smutne oczy.

Po pierwszej pojawił się przystojny Włoch o gęstych, kręconych włosach. Giulia przedstawiła go Isabel.

- To brat Vittoria, Andrea. Jest naszym lekarzem. Zamknął gabinet na całe popołudnie, żeby pomóc w poszukiwaniach.

- *Piacere, signora*. Miło mi panią poznać. - Wyrzucił papierosa. - Fatalny nałóg, wiem. Zwłaszcza dla lekarza.

Andrea miał niewielką bliznę na policzku i patrzył łobuzersko. Gdy rozmawiali, poczuła, że Ren przygląda im się z muru. Próbowowała sobie wmówić, że jest zazdrosny. Mało prawdopodobne, ale takie fantazjowanie sprawiało jej przyjemność.

Podeszła Trący. Isabel przedstawiła ją Andrei i poprosiła, by polecił jej miejscowego ginekologa.

- Ja przyjmuję dzieci w Casalleone.

- Ich matki mają szczęście. - Trący odpowiedziała zalotnie, ale Isabel podejrzewała, że ten pokaz był przeznaczony dla stojącego w pobliżu Harry'ego.

Po południu mur został rozebrany do końca i radosny nastrój przysłabł. Znaleźli tylko kilka martwych myszy i trochę ceramicznych skorup. Giulia stała sama na wzgórzu, ze spuszczoną głową. Bernardo pocieszał swoją żonę o smutnych oczach. Niejaka Tereza, która była chyba krewną Anny, trzymała matkę za ręce. Andrea Chiara rozmawiał z jednym z młodszych mężczyzn, który palił papierosa i kopał nogą w ziemię.

Wtedy przyszedł Vittorio. Widząc, w jakim wszyscy są nastroju. Natychmiast podeszedł do Giulii. Isabel patrzyła, jak prowadzi ją pod pergolę i bierze w ramiona.

Zbliżył się Ren.

- Czuję się jak na pogrzebie.

- Tu chodzi o coś naprawdę ważnego.

- Chciałbym wiedzieć o co.

Giulia odsunęła się od Vittoria i podeszła do nich. Miała łzy w oczach.

- Wybaczcie, że nie przyjdziemy na kolację? Źle się czuję. Zostanie więcej *parciu* i dla was.

Isabel przypomniała sobie, jak bardzo Giulia cieszyła się na tę kolację.

- Tak mi przykro. Mogę ci jakoś pomóc?

- Potrafisz dokonać cudu?

- Nie, ale mogę się pomodlić.

Giulia uśmiechnęła się słabo.

- W takim razie musisz się modlić bardzo żarliwie.

- Byłoby łatwiej, gdybym wiedziała, o co prosić Boga.

Vittorio stał przy pergoli. Giulia odwróciła się do niego i spojrzała błagalnie. Pokręcił głową. Isabel widziała złość w twarzy Giulii i uznała, że czas ich przycisnąć.

- Nie pomożemy wam, jeśli nie powiecie prawdy.

Giulia pocierała dłoń drugą dłonią.

- Nie sądzę, żebyście mogli pomóc.

- Macie jakieś kłopoty?

Zamachała rękami,

- Widzisz dziecko w moich ramionach? Tak, mam kłopoty.

Vittorio usłyszał i natychmiast przyskoczył do niej.

- Wystarczy, Giulio.

Ren chyba czytał w myślach Isabel, bo zrozumiał, że muszą się rozdzielić i działać w pojedynkę. Isabel objęła Giulie ramieniem, a on stanął przed Vittoriem.

- Może pogadamy?

Isabel szybko zaprowadziła Giulie do samochodu.

- Przejedźmy się.

Giulia bez protestu wsiadła do pandy. Isabel wyjechała na drogę. Odezwała się dopiero po kilku minutach.

- Przypuszczam, że macie ważny powód, żeby kłamać.

Giulia ze znużeniem potarła oczy.

- Skąd wiesz, że kłamię?

- Bo twoja historia bardzo przypomina scenariusz filmów, w których grał Ren. Poza tym nie sądzę, żeby było ci aż tak smutno z powodu skradzionych pieniędzy.

- Jesteś bardzo mądrą kobietą. - Przeczesała włosy palcami i odgarnęła je za ucho. - Nikt nie chce wyjść na idiotę.

- Boisz się, że mówiąc prawdę, wyjdiesz na idiotkę? A może Vittorio zabronił ci mówić?

- Myślisz, że milczę, bo tak kazał mi Vittorio? - Zaśmiała się gorzko. - Nie. To nie przez niego.

- Więc dlaczego? Widzę, że potrzebujesz pomocy. Ren i ja mogli-  
byśmy spojrzeć na wasz problem z innej perspektywy.

- Raczej nie. - Skrzyżowała nogi. - Jesteście dla mnie bardzo mili.
- Od czego są przyjaciele?
- Jesteś dla mnie lepszą przyjaciółką niż ja dla ciebie.

Gdy mijały mały domek, przy którym jakaś kobieta pracowała  
w ogródku, Isabel czuła, że Giulia toczy wewnętrzną walkę.

- Nie chodzi tylko o mnie - powiedziała w końcu. - To sprawa całego  
miasteczka i wszyscy się na mnie rozgniewają. - Wzięła chusteczkę  
z paczki, którą Isabel zostawiła na siedzeniu, i energicznie wydmuchała  
nos. - A zresztą... powiem ci. Jeśli pomyślisz, że to głupie... nie będę  
miała pretensji.

Isabel czekała. Giulia przez chwilę szybko oddychała, w końcu wes-  
tchnęła z rezygnacją.

- Szukamy *Ombra delia mattina*.

Isabel dopiero po kilku chwilach przypomniała sobie wotywny posą-  
żek etruskiego chłopca z muzeum Guarnacci, *Ombra delia sera*. Zwolni-  
ła, żeby przepuścić furgonetkę.

- Co to znaczy *Ombra delia mattina*!

- Cień poranka.

- Posążek w Volterze nazywa się *Cień wieczoru*. To nie jest zbieg  
okoliczności, prawda?

- *Ombra delia mattina* to drugi posążek z kompletu. Kobięcy. Trzy-  
dzieści lat temu znalazł go nasz ksiądz, sadząc róże przy cmentarnej bra-  
mie.

Tak jak podejrzewał Ren.

- A ludzie z miasteczka nie chcą go zwrócić rządowi.

- Nie myś, że powoduje nami zwykłą chciwość. Gdyby to było ta-  
kie proste!

- Ale to jest bardzo cenny przedmiot.
- Tak, jednak z innego powodu, niż myślisz.
- Nie rozumiem.

Giulia dotknęła perłowego kolczyka. Była wyczerpana.

*Ombra delia mattina* ma specjalną moc. Dlatego nie mówimy o tej  
figurce ludziom z zewnątrz.

- Jaka to moc?

- Nie zrozumiesz, bo nie urodziłaś się w Casalleone. Nawet ci z nas,  
którzy się tu urodzili, nie wierzyli. - Zrobiła jeden ze swoich drobnych,  
wdzięcznych gestów. - Śmialiśmy się, kiedy rodzice opowiadali nam hi-  
storie o posążku, ale teraz nie jest nam do śmiechu. - Wreszcie spojrzała

na Isabel. - Trzy lata temu posążek znikł i od tej pory żadna kobieta  
w promieniu trzydziestu kilometrów od miasteczka nie może począć dziec-  
ka.

- Od trzech lat żadna kobieta nie zaszła tu w ciążę?

- Udało się tylko tym, które wyjechały.

- Naprawdę wierzysz, że wiąże się to ze zniknięciem posążka?

- Vittorio i ja skończyliśmy studia. Czy w to wierzymy, racjonalnie?

Nie. Ale jednak... pary, które mają dzieci, poczęły je z dala od Casalle-  
one, a nie zawsze jest to proste.

Isabel wreszcie zrozumiała.

- Dlatego zawsze wyjeżdżasz, żeby spotkać się z Vittorioem. Próbu-  
jecie począć dziecko.

Giulia wykręcała sobie palce.

- Dlatego nasi przyjaciele Cristina i Enrico, którzy chcąc mieć drugie  
dziecko, muszą zostawiać córkę z babcią, żeby wyjeżdżać na noc. Sauro  
i Tea Grifasi jadą daleko na wieś, żeby się kochać w samochodzie,  
a potem wracają do domu. Sauro wyleciał w zeszłym miesiącu z pracy,  
bo zasypiał i się spóźniał. Dlatego Anna cały czas jest smutna. Bernardo  
i Fabiola nie mają dziecka, więc ona nie może zostać babcią.

- Aptekarka z miasteczka jest w ciąży. Widziałam ją.

- Pół roku mieszkała w Livorno, u swojej siostry, która zawsze  
wszystkich krytykuje. Mąż dojeżdżał co noc. Teraz się rozwodzą.

- Ale co ma z tym wspólnego stary Paolo? I o co chodzi z domkiem?

Giulia potarła oczy.

- Paolo ukradł posążek.

- Paolo podobno nie lubił dzieci - powiedziała wieczorem Isabel  
Renowi, gdy stali razem w kuchni, czyszcząc *porcini* mokrymi szmatka-  
mi. - Nie lubił hałasu i narzekał, że z powodu dzieci trzeba wydawać za  
dużo pieniędzy na szkoły.

- Doskonale go rozumiem. Czyli postanowił zmniejszyć wskaźnik  
urodzeń, kradnąc posążek. Postradałaś rozum, że w to wierzysz?

- Giulia mówiła prawdę.

- Nie wątpię. Nie mogę tylko zrozumieć, że bierzesz na poważnie te  
moce posążku.

- Bóg ma swoje tajemne sposoby. — Ren jak zwykle bałaganił w kuch-  
ni, więc zaczęła sprzątać blat.

- Oszczędź mi tego.

- Nikt nie począł dziecka w Casalleone, odkąd skradziono posążek.

- A ja jednak nie będę wyrzucał tych twoich prezerwatyw. Czy to nie obraża twojej akademickiej wiedzy?

- Skądże. - Włożyła brudne naczynia do zlewu. - Uczyłam się o tym. Umysł ludzki jest bardzo potężny.

- Panuje tu masowa histeria? Kobiety nie poczynają dzieci, bo wmo-  
wiły sobie, że nie mogą?

- Zdarzały się już takie przypadki.

- Bardziej podobała mi się historia o mafii.

- Tylko dlatego, że były w niej pistolety.

Uśmiechnął się i pocałował ją w nos, potem w usta, potem w pierś i minęło kilka minut, zanim oprzytomnieli.

- Gotuj - powiedziała cicho. - Od rana czekam na te grzyby.

Jęknął i chwycił nóż.

- Wyciągnęłaś z Giulii o wiele więcej niż ja z Vittoria. Muszę ci to przyznać. Ale posążek znikł trzy lata temu. Dlaczego wszyscy czekali aż do teraz, żeby zacząć kopać?

- Miejscowi księża trzymali posążek w zakrystii...

- Czyż to nie urocze, jak pogaństwo współistnieje z chrześcijań-  
stwem?

- Wszyscy wiedzieli, że tam jest - powiedziała, płucząc miseczkę. - Miejscowi urzędnicy bali się buntu całego miasteczka, więc przymykali oczy. Paolo od lat pomagał w kościele, ale nikt nie powiązał go ze znik-  
nięciem posążka. Dopiero po jego śmierci ludzie to skojarzyli i zaczęli sobie przypominać, że nie lubił dzieci.

Ren przewrócił oczami.

- Podejrzane.

- Marta zawsze go broniła. Mówiła, że nie miał nic przeciwko dzie-  
ciom. Że był tylko *imbronciato* przez artretyzm. Co to znaczy *imbroncia-  
to*?

- Zrzędlivy.

- Twierdziła, że był dobrym ojcem dla swojej córki. Polecał nawet do Stanów, gdy urodziła się jego wnuczka. Ludzie zaczęli więc wymy-  
ślać inne plotki. Zrobiło się paskudnie.

Strzelanina?

- Przykro mi, nie. - Wytarła kawałek blatu. - W przeddzień mojego  
przyjazdu Anna przysłała tu Giancarla, żeby posprzątał w domku. Wiesz,  
co znalazł w murze, gdy przypadkiem kopnął któryś z kamieni?

- Wstrzymuję oddech.

- Marmurowy cokolik, na którym kiedyś stał posążek. Cokolik też  
został skradziony.

- To wyjaśnia nagłe zainteresowanie murem.

Wytarła ręce.

- Wszyscy w miasteczku oszaleli. Zamierzali rozebrać ścianę, tylko  
że pojawiła się przeszkoda.

- Ty.

- Właśnie.

- Uprościliby sobie życie, od razu mówiąc nam prawdę.

- Jesteśmy z zewnątrz, więc nie ufali żadnemu z nas, zwłaszcza to-  
bie.

- Dzięki.

- Co by im dało znalezienie posążka, gdybyśmy donieśli o tym wła-  
dzom? - zapytała. - Miejscowi politycy przymykają oko na bezcenny  
etruski przedmiot, stojący w zakrystii, ale urzędnicy z reszty kraju mogli-  
by nie być tak mili. Wszyscy się bali, że posążek zostanie zamknięty  
w gablocie w Volterze, obok *Ombra della sera*.

- Tam jest jego miejsce. - Trzonkiem noża rozgniół ząbek czosnku.

- Powęszyłam trochę, kiedy ćwiczyłeś. Spójrz. - Wzięła pożąłką  
kopertę, którą znalazła w salonie na półce z książkami, i wyłożyła zawar-  
tość na kuchenny stół. Było tam kilkadziesiąt zdjęć wnuczki Paola, wszyst-  
kie opisane na odwrocie.

Ren wytarł ręce i podszedł bliżej. Wskazała fotografię człowieka  
w podeszłym wieku, z dzieckiem, na ganku białego domku.

- Najstarsze zdjęcie. To Paolo. Musiało zostać zrobione, gdy pole-  
ciał do Bostonu, niedługo po narodzinach wnuczki. Ma na imię Josie,  
skrót od Josephina.

Niektóre fotografie przedstawiały Josie na obozie, inne - na waka-  
cjach z rodzicami w Wielkim Kanionie. Na kilku była sama. Isabel pod-  
niosła ostatnie dwa zdjęcia.

- To jest Josie w dniu ślubu, sześć lat temu. - Miała ciemne kręcone  
włosy i uśmiechała się szeroko. - A to zdjęcie Josie z mężem zostało  
zrobione niedługo przed śmiercią Paola. - Odwróciła fotografię, żeby  
pokazać mu datę.

- Takich zdjęć nie trzyma ktoś, kto nienawidzi dzieci - przyznał Ren.  
- Może więc Paolo nie zabrał posążka.

- To on zbudował mur. Po nim też został ten gruz.

- Niezbyt przekonujący dowód. Ale jeśli posążka nie ma w murze,  
to gdzie jest?

- Nie w domu - powiedziała. - Anna i Marta przeszukały każdy  
centymetr. Ludzie mówią coś o przeoraniu ogrodu, ale Marta by zauważy-  
ła, gdyby Paolo schował tam posążek, więc kategorycznie się nic zgadza.

W pobliżu muru, gaju oliwnego, a nawet winnicy jest wiele miejsc, gdzie Paolo mógł zakopać posążek. Powiedziałam Giulii, żeby przynieśli wykrywacze metalu.

- Gadżety. To lubię.
- Dobrze. - Zdjęła ściereczkę, którą przewiązała się w talii. - Dość gadania. Wyłącz piecyk i natychmiast się rozbierz.
- Drgnął i upuścił nóż.
- Omal nie obciąłem sobie palca!
- Skoro tylko palca... - Uśmiechnęła się i zaczęła rozpinąć bluzkę. - Kto mówi, że nie potrafię być spontaniczna?
- Nie ja. Dobrze, odzyskałem oddech. - Patrzył na rozpinające się guziki. - Która godzina?
- Dochodzi ósma.
- Cholera. Lada moment przyjdą goście. - Wyciągnął rękę, ale Isabei zmarszczyła brwi i odchyliła się w tył.
- Myślałam, że Giulia i Vittorio odwołali wizytę.
- ~ Zaprosiłem Harry'ego.
- Przecież go nie lubisz. - Cofnęła się o krok i zaczęła zapinać guziki. Westchnął.
- Skąd ci to przyszło do głowy? To świetny facet. Możesz zostawić kilka rozpiętych? Traćy też przyjdzie.
- Dziwne, że przyjęła zaproszenie. Dziś nawet nie chciała na niego spojrzeć.
- Nie powiedziałem jej, że będzie Harry.
- Czyż nie zapowiada się miły wieczór?
- Nie było innego sposobu. Rano pokłócili się na dobre i Traćy go unika. Bardzo się zdenerwował.
- Powiedział ci to?
- Chłopaki się sobie zwierzają. My też mamy uczucia.
- Uniosła brew.
- No dobrze. Jest trochę zdesperowany, a ja jestem jedynym mężczyzną w pobliżu, z którym może pogadać. Ten facet to kompletny palant w sprawach kobiet. Jeśli mu nie pomogę, zostaną tu na zawsze.
- Ale ten kompletny palant jedenaście lat jest mężem i został ojcem pięciorga dzieci, a ty...
- A ja mam pomysł, który może ci się spodobać. Pomysł, który nie manie wspólnego z bijącymi się Briggsami, poza tym, że musimy się ich pozbyć, żeby go zrealizować.
- Co to za pomysł? - Schyliła się po nóżki grzybków, które upuścił na podłogę.

- Mała seksualna gra kostiumowa. Ale będzie nam potrzebna willa, czyli cała rodzina i opiekunki do dzieci muszą zniknąć.
- Gra kostiumowa? - Grzyby znów spadły na podłogę.
- Seksualna gra kostiumowa. Noc. Świece. Grzmoty, jeśli nam się poszczęści. - Podniósł kieliszek i obracał nóżkę w palcach. - Pozbawiony skrupułów książę Lorenzo zobaczył w miasteczku ładną chłopkę nie pierwszej już młodości...
- Hej!
- Co jeszcze bardziej go podnieca.
- Cholerny oryginał.
- Chłopka słynie w całej okolicy ze swej cnoty i dobrych uczynków, więc odrzuca jego umizgi, choć jest najprzystojniejszym facetem w regionie. Co tam, nawet w całych Włoszech.
- Tylko we Włoszech? Ale cnotliwe kobiety są nieprzejednane. Facio nie ma szans.
- Czy już mówiłem, że książę Lorenzo jest też najinteligentniejszym mężczyzną w okolicy?
- Och, rzeczywiście, to komplikuje sprawę.
- Więc grozi, że spali całą wioskę, jeśli ona mu się nie odda.
- Potwór. Ona naturalnie mówi, że prędzej się zabije.
- On nie wierzy w to ani przez chwilę, bo dobre katoliczki nie popełniają samobójstwa.
- Coś w tym jest.
- Machnął nożem.
- Akcja zaczyna się w nocy, gdy chłopka przychodzi do opuszczonej, oświetlonej świecami wi'li księcia. Tak się składa, że willa stoi na szczycie tego wzgórza.
- Niesamowity zbieg okoliczności.
- Przychodzi w sukience, którą wysłał jej po południu.
- Już to widzę. Sukienka jest biała i prosta.
- Jaskrawoczerwona i wyzywająca,
- Co tylko podkreślaj cnotę.
- Książę nie traci czasu na wstęp. Ciągnie ją na górę...
- Podnosi ją jedną ręką i niesie na górę.
- Choć nasza chłopka nie jest wagi piórkowej, ale na szczęście on dużo ćwiczy. Znosi ją do łazienki, każe jej się powoli rozebrać... A sam obserwuje.
- Oczywiście jest już nagi, bo w willi jest bardzo gorąco.
- A w sypialni jeszcze goręcej. Mówiłem już, jaki jest przystojny?
- Chyba wspomniałeś.

- Przychodzi więc czas, kiedy jest zmuszona mu się oddać.
- Nie sądzę, żeby spodobała mi się ta rola.
- Bo masz świra na punkcie władzy,
- I tak się składa, że ona też.

Zmierzał do nieuniknionego.

- Ona czuje, że on zaraz się na nią rzuci, i co dostrzega kątem oka?

Może kajdanki?

- To w tamtych czasach były kajdanki?
- A raczej kajdany. Leżą w zasięgu jej ręki.
- Wygodnie.

- Gdy jego płonące żądzą oczy patrzą gdzieś indziej... - Płonące żądzą oczy Rena skupiły się na jej piersiach. - Ona sięga za niego, chwytając kajdany i mu je zakłada.

- Pukałem, ale nikt się nie odzywał.

W drzwiach stał Harry z bardzo nieszczęśliwą miną.

- Przerabialiśmy ten numer z kajdankami - rzucił ponuro. - Było świetnie.

- Ach. - Isabel odchrząknęła.
- Mogłeś zapukać - warknął Ren.
- Pukałem.

Isabel wzięła butelkę wina.

- Może otworzysz? Dam ci kieliszek.

Właśnie skończył nalewać, kiedy weszła Trący. Na widok męża natychmiast się nastroszyła.

- Co on tu robi?

Ren pocałował ją policzek.

- Isabel go zaprosiła. Odradzałem jej to, ale ona zawsze wie lepiej.

Kiedyś Isabel by się broniła, ale teraz miała do czynienia z samymi szaleńcami, więc po co się wysilać?

- Pomyślałem, że to najlepsze wyjście - powiedział Harry. - Cały dzień próbowałem z tobą porozmawiać, ale ty uciekałaś.

- Bo na twój widok robi mi się niedobrze.

Nie odgryzł się.

- Wyjdźmy na dwór, Trący. Na kilka minut. Chcę ci powiedzieć kilka rzeczy, ale muszą to zrobić na osobności.

Trący odwróciła się do niego tyłem, objęła Rena w pasie i oparła mu policzek na ramieniu.

- Nie powinnam była się z tobą rozwodzić. Byłeś świetnym kochankiem. Najlepszym.

Ren zerknął na Harry'ego.

- Na pewno chcesz nadal być jej mężem? Bo wydaje mi się, że stać cię na kogoś lepszego.

- Jestem pewien - oświadczył Harry. - Bardzo ją kocham.

Trący podniosła głowę, jak węszące zwierzątko, ale szybko uznała, że zapach jest nieprzyjemny.

- Akurat.

Harry przygarbił się i odwrócił do Isabel. Wyglądał tak, jakby nie miał już nic do stracenia.

- Chciałem porozmawiać sam na sam z Trący, ale skoro ona nie próbuje nawet słuchać, powiem wszystko tobie.

Trący chyba słuchała, a Isabel potaknęła.

- Oczywiście.

- Zakochałem się w niej w chwili, kiedy wylała mi drinka na kolaną. Myślałem, że to był przypadek. Do tej pory nie wiem, czy jej wierzyć, gdy mówi, że nie. Na tym przyjęciu przystojniacy ustawiali się do niej w kolejce, ale ja nawet nie próbowałem. Nie tylko z powodu jej urody, choć nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety, lecz z powodu tego... tego blasku, który roztaczała. Tej energii. Nie mogłem odwrócić od niej wzroku, ale nie chciałem, by wiedziała, że jej się przyglądam. Potem wylała tego drinka, a ja nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

- Powiedział: „To moja wina”. - Głos Trący lekko drżał. - Rozlałam drinka, a ten idiota mówi: „To moja wina”. - Od razu mogłam się domyślać, jak to się skończy.

Nie zwracała na nią uwagi, patrzył tylko na Isabel.

- Nie mogłem myśleć. Czułem się tak, jakby mój mózg dostał zastrzyk nowokainy. Miała na sobie srebrną sukienkę z głębokim dekoltem i włosy spięte w kok, tylko że nie chciały się trzymać i loki opadały jej na szyję. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Kogoś takiego jak ona. - Zajął do kieliszka. - Ale chociaż tamtej nocy była taka piękna... - Mówił coraz ciszej. - Choć wtedy była taka piękna... - Przełknął ślinę. - Przepraszam. Nie mogę. - Postawił kieliszek na blacie i zniknął w drzwiach do ogrodu.

Oczy Trący niczego nie wyrażały. Wzruszyła ramionami, jakby nic się nie stało.

- Widzicie, co muszę znosić? Kiedy już myślę, że wreszcie jest gotowy coś powiedzieć, zamyka się. Równie dobrze mogłabym poślubić komputer.

- Przestań się zachowywać jak świnia - warknął Ren. - Żaden facet nie chciałby się wywnętrzać przy byłym mężu. On próbował z tobą;| porozmawiać cały dzień.

- Wielkie mi co. Ja próbowałam z nim rozmawiać latami. Isabel zerknęła w stronę ogrodu.
- Nie wygląda na człowieka oswojonego z uczuciami.
- Mam wiadomość dla was obu - oświadczył Ren. - Żaden mężczyzna nie jest oswojony z uczuciami. Zapomnijcie o tym.
- Ty jesteś-zaprotestowała Trący.-Mówisz o tym, co czujesz. Ale Harry ma całkowite zatwardzenie emocjonalne.
- Jestem aktorem, więc prawie wszystko, co mówię, to wierutne bzdury, Harry cię kocha. Nawet głupiec by zauważył.
- W takim razie jestem bardzo głupia, bo tego nie kupuję.
- Walczysz nie fair - powiedziała Isabel. - Wiem, że cierpisz, ale to nie jest usprawiedliwienie. Pozwól mu powiedzieć, co czuje. Bez publiczności. - Isabel wskazała drzwi. -1 słuchaj mózgiem, kiedy będziesz z nim rozmawiać, bo twoje serce za bardzo cierpi, żeby można było na nim polegać.
- Nie ma sensu! Nie rozumiecie? Myślicie, że nie próbowałam?
- Spróbuj jeszcze raz. - Isabel pchnęła ją mocno w stronę drzwi. Trący miała upartą minę, ale wyszła na zewnątrz.
- Już bym ich pozabijał - burknął Ren. - A nawet nie wypiliśmy aperitifów.

Harry stał przy pergoli, z rękami w kieszeniach. Jego okulary odbijały ostatnie promienie słońca. Trący poczuła to znajome oszołomienie, które pierwszy raz ogarnęło ją dwanaście lat temu, tuż przed tym, jak rozlała drinka na jego kolana.

- Isabel kazała mi tu przyjść. - Trący słyszała wrogość w swoim głosie, ale już raz go dziś błagała, więc nie zamierzała robić tego ponownie.

Wyjął rękę z kieszeni i oparł ją na pergoli; nie patrzył na żonę.

- To, co powiedziałaś rano... Czy to była kolejna zasłona dymna? To o tuszy i rozstębach, chociaż doskonale wiesz, że z każdym dniem jesteś piękniejsza? I że cię nie kocham, chociaż co innego mówiłem ci tysiąc razy?

Słowa z automatu. „Kocham cię, Trący”. Żadnych emocji. Nigdy: „Kocham cię, bo...”, zawsze tylko „Kocham cię, Trący. Nie zapomnij kupić pasty do zębów, kiedy będziesz w sklepie”.

- Są słowa i jest myśl. Dwie różne rzeczy. Powoli odwrócił się do niej.

- Nigdy nie chodziło o moją miłość. Od samego początku liczyłaś się tylko ty.

- Ja? Przecież cię poderwałam! Gdybym zdała się na ciebie, nigdy nie bylibyśmy razem. Znalazłam cię, podeszłam i zwabiłam.

- Nie byłam aż taki wspaniały!

Harry nigdy nie krzyczał, więc zaskoczona umilkła.

Odsunął się od pergoli.

- Chciałaś dzieci. A ja miałem wypisane na czole „tatuś”. Nie rozumiesz? Tobie nie chodziło o nas. Po prostu miałaś ogromną potrzebę rodzenia dzieci. Ja miałem tylko być ich ojcem. Czuję to podświadomie, ale się oszukiwałem. Nie było trudno przy Jeremym i Steffie. Nawet gdy urodziła się Brittany, mogłem udawać, że wciąż chodzi o nas, że pragniesz mnie dla mnie samego. Mogłem udawać dalej, ale wtedy zaszałaś w ciążę z Connorem i zaczęłaś uśmiechać się jak kot, który zjadł kanarka. Chodziło tylko o ciążę i dzieci! Próbowałem nadal udawać, że jestem twoją wielką miłością, a nie tylko najlepszym źródłem spermy, ale było coraz trudniej. Co rano patrzyłem na ciebie i chciałem, żebyś mnie kochała tak jak ja ciebie. Ale przecież zrobiłem swoje, więc nawet mnie nie zauważałaś. Masz rację, zacząłem się zamykać. Inaczej nie mogłbym żyć. Lecz kiedy znów zaszałaś w ciążę i byłaś taka szczęśliwa, już nie mogłem udawać. Chciałem, ale nie mogłem. - Głos mu się załamał. - Ja po prostu... nie mogłem.

Trący próbowała to zrozumieć, ale targało nią tyle sprzecznych emocji, że za nic nie potrafiłaby ich uporządkować. Ulga. Złość na niego, że jest taki ślepy. I radość. Och, tak, radość, bo jednak nie przepadła cała nadzieja. Nie wiedziała, od czego zacząć, więc postanowiła wybrać drobiazg.

- Co z pastą do zębów?

Patrzył na nią tak, jakby urósł jej drugi brzuch na czole.

- Z pastą do zębów?

- Nie zawsze pamiętam, żeby ją kupić. Wścikasz się, kiedy gubię klucze. Powiedziałaś, że jeżeli jeszcze raz źle wystawię czek, zabierzesz mi książeczkę. A pamiętasz to wgniecenie w błotniku samochodu, które zrobiłeś, kiedy zawoziłeś Jeremy'ego na mecz Małej Ligi? To moja robota. Connor zwymiotował mi w samochodzie i nie miałam czasu posprzątać, więc wzięłam twój. Darłam się na Brittany na parkingu przed sklepem i wjechałam w twój samochód wózkami sklepowymi.

Zamrugnął oczami.

- Gdybyś pisała sobie listę zakupów, nie zapomniałabyś o paście do zębów.

Oczywiście nic nie rozumiał.

- Nigdy nie będę miała dobrej listy zakupów ani nie przestanę gubić kluczyków. Nie wyzbędę się też innych wad, które doprowadzają cię do szału.

- Wiem. Wiem też, że tysiąc mężczyzn stanęłoby w kolejce, żeby kupować ci pastę do zębów i żebyś wjechała wózkiem sklepowym w ich samochody.

Może jednak rozumiał.

Isabel kazała jej myśleć mózgiem, a nie sercem, ale to było bardzo trudne, gdy sprawa dotyczyła Harry'ego Briggsa.

- Wiedziałam, że będziesz świetnym ojcem, i mógł to być jeden z powodów, dla których się w tobie zakochałam. Ale kochałabym cię, nawet gdybyś nie mógł począć ani jednego dziecka. Znalazłam w tobie wszystko, czego mi brakuje. Nie rodzę dzieci dlatego, że ty mi nie wystarczasz. Pragnę ich, bo moja miłość do ciebie jest tak wielka, że nie ma gdzie jej pomieścić.

W jego oczach zamigotała nadzieja, ale wciąż był smutny. Uświadomiła sobie, że on jest jeszcze bardziej niepewny siebie niż ona sama. Zawsze uważała go za najinteligentniejszego człowieka, jakiego znała, więc trudno jej było uwierzyć, że w tej sprawie ona może być mądrzejsza.

- To prawda, Harry. Każde słowo.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Wpatrywał się w jej twarz, chociaż znał ją doskonale. - Spójrz na nas. Ja jestem facetem, którego mogłabyś minąć na ulicy kilkanaście razy i nawet nie zauważyć. Ale ty... Mężczyźni na twój widok wchodzą w skrzynki pocztowe.

- Nie znam innego mężczyzny, który aż tak bardzo martwiłby się swoim wyglądem. - Zapomniał o myśleniu głową walnęła go w szczękę, żeby uważnie jej posłuchał. - Bardzo mi się podobasz. Mogłabym się na ciebie gapić godzinami. Byłam żoną najprzystojniejszego faceta w galaktyce, ale wyrządziliśmy sobie krzywdę. Masz rację, mogłam mieć każdego mężczyznę z tamtego przyjęcia, ale żaden mnie nie pociągał. A kiedy wylałam ci drinka na kolana, nie myślałam o tobie jako o ojcu.

C/ula, że zaczyna poprawiać mu się nastrój, a przecież miała jeszcze tyle do powiedzenia.

- Kiedyś się zestarzeję, a gdybyś znał moją babcię, wiedziałbyś, że po osiemdziesiątce będę brzydka jak noc. Wtedy przestaniesz mnie kochać? Chodzi ci tylko o wygląd? Bo jeśli tak, to mamy tak wielkie kłopoty, jak myślałam.

- Oczywiście, że nie. Ja... ja nigdy...

- Mówisz o zasłonach dymnych. Zawsze mi się wydawało, że jesteś bardzo bystry, ale ja nawet w zły dzień myślę lepiej niż ty. Harry, w porównaniu ze mną jesteś emocjonalnym głupkiem.

Uśmiechnął się. Wyglądał przy tym tak inaczej, iż zrozumiała, że wreszcie do niego dociera. Chciała go pocałować, żeby przestał się bać, ale sama miała zbyt wiele obaw, a ich kłopoty były za duże, by dało się zmasać pocałunkiem. Nie chciała go pocieszać przez resztę wspólnego życia. Nie podobało jej się też, że tak wiele znaczy dla niego jej wygląd. Na twarzy, którą tak pokochał, widoczne już były ślady łez i zmęczenia. Jak on się będzie czuł, gdy naznaczone zostanie całe ciało?

- Po tylu latach małżeństwa powinniśmy się lepiej rozumieć - powiedział.

- Nie mogę tak dalek żyć. To, co się między nami popsuło, trzeba naprawić raz na zawsze.

- Nie wiem, jak to zrobimy.

- Z pomocą dobrego psychologa. Im szybciej zaczniemy, tym lepiej. - Stała na palcach, pocałowała go i odwróciła się w stronę domku.

- Isabel! Możesz tu przyjść?

## Rozdział 18

Isabel i Ren leżeli nago na grubej kołdrze, którą wynieśli do ogrodu. Ogrzewali się wzajemnie, bo nocne powietrze było chłodne. Spojrzała na migające świece w żyrandolu na magnolii. Ren musnął ustami jej włosy.

- Ciężko ci?

- Mmm... Jeszcze chwilę. - Dziwiła się, że tak bardzo lubi pod nim leżeć. Że czuje się bezpiecznie przy tak niebezpiecznym mężczyźnie.

- Chciałbym tylko zauważyć... To twoje seksualne zahamowanie... Możemy je już chyba zaliczyć do przeszłości.

Uśmiechnęła się, wtulając twarz w jego włosy.

- Po prostu próbowałam być uprzejma.

- Altruizm?

- To filozofia, zgodnie z którą próbuję żyć.

Roześmiał się.

Przesunęła dłonią po jego kręgosłupie. Przywarł ustami do jej nadgarstka i przesunął bransoletkę.



- Zawsze ją nosisz.
- Przypomina mi o czymś. - Ziewnęła i dotknęła palcem wskazującym jego ucha. - Wewnątrz jest wygrawerowane słowo „oddychaj”.
- Tak, przypomina, żebyś była skupiona. Pamiętam. Ale nadal uważam, że to beznadziejne.
- Nasze życie toczy się tak szybko, że łatwo jest stracić spokój. Dotykając bransoletki mnie uspokaja.
- Mnie dzisiaj nie uspokoiłaby taka bransoletka. I nie mówię tylko o ostatniej godzinie na tej kołdrze.
- Uśmiechnęła się.
- *Porcini* tak zupełnie się nie zmarnowały.
- Ale prawie.
- Zsunął się z niej. Oparła się na łokciu i przesunęła palcami po jego twardej piersi.
- Twoje spaghetti *al porcino* to najlepsza potrawa, jaką kiedykolwiek jadłam.
- Byłoby lepsze godzinę wcześniej. Kłócili się i kłócili. Nie wiem, dlaczego postanowili zdecydować się na terapię małżeńską właśnie dziś.
- To była desperacka próba. Nie prowadzę terapii małżeńskiej.
- Na pewno nie. Kazałaś im przysiąc na ich dzieci, że nie będą uprawiać seksu.
- Miałeś nie podsłuchiwać.
- Trudno jest ogłuchnąć, kiedy siedzisz w pokoju obok i wszyscy zabraniają ci wyjść.
- Byliśmy głodni i baliśmy się, że zjesz nam kolację. Komunikacja fizyczna nie sprawia im kłopotów. Gorzej jest z komunikacją werbalną dlatego muszą teraz nad tym popracować. Przy kolacji wyglądali na szczęśliwych, prawda?
- O ile ludzie, których czeka przymusowy celibat, mogą wyglądać na szczęśliwych. Nie boisz się, że te listy, które kazałaś im sporządzić, tylko wszystko popsują...
- Zobaczymy. Nie zdażyłam ci tego powiedzieć, ale sędzę, że będziesz zadowolony... - Skubnęła jego ramię, wciąż miała na niego ochotę. - Będziemy przez jakiś czas mieszkać razem.
- Uniósł głowę i spojrzał na nią podejrzliwie.
- Zanim z radości zacznę tańczyć tango, pozwól mi wysłuchać do końca.
- Żyrandol nad ich głowami kołysał się na nocnym wietrze. Isabel końcem palca dotykała krawędzi cienia, który wędrował po piersi Rena.

- Jutro rano wprowadzę się do willi. Na kilka dni.
- Mam lepszy pomysł. Ja sprowadzę się tutaj.
- Właściwie...
- Nie! - Usiadł tak gwałtownie, że omal jej nie przewrócił. - Chyba nie powiedziałaś tym dwojgu neurotykom, że mogą mieszkać w tym domku?
- Tylko kilka dni. Potrzebują prywatności.
- Ja potrzebuję prywatności. My potrzebujemy prywatności. - Opał na kołdrę. - Zabiję cię. Naprawdę. Tym razem naprawdę to zrobię. Czy ty sobie wyobrażasz, na ile sposobów potrafiłbym odebrać człowiekowi życie?
- Na pewno jest ich sporo. - Przesunęła dłonią po jego brzuchu. - Ale mam nadzieję, że znajdziesz bardziej produktywne zajęcie.
- Jestem przystępny, jednak nie aż tak łatwy. - Wrócił mu oddech.
- A mówisz, jakbyś był łatwy. - Jej palce przesunęły się niżej, aż znalazły szczególnie wyczulony obszar.
- Jęknął.
- Dobrze, jestem przystępny i łatwy. Ale tym razem spróbujmy na łóżku. - Ujął jej głowę, gdy przycisnęła usta do jego brzucha. - Potrzebne nam łóżko. - Wciąż jęczał.
- Dmuchnęła mu w pępek.
- Zgadzam się bez zastrzeżeń.
- Wykańczasz mnie. Wiesz o tym, prawda?
- Jeszcze nie pokazałam pazurków.

Następnego dnia Ren bezskutecznie próbował odwieść Harry'ego i Trący od zamiaru zamieszkania w domku. Odrobinę satysfakcji sprawiło mu tylko usłyszane niechcący pouczenie, którego w ostatniej chwili udzieliła im Isabel.

- Pamiętajcie - powiedziała w chwili, gdy wszedł do pomieszczenia w willi, które dotąd było jego gabinetem. - Żadnego seksu. Przedtem czeka was mnóstwo pracy. Dlatego właśnie zaproponowałam wam domek. Co wieczór będziecie mieli czas na spokojną rozmowę.

Ren wycofał się do holu, ale zdażył zobaczyć, że Trący tęsknie zerka na Harry'ego.

- Pewnie tak - usłyszał jej głos. - Ale nie masz pojęcia, jakie to trudne. Nie sądzisz...

- Nie, nie sądzę - powiedział głos Isabel. - Przez seks ukrywaliście swoje problemy. Łatwiej jest iść do łóżka, niż porozmawiać.

Skrzywił się. „Iść do łóżka”. Dlaczego musiała to tak ująć? Jeszcze dwa tygodnie temu mówiła, że seks jest święty. Od tamtego czasu bardzo się rozluźniła. Nie mógł się na nic skarżyć. Zachwycały go jej reakcje: cieszyła się nim, nimi obojgiem. Ale jednocześnie coś w niej zaczynało mu przeszkadzać.

Był nierozsądny i dobrze o tym wiedział. Może więc miał wyrzuty sumienia. Gryzło go, że nie powiedział jej o zmianie w scenariuszu *Nocnego zabójstwa*. Jeszcze bardziej martwił się własnym poczuciem winy. Isabel nie miała nic wspólnego z jego karierą ani z nim - wspólnie spędzili tylko te kilka tygodni. To ona narzuciła warunki i jak zwykle miała rację. Chodziło tylko o seks.

Wykorzystywali się wzajemnie. On lubił jej towarzystwo, bawiła go. Pomogła mu rozwiązać problem z Trący i pozbyć się poczucia winy w sprawie Karli. Wykorzystywał ją do seksu, ale w Księżce Isabel nie był to grzech.

Nie chciał jej skrzywdzić. I tak popełnił już w życiu więcej grzechów, niż mogła sobie wyobrazić - narkotyki, złe traktowanie kobiet, pozostałości trudnego dzieciństwa, które do tej pory zostawiały za nim brudny ślad. Czasami, gdy patrzyła na niego tymi niewinnymi oczami, chciał jej przypomnieć, że nie umie grać tego dobrego. Nigdy jednak nie powiedział ani słowa, bo był egoistycznym sukinsynem i nie chciał, żeby odeszła. Jeszcze nie. Najpierw dostanie od niej to, czego potrzebuje. Dopiero wtedy będzie gotów ją rzucić.

Jedno było pewne: gdy tylko Isabel dowie się o nowym scenariuszu i chorej żądzy Kaspara Streeta, odejdzie sama. Ren miał przeczucie, że najpierw runą mu na głowę wszystkie cztery filary.

Po kolacji Trący powiedziała dzieciom, że wróci z Harrym na śniadanie i że gdyby czegoś potrzebowały w nocy, zajmie się nimi Marta. Ren złościł się przez resztę wieczoru. Chciał być z Isabel w sypialni, ale bez kilku osób podsłuchujących pod drzwiami. W dodatku ona przeprosiła za brak czasu i zajęła się notatkami do książki.

Poszedł do gabinetu i próbował pracować nad studium charakteru Streeta, ale nie mógł się skupić. Poćwiczył z ciężarkami i przez jakiś czas bawił się grą Jeremy'ego. Potem poszedł na spacer, który ani trochę nie osłabił jego seksualnej frustracji. W końcu poddał się i poszedł do łóżka, tylko po to, żeby walić pięścią w poduszkę i przeklinać dorosłych Briggsów, którzy tulili się w sypialni w domku, tam gdzie powinien być z Isabel.

W końcu usnął, ale po niedługim czasie poczuł, że przytula się do niego coś ciepłego. Wreszcie. Uwielbiał dotykać nagiej skóry śpiącej Isa-

bel. Uśmiechnął się i przyciągnął ją bliżej... Ale coś było nie tak. Otworzył oczy, usiadł i krzyknął.

Brittany się skrzywiła.

- Krzyknąłeś. Dlaczego? - Leżała skulona na kołdrze, naga jak ją Pan Bóg stworzył.

- Nie możesz tu spać! - zaskrzeczał.

- Słyszałam hałas. Boję się.

On bał się znacznie bardziej. Chciał wyjść z łóżka, ale przypomniał sobie, że nie ona jedna jest naga. Wziął koc i owinał się nim.

- Strasznie się wierzisz - zaprotestowała. - Chce mi się spać.

- Gdzie twoja koszula nocna? Nieważne. - Owinał ją prześcierałem tak ściśle, że wyglądała jak mumia, a potem ją podniósł.

- Nie ścisłaj tak. Dokąd idziemy?

- Do dobrej wróżki. - Potknął się o koc i omal jej nie upuścił. - Cholera.

- Powiedziałeś...

- Wiem, co powiedziałem. A ty tego nie powtarzaj, bo odpadnie ci język. - Udało mu się jakoś wynieść ją przez drzwi, przejść przez hol i dotrzeć do dawnej sypialni Trący, nie gubiąc koca, ale narobił przy tym tyle hałasu, że obudził Isabel.

- Co?

- Boi się, jest naga, i należy teraz do ciebie. - Położył Brittany obok niej.

- Kto to? - Steffie podniosła głowę z drugiej strony Isabel. - Brittany?

- Ja chcę do tatusia! - zawodziła mała.

- Już dobrze, kochanie. - Isabel była ciepła, miała potargane włosy. Nigdy dotąd nie znał kobiety tak nieświadomej swojej seksualnej atrakcyjności. Większość mężczyzn widziała w niej tylko psychologa, ale brat Vittoria, obleśny doktor Andrea, dostrzegał jej seksapil. Ren nie dał się nabrać, kiedy doktorzyna przyszedł do domku, żeby powiedzieć Isabel, że mają już wykrywacze metalu. Śmieć.

Koszula nocna zsunęła jej się z ramienia, odsłaniając zaokrągloną, górną część piersi, która w tej właśnie chwili powinna się znajdować w jego dłoni. Isabel ruchem głowy wskazała jego koc.

- Ładna spódniczka.

Przywołał całą swoją godność.

- Porozmawiamy o tym rano.

Wracając do swojego pokoju, przypomniał sobie, że przyjechał do Włoch, żeby oderwać się od wszystkiego. Tymczasem urządził w domu

cholerną rodzinną imprezę i splamił swoją czarną duszę kolejnym grzechem.

Tuż przed świtem sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Z trudem otworzył oczy i zobaczył, że w ustach ma stopę. Nie swoją.

Malutki paluszek wbił mu się w dolną wargę. Ren skrzywił się i spróbował poruszyć, ale druga stopka walnęła go w podbródek. Potem poczuł wilgotną plamę obok swojego biodra. Gorzej już być nie mogło.

Chłopczyk w pieluszcze przytulił się mocniej. Tyle wyszło z nocnej opieki Marty. Ren zaczął się zastanawiać. Jeśli obudzi dziecko, będzie szarpanina, a on nie ma na to ochoty o - zerknął na zegarek - czwartej rano. Zrezygnowany, przesunął się na suchą część prześcieradła i usiłował zasnąć.

Kilka godzin później coś walnęło go w pierś.

- Ja chcę do tatusia!

Mimo zamkniętych powiek czuł światło - był już poranek, chociaż wczesny. Gdzie, do cholery, podziewa się Marta?

- Śpij dalej - wymamrotał.

- Ja chcę do mamusi, i to już!

Ren poddał się temu, co nieuniknione, otworzył oczy i wreszcie zrozumiał, dlaczego rodzice chcą przez to wszystko przechodzić. Chłopiec w pieluszcze wyglądał ślicznie. Miał potargane włoski i policzki zaróżowione od snu. Ren szybko sprawdził materac - żadnych nowych wilgotnych plam. Co oznacza...

Wyskoczył z łóżka, szybko włożył szorty i złapał chłopca. Connor zawył ze zdziwienia. Ren zaniósł go do łazienki jak worek kartofli.

- Ja chcę do Jeremy'ego!

- Nie chrzań, mały. - Energicznie wyjął pieluszkę, patrzył na nią przez chwilę, a potem otworzył okiennice i wyrzucił ją przez okno. - Czas iść do baru. - Wskazał sedes. - To jest bar.

Connor wysunął dolną wargę i wykrzywił twarz - wyglądał teraz tak jak jego matka przez większą część małżeństwa z Renem.

- Nocnik jest zły.

- Powiedz to komuś, kogo to obchodzi.

Connor krzywił się niemiłosiernie.

- Ja chcę do mamy!

Ren podniósł deskę klozetową.

- Zrób, co trzeba, a potem pogadamy.

Connor gapił się na niego.

Ren prychnął obojętnie.

Connor podszedł tyłem do wanny i wdrapał się do środka.

Ren skrzyżował ramiona i oparł się o drzwi.

Connor uderzył piąstką w kurek.

Ren podrapał się po piersi.

Connor wziął mydło.

Ren oglądał sobie paznokcie.

- Nie wygłupiaj się, twardzielu, bo mam mnóstwo czasu.

Connor przez chwilę przyglądał się mydłu, a potem odłożył je i zaczął siusiać do wanny.

- Nie ma mowy. - Ren podniósł go i postawił przed sedesem. - Tu. Teraz.

Connor wyciągnął szyję, żeby na niego spojrzeć.

- Słyszałeś. Jesteś mężczyzną czy dziewczuchą?

Connor przez chwilę się zastanawiał. Wetknął palec do nosa i zaczął oglądać swój pępek. Potem zrobił siusiu do sedesu.

Ren uśmiechnął się szeroko.

- Tak trzymać, stary.

Connor odpowiedział uśmiechem i ruszył biegiem do drzwi, ale nagle stanął jak wryty.

- Kupa!

- Oj, stary... Na pewno?

- Kupa!

- Mogłeś mi tego oszczędzić. - Ren podniósł go, opuścił deskę i posadził go na niej.

- Kupa!

Rzeczywiście...

Gdy mały skończył, Ren przez chwilę trzymał go pod kranem w wannie, a potem poszedł do sypialni; znalazł dużą agrafkę i swoje najmniejsze kąpielówki, te, które podobały się Isabel. Włożył je chłopcu i umocował najlepiej, jak mógł, a potem spojrzał groźnie.

- Są moje i jeśli je zamoczysz, pożałujesz. Zrozumiano?

Connor włożył kciuk do buzi, schylił się, żeby popatrzeć, i roześmiał się serdecznie, zadowolony.

Kąpielówki były suche.

Następne dni nie różniły się od siebie. Harry i Trący przychodzili w porze śniadania, żeby zająć się dziećmi. Ren i Isabel spędzali część poranka w domku, gdzie pomagali pozostałym w żmudnej pracy przeczesywania terenu wykrywaczami metalu. Potem Isabel zniknęła z notatnikiem, a Ren odwiedzał Massima w winnicy.

Massimo uprawiał winorośl całe życie i nie potrzebował nadzoru, ale Ren lubił się przechadzać między rzędami krzaczków i czuć pod butami twardą, glinianą ziemię swoich przodków. Poza tym musiał uciekać od Isabel. Robił to dla własnego dobra, bo za bardzo lubił jej towarzystwo.

Massimo dał mu winogrono i kazał zgnieść je w palcach.

- Kleją ci się palce?

- Nie.

- Za mało słodkie. Jeszcze dwa tygodnie i przyjdzie czas *vendemmia*.

Późnym popołudniem, gdy Ren wracał do willi, zawsze czekał na niego Jeremy. Nigdy o nic nie prosił, ale Ren od razu wiedział, że chodzi o ćwiczenie ruchów ze wschodnich sztuk walki. Chłopiec był inteligentny i miał dobrą koordynację ruchów, więc Ren chętnie udzielał mu lekcji. Harry i Trący siedzieli zwykle z Isabel, ale jeśli sesja kończyła się punktualnie, Harry chętnie przyłączał się do Rena i syna. Ren patrzył, jak Jeremy pokazuje ojcu ruchy, których niedawno się nauczył.

Czasami Ren zastanawiał się, na kogo by wyrósł, gdyby miał ojca takiego jak Harry Briggs. Nie zyskał aprobaty ojca, choć odnosił sukcesy jako aktor. Ale ten zawód był zbyt publiczny, zbyt wulgarny – tak uważał człowiek, który ożenił się z głupiutką, zabawową matką Rena.

Na szczęście Ren już dawno przestał się przejmować zdaniem ojca. Nie ma sensu walczyć o aprobatę człowieka, którego się nie szanuje.

Anna zaczęła go prosić, żeby po zakończeniu winobrania zorganizował fiestę.

- Kiedy byłam małą, robiono to przez wiele lat. Każdy, kto pomagał przy *vendemmia*, przychodził do willi pierwszej niedzieli po zebraniu winogron. Było dużo jedzenia i śmiechu. Ale twoja ciocia Phiłomena uznała, że jest z tym za dużo kłopotu, więc tradycja wygasła. Teraz, kiedy tu mieszkasz, możemy zacząć znowu, prawda?

- Mieszkam tu tylko tymczasowo. - Był we Włoszech już od trzech tygodni. W przyszłym tygodniu zamierzał wybrać się na kilka dni do Rzymu, na spotkanie z Jenksm, za parę tygodni miały się zacząć zdjęcia. Nie rozmawiał o tym z Isabel – ani o spotkaniu w Rzymie, ani o tym, jak długo jeszcze zostanie w willi – a ona nie pytała. Ale niby dlaczego miałyby pytać? Oboje wiedzieli, że ich związek potrwa krótko.

Może poprosi ją, żeby z nim pojechała. Patrzenie na znajome widoki jej oczami da mu całkiem nową perspektywę. Tylko że nie mógł jej zaprosić. Najwymyślniejsze przebranie na świecie nie zmyli bystrego paparazzo. A jeśli zobaczą ją z nim dziennikarze, straci resztki dobrej opi-

nu. Poza tym nie zgodziłaby się na tę wycieczkę, gdyby się dowiedziała, o co naprawdę chodzi w filmie *Nocne zabójstwo*.

Znów był wściekły. Ona nigdy nie zrozumie, co znaczy dla niego ta rola, tak jak nie zrozumiała, że to nie skrzywiony obraz samego siebie pcha go do grania złych ludzi. Po prostu nie potrafił się identyfikować z pozytywnymi bohaterami i nie miało to nic wspólnego z jego trudnym dzieciństwem. Przynajmniej niewiele. Od kiedy zresztą ktoś, kto zatrudnił księgowego-oszusta i zaręczył się z dupkiem, ma prawo osądzać innych?

To cud, że ich romans jeszcze się nie skończył, chociaż trudno było sobie wyobrazić, żeby w życiu Isabel coś się skończyło. Nie, ten związek będzie miał burzliwy finał. Ta myśl tak go przygnębiła, że dopiero po chwili uświadomił sobie, że Anna wciąż coś do niego mówi.

- ...ale teraz to twój nowy dom, dom rodzinny, i będziesz wracać. Zatem urządzimy w tym roku fiestę, żeby odnowić tradycję?

Nie mógł sobie wyobrazić powrotu do willi, w której nie będzie Isabel, ale powiedział Annie, żeby zaplanowała przyjęcie.

- Chyba nie uważasz, że kobiety w ciąży nie potrzebują seksu? - Trący spojrzała na Isabel oskarżycielsko. - Bo jeśli tak, to przyjrzyj się dobrze temu mężczyźnie i powiedz, czy jakakolwiek kobieta, w ciąży lub nie, mogłaby mu się oprzeć?

Harry był zakłopotany i szczęśliwy zarazem.

- Nie wiem... Ale naprawdę, Isabel, to nie jest już konieczne. Zdecydowanie nie jest konieczne. Mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy, a listy, które kazałaś sporządzić, bardzo nam pomogły. Nie rozumiałem... Nie wiedziałem... - Na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Nie wyobrażałem sobie, jak bardzo ona mnie kocha.

- A ja nie miałam pojęcia, że on uwielbia we mnie tyle rzeczy. We mnie! - Trący zadrzała z radości. - Myślałam, że wszystko o nim wiem, ale to było powierzchowne.

- Jeszcze trochę - powiedziała Isabel.

- Co z ciebie za psycholog małżeński? - zapytała Trący.

- Żaden. Improvizuję. Mówiłam to od początku. To wy nalegaliście.

Trący westchnęła.

- Po prostu nie chcemy znowu wszystkiego zepsuć.

- W takim razie omówmy dzisiejsze wykazy. Czy każde z was napisało dwadzieścia cech partnera, które chciałoby mieć?

- Dwadzieścia jeden - powiedziała Trący. - Dopisałam członek.  
Harry się zaśmiał i pocałował żonę, a Isabel poczuła bolesne uklucie zazdrości. Małżeństwo ma wiele zalet, jeśli potrafimy znieść chaos.

- Pospiesz się! Nie ma ich. - Ren wszedł do salonu na tyłach willi. Isabel siedziała przy pięknym osiemnastowiecznym biurku i pisała list do koleżanki z Nowego Jorku. Słyszając głos Rena, upuściła długopis. Ponieważ rodzina Briggsów właśnie wyjechała na kolację w Casalleone, nie musiała pytać, o kogo chodzi.

Sięgnęła po długopis, ale nie zdążyła go podnieść, bo Ren ściągnął ją z fotela. Ostatnio często miewał zły nastrój. Zachowywał się tak, jakby chciał jej urwać głowę, a po chwili robił się lubieżny jak diabeł wcielony. Im dłużej z nim była, tym wyraźniej wyczuwała toczącą się w nim walkę. Mężczyzna, za którego się uważał, walczył z prawdziwym Renem, który miał już dość życia w skórze czarnego charakteru.

Wskazał głową drzwi.

- Chodźmy. Mamy dwie godziny do ich powrotu.
- Wybrałeś jakieś szczególne miejsce?
- Domek. Tutaj jest za dużo ludzi.

Zbiegli ze wzgórza, dotarli do domku i pognali na górę. Pchnęła go w stronę mniejszej sypialni.

- Czysta pościel.
- Zaraz się zabrudzi.

Rozbierała się, gdy zamykała drzwi i okiennice, a potem zapalił lampę. Żarówka słabej mocy oblała pomieszczenie bladą poświatą.

Wyłożył zawartość swoich kieszeni na nocny stolik i też się rozebrał. Położyła się na wąskim łóżku, przewracając się na bok, gdy usadowił się obok niej. Dotknął nosem jej szyi i zdjął bransoletkę.

- Ze mną masz być całkiem naga.

Chrapliwa nuta w jego głosie podnieciła ją tak, że natychmiast stwardniały jej sutki. Isabel zamknęła oczy, gdy dotknął ustami wnętrza jej dłoni.

- Naga, z wyjątkiem tego...

Sięgnął na nocny stolik. Po kilku sekundach na nadgarstku poczuła chłód metalu.

Otworzyła oczy i krzyknęła.

- Co ty robisz?
- Przejmuję władzę. - Wziął obie jej ręce i wyciągnął nad głowę.
- Przestań natychmiast!

- Wolałbym nie. - Przesunął łańcuszek przez pręt łóżka i zamknął wolną obręcz na jej drugim przegubie.

- Przykułeś mnie do łóżka!
- Jestem tak zgniły moralnie, że sam siebie czasami zadziwiam. Nie mogła wyczuć, czy jest zdenerwowany.

- To prawdziwe kajdanki.

- Dostarczyła je firma kurierska. - Przesunął ustami po wewnętrznej stronie jej ramienia, tuż nad pachą. Wypiężyła się. Od przesywających fal rozkoszy dostała gęsiej skórki.

- Nie wiesz, że krępowanie partnera regulują przepisy? - wyjąkała, kiedy głęboko wziął w usta jej sutek i ssał. - Jest... protokół!

- Nigdy nie zwracałem uwagi na żaden protokół.

Wciąż dręczył jej biedny, bezbronny sutek, ale ona nie chciała się poddać cudownemu drzeniu. Musiała najpierw powiedzieć, o co jej chodzi.

- Nie wolno nawet używać prawdziwych kajdanek, tylko takich, które można łatwo odpiąć. - Stłumiła jęk. - Przynajmniej powinny być wyściełane. A partnerka musi się zgodzić na związanie... czy już o tym mówiłam?

- Chyba nie. - Usiadł na piętach, rozsunał jej kolana i spojrzał na nią.

Oblizwała się.

- Teraz o tym mówię.

Dotykał palcami jej loków.

- Przyjąłem do wiadomości.

Zagryzła wargę, gdy wsunął w nią kciuk.

- Napisałam... ach... artykuł naukowy, kiedy zbierałam materiały do pracy magisterskiej.

- Rozumiem. - Erotyczny tembr jego głosu wibrował w jej zakończeniach nerwowych. Kciuk poruszał się w niej jak ciepłe, wilgotne piórko.

- Potrzebne jest też... hasło, żeby... ach... na wypadek gdyby sprawy zaszyły za daleko.

- Mogę się na to zgodzić. Mam nawet kilka pomysłów. - Przerwał pieśczętę, podciągnął się w górę i szeptał jej do ucha.

- To nie mają być seksualne słowa. - Przesunęła kolanem po wewnętrznej stronie jego uda.

- No to co to za zabawa? - Położył ręce na jej piersiach, unosił je i gniótł.

Chwyciła się prętów wezglowia.

- To mają być słowa takie jak „szparag” lub „gaźnik”. Naprawdę, Ren... - Nie zdążyła powstrzymać jęku. - Jeśli powiem... „szparag”, to znaczy, że... ach... zaszedłeś za daleko i musisz przerwać.

- Jeśli powiesz „szparag”, i tak przerwę, bo chyba nie ma nic bardziej zniechęcającego. - Odsunął się od jej piersi. - Czy nie mogłabyś powiedzieć czegoś takiego jak „rumak”? Albo „ogier”? Albo... - Znow szepnął jej do ucha.

- To seksualne. - Delikatnie uniosła udo, żeby go dotknąć. Poczwała taką twardość, że aż zadrżała. Pogłaskał ją pod pachą i znow coś zaproponował. Wyprężyła się. - Bardzo seksualne.

- A to? - Wymruczał jej do ucha kolejne słowa.

- To jest obsceniczne.

- Świetnie. Niech to będzie hasło.

Jej biodra wygięły się w łuk.

- Ja wybieram „szparag”.

Odsunął się od niej. Usiadł na piętach, między jej rozstawionymi stopami, tak że ich ciała już się nie dotykały, i czekał.

Mimo diabolicznego błysku w jego oku zrozumiała dopiero po chwili. Kiedy wreszcie nauczy się milczeć? Szukała w sobie choć odrobiny godności, co w jej obecnej pozycji wcale nie było proste.

- Możesz to zlekceważyć.

- Na pewno?

Czyż nie był bezczelny?

- Na pewno.

- Ale naprawdę? Bo jeśli nie rozumiałaś: jesteś naga, przykuta do łóżka kajdankami, bez szansy na ratunek, i zaraz zostaniesz zgwałcona.

- Uhm. —Podciągnęła kolano.

Dotykał miękkich loków kciukiem i patrzył na nią. Czuła, że jest tak bardzo podniecony jak ona. W jego docinkach pobrzmiwała lekko chrapliwa nuta.

- Nie zarabiam tylko gwałceniem kobiet. Zagrożam każdemu, kto reprezentuje prawdę, sprawiedliwość i amerykański sposób życia. A ciebie chroni przede mną tylko warzywo.

Rozsunęła szerzej nogi, żeby mu pokazać, że jednak ma coś do powiedzenia. Jednocześnie obiecała sobie, że kiedy to się skończy, nie spocznie, aż zakuje go w te kajdanki. On raczej nie będzie się opierał.

- Wiem, o czym myślisz. - Jego palec wsunął się w nią. - Bądź teraz cicho, żebym mógł cię wziąć siłą.

Co zrobił. Po mistrzowsku. Najpierw palcami, potem ciałem. Poruszał się w niej, pchał mocno. Torturował ją, aż zaczęła błagać o litość.

Jednocześnie nigdy nie czuła się bezpieczniejsza i bardziej dopieszczona niż teraz. Była więźniarką jego cudownej żądy.

- Jeszcze nie, kochanie. - Obdarzył ją kolejnym, szalonym pocałunkiem i pchnął głębiej. - Jeszcze nie jestem gotowy.

Był gotowy. Prężył mięśnie, jakby sam był związany. Ta dzika przyjemność kosztowała go więcej niż ją. Zanurzył się głębiej między jej uda. Oplotła go nogami. Poruszali się razem, krzyczeli razem...

Kajdany, które przykuwały ich do ziemi, pękły. W końcu oboje stali się więźniami namiętności.

Gdy Ren drzemał, Isabel wysunęła się z łóżka i podniosła kajdanki, które leżały na ziemi z kluczykiem. Spojrzała na Rena. Gęste rzęsy wyginały się jak ostre półksiężycy, a pasma ciemnych włosów opadały na czoło. Kontrast między egzotyczną, oliwkową skórą i białą pościeli sprawiał, że wyglądał jak piękny barbarzyńca.

Poszła do łazienki. Schowała pod ręcznikiem kajdanki i kluczyk. Powinna być na niego wściekła, ale nie gniewała się ani przez chwilę. Co się stało z kobietą, która musiała rządzić? Zamiast czuć się bezbronna i zła, da mu wszystko, co sama dostała.

Również miłość.

Jej palce zacisnęły się na krawędzi umywalki. Zakochała się w nim. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, potem spuściła wzrok. Po co patrzeć na taką idiotkę? Znali się zaledwie trzy tygodnie, ale ona, najostrożniejsza z kobiet, całkowicie straciła głowę.

Obryzgała sobie twarz wodą i próbowała się zastanowić nad biologicznym podłożem damsko-męskich związków. Ludzie pierwotni czuli pociąg do płci przeciwnej tylko dlatego, że kopulacja prowadziła do przetrwania gatunku. Trochę tego instynktu pozostało w większości współczesnych, najwyraźniej też w niej.

Ale jak miała przetrwać jako nowoczesna kobieta? Kobieta pragnąca wchodzić tylko w zdrowe związki, która przysięgała, że nigdy nie będzie powtarzać zaburzonych relacji rodziców? Jej romans z Renem miał potwierdzić jej seksualność i wyzwolić ją. Tymczasem ona wyzwoliła swoje serce.

Patrzyła ponuro na mydelniczkę. Potrzebny był jej plan.

Jasne. Tak jakby któryś z poprzednich jej planów się sprawdził.

Teraz po prostu nie będzie o tym myśleć. Spróbuje wszystko wyprzeć. Wypieranie nie zawsze jest złe. Może uczucia znikną, jeśli nic będzie o nich rozmyślać.

A może nie,

## Rozdział 19

Chcesz ciasto czekoladowe czy placek z wiśniami?

Isabel zatrzymała się na skraju ogrodu przy willi i patrzyła, jak Britany wyciąga w stronę Rena gliniany spodeczek.

Przyjrzał się uważnie dobranym starannie liściom i patyczkom.

- Chyba placek z wiśniami. I może szklaneczkę szkockiej, jeśli to nie będzie kłopot.

- Nie wolno tak mówić - skarciła go Stefie. - Musisz powiedzieć „herbata”.

- Albo slurpee - dodała Britany. - Możemy pić slurpee.

- Nie, Britany. Tylko herbatę. Albo kawę.

- Może być herbata. - Ren wziął od niej wymagowaną filiżankę ze spodeczkiem. Zrobił to tak zręcznie, że Isabel prawie widziała naczynia w jego dłoni.

Obserwowała ich kilka chwil. Bawiąc się z dziewczynkami, zawsze był bardzo skoncentrowany, nie tak jak w towarzystwie chłopców. Gdy bawił się z Connorem albo zaglądał z Jeremym pod maskę niedawno zreperowanego maserati, robił to bez emocji. Dziwiło ją też, jak chętnie bawił się z dziewczynkami we wszystko, co wymyślały, na przykład w wymagowaną herbatkę. Będzie musiała go o to zapytać.

Ruszyła w stronę domku, żeby zobaczyć, czy od wczoraj udało się coś znaleźć dzięki wykrywaczom metalu. Giulia ją zauważyła i pokiwała ręką. Miała brudny policzek i cienie pod oczami. Z tyłu trzech mężczyźni i jedna kobieta metodycznie przeszukiwali gaj oliwny. Reszta stała w pobliżu z łopatami, rzucając się do kopania, gdy tylko wykrywacze piszczały, co działo się o wiele za często.

Giulia oddała swoją łopatę Giancarlovi i podeszła przywitać się z Isabel, która natychmiast zapytała o najnowsze wiadomości.

- Monety, gwoździe i kawałek koła - powiedziała Giulia. - Godzinę temu znaleźliśmy coś większego, ale to był tylko fragment starego pieca.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Giulia otarła policzek wierzchem dłoni, rozmazując brud.

- Bojestem. Zaniedbuję pracę, ciągle tu przesiadując. Vittorio oprowadza grupy zgodnie z planem, a ja...

- Wiem, że jesteś sfrustrowana, ale spróbuj nie wyzywać się na mężu. Uśmiechnęła się blade.

- Powtarzam sobie to samo. Vittorio musi ze mną tyle wytrzymać. Poszły w cień drzewa oliwnego.

- Myślałam o Josie, wnuczce Paola - powiedziała Isabel. - Marta rozmawiała z nią o posążku, ale Josie chyba nie mówi najlepiej po włosku, więc może nie zrozumiała? Chciałam zadzwonić do niej sama, ale może lepiej, żebyś ty zadzwoniła. Wiesz o rodzinie więcej niż ja.

- Tak, to dobry pomysł. - Zerknęła na zegarek, obliczając różnicę czasu. - Muszę wrócić do biura. Zadzwonię do niej stamtąd.

Kiedy Giulia odeszła, Isabel pochodziła trochę z wykrywaczem metalu, po czym oddała go żonie Bernarda, Fabioli, i wróciła do willi. Przyniosła sobie notes i usadowiła się na leżaku w różnym ogrodzie.

Odosobnione rosarium było jednym z jej ulubionych miejsc. Leżało na wąskim tarasie pod zadbanymi ogrodami, ale osłaniał je niewielki sad. Przy lesie na łące pasł się koń, a popołudniowe słońce wyłacało ruiny starego zamku na szczycie wzgórza. Było ciepło, bardziej jak na początku sierpnia niż pod koniec września, a w powietrzu unosił się zapach róż.

Spojrzała na notes, leżący na jej kolanach, ale go nie otworzyła. Pomysły, które zapisała, wydawały się powielać jej wcześniejsze książki. Miała przykre uczucie, że napisała już wszystko, co wie o pokonywaniu osobistego kryzysu.

- Tu jesteś. - Podeszedł do niej Ren w szortach i koszulce w niebiesko-białe pasy. Oparł ręce na metalowym leżaku, na którym siedziała, pochylił się i namiętnie ją pocałował. Potem ujął jej piersi. - Tu. Teraz.

- Kuszące. Ale nie mam przy sobie kajdanek.

Zostawił jej piersi i wyciągnął się na leżaku obok niej. Miał ponurą minę.

- Dziś w nocy zrobimy to w samochodzie, jak wszyscy mieszkańcy tego miasteczka.

- Wchodzę w to. - Odwróciła twarz do słońca. - Oczywiście jeśli nie znajdzie cię kobiecy fanklub.

- Przysięgam, że te dziewczynki mają radar.

- Jesteś zadziwiająco tolerancyjny. Dziwię się, że spędzasz z nimi tyle czasu.

Spojrzał na nią lodowato.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałam.

- Nie chcę o nich rozmawiać.

Uniosła brwi. Wiedział, jak trzymać ludzi na dystans, tak jak wiedział, jak ich zauroczyć. Ale nie miała pojęcia, dlaczego odpychają właśnie teraz.

- Ktoś jest w radosnym nastroju.

- Przepraszam. - Wyprostował nogi i skrzyżował je w kostkach, ale ta pozycja wydawała się bardziej przemyślana niż nonszalancka, tak jakby zmuszał się do relaksu. - Czy Trący ci mówiła, że wynajmie z Harrym dom w mieście?

Potaknęła.

- Tamto mieszkanie w Zurychu stało się przyczyną coraz większych kłopotów. Jest za małe dla całej rodziny. Postanowili, że ona i dzieci zostaną tutaj, gdzie czują się jak w domu, a Harry będzie dojeżdżał w weekendy.

- Czy tylko ja uważam to za denerwujące, że moja obecna kochanka udziela porad małżeńskich mojej byłej żonie?

- To nie są poufne porady. Jedno albo drugie powtarza ci wszystko, o czym rozmawiamy.

- Stoję na głowie, żeby ich od tego odwieść. - Podniósł jej rękę i przez chwilę bawił się bezwiednie palcami. - Dlaczego to robisz? Co z tego masz?

- To moja praca.

- Jesteś na wakacjach.

- Od tej pracy nie ma urlopu.

- W każdej pracy można wziąć urlop.

- Mojego czasu pracy nie odmierza zegar przy wejściu.

Zmarszczył brwi.

- Skąd masz pewność, że pomagasz? Czy nie widzisz arogancji w założeniu, że wiesz, co jest najlepsze dla innych?

- Uważasz, że jestem arogancka?

Spojrzał na rządęk ozdobnych traw kołyszących się na wietrze.

- Nie. Jesteś nachalna i uparta. Ale nie arogancka.

- Masz rację. Przekonanie, że wie się, co jest najlepsze dla innych, ma cechy arogancji.

- A jednak trwasz przy tym.

- Czasami skupiamy się na wadach innych ludzi, żeby nie myśleć o swoich. - Uświadomiła sobie, że kciuk powędrował do jej zębów, więc opuściła rękę na kolano.

- Ty tak robisz?

Kiedyś tak nie myślała, ale teraz musiała się zastanowić.

- Chyba przyjechałam do Włoch, żeby się tego dowiedzieć.

- Jak ci idzie?

- Nie najlepiej.

Poklepał ją po nodze.

- Jeśli potrzebujesz pomocy w znajdowaniu swoich wad, koniecznie mi o tym powiedz. Mogę wymienić na przykład pedanterię i skłonność do rządzenia wszystkim i wszystkimi.

- Jestem wzruszona, ale ten problem muszę rozwiązać sama.

- Jeśli to cię pocieszy, myślę, że jesteś bardzo fajną osobką.

- Dzięki, ale masz łagodniejsze kryteria niż ja.

Zaśmiała się, uściśnęła jej dłoń i spojrzał na nią ze współczuciem.

- Biedna doktor Fifi. Bycie przywódcą duchowym to cholerna robota, prawda?

- Nie aż tak, jak bycie przywódcą duchowym i kompletnym kretynem.

- Nie jesteś głupia. Tylko ewoluujesz. - Musnął kciukiem jej policzek.

Nie chciała, żeby był dla niej czuły. Od kilku dni próbowała sobie wmówić, że wcale go nie kocha, że to jej podświadomość wymyśliła tę emocję, by zlikwidować poczucie winy związane z seksem. Ale to nie była prawda. Ona go kochała, a ta chwila wyjaśniała dlaczego. Jak ktoś, kto był jej przeciwieństwem, mógł ją tak doskonale rozumieć? Kiedy byli razem, czuła, że znajduje swoje dopełnienie. On potrzebował kogoś, kto przypominałby mu, że jest przyzwoity, ona - kogoś, kto ustrzegłby ją przed zarozumiałstwem. Ale wiedziała, że on czuje to zupełnie inaczej.

- Ren! - Dwie dziewczynki przedzierały się przez zarośla.

Zjękiem odrzucił głowę w tył.

- Mają radar.

- Wszędzie cię szukamy - powiedziała Steffie. - Zbudowałyśmy dom i chcemy, żebyś się z nami pobawił.

- Czas do pracy. - Uściśnęła dłoń Isabel i wstał. - Hej, tylko bądź dla siebie łagodna, dobrze?

Tak jakby było to możliwe... Patrzyła, jak znika. Chciała natychmiast przestać go kochać, a jednocześnie marzyła, by kochać go zawsze. Trochę się nad sobą użalała, ale zasłużyła na to.

Tak trzymać, Boże. Nie mogłeś wybrać mi na bratnią duszę kogoś takiego jak Harry Briggs? O nie. Ty musiałeś mi dać mężczyznę, który zarabia na życie mordowaniem kobiet. Pięknie!

Rzuciła notes. Była zbyt rozproszona, żeby cokolwiek napisać, więc równie dobrze mogła iść do domku i trochę popracować łopata. Jest szansa, że to pomoże jej rozproszyć negatywną energię.

W gaju oliwnym był Andrea Chiara. Tak jak Vittorio - flirciarz. ale w przeciwieństwie do brata nie niewinny. Isabel w swojej niedojrzałości chciała, żeby Ren zobaczył, jak doktor całuje jej rękę na powitanie.



- Kiedy inspiruje nas kolejna piękna kobieta - powiedział - praca idzie szybciej.

Zerknęła w stronę willi, ale niestety Rena nigdzie tam nie było.

Kiedy Isabel kończyła swoją zmianę, przysłała Trący. W jej oczach tańczyła ekscytacja.

- Rozmawiałam właśnie z Giulią. Dom, który wynajmujemy w mieście, będzie gotów za trzy dni.

- Bardzo się cieszę.

- Będzie mi trudno wytrzymać tyle czasu z dala od Harry'ego, ale co wieczór będziemy do siebie dzwonić. Poza tym niech sobie pracuje nawet po osiemnaście godzin dziennie, nie bojąc się, że go skrzyżę. A co najcudowniejsze, w weekendy będziemy go mieli całego dla siebie. Nie będzie zabierał komórki.

- To bardzo dobry plan.

- Przed terminem porodu będzie pracował tutaj, łącząc się z firmą przez Internet. Dzieci bardzo się cieszą, że nie muszą wracać do Zurychu. Uczą się włoskiego o wiele szybciej niż ja i już przywiązały się do Anny i Marty. Ty spędzisz tu jeszcze miesiąc, a Ren prawie trzy tygodnie. Będzie nam tu o wiele lepiej niż w Szwajcarii.

Trzy tygodnie. Nie powiedział jej. Mogła zapytać, ale miała nadzieję, że on sam coś powie, zamiast zachowywać się tak, jakby nie istniała dla niego przyszłość - chociaż rzeczywiście nie istniała. Ren nie był serijnym kobieciarzem, jakiego opisywały media, ale różne okresy w jego życiu były chyba naznaczone różnymi związkami. Za kilka lat będzie ją pamiętał tylko jako swój toskański romans. Nie była zadowolona, że stała się taka słaba, ale nie wymyśliła jeszcze lepszego sposobu na życie.

Trący przestała mówić i przyglądała jej się ubawiona.

- Jesteś jedyną znaną mi osobą, która potrafi pracować fizycznie, nie brudząc się.

- Lata praktyki.

Trący wskazała gaj oliwny, gdzie Andrea chodził z wykrywaczem metalu, pałac papierosa.

- Umówiłam się na wizytę u doktora Oblesnego na przyszły tydzień. Anna powiedziała, że mimo reputacji playboya jest świetnym lekarzem. Chyba mogę się trochę zabawić na fotelu ginekologicznym.

- Przekażę ci więc jeszcze jedną dobrą wiadomość. Chyba nadszedł czas, żeby znieść zakaz seksu.

Trący pogłaskała się po brzuchu. Wyglądała na zamyśloną.

- Dobrze.

Isabel nie spodziewała się takiej reakcji.

- Jakiś problem?

- Właściwie nie. - Sięgnęła pod dzianinową bluzkę, żeby się podrapać. - Ale... czy mogłabyś nie mówić Harry'emu, że zdjęłaś zakaz?

- Zapomniałaś, że pracujemy nad otwartą komunikacją w twoim małżeństwie?

- Wiem, ale... Och, Isabel, uwielbiam rozmowy. Wczoraj rozmawialiśmy o wielorybach, i to wcale nie odnośnie moich kształtów. Próbowaliśmy wymienić jak najwięcej gatunków. I mówiliśmy o najokropniejszych filmach, jakie zapamiętaliśmy z dzieciństwa. Opowiedziałam mu o kłótni z koleżanką ze studiów, na którą do dziś jestem wściekła. Cały czas myślałam, że Harry najbardziej lubi lody czekoladowe, a on woli orzechowe. Próbowaliśmy sobie przypomnieć wszystkie prezenty, jakimi się obdarzyliśmy, i mówiliśmy, czy naprawdę nam się podobały, czy nie. Chociaż cały tydzień chodzę ze ściśniętymi nogami, bo jestem strasznie napalona, nie chcę rezygnować z rozmów. Jemu nie chodzi tylko o mój wygląd. On kocha całość.

Isabel znów poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Mimo całego emocjonalnego bałaganu Harry i Trący mieli coś wspólnego i było to bardzo cenne.

- Znoszę zakaz - oświadczyła. - Decyzję o poinformowaniu Harry'ego podejmij w zgodzie z własnym sumieniem.

- Świetnie - odparła ponuro Trący.

Trący zamieniła kilka słów z doktorem Andrea i poszła do willi. Przeczytała trochę z dziewczynkami i próbowała udzielić Jeremy'emu lekcji historii, ale nie mogła się skupić. Isabel zniosła zakaz seksu. Co z tym zrobić?

Wieczorem, idąc z Harrym do domku, nadal biła się z myślami. Była rozpieszczoną, bogatą dziewczuchą i nie cierpiała dylematów moralnych, ale wiedziała, że jej małżeństwo nie przetrwa, jeśli ona nie znajdzie w sobie dość odwagi, żeby od razu mierzyć się z problemami. Gdy weszli do domku, postanowiła przeciwzyć coś, czego nauczyła ich Isabel, więc wzięła go za obie ręce i spojrzała prosto w oczy.

- Harry, powinnam ci coś powiedzieć, ale nie chcę. Mam bardzo dobry powód i proszę, żebyś mi pozwolił wstrzymać tę informację.

Wiedziała, że on musi to przemyśleć, i z radością wpatrywała się w jego drogą, tak dobrze znaną twarz.

- Czy to sprawa życia i śmierci? - zapytał wreszcie.

Teraz ona musiała się zastanowić.

- Prawie, ale nie do końca.  
- Czy chcę to wiedzieć?  
\* - Och, tak.  
- Ale ty nie chcesz mi powiedzieć.  
- Nie chcę. Nie teraz. Niedługo. Bardzo niedługo.  
Uniósł lekko jedną brew.  
- Bo...  
- Bo strasznie cię kocham. Uwielbiam z tobą rozmawiać. Rozmowa jest dla mnie bardzo ważna, a kiedy się dowiesz tego, czego na razie nie chcę ci powiedzieć, boję się, że nie będziemy już tyle rozmawiać i znów zacznę myśleć, że kochasz mnie tylko ze względu na wygląd.

W oczach zapaliły mu się isierki.

- Isabel zniosła zakaz seksu!

Opuściła ręce i odsunęła się o krok.

- Nie cierpię szczerych rozmów.

Roześmiał się. Wziął ją w ramiona i pocałował w czoło. Dziecko kopało.

- Nie tylko ty lubisz rozmawiać. I chyba już wiesz, że kochałbym cię, nawet gdybyś była taka brzydka jak mój wujek Walt. Zawrzyjmy układ: na każdą minutę, którą spędzimy nago, przypadną trzy minuty rozmowy. A zważywszy, co teraz czuję, będziemy bardzo dużo rozmawiać.

Uśmiechnęła się i przytuliła twarz do jego szyi. Zapach jego skóry sprawiał, że krew krążyła w niej szybciej. Ale co się stanie, jeśli wrócą do dawnych błędów? Wiele wycierpieli. Może wreszcie nadszedł czas, żeby spojrzeć na małżeństwo innym okiem.

- Najpierw ustalmy zasady - powiedziała. - W ubraniu. Od pasa w górę.

- Umowa stoi. Kto złamie zasady, masuje temu drugiemu całe ciało.

- Wchodzę w to. - A, co tam. Uwielbiała go masować.

Pociągnął ją na sofę przed kominkiem, ale gdy tylko usadowiła się przy nim, jęknęła:

- Muszę się wysuszać. Chce mi się cały czas. Jeśli wspomnę, że chciałabym jeszcze raz zająć w ciążę, zostaw mnie na szczycie góry, że-  
bym umarła.

Zaśmiał się i pomógł jej wstać.

- Pójdę z tobą.

Idąc za żoną na górę, zastanawiał się, co takiego zrobił w życiu, że zasłużył na tę kobietę. Byłajak burza w porównaniu z jego spokojem, jak żywe srebro w porównaniu z nim, zwykłym, szarym metalem. Poszedł za nią do łazienki. Nie protestowała, kiedy usiadł na krawędzi wanny. Do-

póki Isabel nie kazała im sporządzać list, Trący nie wiedziała, że wchodzi z nią do łazienki pod byle pretekstem, bo uwielbiał intymność takich chwil, słodką codzienność. Trący śmiała się do rozpuku, kiedy próbował to wyjaśnić, ale wiedział, że zrozumiała.

- Ulubione warzywo? - zapytała. Nie zapomniała, jak bardzo jej pragnie, więc pilnowała, żeby nie zapomniał, jak jej na nim zależy. - Nie mów. Wiem. Groszek.

- Zielona fasola - poprawił. - Nierozgotowana. Trochę twarda. - Dotknął jej łydki. Teraz już wiedział, że musi mówić, co czuje, zamiast zakładać, że Trący rozumie bez słów to, co dla niego oczywiste. - Ja też uwielbiam rozmawiać. - Uczciwość kazała mu dodać: - Ale teraz o wiele bardziej interesuje mnie seks. Trący, minęło tyle czasu. Wiesz, jak na mnie działa sama twoja obecność?

- Tak, bo mi powiedziałaś. - Uśmiechnęli się do siebie i po kilku chwilach wrócili do sypialni. Gdy tylko znaleźli się w środku, spojrzęła na niego kokieteryjnie. - A jeśli zajdę w ciążę?

- Ożenię się z tobą. Tyle razy, ile zechcesz.

Całował ją dłuższą chwilę, aż się odsunęła.

- To ostatnie dziecko, przysięgam. Podwiążę sobie jajowody.

- Jeśli chcesz nadal rodzić, mnie to nie przeszkadza. Stać nas na jeszcze kilkoro.

- Piątka wystarczy. Zawsze chciałam mieć pięcioro dzieci. - Delikatnie ugryzła go w kącik ust. - Och, Harry, tak bardzo się cieszę, że nie masz mi za złe tego dziecka.

- Nie chodziło o dziecko. Teraz to wiesz. - Dotknął jej twarzy. - Nienawidzę niepewności.

- Myślałam, że cię wystraszyłam.

Przesunął kciukiem po jej szczęce. Miała usta obrzękłe od pocałunków, pewnie tak jak on.

- Nie będziemy więcej ryzykować, dobrze? Porady małżeńskie co pół roku, czy potrzebujemy, czy nie. I chyba musimy powiedzieć Isabel, że nie będziemy współpracować z żadnym innym psychologiem.

- Sama się domyśli, kiedy co pół roku będziemy regularnie do niej przychodzić.

Byli gotowi przystąpić do tego, na co tak długo czekali. Najpierw całowali się z zamkniętymi ustami, ale po kilku chwilach wsunął język w słodkie wnętrze jej ust. Długo się tak całowali, ale to nie wystarczyło. Dotknął jej piersi.

- Od pasa w górę - szepnął.

- Tak może być.

Zdjął jej bluzkę. Przyglądała się jego twarzy, gdy rozpinał stanik. Powiedziała mu, że nigdy nie zmęczy się patrzeniem na niego.

Jej piersi zostały wyswobodzone. Zaszło mu w ustach, gdy spojrzął na obrzmiałe sutki. Wiedział, że są delikatne, wiedział, jak bardzo Trący lubi, by ich dotykał. Pamiętał jej zdziwienie, kiedy zobaczyła, jak wysoko na liście jej podniecających cech umieścił jej piersi w czasie ciąży. Nigdy nie wpadło mu do głowy, żeby jej to powiedzieć. Założył, że Trący się domyśla, bo nie mógł oderwać od nich rąk.

Krzyknęła chrapliwie, gdy opuścił głowę, żeby ssać. Wsunęła dłoń między jego nogi.

- Oj. Przebrałam.

Stracił panowanie nad sobą. Rozebrali się błyskawicznie. Pchnęła go mocno, żeby położył się na plecach. Jej włosy opadły jak atramentowoczarnachmura na jedno ramię, gdy się na nim usadowiła, a potem uniosła się trochę, żeby mógł zrobić to, czego tak bardzo pragnął. Najpierw przez chwilę gładził ją palcami.

Wspomnienie tego, czego omal nie stracili, jeszcze wzmogło ich namiętność. Dotykał jej wszędzie, a ona się odwzajemniała. Z zachwytem patrzyli sobie w oczy.

- Zawsze będę cię kochać - szepnął.

- Na wieczność - dodała.

Potem ich ciała zaczęły się poruszać w doskonałym rytmie i nie mogli już rozmawiać. Razem zapadli w piękną ciemność.

## Rozdział 20

Dwustuletni stół jadalny w willi ugiął się pod ciężarem jedzenia. Na zdobionych, owalnych platerach podano pieczony udziec jagnięcy i perliczki faszerowane czosnkiem i szalwią. Na zrumienionych liściach cykorię spoczywały orzechy, oliwki, anchois i rodzynki; w misce z zieloną fasolką było kilka plasterów boczku przyrządzonego po toskański!. Bochenki świeżego *pane toscano* spoczywały w koszu wyłożonym starymi lnianymi serwetkami z wyhaftowanym herbem rodziny.

Mimo wielkich łuków i fresków o tematyce religijnej atmosfera w jadalni była bardzo swobodna. Dzieci Briggsów przekładały na talerzach małe ravioli z mięsem i objadały się pizzą domowej roboty. Ren po-

prosił drugą porcję makaronu z kasztanami, a Isabel pozwoliła sobie im dokładkę polenty, przypieczonej z zewnątrz, ale w środku delikatnej i soczystej. Były też kremowe kawałki *cormo*, figi w czekoladzie i wino - to z własnej winnicy, o żywym, czerwonym kolorze, oraz wonne, białe *cinque terre*.

Ren był Włochem, więc uwielbiał dobrą zabawę. Briggsowie mieli nazajutrz opuścić willę, więc zaprosił wielu gości na pożegnalną kolację. Przy stole siedzieli Giulia i Vittorio oraz liczni członkowie rodziny Massimo i Anny. Doktora Andrei Chiary nie było, chociaż Isabel zaproponowała, żeby go zaprosić.

Massimo mówił o *vendemmia*, winobraniu, które miało się zacząć za dwa dni, a Anna i Marta wciąż podrywały się od stołu, żeby przynieść z kuchni kolejne potrawy. Nikt nie wspomniał o posążku. Przeszukali gaj oliwny wykrywaczami metalu i niczego nie znaleźli.

- Jesteś dla niej taka miła - powiedziała cicho Giulia do Isabel, tak żeby Trący, siedząca przy drugim końcu stołu, nie mogła jej usłyszeć. - Gdyby była żoną Vittoria przede mną, nienawidziłabym jej.

- Nie, gdyby Vittorio próbował się jej pozbyć tak zawzięcie jak Ren - odparła Isabel.

- Mimo to... - Giulia machnęła ręką. - Ach, nie nabiorę cię, dobrze wiem. Nie lubię jej z zazdrości. Niektóre kobiety zachodzą w ciążę od samego patrzenia na mężczyznę. Nawet wnuczka Paola, Josie, znów jest w ciąży.

- Byłam z dziećmi, kiedy mówiłaś Renowi o rozmowie z Josie. Co powiedziała?

Giulia skubała skórkę chleba.

- Że jest w ciąży. Drugi raz. - Uśmiechnęła się ze łzami w oczach. - Czasami myślę, że wszystkie kobiety na świecie są w ciąży, tylko nie ja. Przez to użalam się nad sobą, a to niedobrze.

- Nie wiedziała nic o posążku?

- Bardzo niewiele. Josie nie było łatwo rozmawiać z Paolem po śmierci matki, bo nie najlepiej mówi po włosku. Ale kontaktowali się ze sobą, a on zawsze przysyłał jej prezenty.

- Prezenty? Myślisz...

- Nie posążek. Zapytałam, zwłaszcza że powiedziała, że miała kłopoty z zajściem w ciążę po raz pierwszy.

- Przydałaby się lista wszystkich prezentów, które jej wysłał. Moglibyśmy znaleźć jakąś wskazówkę. Mapę wsuniętą w książkę, klucz... Cokolwiek.

- Nie pomyślałam o tym. Zadzwoń do niej jeszcze raz.

- Siusiu! - wrzasnął Connor ze swojego fotelika z tyłu stołu, gdy wniesiono placek z jabłkami.

Harry i Trący podskoczyli jednocześnie.

- Chcę jego! - Wycelował palec w Rena, który się skrzywił.
- Daj spokój, kolego. Idź ztatusiem.
- Chcę z tobą!

Trący zatrzepotała rękami jak kurczak.

- Nie kłóć się z nim, bo będzie wypadek.
- Nie ośmieli się. - Ren groźnie łypnął na berbecia.

Connor włożył palec do buzi i tylko się zaśmiał.

Ren westchnął i poddał się temu, co nieuniknione.

- Długo nie mógł tego zrozumieć, ale w końcu pojął wszystko w jeden dzień - mówiła Trący do Fabioli, gdy Ren wziął Connora na ręce. - Chyba przy czwartym dziecku już się wie, jak oduczyć maleństwo od siusiania w pieluchę.

Ren warknął coś z sąsiedniego pokoju.

Mijały godziny. Na stole pojawił się alkohol, cierpka grappa i słodsze vinsanto, oraz orzechowe ciasteczka *cantucci*. Przez otwarte drzwi wpadał chłodny wiatr, a Isabel zostawiła sweter w domku, kiedy rano przeniosła tam z powrotem swoje rzeczy. Wstała i dotknęła ramienia Rena, przerywając jego rozmowę z Vittorioem o włoskich politykach.

- Idę na górę pożyczyć twój sweter.

Pokiwał machinalnie głową i wrócił do rozmowy.

W jego sypialni były ciemne, ciężkie meble, na przykład ręcznie rzeźbiona szafa, złożone lustro i łóżko z czterema grubymi kolumnami. Wczoraj po południu spędziła tu z Renem godzinę, gdy rodzina Briggsów wybrała się na wycieczkę po okolicy.

Przeszył ją lekki dreszcz. Zastanawiała się, czy nie jest już uzależniona od seksu. Ale wiedziała, że bardziej prawdopodobne jest uzależnienie od Lorenza Gage'a.

Ruszyła w stronę szafy. Stała jak wryta, gdy spostrzegła coś na łóżku. Podeszła bliżej.

Ren wypił sporo wina, więc darował sobie grappę. Wolał być trzeźwy wieczorem, kiedy będzie robić świństwa z doktor Isabel. Miał wrażenie, że nad ich głowami zaczął tykać ogromny zegar, odliczający czas, który im został. Za niecały tydzień będzie musiał wyjechać na spotkanie w Rzymie, a niedługo potem zabierze się stąd na dobre. Rozejrzał się za nią i przypomniał sobie, że poszła do sypialni po jego sweter.

W mózgu rozdzwonił mu się dzwonek alarmowy. Zerwał się od stołu i wbiegł na schody.

Isabel usłyszała jego kroki na korytarzu. Charakterystyczne, równe kroki, lekkie jak na tak wysokiego mężczyznę. Wszedł do sypialni, wkładając ręce w kieszenie.

- Znalazłaś sweter?
- Jeszcze nie.
- W szafce jest szary. - Podeszedł tam. - To najmniejszy, jaki mam.

Usiadła na skraju łóżka, trzymając w rękach scenariusz, który znalazła.

- Kiedy go dostałeś?
- Może weź raczej niebieski. To? Kilka dni temu. Niebieski jest czysty, a szary miałem na sobie kilka razy.
- Nic mi nie mówiłeś.
- Mówiłem. - Grzebał w szufladzie.
- Nie powiedziałeś, że dostałeś scenariusz.
- Może nie zauważyłaś, ale ostatnio trochę się tu działo.
- Nie aż tyle.

Wzruszył ramionami, wyjął z szuflady sweter i zaczął szukać drugiego-

Przesunęła kciukiem po naklejce na scenariuszu.

- Dlaczego nic nie mówiłeś?
- Wiele się dzieje.
- Cały czas rozmawiamy. Nie powiedziałeś ani słowa.
- Pewnie mi to nie przyszło do głowy.
- Trochę trudno mi w to uwierzyć. Przecież wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Napreżył się prawie niezauważalnie, jak wąż przed atakiem.

- To zaczyna być przesłuchanie.
- Nie mogłeś się doczekać tego scenariusza. Dziwne, że nie powiedziałeś, że już go masz.
- Mnie to nie dziwi. Praca to moja prywatna sprawa.
- Rozumiem. - Jeszcze kilka chwil temu wspominała z przyjemnością, jak się kochali, ale teraz czuła się smutna i trochę upokorzona. Była tylko kobietą, z którą spał - nie przyjaciółką, nawet nie prawdziwą kochanką, bo prawdziwi kochankowie dzielą się czymś więcej niż tylko ciałem.

Nie patrzył jej w oczy.

- I tak nie podobają ci się moje filmy. Dlaczego miałoby cię to obchodzić?

- Bo tobie na tym zależy. Bo rozmawialiśmy o tym. Boja opowiadam ci o swojej pracy. Wybierz, co chcesz. - Rzuciła scenariusz i wstała z łóżka.

- Przesadzasz. Ja tylko... Jenks trochę zmienił scenariusz, nic więcej. Wciąż próbuję się z tym oswoić. Masz rację, powinienem był ci powiedzieć. Ale pewnie nie chciałem znów wdawać się w kłótnię na ten temat. Szczerze mówiąc, Isabel, mam już trochę dość ciągłego bronienia mojej pracy.

Najpierw gniew, potem poczucie winy, teraz atak. Klasyczne. Chciała się odgryźć, ale nie w ten sposób buduje się zdrowy związek. Ona tak bardzo pragnęła, żeby ten związek był zdrowy, że prawie nie mogła odychać.

- Dobrze. W porządku. - Obróciła w palcach bransoletkę i wzięła głęboki wdech. - Ciągłe cię oceniałam i muszę przestać. Ale nie chcę, żebyś mnie odsuwał.

Pchnął szufladę kolanem.

- Mówisz, jakbyśmy... jakbyśmy byli... cholera.

- Razem? - Miała spocone dłonie. - To próbujesz powiedzieć? Mówię tak, jakbyśmy byli razem?

- Chwileczkę. Jesteśmy razem. To świetny związek. Cieszę się. Ale...

- To tylko seks, tak?

- Hej! Sama ustaliłaś zasady, więc teraz nie zrzucaj winy na mnie.

- Myślisz, że to robię?

- Traktujesz mnie jak jednego ze swoich cholernych pacjentów.

Miała już dość. Nie mogła spokojnie słuchać. Nie mogła słuchać jego słów i tłumaczyć ich zasadami, w które tak głęboko wierzyła. Miał rację. Ona ustaliła zasady, a teraz sama je pogwałciła. Ale zasady zostały ustalone emocjonalnie życie temu.

Splotła ręce na piersi.

- Przepraszam. Chyba przesadziłam.

Za wiele oczekujesz, to wszystko, Nie jestem taki święty jak ty i nigdy nie udawałem, więc się odczep.

- Oczywiście. - Poszła do drzwi, ale jeszcze ją zawołał.

- Isabel...

Święta wróciłyby, żeby mogli rozwiązać problem, ale cna nie była święta, więc się nie zatrzymała.

Ren stał w drzwiach ciemnego pokoju; patrzył na marmurowe posągi w ogrodzie, oświetlone bladym światłem księżyca. W willi panowała cisza, z głośników dobiegał tylko szmer wzruszającej melodii, granej na saksofonie przez Dextera Gordona. Hany i Trący wrócili na noc, więc Isabel miała domek dla siebie, ale ostatni raz byli w łóżku wiele godzin temu. Ren potarł oczy. Doktor Isabel Favor, tak żarliwie wierząca w rozmowę, odwróciła się do niego plecami i odeszła. Nie winił jej za to. Zachował się jak kretyn.

Jego wojownicza Isabel miała zbyt wiele czułych punktów, a on zaczynał trafiać we wszystkie po kolei. Ale przecież albo się rani, albo cierpi, tak? A on nie mógł pozwolić, żeby znów grzebała w jego psychice i odkryła pogardę dla samego siebie, którą miał w sobie, odkąd pamiętał. Ona ustaliła warunki ich związku. „Chodzi tylko o seks - powiedziała. - Krótkotrwały, fizyczny związek”.

Zapalił papierosa. Dlaczego musiała być tak cholernie zawzięta? Dostałaby szału, gdyby się dowiedziała, że będzie grał bydlaka, który molestuje dzieci. Co więcej, widziała, ile czasu spędza z dziewczynkami. Szybko by to skojarzyła. Zrozumiałaby, że on bawi się z nimi, przygotowując się do roli. A wtedy naprawdę rozpętałoby się piekło i straciłby tę odrobinę jej szacunku, którą sobie zaskarbił. Tak było w jego życiu zawsze...

Zaciągnął się głęboko. To była kara za wiązanie się z tak porządną kobietą. Cała ta szalona dobroć go przyciągała, i teraz ciepiął. Kiedy nie byli razem, jedzenie nie smakowało tak dobrze, a muzyka nie brzmiała tak słodko. Powinien się z nią nudzić. Tymczasem nudził się bez niej.

Wystarczyłoby przeprosić, żeby wrócić w jej łaski. Przepraszam, że cię odtrąciłem. Ona nie bocyłaby się długo, bo w przeciwieństwie do niego nie znała pogardy. Zasłużyła na przeprosiny, ale co dalej? Niech jej Bóg pomoże, bo się w nim zakochała. Nie chciała tego przyznać, nawet przed sobą, ale wysyłała emocje jak telegrafem. Widział to w jej oczach, słyszał w głosie. Najinteligentniejsza kobieta, jaką znał, zakochała się w mężczyźnie, który zostawiał niewidzialne ślady brudu na jej skórze, gdy tylko jej dotykał. A najgorsze - nie mógł sobie tego wybaczyć - było to, że cudownie się czuł, otrzymując miłość porządnej kobiety.

Wrócił bezsensowny gniew. Isabel pod wieloma względami znała go lepiej niż ktokolwiek inny, ale dlaczego się nie chroniła? Zasłużyła na kogoś z dobrą przeszłością, Na harcerza, przewodniczącego samorządu studenckiego, kogoś, kto pomógłby jej budować domy dla biednych, kto nie marnowałby życia swojego i jej.

Zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił niedopałek na taras. Piekło go w żołądku. Każdy prawdziwy czarny charakter wykorzystałby sytuację.

Cieszyłby się tym, co mógłby uzyskać, i odszedłby bez skrępowań. Czarne charaktery łatwo rozgryźć. Co jednak zrobiłby bohater?

Bohater odszedłby, żeby bardziej nie skrzywdzić bohaterki. Bohater rozstałby się szybko i w taki sposób, żeby bohaterka czuła ulgę, że tak łatwo umknęła przed katastrofą.

- Słyszałam muzykę.

Obrócił się gwałtownie i zobaczył Steffie; szła do niego po marmurowej posadzce. To była jej ostatnia noc w tym domu. Kiedy dzieci przeniosą się do miasta, będzie wreszcie miał spokój. Tylko że już im powiedział, że mogą codziennie wpadać tu na basen.

Steffie miała na sobie wypłowiałą, żółtą koszulę nocną z nadrukowaną postacią kreskówki, którą powinien rozpoznać, ale nie mógł. Jej ciemne, krótko ostrzyżone włoski sterczały na boki. Odgniotła sobie policzek. Gdy do niego podeszła, wiedział, że będzie musiał przywołać całą swoją technikę aktorską żeby zagrać Streeta, bo niezależnie od tego, jak długo by się przygotowywał, nigdy nie zrozumie, jak można skrzywdzić dziecko.

- Dlaczego nie śpisz?

Podciągnęła trochę koszulę i zobaczył cienkie zadrapanie na łydce.

- Brittany kopnęła mnie przez sen i skaleczyła paznokciem.

Miał ochotę się napić. Nie chciał, żeby małe dziewczynki pocieszały go w środku nocy. W ciągu dnia to co innego. Mógł trzymać się na dystans i obserwować. Ale nie nocą kiedy czuł się, jakby miał tysiąc lat.

- Przeżyjesz. Wracaj do łóżka.

- Jesteś wredny.

- Idź do rodziców.

Zmarszczyła brwi.

- Zamknęli drzwi na klucz!

Musiał się uśmiechnąć.

- Cóż, życie jest ciężkie.

- A gdybym zobaczyła pająka? - zapytała z oburzeniem. - Kto by go zabił?

- Ty, koleżanko.

- O nie.

- Wiesz, co robiłem, kiedy byłem mały i zobaczyłem pająka?

- Deptałeś go z całej siły.

- Nie. Brałem go do ręki i wynosiłem na dwór.

Jej oczy zaokrągliły się z obrzydzenia.

- Dlaczego to robiłeś?

- Lubię pająki. Hodowałem kiedyś tarantulę. - Oczywiście zdechła, bo przestał się nią zajmować, ale tego nie miał zamiaru mówić Steffie. - Większość pajaków to bardzo miłe robaczki.

- Dziwny jesteś. - Przykucnęła, żeby zdrapać sobie z paznokcia u stopy niebieski lakier. Martwiła go jej delikatność. Podobnie jak Isabel powinna stwardnieć.

- Dość już tych bzdur, Stef. Z tymi pajakami to stara śpiewka. Jesteś mądra i dość silna, żeby poradzić sobie sama, a nie biec do mamusi i tatusia w środku nocy jak małe dziecko.

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, którego nauczyła się od matki.

- Doktor Isabel mówi, że musimy rozmawiać o naszych uczuciach.

- Tak, ale już wszyscy wiemy, co myślisz o pajakach, i męczy nas słuchanie w kółko tego samego. Zresztą to i tak transfer emocjonalny.

- To samo powiedziała. Bo martwiłam się o rodziców.

- Teraz już nie musisz się o nich martwić.

- Chyba nie myślisz, że powinnam się przestać bać pajaków? - Patrzyła na niego oskarżycielsko i sceptycznie zarazem, ale dostrzegł też chyba promyczek nadziei.

- Nie musisz ich lubić, ale przestań je traktować tak poważnie. Lepiej jest stanąć oko w oko ze swoim strachem, niż od niego uciekać.

Hipokryta. Kiedy ostatnio stanął oko w oko z tą wieloletnią pustką w sobie?

Podrapała się po biodrze.

- Wiedziałeś, że będziemy tu chodzić do szkoły?

- Słyszałem. - Jeremy chyba zorganizował rodzinny bunt przeciwko lekcjom Trący. W rezultacie Harry wypisał czek miejscowym urzędnikom, żeby dzieci mogły chodzić do szkoły w Casalleone do wyjazdu pod koniec listopada. Gdy zapytał go o zdanie, Ren odpowiedział, że już mówią trochę po włosku, więc mogą się porozumiewać z rówieśnikami, i że to będzie dla nich dobre doświadczenie.

- Ożenisz się doktor Isabel?

- Nie!

- Dlaczego? Przecież ją lubisz.

- Bo doktor Isabel jest dla mnie zbyt miła.

- A ja uważam, że i ty jesteś miły.

- Myślisz tak, bo jesteś łatwowierna.

Ziewnęła i wsunęła rękę w jego rękę.

- Zaprowadź mnie do łóżka, dobrze?

Spojrzał na czubek jej głowy i na chwilę przytulił ją do siebie.

- Dobrze, ale tylko dlatego, że mi się nudzi.

Następnego ranka wszyscy zebrali się przed willą, żeby pożegnać Briggsów, choć rodzina nie wyjeżdżała daleko. Ren dał Jeremy'emu kilka płyt kompaktowych, które chłopiec lubił, przyjął lepkiego całusa od Connora, podziwiał fikołki Brittany i po raz ostatni przypomniał Steffie, żeby nie była mięczakiem. Isabel była pochłonięta rozmową ze wszystkimi tylko nie z nim. Nie dziwił go jej gniew. W jej świecie to, że nie wspominał o nadejściu scenariusza, to była wielka zdrada.

Gdy samochód znikł na drodze, pomachała do Anny, odwróciła się i ruszyła do domku. Marta pojechała z Trący, żeby pomóc jej się zająć dziećmi, więc Isabel miała zostać sama. Gdy patrzył, jak idzie ścieżką, bułka, którą zjadł na śniadanie, ciążyła mu w żołądku. Chciał to już mieć za sobą.

- Zaczekaj! - krzyknął. - Mam coś dla ciebie.

Odwróciła się. Zauważył, jak owinęła się w pasie czarnym swetrem. Rękawy były porządnie związane. Cała Isabel była porządna, z wyjątkiem jej uczuć do niego. Czy jeszcze nie rozumiała, że poddała się urokowi zakazanego owocu? Zresztą nie ona jedna.

Wyjął scenariusz spomiędzy prętów balustradki i podał go Isabel.

- Weź to.

Nic nie powiedziała. Tylko patrzyła.

- Weź. Przeczytaj.

Nie powiedziała nic złośliwego, choć on by to zrobił. Tylko potaknęła i wsunęła scenariusz pod pachę.

Gdy patrzył, jak odchodzi, utwierdzał się w przekonaniu, że postępuje słusznie. Ale wiedział, że będzie mu jej bardzo brakowało. Będzie mu brakowało całego czasu spędzonego z nią... Dręczyło go tylko, że w jakiś sposób ją zepsuł.

Resztę poranka spędził w winnicy, żeby nie rzucić się na paczkę papierosów. Słuchając Massima, próbował nie myśleć, przy której scenie jest teraz Isabel ani jak reaguje. Staruszek patrzył w niebo i martwił się wszystkimi katastrofami, które jeszcze mogły nastąpić przed jutrzejszym winobranieniem - burzą lub wczesnym przymrozkiem, bo ten zmieniłby dojrzałe owoce w lepką papkę.

Nie mogąc już znieść ponurego nastroju Massima, poszedł do willi, ale bez dzieci było w niej przygnębiająco pusto. Zamierzał popływać w basenie, gdy przyszła Giulia; szukała Isabel.

- Jest w domku - powiedział.

- Dasz jej to? Prosiła, żebym jeszcze raz zadzwoniła do wnuczki Paola i zapytała, jakie prezenty jej wysłał. Rozmawiałam z Josie wczoraj wieczorem i wszystko zapisałam.

Ren wziął od niej kartkę i przeczytał. Josie wymieniła praktyczne rzeczy do domu i ogrodu: gliniane donice, zestaw narzędzi kominkowych, lampa do sypialni, półeczka na klucze, torby suszonych *porcini*, wino, oliwa z oliwek. Postukał w kartkę palcem.

- Ta lampa... Może podstawa...

- Alabaster, i jest za mała. Pytałam.

- Warto było spróbować. - Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Chociaż nie wierzył w moc posążka, nie podobało mu się, że nie potrafił go odnaleźć. Jako właściciel posiadłości czuł, że powinien wymyślić jakiś sposób, żeby rozwiązać problemy miasteczka.

Gdy Giulia wyszła, wskoczył do basenu. Woda była chłodna, ale nie zimna. Nie był więc odrętwiały, choć bardzo tego chciał. Kiedy się zmęczył, przewrócił się na plecy... i zobaczył Isabel siedzącą pod parasolem.

Skrzyżowała nogi w kostkach. Słomkowy kapelusz rzucał cień na jej twarz. Na kolanach trzymała scenariusz. Ren zanurkował i wynurzył się najdalej, jak mógł. Jak tchórz, który ucieka przed nieuniknionym. W końcu wyszedł z basenu i wziął ręcznik.

Patrzyła, jak idzie do niej. Zwykle bawiło go, kiedy próbowała nie zerkać mu w krocze, ale dziś nie było mu do śmiechu.

- To świetny scenariusz - powiedziała.

Chyba postanowiła uspić jego czujność przed atakiem. Grał znudzonego gwiazdora. Rozciągnął się obok niej, przekrzywił głowę i zamknął oczy, bo raziło go słońce.

- Tak.

- Nietrudno zgadnąć, dlaczego nie chciałeś, żebym go przeczytała. Najlepiej będzie zachować się ordynarnie.

- Nie chcę wykładu.

- Nie będzie żadnego wykładu. Nie stanę w kolejce po bilety na ten film, ale będę wyjątkiem. Krytycy będą zachwyceni, publiczność też.

Otworzył jedno oko. Zamiast zaatakować wprost, próbowała go wciągnąć w zasadzkę.

- Rozumiem, dlaczego się tak ekscytujesz - ciągnęła. - Ta rola będzie od ciebie wymagała ogromnego wysiłku. Twoja kariera osiągnęła taki punkt, że tego ci właśnie trzeba.

Nie mógł tego znieść, więc poderwał się z leżaka.

- On molestuje dzieci!

Zamrugła.

- Wiem, że nie taki kontrakt podpisałeś, ale to będzie wielkie wyzwanie. - Miała czelność się uśmiechnąć. - Jesteś bardzo utalentowany, Ren, i czekałeś na taki film od początku kariery.

Odepchnął leżak i poszedł nad basen. Prawie jej nienawidził. Była tak bezlitośnie rozsądna, tak bezlitośnie sprawiedliwa... Teraz będzie musiał wszystko jej powiedzieć.

- Chyba nie zauważyłaś, że spędziłem tyle czasu z córkami Trący, bo przygotowywałem się do roli.

- Domyśliłam się.

Odwrocił się gwałtownie.

- Steffie i Brittany! Cudowne dziewczynki! Nie rozumiesz? Próbowaliśmy przywdziać skórę Streeta i spojrzeć na nie jego oczami.

Rondo kapelusza rzucało cień na jej twarz, więc myślał, że źle odczytał jej minę. Ale kiedy podniosła głowę, zobaczył, że wcale się nie pomylił. W jej oczach widać było współczucie.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

Stracił panowanie nad sobą. Nie wystarczyło jej obdarcie go ze skóry. Musiała jeszcze obgryzać kości.

- Cholera jasna! - Nienawidził jej dobroci, jej współczucia. Nienawidził wszystkiego, co ją od niego dzieliło. Musiał uciec, tylko że jego stopy nie chciały się poruszyć. Isabel objęła go w pasie.

- Biedny Ren. - Przytuliła policzek do jego piersi. - Mimo całego swojego sarkazmu uwielbiasz te dziewczynki. Przygotowanie do tej roli musi być okropne.

Chciała ją odepchnąć, ale działałajak balsam na jego rany, więc przyciągnął ją bliżej.

- Sątek cholernie ufne.

- A ty naprawdę jesteś godny zaufania.

- Wykorzystałem je.

- Podchodzisz poważnie do swojej pracy. Oczywiście, że musisz rozumieć dzieci, żeby zagrać tę rolę. Lecz ani przez chwilę nie stanowiłeś dla nich zagrożenia.

- Boże, wiem, ale... - Czyli ona nie odejdzie. Będzie musiał zacząć od początku. Ale nie dziś, nie teraz.

To urażało logice, jednak chciał jej o tym powiedzieć. Odsunął się o kilka kroków, by nie martwić się, że ją psuje.

- Scenariusz... Jest o wiele lepszy niż pierwszy pomysł Jenksa. Czasami widownia będzie za Streetem, chociaż to potwór.

- Dlatego ten film będzie genialny i przerażający.

- Pokazuje, jak uwodzicielskie potrafi być zło. Każdy, kto go obejrzy, będzie musiał zajrzeć w siebie. Jenks jest genialny. Wiem o tym. Tylko... - Chyba zaschło mu w ustach.

- Rozumiem.

- Zmieniam się w pieprzonego mięczaka.

- Nie klnij. Zawsze byłeś mięczakiem. Ale jesteś tak cudownym aktorem, że nikt się tego nie domyśla.

Isabel miała nadzieję, że rozbawi Rena, lecz wciągnął go wir emocji, więc nie mógł się uśmiechnąć. To tłumaczyło, dlaczego ostatnio był taki drażliwy. Chociaż chciał zagrać tę rolę, czuł, że jest odrażająca.

- To film Streeta - rzekł. - Nathan, bohater, jest kryształowy.

- Nigdy dotąd nie miałeś problemów z oddzieleniem się od granej postaci, więc i teraz nie sprawi ci to kłopotu.

Chciała go pocieszyć, ale on miał jeszcze bardziej zakłopotaną minę,

- Nie rozumiem cię - powiedział. - Powinnaś być wściekła. Czyżbyś nie chciała obsypywać świata czarodziejskim dobrym proszkiem?

- Tak chciałabym przeżyć własne życie. Ale w sztuce nic nie jest proste. Artyści muszą interpretować świat tak, jak go widzą, a ich wizje nie zawsze są piękne.

- Myślisz, że ten film to dzieło sztuki?

- Tak. Ty też tak uważasz, bo inaczej nie przechodziłbyś przez to wszystko.

- To tylko... Chciałbym... Cholera, szkoda, że mój agent nie zmusił ich do umieszczenia mojego nazwiska przed tytułem.

Nie dała się nabrać. Rozbolało ją serce. To, że targały nim takie sprzeczności, mogło oznaczać, że wreszcie miał dość czajenia się w ciemnych uliczkach. Może kiedy to się skończy, będzie mógł zagrać bohatera. Najwyższy czas, żeby wyszedł poza wąski obraz siebie jako aktora i istoty ludzkiej.

Ale teraz w jego spojrzeniu był tylko cynizm.

- Czyli odpuszczasz mi grzech, który popełnię.

- Nakręcenie tego filmu to nie grzech. A ja nie mogę ci niczego odpuścić.

- Jesteś najlepszym, co mam.

- Och, Ren. - Podeszła do niego i odgarnęła mu kosmyk z czoła. - Kiedy zobaczysz, kim jesteś naprawdę?

- O rany, aleś zawzięta.

Przypomniała sobie, że jest jego kochanką a nie terapeutką, i że nic może zmieniać go na lepsze, zwłaszcza że nie pomogła ani trochę samej sobie. Chciała się cofnąć, ale mocno złapał ją za ramię.



- Chodźmy.

W jego twarzy zobaczyła coś jakby desperację. Pociągnął ją do domu, do sypialni. Wiedziała, że coś jest nie tak, ale zaraziła się jego gorączką i zdarła z siebie ubranie tak szybko jak on z siebie.

Gdy padli na materac, wciągnęła go na siebie. Chciała, żeby odpędził jej przeczucie, że wszystko skończy się bardzo szybko, zanim któreś z nich zdąży zapobiec katastrofie. Chwytał ją za kolana i rozsunął jej nogi. Orgazm był przesywający, ale nie radosny. Jak cień na słońcu.

Ren owinał się ręcznikiem i szedł do kuchni. Spodziewał się po niej wielu reakcji na scenariusz, ale że jego, Rena, zaakceptuje - nie mówiąc o dodawaniu otuchy - na pewno nie. Chciał, żeby choć raz zachowała się tak, jak przypuszczał. Jednocześnie fakt, że nigdy tak nie było, sprawiał, że Ren nigdy nie miał jej dość.

Zaczął czuć... W głowie zadźwięczało mu słowo „panika”, ale je przepędził. On nie panikował, nawet pod koniec filmu, kiedy umierał zasłużenie okrutną śmiercią. On tylko czuł się... nieswojo, to wszystko.

Na gorze usłyszał szum wody płynącej do wanny. Miał nadzieję, że Isabel zmyje ślady brudu, które zostawił na jej skórze - nie mogła ich widzieć, lecz były na pewno.

Poklepał się po biodrze, szukając papierosów, ale przypomniał sobie, że ma na sobie tylko ręcznik. Gdy poszedł w stronę zlewu, żeby wziąć szklankę wody, zauważył stosik listów leżących na blacie. Obok nich była duża koperta z adresem zwrotnym wydawcy Isabel z New York City. Zerknął na pierwszy list.

*Droga doktor Favor,*

*Nigdy nie pisałem do słynnej osoby, ale byłem na pani wykładzie w Knoxville. To radykalnie zmieniło mój stosunek do życia. Zacząłem tracić wzrok w wieku siedmiu lat...*

Skończył list i sięgnął po następny.

*Droga Isabel,*

*Nie gniewaj się, że zwracam się do Ciebie po imieniu, ale uważam Cię za swoją przyjaciółkę. Ten list układam w ghwie od dłuższego czasu. Kiedy przeczytałam w gazecie o wszystkich Twoich kłopotach, postanowiłam napisać go naprawdę. Cztery lata temu, gdy mąż odszedł ode mnie i dwójki dzieci, wpadłam w taką depresję, że nie mogłam wyjść z łóżka. Moja najwię-*

*szą przyjaciółką przyniosła mi kasetę z Twoim wykładem, kupiła ją w księgarni. To było o wierze w siebie. Moje życie się zmieniło. Teraz zaczęłam się uczyć...*

Potarł brzuch, ale niepokój, który czuł, nie miał nic wspólnego z tym, że zapomniał o jedzeniu.

*Droga pani Favor,*

*Mam szesnaście lat i kilka miesięcy temu próbowałam się zabić, bo myślę, że chyba jestem gejem. Ktoś zostawił Pani książkę w kawiarni, wziąłem ją. Chyba uratowała mi Pani życie.*

Kiedy siadał przy stole, poczuł, że oblewa go pot.

*Droga Isabel Favor,*

*Czy mogłabyś mi przysłać swoje zdjęcie z autografem? Wiele by to dla mnie znaczyło. Kiedy wylali mnie z pracy...*

*Doktor Favor,*

*Uratowała pani nasze małżeństwo. Mieliśmy problemy finansowe...*

*Droga Panno Favor,*

*Nigdy nie pisałem do znanej osoby, ale gdyby nie pani...*

Wszystkie listy zostały napisane, kiedy Isabel spadła już z piedestału, ale dla ich autorów nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, co dla nich zrobiła.

- Żałosne, co? - Isabel stała w drzwiach, zawiązując szlafrok.

Ucisk w żołądku przesunął się wyżej, do gardła.

- Dlaczego tak mówisz?

- Dwa miesiące. Dwanaście listów. - Włożyła ręce do kieszeni szlafroka i stała z nieszcześliwą miną. - W lepszych czasach, chłopcze, przychodziły pudłami.

Listy upadły na podłogę, gdy poderwał się od stołu.

- Czyli ratowanie dusz to sprawa ilości, nie jakości?

Spojrzała na niego dziwnie.

- Chciałam tylko powiedzieć, że miałam tak wiele, a wszystko zmarnowałam.

- Niczego nie zmarnowałaś! Przeczytaj te listy! Przeczytaj je, cholera, i przestań się nad sobą użalać.

Zachował się jak bydlak i każda inna kobieta rzuciłaby się na niego z pięściami. Ale nie Isabel. Nie pieprzona Święta. Nawet się nie skrzywiła. Miała tylko smutną minę. Raniło mu to serce.

- Może masz rację-powiedziała.

I powoli się odwróciła. Zaczął przeproszać, ale zobaczył, że zamknęła oczy. Co robić? Wiedział, jak postępować z kobietami, które płaczą albo krzyczą, ale jak się zachować przy kobiecie, która się modli? Czas znów pomyśleć jak bohater, nieważne, jak bardzo to sprzeczne z jego naturą.

- Muszę wracać. Do zobaczenia rano, na endemmia.

Nie spojrzała na niego, nie odpowiedziała, i czy ktoś mógłby mieć jej to za złe? Po co rozmawiać z diabłem, skoro ma się Boga za towarzysza?

## Rozdział 2 1

Tylko Massimo był w winnicy przed Renem. Ren wcale nie wstał wcześniej niż inni, po prostu wcale się nie kładł. Całą noc słuchał muzyki i myślało Isabel.

Pojawiła się, jakby ją przyzwał. Wyłoniła się z porannej mgły jak anioł. Miała na sobie nowe, jeszcze nieprasowane dzinsy. Flanelowa koszula, którą narzuciła na T-shirt, należała do niego, podobnie jak czapeczka Lakersów. A jednak wyglądała porządnie. Przypomniła sobie listy, które dostała, i coś zapiekło go w piersi, tuż za mostkiem.

Przyszedł Giancarlo i Ren nie musiał już z nią rozmawiać. Powoli schodzili się pozostali. Massimo już wydawał rozkazy. Winobranie się zaczęło.

Isabel odkryła, że zrywanie winogron to bardzo nieporządne zajęcie. Gdy wrzucała ciężkie grona do kosza, *paniere*, sok obryzgiwał jej ręce, a sekator lepił się jak posmarowany klejem. Było to zdradliwe narzędzie, które myliło ludzkie ciało z grubymi gałązkami winogron. Wkrótce musiała sobie przykleić plaster na koniec palca.

Ren i Giancarlo szli między rzędami, biorąc od ludzi pełne kosze i opróżniając je do plastikowych skrzynek, ustawionych na małej przyczepie traktora. Wieźli je do starego kamiennego budynku przy winnicy,

gdzie inna grupa gniotła je i wlewała moszcz do kadzi, żeby fermentować.

Dzień był pochmurny i chłodny, ale Ren rozebrał się do T-shirtu z nadrukowanym tytułem jednego ze swoich filmów. Stał przy niej, żeby wziąć kosz, który właśnie napełniła.

- Wiesz, że nie musisz tego robić.

W sąsiednim rzędzie jedna z kobiet podniosła dwie kiście winogron przed swoje piersi i wymachiwała nimi, rozśmieszając wszystkich. Isabel odpędziła brzęczącą pszczołę.

- Ile mam szans w życiu na winobranie w Toskanii?

- Przyjemność szybko się skończy.

Chyba już się skończyła, pomyślała, a Ren otarł czoło i odszedł.

Patrzyła na pszczołę, która usiadła na jej dłoni. Wczoraj wieczorem do niej nie przyszedł. Zadzwoił tylko z willi i powiedział, że ma robotę. Ona też powinna popracować, tymczasem pograżyła się w rozmyślaniach. Ciemna strona przeszłości Rena oblepiała go jak pajęczyna, blokując wszelką nadzieję na wspólną przyszłość. A może rzeczywiście przesadzam, pomyślała.

Była wdzięczna, kiedy podeszła do niej jakaś młoda kobieta. Isabel musiała skupić na rozmowie całą swoją uwagę, bo znała zaledwie kilka włoskich słów - tak jak kobieta angielskich.

Wieczorem, gdy zebrano grona z połowy winnicy, wróciła do domu. Nie rozmawiała z Renem, który poszedł się napić wina z kilkoma mężczyznami. Gdy zadzwoniła Trący, żeby zaprosić ją na kolację, odmówiła. Była zbyt zmęczona. Zjadła tylko kanapkę z serem i poszła spać.

Poranek wstał za wcześnie, więc jej mięśnie zaprotestowały, kiedy przewróciła się na bok. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zostać w łóżku, ale podobała jej się wczorajsza praca. Podobało jej się też poczucie spełnienia. Nie doświadczała go od bardzo dawna.

Drugiego dnia wszystkim pracowało się szybciej. Przyszedł Vittorio, żeby pomóc. Pojawiła się też Trący z Connorem i opowiedziała Isabel o pierwszym dniu dzieci w szkole oraz o telefonie od Harry'ego z Zurychu. Fabiola, posługując się łamaną angielszczyzną, zwierzyła się Isabel, że nic może zająć w ciąży. Ale Ren prawie się nie odzywał. Zastanawiała się, czy pracował ciężiej od wszystkich, bo był właścicielem winnicy, czy też dlatego, żeby uniknąć jej towarzystwa.

Słońce zachodziło. Gdy do końca zostało tylko kilka rzędów, poszła do stołu, na którym stały dzbanki z wodą. Nagle usłyszała wybuch śmiechu. Zobaczyła trzech mężczyzn i dwie kobiety, szli od strony willi.

Ren postawił skrzynkę, którą właśnie rozładowywał, i pomaszerował im naprzeciw, machając ręką.

- Dobrze, że wreszcie jesteście.  
Dwaj z trzech mężczyzn, o typie urody Adonisa, mówili z amerykańskim akcentem.

- Kiedy stary dzwoni, kawaleria nadciąga z odsieczą.
- Gdzie piwo?

Kosztownie ubrana rudowłosa kobieta w drogich okularach przeciwsłonecznych ściągniętych na głowę posłała Renowi całusa.

- Cześć, kochanie. Stęskniliśmy się za tobą.
- Ciesz się, że przyjechaliście. - Musnął jej policzek, a potem ucałował drugą kobietę, bardzo podobną do Pameli Anderson.
- Marzę o dietetycznej coca-coli - powiedziała. - Twój agent, drań bez serca, nie chciał zrobić przerwy.

Trzeci mężczyzna był niski i szczupły, po czterdziestce. Okulary przeciwsłoneczne wisiły mu na łańcuszku na szyi, do ucha przyciskał telefon komórkowy. Przekazał na migi Renowi, że osoba dzwoniąca to idiota i że zaraz się rozłączy.

Rudowłosa zaśmiała się gardłowo i przesunęła palcem wskazującym po nagiej piersi Rena.

- Mój Boże, kochasiu, jak ty wyglądasz! Czy to prawdziwy brud?

Isabel była oburzona. Kobieta bez żadnego skrępowania bawiła się piersią Rena. Isabel spoglądała na jej spodnie, buty na szpilkach, bardzo długie nogi i doskonale wyeksponowany pępek. Dlaczego Ren nie powiedział, że zaprosił tych ludzi?

Stała tak daleko, że mógł ją zignorować, ale zawołał:

- Isabel, poznaj moich przyjaciół!

Trący trochę dokuczała Isabel, że jak zawsze wygląda schludnie, ale teraz wcale się tak nie czuła. Podchodząc do nich, żałowała, że nie może zatrzymać czasu, by się wykapać, uczesać, umalować, ubrać w coś eleganckiego i dopiero wtedy pojawić się z kieliszkiem martini w dłoni.

- Przepraszam, że nie podaję ręki. Jestem trochę brudna.
- To moi przyjaciele z Los Angeles - powiedział Ren. - Tad Keating i Ben Gearhart. Koleś z komórką to mój agent, Larry Green. - Wskazał najpierw rudą. - To jest Savannah Sims. - A potem tę podobną do Pameli Anderson. - A to Pamela.

Isabel zamrugała.

- Ja tylko jestem do niej podobna. Nie jesteśmy spokrewnione - wyjaśniła Pamela.

- Isabel Favor-przedstawiająRen.-Zatrzymała się w tamtym domku.
- O mój Boże! - zaskrzeczała Pamela. - Nasz klub czytelników zrobił w zeszłym roku dwie pani książki.

Isabel wyjątkowo zirytowała, że ktoś, kto wygląda jak Pamela, ma dość inteligencji, by należeć do klubu czytelników. Mogła ją zienawidzić, ale postanowiła być ponad.

- Miło mi to słyszeć.
- Jesteś pisarką? - wycodziła Savannah. - No, no.

Tę zienawidziła od razu.

- Nie wiem jak wy — powiedział Ren - ale ja mam ochotę zabalować. Isabel, może przyjdiesz do willi, kiedy się umyjesz? Chyba że jesteś zbyt zmęczona.

Nie cierpiała, kiedy ktoś powyżej dwudziestego pierwszego roku życia używał słowa „zabalować”. Co więcej, była wściekła, że traktował ją jak kogoś z zewnątrz.

- Wcale nie jestem zmęczona. Nie mogę się doczekać! Hu, hu. Impreza.

Ren odwrócił wzrok.

Po powrocie do domku wykapała się i położyła, żeby się zdrzemnąć, ale zasnęła głęboko. Ocknęła się dopiero po dziewiątej. Otrząsnęła się z resztek snu i zaczęła się ubierać. Nie mogła rywalizować z tymi kobietami wzywającym strojem, więc nawet nie próbowała. Wybrała najprostszą czarną sukienkę, zaczesała włosy, zapięła bransoletkę, wzięła szal i z sercem w gardle poszła do willi.

Czuła się jak gość, dlatego zadzwoniła, zamiast po prostu wejść, jak zwykle. Gdy Anna otworzyła drzwi, buchnęła muzyka.

- Dobrze, że przyszłaś - powiedziała Anna wyraźnie oburzona. - Ci ludzie... - Wydała z siebie dźwięk przypominający syk powietrza uchodzącego z opony.

Isabel uśmiechnęła się do niej ze współczuciem i poszła za muzyką na tył domu. Zatrzymała się w galerii prowadzącej do salonu.

Agent Rena leżał na dywanie twarzą do ziemi, a Pamela siedziała na nim ze spódnica podwinietą do szczytu ud i masowała mu plecy. Światła były przyciemnione, muzyka grała bardzo głośno. Wszędzie leżało porzucone jedzenie, a na marmurowym popiersiu Wenus udrapowano czarny stanik. Obok Adonis Tad obściskował się z młodą sprzedawczynią z drogerii w miasteczku. Ben, drugi Adonis, trzymał w dłoni zniszczoną pałeczkę do perkusji i śpiewał pijackim głosem w rytm muzyki.

Tańczący z Savannah Ren chyba nie zauważył Isabel, może dlatego, że piersi rudej były przyklejone do jego piersi, a oba jej ramiona obłąpiłygo szyję. W dłoni, którą oparł na jej talii, trzymał kryształowy kieliszek z czymś, co wyglądało na śmiertelną truciznę. Isabel patrzyła, jak druga dłoń przesuwają się po kościstym biodrze kobiety.

Więc...

- Hej, dziewczyno! - Pamela pomachała do niej z pleców Larry'ego Greena. - Larry uwielbia parki. Chcesz mu pomasaować stopy?

- Nie, raczej nie.

Gdy mówiła, Ren odwrócił się powoli, ciągle przyklejony do Savannah. W czarnych spodniach i białej jedwabnej koszuli, rozpiętej o jeden guzik za głęboko, wyglądał jak uosobienie eleganckiej rozpusty. Bez pośpiechu puścił Savannah.

- Jeśli jesteś głodna, jedzenie stoi na stole.

- Dzięki.

Kosmyk włosów opadł mu na czoło, gdy szedł w stronę kufra, na którym na srebrnej tacy stały butelki z alkoholem. Napełnił kieliszek, wypił łyk i zapalił papierosa. Dym wirował wokół jego głowy jak brudna aureola.

- Myślałem, że nie przyjdiesz.

Zsunęła szal i przewiesiła go przez oparcie krzesła.

- Przegapić imprezę? Nie ma mowy. Powiedz tylko, że nie spóźniłam się na grę w butelkę.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Z jego diabelskich nozdrzy wydobywał się dym. Savannah o wyniosłym wyrazie twarzy i długich nogach patrzyła na prostą sukienkę Isabel z chłodnym rozbawieniem. Pamela się zaśmiała i zeskoczyła z pleców Larry'ego Greena.

- Isabel, jesteś niesamowita. Grałaś w taką grę, w studenckich czasach, która polega na tym, żeby za każdym razem, kiedy Sting śpiewa *Roxanne*, sobie gołnąć?

- Chyba mnie to ominęło.

- Pewnie się uczyłaś, kiedy ja wałęsałam się po barach. Chciałam być weterynarzem, bo kocham zwierzęta, ale zajęcia były bardzo trudne i w końcu odpadałam.

- Podstawy matematyki są potworne - wycodziła Królowa Dziwek.

- Nie, janieporadziłam sobie z chemią organiczną - odparła życzliwie Pamela.

Adonis Ben zostawił swoją pałeczkę i zaczął grać na wymyślonej gitarze.

- Chodź mnie pokochać, Pammy, bo jestem zwierzęciem.

Pamela zachichotała.

- Przejmij Larry'ego, dobrze, Isabel?

Savannah owinęła się wokół Rena jak pyton.

- Zatańczmy.

Wsunął papierosa w kącik ust i wzruszył ramionami w stronę Isabel. Tym razem objął talię Savannah obiema rękami i zaczął powoli przyciskać.

Larry spojrzął na Isabel z podłogi.

- Zapłacę ci sto dolców, jeśli zaczniesz tam, gdzie przerwała Pam.

- Chyba powinniśmy najpierw porozmawiać, żeby zobaczyć, czy do siebie pasujemy.

Ren prychnął.

Larry jęknął i wstał.

- Tak na mnie działa zmiana czasu. Tamci spali w samolocie. - Uściśnięła jej dłoń. - Jestem Larry Green, agent Rena. Rozmawiałem przez telefon, gdy Ren nas przedstawiał. Nie czytałem żadnej z twoich książek, ale Pam opowiedziała mi o tobie. Kto się tobą zajmuje?

- Do niedawna Ren.

Larry się roześmiał. Zauważyła, że jego oczy są czujne, ale nie nie-miłe. Rytm muzyki się zmienił i Ren przesunął dłoń nieco niżej na biodrze Savannah.

Larry wskazał głową kufer z alkoholem.

- Napijesz się czegoś?

- Chętnie, wina. - Usiadła na sofie. Nie jadła od ośmiu godzin, więc powinna coś przekąsić, a nie pić, ale straciła apetyt.

Rozległy się tony rytmicznej ballady. Savannah ocierała się o każdą część ciała Rena, do której tylko miała dostęp. Larry podał Isabel drinka i usiadł obok niej.

- Słyszałem, że masz kłopoty zawodowe.

- Już po mojej karierze.

- Co zrobisz?

- Pytanie za milion dolarów.

- Gdybyś była moją klientką, powiedziałbym, żebyś wymyśliła się na nowo. Tb najszybszy sposób. Stworzyć nową osobowość.

- To dobra rada, ale niestety jestem chyba typem o jednej osobowości.

Uśmiechnął się i zaczęli rozmawiać o pracy, a ona próbowała nie patrzeć na Rena i Savannah. Zapytała Larry'ego o pracę agenta, a on chciał się dowiedzieć czegoś o jej wykładach. Ren przestał tańczyć, żeby pokazać Savannah antyczne przedmioty, na przykład pistolet, którym przestraszył Isabel podczas jej pierwszej wizyty. Na szczęście go odłożył. Gdy podszedł bliżej, usłyszała, że trochę bełkocze. Wskazał kieliszkiem Larry'ego.

- Dlaczego nie przywiozłeś trawy?

- Z nieracjonalnego strachu przed więzieniami w obcych krajach.  
A od kiedy ty...

- Następnym razem przywieź trochę cholery trawy. - Napełnił kieliszek, nie zważając na to, że rozlał połowę na tacę. Napił się i objął dłońmi biodra Savannah. Zaczęli kolejny powolny, seksualny taniec. Isabel cieszyła się, że nic nie jadła, bo w przeciwnym razie na pewno zymiotowała.

- Chcesz zatańczyć? - zapytał Larry.

Robi to z litości, przecież widać, że nie chce mu się ruszać z sofy. Potrząsnęła głową.

Jedna dłoń Rena zamknęła się na pośladku Savannah, która przekrzywiła głowę i rozchyliła usta. Ren nie potrzebował większej zachęty.

Isabel widziała już dość. Wstała z sofy i wzięła szal. Potem odezwała się na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli.

- Ren, wyjdiesz ze mną na chwilę?

Zaległa krępująca cisza. Ren powoli oderwał się od ust Savannah.

- Nie bądź nudziarą.

- Cóż, to moje drugie imię, a poza tym to nie potrwa długo.

Podniósł drinka. Wyglądał na znużonego i bardzo pijanego. Pociągnął duży łyk i odstawił kieliszek.

- Dobrze, załatwmy to wreszcie. - Idąc niepewnym krokiem w stronę drzwi na taras, zapalił kolejnego papierosa.

Wyrwała mu go z ust, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz.

- Hej!

Zdeptała papierosa.

- Zabijaj się, kiedy jesteś sam.

Nastroszył się z pijackiego oburzenia.

- Będę się zabijał, kiedy mi się tylko spodoba.

- Irytujesz mnie.

- Ja cię irytuję?

- Spodziewałeś się, że będę zadowolona? - Ciaśniej otuliła się szalem. - Wkurzasz mnie. Co do jedzenia... nie mogłam przełknąć ani kęsa.

- Jestem za bardzo pijany, żeby mnie to obchodziło.

- Nie jesteś pijany. Te drinki składały się głównie z lodu, poza tym zawsze rozlewałeś połowę. Jeśli chcesz ode mnie odejść, po prostu powiedz.

Jego usta się ściągnęły. Zniknął pijacki bełkot. Ren znów mówił bardzo wyraźnie.

- Dobrze. Chcę odejść.

Zgrzytnęła zębami.

- Nie masz pojęcia, czego chcesz.

- Kto to mówi?

- Ja. Z nas dwojga tylko ja mam choćby najodleglejszy kontakt z uczuciami.

- Otworzyło ci to oczy? - Wskazał ręką drzwi. Słowa strzelały jak kule. — To moje prawdziwe życie. Pobyt we Włoszech to tylko wakacje. Nie rozumiesz?

- To nie jest twoje prawdziwe życie. Może kiedyś takie było, ale nie teraz. Ty tylko chcesz, żebym w to uwierzyła.

- Mieszkam w pieprzonym Los Angeles! W klubach kobiety wtykają mi do kieszeni swoje majtki. Mam za dużo pieniędzy. Jestem płytkim egoistą. Sprzedałbym własną cholerną babcię za okładkę w „Vanity Fair”.

- I masz niewyparzoną gębę. Ale nikt nie jest doskonały. Ja bywam sztywna.

- Sztywna? - Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć. Zrobił krok w jej kierunku, zgrzytając zębami. - Posłuchaj mnie, Isabel. Myślisz, że wszystko wiesz. Spróbujmy podejść z tej strony. Przypuśćmy, że się nie mylisz. Że zaprosiłem ich tu i zorganizowałem to wszystko, żeby ci pokazać, że to koniec. Nie rozumiesz? Sens jest ten sam. Próbuję się ciebie pozbyć.

- Oczywiście. - Nie zdołała do końca opanować drżenia głosu. - Pozostaje pytanie, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu? Dlaczego nie powiedziałeś po prostu *hasta la vista, baby*? Wiesz, co myślę? Myślę, że się boisz. Ja też. Myślisz, że wygodnie mi w tym związku?

- Skąd do jasnej cholery mam wiedzieć, co myślisz? Nie rozumiem cię ani trochę. Ale wiem jedno: kiedy łączy się święta z grzesznikiem, kłopoty są nieuniknione.

- Święta? - Miała tego dość. - Naprawdę tak o mnie myślisz? Uważasz mnie za świętą?

- W porównaniu ze mną jesteś świętą jak cholera. Musisz mieć wszystko uporządkowane. Nie znosisz nawet być potargana. Spójrz na mnie. Jestem ucieleśnieniem chaosu! Wszystko w moim życiu jest szalone. I tak mi się podoba.

- Nie jesteś taki zły.

- Dobry też nie, siostrze.

Objęła się ramionami.

- Zależy nam na sobie, Ren. Możesz próbować zaprzeczyć, ale obojgu nam zależy. - Jej uczucia nie były wstydlive, więc nie zamierzała się

wstydzić. Musiała jednak głęboko odetchnąć, żeby móc mówić dalej. - Ja czuję coś więcej. Zakochałam się w tobie. I zdecydowanie nie jestem z tego zadowolona.

Nawet nie drgnął.

- Isabel, przecież jesteś mądra, wiesz, co się dzieje. To nie jest miłość. Masz na czole etykietkę „zbawca”. Widzisz we mnie obiekt wielkiej akcji ratunkowej.

- Tak? A co właściwie mam ratować? Jesteś utalentowany i kompetentny. Jesteś jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam. Mimo tej małej opery mydlanej, którą dla mnie odegrałeś, nie jesteś kobieciarzem, nie narkotyzujesz się i nigdy nie widziałam cię pijanego. Na swój dziwny sposób masz świetny kontakt z dziećmi. Nie narzekasz na brak pracy i zyskałeś szacunek w swojej branży. Nawet była żona cię lubi. Poza słabością do nikotyny i przekleństw nie rozumiem, co w tobie jest takiego strasznego.

- Nie rozumiesz. Jesteś tak ślepa na ludzkie wady, że nie powinnaś wychodzić na dwór bez smyczy.

- Boisz się tego, co dzieje się między nami, ale zamiast spróbować rozwiązać problem, postanowiłeś zachowywać się jak idiota. Kiedy tylko wrócisz do środka, umyj sobie usta i wyszoruj zęby, żeby się pozbyć bakterii tej kobiety. Powinieneś ją też przeprosić. To bardzo nieszczęśliwa kobieta i nie powinieneś wykorzystywać jej w ten sposób.

Zamknął oczy i szepnął:

- Boże, Isabel...

Księżyc wyłonił się zza chmury, rzucając cienie na jego twarz. Ren był zmartwiony i chyba bezradny.

- Tamta scena... To nie była aż taka przesada.

Tak bardzo chciała go dotknąć, ale oparła się pokusie. Nie rozwiąże tego problemu za niego. Musi zrobić to sam albo wcale.

- Przykro mi. Wiem, jak masz dość takiego życia.

Wydał z siebie cichy, prawie niesłyszalny jęk i przyciągnął ją gwałtownie do siebie, ale zaledwie poczuła ciepło jego ciała, puścił ją.

- Jutro muszę jechać do Rzymu - powiedział.

- Do Rzymu?

- Jest tam już Howard Jenks, żeby sprawdzić plany. - Poklepał się po biodrze, daremnie szukając paczki papierosów. - Przyleci OHver Craig, Brytyjczyk, który gra Nathana, i Jenks chce, żebyśmy przeczytali scenariusz razem. Będą przymiarki kostiumów i próby charakteryzacji. Obiecałem kilka wywiadów. Wrócę przed festą.

Fiesta miała się odbyć za tydzień.

- Anna na pewno będzie ci wdzięczna.

- Tam... - Przekrzywił głowę w stronę domu. - Nie zasłużyłaś na to. Ja tylko... Musiałaś zrozumieć, to wszystko. Przykro mi.

Jej też było przykro. Bardziej, niż mógł sobie wyobrazić.

## Rozdział 22

Oczy Trący wypełniły się łzami. Hormony dawały znać o sobie. - Czy już ci podziękowałam, że zwróciłaś mi Harry'ego?

- Kilka razy.

- Gdyby nie ty...

- Poradzilibyście sobie sami. Ja tylko przyspieszyłam ten proces. Otarła oczy.

- Sama nie wiem. Zanim się zjawiłaś, nie mieliśmy szczęścia. Connor, nie rzucaj piłką w kwiatki.

Connor oderwał wzrok od piłki nożnej, którą bawił się w ogródku Briggsów w Casalleone, i uśmiechnął się do nich. Podwórko przylegało z jednej strony do rzędu domów przy ulicy, z drugiej do części rzymskiego muru, który kiedyś otaczał miasto.

- Ren wyjechał dziś do Rzymu - powiedziała Isabel z bólem serca.

- Chce się mnie pozbyć.

Trący odłożyła różową dzinsową kurteczkę dziecka, którą cerowała.

- Powiedz, co się dzieje.

Isabel opowiedziała jej o imprezie. Na koniec dodała:

- Nie widziałam go od tej pory. Anna powiedziała, że wyjechał z Larrym około południa.

- A pasożyty z Los Angeles?

- Wyjechały do Wenecji. Pamela jest miła.

- Skoro tak twierdzisz. - Trący pogłaskała się po brzuchu. - Ren zwykle wybiera najłatwiejsze wyjście, dlatego właśnie się ze mną ożenił. Emocjonalny bałagan toleruje tylko na ekranie.

- Bycie ze mną to wielki emocjonalny bałagan. - Isabel próbowała się uśmiechnąć, ale usta odmówiły posłuszeństwa.

- Nieprawda.

- Mówisz tak z grzeczności. On uważa, że go osądzam; to prawda, ale tylko w odniesieniu do jego pracy. Próbowałam tego nie okazywać, bo wiem, że to nie fair, zwłaszcza że mam wiele własnych wad, nad którymi

powinam popracować. Rzucam mu wyzwanie tylko dlatego, że tak bardzo mi na nim zależy. W pozostałych aspektach życia plasuje się w mojej prywatnej klasyfikacji bardzo wysoko. To dla mnie szok.

- Jesteś pewna, że pożądanie nie wpływa na twoją ocenę?
- Znasz go tak długo, że nie widzisz, na jak wspaniałego mężczyznę wyrósł.

- Cholera. - Trący opadła na oparcie fotela. - Naprawdę się w nim zakochałaś.

- Myślałam, że to nie tajemnica. - Na pewno nie dla Rena, po tym, jak w nocy wykrzyczała mu swoje uczucia.

- Wiedziałam, że cię pociąga. Ale pociąga każdą kobietę, w której żyłach płynie krew. On bez przerwy rozbiera cię wzrokiem. Ale ty przecież znasz się na ludziach. Myślałam, że rozumiesz, że związek z Renem może się utrzymać tylko na zwierzęcym poziomie. On podchodzi poważnie tylko i wyłącznie do pracy.

Isabel poczuła, że musi go bronić. Żałosne.

- Podchodzi poważnie do wielu spraw.

- Wymień choć jedną.

- Jedzenie.

- Sama widzisz - wycodziła Trący.

- Mam namyśli wszystko, co dotyczy jedzenia. Lubi gotować, tworzyć, podawać. Jedzenie oznacza dla niego wspólnotę, a ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że tego bardzo brakowało mu w dzieciństwie. On kocha Włochy. Uwielbia twoje dzieci, czy się do tego przyznaje, czy nie. Interesuje się historią, zna się na sztuce i muzyce. ( podchodzi poważnie do mnie. - Odetchnęła głęboko, a z jej głosu znikła pewność siebie. - Tylko że nie aż tak poważnie, jak ja do niego. Wbił sobie do głowy, że on jest złym człowiekiem, a ja świętą.

- Ren żyje w innym świecie i może dlatego jest zły. Kobiety padają mu do stóp. Dyrektorki wytwórni filmowych błagają, żeby brał od nich pieniądze. Ludzie mu nadskakują. Przez to ma wypaczony obraz swojego miejsca w świecie.

Isabe! chciała powiedzieć, że jej zdaniem Ren jasno, choć trochę cynicznie, wyobraża sobie swoje miejsce w świecie, ale Trący jeszcze nie skończyła.

- On nie lubi krzywdzić kobiet, ale niestety zawsze się tak kończy. Proszę, Isabel... Nie pozwól się pogrążyć.

Dobra rada, ale trochę za późno.

Isabel próbowała sobie znaleźć zajęcie, ale raz po raz łapała się na tym, że gapi się przed siebie albo ciągle myje to samo naczynie. Kiedy zrozumiała, że czeka na telefon, rozzłościła się na siebie, chwyciła terminarz i zaczęła planować każdą minutę. Odwiedziła Trący, bawiła się z dziećmi i spędziła wiele godzin w willi, pomagając w przygotowaniach do fiesty. Coraz bardziej lubiła Annę, która opowiadała jej o historii willi i mieszkańców Casalleone.

Minęły trzy dni - żadnej wiadomości od Rena. Bolało ją serce i była coraz bardziej załamana, widząc, jaki bieg przybrało jej życie. Nie tylko nie znalazła sobie nowej drogi, ale i skomplikowała to, co było dotychczas.

Vittorio i Giulia zabrali ją do Sieny; choć miasto było naprawdę piękne, wycieczka jednak się nie udała. Za każdym razem, gdy mijali jakieś dziecko, Giulia z trudem powstrzymywała się od płaczu. Starła się nadrabiać miną, lecz była zrozpaczona, że nie udało się znaleźć posążka. Vittorio dwoił się i troił, żeby je trochę rozbawić, ale on też był przygnębiony sytuacją.

Następnego dnia Isabel zgłosiła się na ochotnika do pilnowania Connora w domku, bo Trący poszła do lekarza, a Marta pomagała Annie gotować. Gdy szli przez gaj oliwny, skupiła się najęgo radosnym gaworzeniu, próbując nie myśleć o ostrym bólu przeszywającym jej serce. Po spacerze bawili się z kotami, a kiedy zrobiło się chłodno, zabrała chłopca do domku i pozwoliła mu rysować przy kuchennym stole. Kupiła mu kredki.

- Narysowałem psa! - Connor pokazał jej kartkę.

- Wspaniały.

- Jeszcze papieru!

Uśmiechnęła się i wzięła pusty blok ze sterty papierów na stole. Connor, jak szybko odkryła, nie oszczędzał kredek i papieru. Jakież to było kochane dziecko. Nigdy wiele nie myślała o rodzeniu dzieci, odsuwając to w nieokreśloną przyszłość. Jak obojętnie odnosiła się do tylu ważnych w życiu rzeczy! Zamrugnęła, żeby się nie rozpłakać.

Gdy Connor zaczął trochę marudzić, wróciła Trący. Podniosła go i dmuchnęła mu w szyję, a potem usiadła przy stole i wzięła go na kolana. Isabel zaparzyła herbatę.

- Doktor Andrea to przystojniak. Wciąż nie wiem, czy wypada pozwolić się macać takiemu lekarzowi. Pytał o ciebie.

- To seryjny flirciarz.

- Racja. Dzwonił Ren?

Wbiła wzrok w pusty kominek. Potrząsnęła głową.

- Przykro mi.  
Gniew nieco złagodził ból.

- Na pewno myśli, że przesadzam. We wszystkim. Jest mi ciężko. Chciałabym, żeby wcale nie wracał.

Trący zmarszczyła czoło ze zmartwienia.

- Moim zdaniem nie przesadzasz. To on zachowuje się jak dupek.

- Koń! - krzyknął od drzwi Connór, pokazując kolejny rysunek.

Gdy Trący odwróciła się do synka, Isabel próbowała się uspokoić i odetchnąć, ale gniew rozpałił w niej ogień, który pochłaniał cały tlen.

Trący zebrała rzeczy Connora i uściskała Isabel.

- Jego strata. Nie mógłby znaleźć lepszej kobiety niż ty, mam na myśli również siebie. Nie pozwól, żeby zobaczył twoje łzy.

O tak. pomyślała Isabel.

Po ich wyjściu włożyła kurtkę i poszła na dwór, żeby się uspokoić; szybko zrozumiała, że gniew jest łatwiejszy do zniesienia niż ból. Rzuceno ją dwa razy w ciągu dwóch miesięcy, więc miała już dość. Racja, rozstanie z Michaelem okazało się błogosławieństwem, ale Ren był tchórzem innego rodzaju. Bóg ofiarował obojgu cenny dar, lecz tylko ona miała odwagę po niego sięgnąć. Co z tego, jeśli przesadzała we wszystkim? On też. Kiedy go zobaczy, powie mu to.

Powstrzymała tę myśl. Już nic mu nie powie. Raz rzuciła mu wyzwanie, ale więcej tego nie zrobi. I nie z powodu dumy. Jeśli on nie przyjdzie do niej sam, to ona nie chce go wcale.

Wiatr zaczął wiać z północy. Było jej zimno i czuła się nieszczęśliwa, więc wróciła do domku i rozpałiła w kominku. Poszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę, na którą wcale nie miała ochoty. Czekając, aż woda się zagotuje, zajęła się sprząaniem papierów, które Connor porzucił na stole. Zauważyła, że rysował tylko jedną postać na stronie. Kiedy skończył mu się papier, zaczął wykorzystywać koperty listów, na które jeszcze nie odpowiedziała.

Zrobiła sobie herbatę i wzięła filiżankę oraz korespondencję do salonu. Zawsze skrupulatnie odpowiadała na listy, ale teraz chciała je wszystkie wrzucić do kominka. Bo i po co odpisywać?

Przypomniała sobie wyraz twarzy Rena, kiedy powiedziała, że jest ich niewiele. „Ratowanie dusz to sprawa ilości, a nie jakości?” Ona uważała mały stosik za symbol swojego upadku, on jednak dostrzegł coś innego.

Usadowiła się wygodnie na sofie i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że listy, które trzyma w dłoni, są ciepłe i żywe. Wzięła pierwszy i zaczęła czytać. Potem sięgnęła po drugi i trzeci, aż przeczytała wszystkie. Herba-

ta wystygła. Ogień trzaskał w kominku. Isabel skuliła się i powoli zaczęła się modlić. Brała po kolei listy i modliła się za ich autorów.

Potem zaczęła się modlić za siebie.

Domek spowiła ciemność. Ogień w kominku przygasł. Modliła się modlitwą zagubionych.

Pozwól mi znaleźć drogę.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, widziała tylko swoje kolosalne błędy.

Stworzyła cztery filary, żeby zwalczyć własną niepewność. Gdzieś w niej kryła się przerażona dziewczynka, która dorastała na łasce nierównoważonych rodziców. Wciąż tak bardzo pragnęła równowagi, że zbudowała system zasad, by czuć się bezpiecznie.

Rób to i to, a wszystko będzie dobrze. Twój adres nie będzie się zmieniał z miesiąca na miesiąc. Twoi rodzice nie będą się tak upijać, żeby zapomnieć cię nakarmić. Nikt nie będzie krzyczał pełnych nienawiści słów ani uciekał w środku nocy, zostawiając cię samą. Nie będziesz chora. Nie zestarzejesz się. Nigdy nie umrzesz.

Cztery filary dały jej złudzenie bezpieczeństwa. Gdy stało się coś, co nie pasowało do nich idealnie, po prostu dobudowywała kolejny element, próbując uwzględnić nową sytuację. W końcu cała budowla stała się tak ciężka i bezkształtna, że zawaliła się na nią. Żyła desperacko, próbując zapanować nad tym, nad czym zapanować nie można.

Wstała z sofy i wyjrzała przez okno w ciemność. Cztery filary łączyła w sobie psychologię, zdrowy rozsądek i duchową mądrość mistrzów. Miała zbyt wiele świadectw, żeby nie wiedzieć, jak są przydatne. Ale ona chciała wierzyć, że są czymś więcej. Chciała wierzyć, że są króliczą łapką chroniącą przed niebezpieczeństwami życia. Przestrzeganie tych zasad gwarantuje bezpieczeństwo na zawsze.

Ale życie nie poddawało się żadnym rygorom, więc organizacja, reorganizacja, ustalanie celów, kalkulowanie i medytacja nie mogły w żaden sposób uporządkować wszechświata. Nie pomogłoby tysiąc filarów, choćby najlepiej pomyślanych.

Wtedy usłyszała cichutki głosik gdzieś głęboko w sobie. Zamknęła oczy i skupiła się, żeby usłyszeć, ale nie mogła zrozumieć słów. Oparła się policzkiem o framugę okna i przez jakiś czas stała bez ruchu, ale nic to nie dało. Głosik ucichł.

Chociaż w pokoju było ciepło, zaczęła szcekać zębami. Czuła się zagubiona, samotna i bardzo zła. Wszystko zrobiła jak należy. Cóż, prawie wszystko, bo przecież zakochała się w tchórze. Robiła wszystko zbyt właściwie. Tak się zajęła narzucaniem porządku swojemu życiu, że nie



miała czasu go przeżyć. Aż przyjechała do Włoch. I wynikł z tego wielki nieład.

Głos znów w niej przemówił, ale wciąż nie mogła usłyszeć słów, tylko bicie swojego serca.

- Ren?

Nagle ocknął się z zamyślenia.

- Tak. W porządku. Jak sobie życzysz.

- Na pewno? - Otyły Howard Jenks rozsiadł się wygodnie w fotelu. Miał taką minę, jakby zaczynał wątpić, czy dokonał słusznego wyboru odtwórcy roli głównej. Ren nie mógł mieć mu tego za złe. Ciągłe się wyłączał. Kierował rozmową, a po chwili zamyślał się i nie wiedział, o co chodzi.

Wiedział też, że fatalnie wygląda. Miał oczy nabiegłe krwią i tylko najlepszy charakteryzator mógłby zamaskować cienie pod nimi. Ale jak można wyglądać, gdy od kilku dni chodzi się niewyspanym? Cholera jasna, Isabel, zostaw mnie w spokoju.

Larry, który siedział w fotelu naprzeciwko niego w apartamencie Jenksa w hotelu St. Regis Grand w Rzymie, zmarszczył brwi.

- Jesteś tego pewien, Ren? Myślałem, że nie chcesz dublera do scen na Golden Gate.

- Nie chcę - odparł Ren, jakby od początku o to mu chodziło. - To tylko skomplikuje sprawę, a ja nie boję się wysokości. - Chciał przerwać, ale słowa wrywały się same. - Poza tym czy trudno jest złapać sześciolatkę?

Zapanowała krępująca cisza. Oliver Craig, aktor, który miał zagrać Nathana, uniósł brew.

Craig wyglądał jak chłopiec z chóru, ale był zawodowym aktorem. Studiował w Akademii Królewskiej i grał w Old Vic. Jenks zwrócił na niego uwagę w niskobudżetowej komedii romantycznej.

-- Wyczyny kaskaderskie na moście to coś więcej niż gonienie dziewczynek - powiedział kwaśno Jenks. - Chyba o tym wiesz.

Craig pospieszył mu z pomocą.

- Ren i ja rozmawialiśmy wczoraj o równowadze między scenami akcji i spokojniejszymi momentami. To naprawdę wyjątkowe.

Larry włączył się do rozmowy; mówił, że Ren bardzo się cieszy, mogąc zagrać rolę, w której pokaże swój wielki talent, że będzie mu się świetnie współpracować z OHverem i bla, bla, bla. Ren przeprosił i poszedł do łazienki. Pochylił się nad umywalką i obmył twarz zimną wodą. Musi się

pozierać. Wczoraj Jenks wziął Larry'ego na stronę i zapytał, czy Ren bierze narkotyki.

Wytań się rącznikiem. To był przełom w jego karierze, a on wszystko psuł, nie mogąc się skupić. Tak bardzo chciał usłyszeć głos Isabel, że kilkanaście razy omal nie zadzwonił. Tylko co by jej powiedział? Że z tęsknoty za nią nie może spać? Że pragnie jej tak bardzo, że bez przerwy czuje ból? Gdyby nie zgodził się na udział w przyjęciu po winobranii, mógłby uciec, jak gad, którym był. A tak znów czeka go cierpienie.

Wczoraj amerykański reporter zapytał go, czy plotki, które słyszał, są prawdą.

- Podobno ty i Isabel Favor jesteście parą.

Plotkara Savannah już rozpuściła język. Ren zaprzeczył wszystkiemu, udając, że właściwie to nie wie, kim jest Isabel. Jej nadwątłona opinia nie przetrwałaby publicznego związku z nim.

Powiedział sobie to samo, co powtarzał od kilku dni. W pewnym momencie romans albo musi się skończyć, albo zrobić logiczny krok naprzód, a dwoje tak różnych ludzi nie mogło zrobić kroku naprzód. Nie powinien był w ogóle się do niej zbliżać, ale nie mógł oprzeć się pokusie. A teraz, kiedy nadszedł czas, żeby odejść, bardzo pragnął, żeby Isabel jednak myślała o nim dobrze. Może dlatego tak bardzo się starał zapracować na przynajmniej jedno dobre wspomnienie, które mógł jej dać przed ostatecznym pożegnaniem.

Spuścił wodę, choć nie używał toalety, i wrócił do pokoju. Rozmowa ucichła, gdy się pojawił, więc nie miał wątpliwości, o czym rozmawiali. OHver wyszedł. Zły znak.

Jenks przesunął na czoło okulary do czytania.

- Usiądź, Ren.

Zamiast opaść na fotel, żeby pokazać, że rozumie powagę sytuacji, Ren podszedł do barku i otworzył butelkę pellegrino. Napił się i dopiero usiadł. Agent patrzył na niego ostrzegawczo.

- Rozmawiałem z Larrym - powiedział Jenks. - Zapewnia mnie, że jesteś całkowicie zaangażowany w ten film, ale mam poważne wątpliwości. Jeśli jest jakiś problem, powiedz, o co chodzi, żebyśmy mogli go rozwiązać.

- Nie ma żadnego problemu. — Na jego czole u nasady włosów zaperlili się pot. Wiedział, że musi coś powiedzieć, żeby uspokoić Jenksa, i szukał właściwych słów, ale usłyszał własny głos, który mówił coś przeciwnego: - Chcę, żeby na planie był psycholog dziecięcy. Najlepszy, jakiego znajdziesz, rozumiesz? Niech mnie szlag, jeśli mam straszyć w śnie małe dzieci.

Tylko że to była jego praca. Przez niego ludzie mieli koszmary. Zastanawiał się, jak śpi Isabel.

Jenks nie mógł już chyba bardziej zmarszczyć brwi. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo zadzwonił telefon. Odebrał Larry.

- Tak? - spojrzął na Rena. - W tej chwili nie może rozmawiać.

Ren odebrał mu słuchawkę.

- Gage.

Jenks spojrzął na Larry'ego. Ren posłuchał chwilę, schował telefon i ruszył do drzwi.

- Muszę iść.

Isabel wciąż była zła. Gniew buzował w niej, gdy kroїła warzywa w kuchni willi i wyjmowała naczynia z kredensu. Nie wygasł późnym popołudniem, gdy spotkała się z Giulią w miasteczku, żeby wypić lampkę wina. Wpadła do dzieci Briggsów, ale nawet gdy z nimi rozmawiała, wrzała w niej krew.

Jechała już samochodem do domu, gdy zauważyła plamę koloru na wystawie butiku. Lśniła tam suknia, czerwono-pomarańczowa, płonąca jak jej złość. Nigdy czegoś takiego by na siebie nie włożyła, ale jej fiat chyba o tym nie wiedział. Wjechał na chodnik przed sklepem, łamiąc zakaz postoju. Dziesięć minut później wyłoniła się ze sklepu z suknią, na którą nie było jej stać i której na pewno nigdy nie włoży.

Wieczorem wzięła się do gotowania. Nadal była wściekła. Przekręciła kurek piecyka gazowego tak mocno, że patelnia rozgrzała się prawie do czerwoności. Ostra kiełbasa, którą kupiła wcześniej, bardzo się przypiekła. Nóż robił dziury w desce, gdy siekała cebulę i czosnek, a potem kroїła ostrą paprykę z ogrodu. Zorientowawszy się, że nic zagotowała wody na makaron, wylała ostry sos na grubą kromkę wczorajszego chleba i wyniosła jedzenie do ogrodu. Usiadła na murze i zjadła wszystko, popijając dwoma kieliszkami chianti. Naczynia zmywała w rytm włoskiego rock and rolla z radia. Stłukła talerz i wrzuciła go do kosza na śmieci. Uderzył tak mocno, że kawałki rozbiły się w drobny mak.

Zadzwonił telefon.

- Signora Isabel, tu Anna. Powiedziała pani, że przyjdzie jutro rano, żeby pomóc ustawić stoliki pod namiotem, ale to nie jest konieczne. Zajmie się tym signore Ren.

- Wrócił? - Omal nie złamała ołówka, który jakimś cudem znalazł się w jej dłoni. - Kiedy przyjechał?

- Po południu. Nie rozmawiała pani z nim?

- Jeszcze nie. - Ogryzała skórę przy paznokciu kciuka.

Anna mówiła o ostatnich przygotowaniach do fiesty, o dziewczynach, które zatrudniła do pomocy, o tym, że Isabel ma się tylko dobrze bawić, a nie pracować. Isabel była tak wściekła, że z trudem zdobywała się na zdawkowe odpowiedzi.

Później zebrała swoje notatki do książki o pokonywaniu osobistego kryzysu i wrzuciła je w ogień. Gdy zmieniły się w popiół, połknęła dwie pigułki nasenne i poszła do łóżka.

Rano wrzuciła coś na siebie i pojechała do miasta. Zwykle po środkach nasennych czuła się oszołomiona, ale ponieważ nadal była wściekła, szybko otrząsnęła się z resztek snu. W barze przy placu wypijała filiżankę mocnego espresso, a potem chodziła po ulicach, ale bała się patrzeć na sklepowe wystawy, bo mogłaby wzrokiem stłuc szyby. Kilka osób zapytało ją o zaginiony posążek i o popołudniową imprezę. Wbijała sobie paznokcie w dłonie i odpowiadała najkrócej, jak było to możliwe.

Wróciła do domu krótko przed rozpoczęciem fiesty. Poszła do łazienki, odkręciła kurek z zimną wodą i stała długo pod prysznicem, czekając, aż skóra przestanie ją piec. Gdy zaczęła się malować, jej palce mocniej niż zwykle naciskały kredkę do oczu. Nałożyła też więcej różu na kości policzkowe. Podkład, cień do powiek, tusz do rzęs - wszystkie te kosmetyki chyba żyły własnym życiem. Trący zostawiła czerwoną, połyskliwą szminkę, Isabel umalowała się nią. Gdy skończyła, jej usta lśniły jak czerwone od krwi usta wampira.

Powiesiła kupioną suknię na drzwiach szafy. Suknia mrugała do niej z wieszaka. Była dopasowana i wyglądała jak kolumna ognia. Isabel nigdy nie nosiła jaskrawych kolorów, ale teraz zerwała suknię z wieszaka i włożyła ją na siebie. Szarpiąc suwak, przypomniała sobie, że należałoby włożyć majtki.

Przejrzała się w lustrze. Małe bursztynowe paciorki ukryte w tkaniu migotały jak rozżarzone węgielki. Suknia odsłaniała jedno ramię, poszarpany, uszyty z pasm materiału dół powiewał jak płomień od połowy uda do łydki. Suknia nie była właściwa ani na tę okazję, ani dla niej, ale Isabel wcale się tym nie przejmowała.

Potrzebne jej były niebezpiecznie wysokie szpilki ze złożonymi paciorkami na palcach, ale nie miała takich, więc włożyła brązowe sandały. Tym lepiej, zadcpeć własne serce.

Zerknęła w lustro. Szkarłatne usta kłóciły się z suknią, a sandały z całością, ale nie dbała o to. Zapomniała wysuszyć włosy, więc wzburzone jasne loki wyglądały jak fryzura jej matki w stanie największego zaniedbania. Przypomniała sobie mężczyzn, krzyki, wszystko, co wiązało

się z jej matką, ale zamiast sięgnąć po opaskę, chwyciła nożyczki do manikiuru. Patrzyła na nie chwilę, a potem zaczęła się strzyc.

Odcięte kosmyki fruwały wokół jej palców. Nożyczki szczękały gniewnie, poruszając się coraz szybciej, aż fryzura zaczęła przypominać burzę bezładnych pasemek. W końcu zdjęła bransoletkę, rzuciła ją na łóżko i wyszła z pokoju.

Obcasy sandałów rozrzucały żwir na boki. Isabel zobaczyła wreszcie Willę Aniołów. Do zakurzonego czarnego maserati wsiadał ciemnowłosy mężczyzna. Serce jej podskoczyło, ale zaraz się uspokoiło. To był tylko Giancarlo, odprowadzał sportowy samochód z podjazdu, żeby zrobić miejsce dla gości, którzy wciąż przyjeżdżali.

Było za chłodno na tak wydekoltowaną suknię i choć słońce zniknęło za gęstymi chmurami, skóra wciąż ją piekła. Przeszła ogrodami na tył willi, gdzie już zaczęli się zbierać mieszkańcy Casaleone. Niektórzy rozmawiali pod namiotem, inni stali na tarasie. Jeremy i kilku starszych chłopców grało w piłkę nożną na trawniku z posągami, a młodszy im przeszkadzali.

Zapomniała torebki. Nie miała przy sobie chusteczek jednorazowych, szminki, długopisu ani miętówek. Nie miała tamponu, kluczyków do samochodu ani podręcznego zestawu śrubokrętów - żadnego z przedmiotów, które zawsze ze sobą nosiła, żeby chronić się przed bezładną rzeczywistością życia. Co gorsza, nie miała pistoletu.

Tłum się rozstał.

Ren wyczuł, że zdarzyło się coś niezwykłego, jeszcze zanim ją zobaczył. Trący wytrzeszczyła oczy, a Giulia cicho krzyknęła. Vittorio uniósł głowę i wymamrotał znane włoskie powiedzenie, ale gdy Ren zorientował się, co przykuło uwagę wszystkich, jego mózg stracił zdolność tłumaczenia.

Isabel się podpaliła.

Zobaczył płomienną suknię, żar w oczach, gniewną energię, która z niej promieniowała, i zaschło mu w ustach. Zniknęły porządne, neutralne barwy - miła czerń, biel i beże, które określały jej świat. A włosy... Nieporządne kosmyki szalały wokół głowy. Za taką fryzurę fryzjerzy z Beverly Hills kazali sobie płacić tysiące dolarów.

Szminka i buty nie pasowały do sukni, a w Isabel było coś takiego, że rozdzwonił mu się w głowie dzwonek alarmowy. Pracował cały rok nad taką sceną w jednym z filmów. Dobrze znał scenariusz, więc wiedział, co się dzieje.

Do miasta przyjechała bliźniaczka Isabet, ta zła.

## Rozdział 23

Isabel wbiła wzrok we wpatrującego się w nią Rena, całego w czerni. Ustawione pod namiotem rzędy stolików były przykryte jasnoniebieskimi lnianymi obrusami. Na każdym stał terakotowy dzbanek z różowym geranium. Ale wesołe kolory wcale jej nie uspokoiły. Z głośników, które Giancarlo ustawił na tarasie, płynęła muzyka, a na stołach już stały platerki z *antipasti*, tace z serami i misy z owocami.

Isabel patrzyła w oczy Rena. Gniew kipiał w niej jeszcze mocniej. Ten mężczyzna był jej kochankiem, ale nie miała pojęcia, co się działo za jego srebrnymi oczami, i już jej na tym nie zależało. Mimo wielkiej fizycznej siły okazał się emocjonalnym tchórzem. Okłamał ją tysiąc razy - uwodzicielskim śmiechem, szaleńczymi pocałunkami i miłością, która rozpałała duszę. Czy tego chciał, czy nie, wszystko, co robił, było niewypowiedzianą obietnicą. Może nie miłości, ale czegoś ważnego. A on to zdradził.

Andrea Chiara szedł w jej stronę przez ogród. Odwróciła się od ubranego na czarno Rena o czarnym sercu i podeszła do miejscowego lekarza.

Ren miał ochotę w coś wałnąć, widząc, jak Isabel wita obleśnego brata Vittoria. Słyszał, jak wypowiadającego imię głosem gwiazdki filmowej z lat pięćdziesiątych. Chiara spojrzał na nią powłóczyście, uniósł jej dłoń i pocałował. Śmieć.

- Isabel, *cara*.

*Cara!* Akurat. Ren patrzył, jak doktor Kochaś bierze ją za ramię i prowadzi od jednej grupki do drugiej. Czyżby naprawdę sądziła, że potrafi pokonać go jego bronią? Nie interesowała się Andrea bardziej niż on Savannah. Dlaczego przynajmniej nie spojrzała w jego stronę, żeby sprawdzić, czy jad działa?

Chciał, żeby na niego spojrzała, bo mógłby ziewnąć. Pokazałby tym samym, że zmienił się w patentowanego kretyna. Chciał z nią skończyć, prawda? Powinien więc czuć ulgę, że Isabel flirtuje z kimś innym, nawet jeśli tylko dla efektu. Tymczasem miał ochotę zabić sukinsyna.

Trący odciągnęła go na bok, żeby na niego nakrzyczeć.

- Jak ci się podoba, że ktoś odpłaca ci pięknym za nadobne? Ta kobieta jest najlepszym, co cię w życiu spotkało, a ty ją odrzucasz.

- A ja nie jestem najlepszym, co ją w życiu spotkało, i doskonale o tym wiesz. Zostaw mnie.

Pozbył się jej, ale natychmiast podszedł Harry.

- Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

- Najbardziej na świecie.

Brakowało mu jej namiętności, jej dobroci, nieskończonego poczucia pewności. Omal nie kazała mu uwierzyć, że jest lepszym człowiekiem, niż sam o sobie myślał. Spojrzał na jej piękne, bezładne alter ego i chciał, żeby wróciła jego uporządkowana, cierpliwa Isabel, ta, której tak bardzo próbował się pozbyć.

Gdy Chiara położył dłoń na jej ramieniu, Ren z trudem przełknął zazdrość. Miał coś do zrobienia. Marzył, że będzie to słodko-gorzkie odkupienie. Chciał pokazać Isabel, że emocjonalna inwestycja w niego była choć trochę warta. Może miał nawet nadzieję, że zasłuży na jej uśmiech, chociaż to było już raczej nieprawdopodobne.

Zamierzało to zrobić pod koniec posiłku, ale nie miały już cierpliwości. Dał znać Giancarlovi, żeby ściszył muzykę.

- Przyjaciele, mogę prosić o uwagę?

Po kolei przestawali rozmawiać i zwracali się w jego stronę: Giulia i Vittorio, Trący i Harry, Anna i Massimo, wszyscy, którzy pomagali przy winobranii. Dorośli uciszili dzieci. Ren przesunął się w snop światła w pobliżu namiotu, a Isabel pozostała przy boku Andrei.

Mówił najpierw po włosku, potem po angielsku, żeby nie uroniła ani słowa.

- Jak wiecie, wkrótce wyjadę z Casalleone. Ale nie mogę odjechać, nie okazując wdzięczności za waszą przyjaźń. - Gdy wszystkie twarze się rozpromieniły, przeszedł na angielski. Isabel słuchała, ale czuł na sobie fale jej gniewu. Bał się, że w nim utonie.

Wyjął pudełko, które ukrył pod stołem, i postawił je na blacie.

- Mam nadzieję, że znalazłem odpowiedni prezent. - Zamierzał zbudować napięcie, wygłaszając długą przemowę i rozbudzając ich ciekawość, ale nie miały już do tego serca. Po prostu podniósł pokrywkę.

Wszyscy się przysunęli, gdy odgarniał papier. Wreszcie wyjął *Cień poranka*.

Po chwili ciszy Anna wydała z siebie zduszony krzyk.

- Jest prawdziwy? Znalazłeś nasz posążek?

- Jest prawdziwy - zapewnił.

Giulia krzyknęła i rzuciła się w ramiona Vittoria. Bernardo podniósł Fabiołę. Massimo wyrzucił rękę w górę, a Marta zaczęła płakać. Wszyscy podchodzili bliżej, zasłaniając mu jedyną osobę, której reakcja naprawdę go interesowała.

Trzymał *Ombra delia mattina* wysoko, żeby wszyscy widzieli. To, że nie wierzył w magiczną moc posążka, nie miało żadnego znaczenia. Oni wierzyli, a to się liczyło.

Podobnie jak *Ombra delia sera* posążek miał około sześćdziesięciu centymetrów wysokości i tylko kilka szerokości, taką samą słodką twarz, jak jego męski towarzysz, ale włosy trochę dłuższe; a malutkie piersi świadczyły o tym, że to kobieta. Wszyscy zaczęli pytać, jak Ren go znalazł.

- *Dove Vha trovata?*

~ *Com'e successo?*

- *Dove era?*

Vittorio włożył palce do ust i gwizdnął, żeby wszystkich uciszyć. Ren postawił posążek na stole. Trący przesunęła się w bok, więc wreszcie zobaczył Isabel. Miała szeroko otwarte oczy i przyciskała palce do ust. Patrzyła na posążek, nie na niego.

- Powiedz nam - poprosił Vittorio. - Powiedz, jak go znalazłeś.

Ren przypomniał, że Giulia zatelefonowała do Josie i poprosiła o listę prezentów od Paola.

- Na początku nie zauważyłem nic niezwykłego. Ale potem doczytałem się, że wysłał jej zestaw narzędzi kominkowych.

Vittorio wciągnął powietrze. Jako przewodnik wycieczek zrozumiał wcześniej niż inni.

- *Ombra delia sera* - powiedział. - Nie pomyślałem... - Zwrócił się do pozostałych. - Rolnik, który znalazł męski posążek w XIX wieku, używał go jako pogrzebacza, aż .ktoś rozpoznał jego wartość. Paolo znał tę historię. Słyszałem, jak ją opowiadał,

Ren przestudiował listę kilkakrotnie, zanim przypomniał sobie, jak znaleziono drugi posążek.

- Zadzwoiłem do Josie i poprosiłem, żeby opisała narzędzia kominkowe. Powiedziała, że to stary, niezwykły zestaw. Szufelka, kilka par szczypiec i pogrzebacz w kształcie ciała kobiety.

- Nasz posążek - szepnęła Giulia. - *Ombra delia mattina*.

~ Josie bardzo chciała mieć dziecko, Paolo o tym wiedział. Gdy nie mogła zająć w ciąży, wziął posążek z kościoła i zapakował z innymi rzeczami, żeby nie podejrzewała, co ma. Powiedział jej, że to cenny, stary zestaw, który na pewno przyniesie jej szczęście.

- I tak się stało - powiedziała Anna.

Ren potaknął.

- Trzy miesiące po otrzymaniu posążka zaszła pierwszy raz w ciąży. - Zbieg okoliczności, ale nikt ze zgromadzonych by w to nie uwierzył.

- Dlaczego Paolo zadał sobie tyle trudu, żeby Josie myślała, że posążek to część zestawu? - zapytała Trący. - Dlaczego po prostu nie wysłał tylko jego?

- Bał się, że Josie wspomni o tym Marcie, a nie chciał, by siostra wiedziała, co zrobił.

Marta gniotła fartuch w palcach. Zaczęła wszystkim mówić, jak bardzo Josie chciała mieć dziecko i jak bardzo cierpiał Paolo, słysząc o jej rozpacz. Choć jej brat już nie żył, Marta wciąż czuła, że musi go bronić. Zapewniała, że Paolo zwróciłby posążek miastu, gdyby się dowiedział o ciąży wnuczki, ale za wcześniej zmarł. Tłum był w wielkodusznym nastroju, więc wszyscy ze zrozumieniem kiwali głowami.

Giulia podniosła posążek i przytuliła go do siebie.

- Miałam zaledwie tydzień, odkąd dostałam od niej listę. Jak ci się udało tak szybko go sprowadzić?

- Poprosiłem przyjaciela, żeby poszedł do Josie i odebrał posążek. Dwa dni temu przysłał mi go do hotelu w Rzymie. - Przyjaciel znał też skuteczne metody omijania kontroli celnej.

- Nie gniewała się, że chcemy go jej odebrać?

- Ma już dwoje dzieci, a wie, jakie to dla nas ważne.

Vittorio ucałował Rena w oba policzki.

- W imieniu mieszkańców Casalleone powiem, że nigdy nie zdołamy ci się odwdziżyć za to, co dla nas zrobiłeś.

Wtedy rozpętało się szaleństwo. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi - wszyscy go całowali. Wszyscy oprócz Isabel.

Posążek przechodził z rąk do rąk. Giulia i Vittorio byli rozpromienieni. Trący wesoło zapiszczała, gdy Harry próbował ją zaprowadzić bliżej posążka. Anna i Massimo patrzyli z dumą na synów i z miłością na siebie nawzajem.

Ren był zbyt nieszcześliwy, żeby cieszyć się razem z nimi. Zerkał na Isabel, próbując wysondować, czy zrozumiała, że przynajmniej pod tym jednym względem jej nie zawiódł. Ale do niej to chyba nie dotarło. Choć śmiała się z innymi, czuł, że jej gniew go spala.

Steffle oparła się o niego.

- Jesteś smutny.

- Kto, ja? Nigdy nie byłem szczęśliwszy. Rozejrzyj się. Jestem bohaterem. - Otarł kciukiem płamę czekolady z kącika jej ust.

- Myślę, że doktor Isabel jest na ciebie zła. Mama mówi... - Na czole zrobiły jej się małe zmarszczki. - Nieważne. Mama jest ostatnio rozdrażniona. Tatusz powiedział jej, żeby uzbroiła się w cierpliwość.

- Proszę, masz kawałek chleba. - Wcisnął jej go do ust, żeby przestała mówić.

Anna i starsze kobiety zaczęły zapraszać gości do stolików. Posążek przechodził od jednej rodziny do drugiej, wznoszono toasty, wszystkie

na cześć Rena. Poczuł dziwny ucisk w gardle. Będzie tęsknił za tym miejscem i tymi ludźmi. Nie planował tego, ale jakimś cudem zapuścił tu korzenie. Jak na ironię, bardzo długo nie będzie mógł tu wrócić. Ale nawet jeśli zaczekałby z powrotem do później starości, i tak widziałby Isabel przechadzającą się po ogrodzie, z oczami błyszczącymi tylko dla niego.

Usiadła przy przeciwległym końcu stołu, tak daleko od niego, jak tylko mogła. Andrea siedział po jej jednej stronie, Giancarlo po drugiej. Żaden z nich nie mógł oderwać od niej wzroku. Była jak film odtwarzany z dużym przyspieszeniem. Loki podrygiwały wokół jej głowy, gdy gestykulowała. Oczy rzucały płomienie. Była naładowana energią, ale chyba tylko on wiedział, że targa nią złość.

Radość wzmogła apetyt, więc zupa szybko znikła z talerzy. Powiała chłodniejszy wiatr i kilka kobiet sięgnęło po swetry, lecz nie Isabel. Jej nagie ramiona lśniły gniewnym żarem.

Na stołach pojawiły się wielkie misy *linguini* z sosem z małży oraz pachnące risotto, więc wszyscy zabrali się do jedzenia. Uwielbiał takie okazje - przyjaciele, dobre jedzenie, wyśmienite wino - a jednak nigdy nie czuł się bardziej nieszcześliwy niż teraz. Giulia i Vittorio po kryjomu się pocałowali. Z miny Trący wywnioskował, że Harry obmacuje ją pod stołem. A on bardzo chciałby obmacywać pod stołem Isabel.

Napłynęły chmury, porywisty wiatr poruszał gałęziami drzew. Gniewna Isabel nie mogła usiedzieć na miejscu. Za każdym razem, gdy podskakiwała, żeby wiać talerz, spodziewał się, że naczynie rozprysnie się w jej dłoniach. Podchodziło do niej wiele osób, jakby jej skóra była namagnesowana i wszystkich przyciągała. Rozlała wino na obrus, napełniając kieliszki. Straciła maselnickę. Ale nie była pijana. Jej kieliszek stał prawie nietknięty.

Słońce przesunęło się po niebie, chmury pociemniały, ale miasteczko odzyskało swój posążek, więc atmosfera była coraz radośniejsza. Giancarlo włączył muzykę i kilka par zaczęło tańczyć. Isabel oparła się o Andree, słuchając go, jakby każde jego słowo było kroplamiodu, którą chciała zlizać. Ren wykręcał sobie palce.

Gdy przyniesiono grappę i vinsanto, Andrea wstał. Ren usłyszał, jak zwraca się do Isabel:

- Zatańcz ze mną.

Namiat wydymał się na wietrze. Isabel wstała i wzięła lekarza za rękę. Gdy ruszyli w stronę tarasu, płomienna suknia iskrzyła przy jej kolanach. Odrzuciła głowę w tył, żeby wiatr rozwiały loki. Andrea zapalił papierosa, nie mogąc oderwać wzroku od jej piersi.

Tak po prostu wyjęła mu go z ust i wetknęła sobie między wargi. Ren podskoczył tak szybko, że przewrócił krzesło. Zaciągnęła się dymem, ale zanim zdążyła odkaslnąć, stanął między nimi.

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?

Nabrała w usta dymu i dmuchnęła mu w twarz.

- Baluję.

Nie kryjąc już wrogości, spojrzął na Andreeę.

- Oddam ci ją za kilka minut, koleżko.

Nie walczyła, lecz gdy ją odciągał, żar jej skóry parzył go w palce. Nie zwracał uwagi na rozbawione miny ludzi, których mijali. Stanęli za najbliższym posągami.

- Zwariowałaś?

- Pieprz się, frajerze. - Wydmuchała kolejną chmurę dymu.

Chciał umyć jej usta mydłem. Ale to przecież była jego wina. Zamiast scałować z niej cały gniew, nadał się jak zadufany dupek.

- Miałem nadzieję, że porozmawiamy, ale najwyraźniej nie jesteś w racjonalnym nastroju.

- Słuszna uwaga. Zejdź mi z drogi.

Nigdy się nie tłumaczył, ale teraz musiał.

- Isabel, to nie mogło się udać. Za bardzo się różnimy.

- Święta i grzesznik, tak?

- Za wiele oczekujesz, to wszystko. Zapominasz, że mam wytatuowane na czole: nie nadaje się do resocjalizacji. — Zaciśnął pięści. - Kiedy byłem w Rzymie, zaczepił mnie reporter. Słyszał plotki o nas. Wszystkiemu zaprzeczyłem.

- W zamian chcesz dostać harcerską odznakę?

- Jeśli prasa dowie się, że mieliśmy romans, stracisz resztę wiarygodności. Nie rozumiesz? Wszystko za bardzo się skomplikowało.

- Rozumiem, że na twój widok chce mi się wymiotować. Rozumiem, że dałam ci coś ważnego, a ty to odrzuciłeś, i rozumiem, że już nigdy nie chcę cię widzieć. - Strzepnęła papierosa u jego stóp i odeszła. Suknia powiewała wokół jej nóg jak płomień gniewu.

Przez kilka minut stał tam, próbując się pozbierać. Powinien porozmawiać z kimś bezstronnym, poprosić o radę, ale rzut oka w kierunku tarasu powiedział mu, że najmądrzejszy doradca, jakiego zna, tańczy teraz nieprzyzwoicie z włoskim lekarzem.

Wiatr przewiewał jego jedwabną koszulę. Było mu tak żal, że omal nie padł na kolana. Wtedy zrozumiał. Kocha tę kobietę całym sercem, a odejście od niej to największy błąd jego życia.

Co z tego, że była dla niego za dobra? Była najsilniejszą kobietą, jaką znał, i tak twarzą, że mogłaby poskromić samego diabła. Gdyby się zawzięła, w końcu i jego by uporządkowała. Cholera, nie zasłużył na nią, ale to tylko znaczyło, że musi robić wszystko co w jego mocy, żeby się tego nie domyśliła.

Tylko że Isabel znała się na ludziach. Nie była emocjonalnie spragnioną kobietą, którą pociąga ładna twarz. A może to, co o nim mówiła, było prawdą? Jeśli miała rację, to tak przyzwyczaił się do patrzenia na siebie przez stare, zniszczone okulary, że nie zobaczył, jak się zmienił.

Od tej myśli zakręciło mu się w głowie. Wolność, którą mogło mu przynieść nowe spojrzenie na siebie samego, otwierała tyle możliwości, że nie mógł o tym teraz myśleć. Najpierw musi z nią porozmawiać, powiedzieć, co czuje. Podejrzewał, że ona mu tego nie ułatwi.

Do dziś mógłby przysięgać, że Isabel ma nieograniczoną zdolność wybaczenia, ale teraz nie był już taki pewien. Przyglądał się jej, gdy tańczyła. Dziś było w niej coś innego, o wiele ważniejszego niż obcięte włosy, suknia, nawet gniew. Coś...

Jego oczy spoczęły na jej nagim nadgarstku i panika, którą próbował powstrzymać, uderzyła go z ogromną siłą. Isabel nie miała bransoletki. Zaschło mu w ustach, bo nagle zrozumiał zmiany, które w niej zaszły.

Isabel zapomniała o oddychaniu.

Dłonie Isabel zaciśnięte się w pięści. Nie mogła wciągnąć powietrza w płuca. Odsunęła się od Andrei i ruszyła między tancerzami na koniec tarasu. Wokół niej twarze jaśniały szczęściem, ale to jej nie uspokajało. Ich radość byłajak benzyna wylewana na jej gniew.

Obok przebiegła hałaśliwa grupa dzieci. Andrea szedł ku niej, żeby zobaczyć, co się stało. Odwróciła się od niego i poszła do ogrodu. Wiatr otworzył okiennicę, która teraz uderzała w ścianę domu.

Gniew ją spalał. Nie była już wściekła na Rena, lecz na siebie. Pomarańczowa suknia paliła jej skórę jak kwas. Isabel chciała ją z siebie zderzyć, przygładzić włosy, zmyć makijaż z twarzy. Chciała odzyskać spokój, opanowanie, pewność co do porządku życia - wszystko, co straciła trzy noce temu, kiedy przeczytała listy i modliła się przy kominku.

Namiat wydymał się jak żagiel na wietrze. Dzieci z piskiem ścigały się do jednego z masztów. Minęły stolik, na którym stał posążek. Patrzyła na niego. Samotna figurka kobiety, kryjąca w sobie moc życia.

OBEJMIJ...

Słowo uderzyło w nią jak zniewaga, nie było już cichym szeptem z jej modlitw przy kominku tamtej nocy, ledwie słyszalnym szeptem. To był krzyk.

OBEJMIJ...

Patrzyła na posążek. Nie chciała niczego obejmować. Chciała niszczyć. Zniszczyć swoje stare życie. Dawną siebie. Ale za bardzo się bała tego, co było po drugiej stronie.

Ren szedł do niej z ogrodu. Miał zatroskaną twarz. Ścigający się chłopcy krzyczeli, dziewczynki piszczały, Łsabel zbliżyła się do posążka.

OBEJMIJ...

Było coś więcej. Wiedziała. Głos miał jej jeszcze coś do powiedzenia.

OBEJMIJ...

Anna krzyknęła ostrzegawczo, każąc dzieciom odsunąć się od namiotu. Za późno. Chłopiec, który prowadził w wyścigu, potknął się i uderzył o maszt.

OBEJMIJ...

- Łsabel, uważaj! - krzyknął Ren.

Namiot się zachwiał.

- Łsabel!

Głos wrzeszczał w jej głowie, aż przeszła ją radość.

OBEJMIJ CHAOS!

Chwyciła posążek i uciekła spod walącego się namiotu.

## Rozdział 24

Uporządkowany świat Łsabel pękł na pół. Wbiegła w jego serce. Głos podążał za nią, dźwięczał jej w głowie. Obejmij chaos!

Okrzyknęła dom, przyciskając do piersi cudowny posążek. Chciała latać, ale nie miała skrzydeł, nie miała samolotu ani nawet swojego fiata. Miała tylko...

Maserati Rena.

Pobiegła do samochodu. Dach był opuszczony, ale w tym dniu bałaganu Giancarlo zostawił klucze w stacyjce. Zatrzymała się obok samochodu, pocałowała posążek i rzuciła go na siedzenie pasażera. A potem uniosła suknię i wskoczyła do środka przez zamknięte drzwi.

Mocny silnik ryknął, gdy przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Łsabel!

Samochody blokowały ją z trzech stron. Skręciła kierownicę, wciśnęła pedał gazu i jak rakieta pomknęła przez trawnik.

- Łsabel!

Gdyby to był film, Ren zeskoczyłby na jej samochód z balkonu. Ale to było prawdziwe życie, a cała moc - z Łsabel.

Jechała po trawie, między rzędami krzewów, w stronę drogi. Gałęzie smagały boki samochodu, spod opon bryzgała ziemia. Przejeżdżając między cyprysami, wyrwała boczne lustro. Wjechała na podjazd. Spod opon posypał się żwir. Zmieniła bieg, skręciła na drogę i maserati wystrzeliło w przód. Pędziła na szczyt góry.

OBEJMIJ CHAOS. Wiatr targał jej włosy. Zerknęła na posążek, leżący obok niej, i zaśmiała się.

Drewniany znak drogowy uderzył w zderzak na pierwszym zakręcie. Na drugim zniszczyła opuszczony kurnik. Niebo zasnuwały ciemne chmury. Pamiętała, jak się jedzie do ruin zamku, bo przecież szpiegowali tam z Renem, ale minęła drogę, której szukała, więc musiała zawrócić przez czyjaś winnicę. Gdy wreszcie znalazła się na drodze, samochód wpadł w głębokie koleiny. Nacisnęła mocno pedał gazu. Maserati przejechało jeszcze kawałek, ale odmówiło posłuszeństwa tuż przed szczytem. Wyłączyła silnik, chwyciła posążek i wyskoczyła z samochodu.

Sandały ślizgały się na kamieniach. Wiatr wiał silniej na większej wysokości, jednak drzewa chroniły ją przed najgwałtowniejszymi porywami. Mocno trzymała posążek i wspinała się dalej.

Wreszcie dotarła na polanę. Uderzył w nią poryw wiatru. Zachwiała się, ale nie upadła. Przed sobą widziała ruiny na tle burzowego nieba. Ciemne chmury wirowały tak nisko nad głową, że chciała w nich zanurzyć palce.

Schyliła się, chroniąc się przed wiatrem, i ruszyła między zwalonymi arkadami i wieżami strażniczymi do muru na samym szczycie. Jedną ręką trzymała się kamieni, w drugiej niosła posążek. Wdrapała się na samą górę. Walcząc z wiatrem, stanęła prosto.

Ogarnęła ją ekstaza. Wiatr szarpał jej suknię, chmury kotłowały się tuż nad nią, świat leżał pod jej stopami. Wreszcie zrozumiała, co jej umknęło. Nigdy nie myślała drobiazgowo. Myślała zbyt ogólnie, więc straciła z oczu wszystko, czego chciała od życia. Teraz wiedziała, co musi zrobić.

Z twarzą zwróconą ku niebu poddała się tajemnicy życia. Chaos, burza, wspaniały wir. Stojąc mocno na nogach, uniosła posążek wysoko nad głowę i złożyła siebie w ofierze bogom chaosu.

Zamieszanie wokół namiotu zatrzymało na chwilę Rena, więc Isabel już wsiadała do jego maserati, gdy wybiegł przed willę. Tuż za nim pędził Bernardo; nie był na służbie, dlatego przyjechał własnym renault, a nie radiowozem. Wsiedli i pojechali za nią.

Ren domyślał się, dokąd zmierza Isabel, ale gdzie renówce do maserati. Gdy wreszcie dotarli do szlaku, był zły potem.

Przekonał Bernarda, żeby został przy samochodach, i sam pobiegł do ruin zamku. Włosy zjeżyły mu się na karku, kiedy zobaczył ją z daleka. Stała na szczycie walącego się muru, na tle morza wzburzonych chmur. Wiatr smagał jej ciało, a poszarpana suknia powiewała wokół niej jak pomarańczowe płomienie. Z twarzą zwróconą ku niebu wyciągnęła rękę do góry. W jednej trzymała posążek.

W pewnej odległości niebo przecięła błyskawica, ale z miejsca, w którym stał Ren, wydawało się, że wystrzeliła z jej palców. Isabel była żeńskim Mojżeszem, który otrzymywał drugi dekalog od Boga.

Nie pamiętał już ani jednego ze swoich rozsądnych argumentów, dla których z nią zerwał. Była darem. A on nie miał odwagi po ten dar sięgnąć. Teraz, gdy patrzył, jak stoi nieustraszona w obliczu żywiołów, jej siła zaparła mu dech w piersiach. Gdyby wygnał ją ze swojego życia, czułby się tak, jakby oddał własną duszę. Była dla niego wszystkim - przyjaciółką, kochanką, sumieniem, namiętnością. Odpowiedzią na modlitwy, których, z braku rozsądku, nie wymówił. A jeśli nie był dla niej tak doskonały, jak by chciał, musiała po prostu ciężiej popracować, żeby stał się lepszy.

Patrzył, jak kolejny piorun wystrzelił z jej palców. Poczuł krople deszczu. Wiatr przewiewał mu koszulę. Ruszył biegiem. Po wiekowych kamieniach. Przez groby starożytnych. Przez czas. Żeby tylko stać się częścią jej burzy.

Wdrapał się na mur obok niej. Wiatr huczał tak głośno, że nie mogła usłyszeć jego kroków, ale zaskoczyć można tylko śmiertelnika. Ona nawet nie drgnęła, kiedy zrozumiała, że nie jest już sama. Po prostu opuściła ramiona i odwróciła się do niego.

Bardzo pragnął jej dotknąć, przygłodzić te wściekłe kosmyki włosów fruujące wokół jej głowy, wziąć ją w ramiona, całować i kochać, ale coś zmieniło się na zawsze. Zrobiło mu się zimno na myśl, że Isabel mogła przestać go kochać.

Kolejna błyskawica rozcięła niebo. Isabel nie bała się o swoje bezpieczeństwo, ale on tak, więc wyciągnął posążek z jej zeszywniałych palców. Chciał go rzucić na ziemię, żeby nie działał jak piorunochron. Ale gdy patrzył na figurkę w swojej dłoni, czuł, że wibruje w nim dziwna moc.

Zrozumiał, że nie tylko Isabel może zawrzeć przymierze. Nadszedł czas, aby i on zawarł własne, sprzeczne z jego męskimi instynktami.

Odwrócił się tak jak ona, twarzą ku niebu, i wzniosł posążek do góry. Isabel należała przede wszystkim do Boga - rozumiał to. W drugiej kolejności na pewno należała do siebie samej. Dopiero później - do niego. Taka była natura kobiety, w której się zakochał. Niech tak będzie.

Opuścił posążek i odwrócił się do niej. Patrzyła na niego, ale nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Nie wiedział, co robić. Miał wielkie doświadczenie ze śmiertelniczkami, ale boginie to zupełnie co innego, a on bardzo rozgniewał to wspaniałe bóstwo.

Jej suknia uderzała w nogawki jego spodni. Krople deszczu zmieniły się w gniewne pociski. Opanowała go straszliwa gorączka. Dotknąć jej - to będzie największe ryzyko jego życia, ale żadna siła na ziemi nie mogła go powstrzymać. Jeśli teraz czegoś nie zrobi, straci ją na zawsze.

Zanim opuściła go odwaga, przyciągnął ją mocno do siebie. Nie obróciła się w proch, jak się obawiał, lecz z karzącym ogniem odpowiedziała na pocałunek. Pokój i miłość, rozumiał, były teraz domeną łagodniejszych siostr. Ta bogini czerpała siłę z podboju. Jej ostre zęby wbity się w jego dolną wargę. Nigdy nie czuł się tak blisko życia ani śmierci. Wiatr i deszcz szalały, ale on siłą sprowadził ją z muru i zatrzymał się przy kamieniach.

Mogła się opierać, mogła z nim walczyć, spodziewał się tego, lecz nie: jej palce tylko szarpały jego ubranie. Był śmiertelnikiem, którego wybrała sobie na sługę.

Zadarł jej suknię i zerwał majtki. Część jego mózgu, która jeszcze mogła myśleć, zastanawiała się, jaki los czeka zuchwalca, który pragnie pojąć boginię, nie miał już jednak wyboru. Nie powstrzymałaby go nawet groźba śmierci.

Kamienie raniły jego ramiona i tył jej nóg, ale rozsunała uda. Była wilgotna. Wilgotna i szalona pod jego palcami. Rozsunął jej nogi jeszcze szerzej.

Gdy w nią wszedł, wystawiła twarz na strugi deszczu. Ren całował ją po szyi. Oplotła nogami jego biodra i wciągnęła go głębiej, wykorzystując go tak, jak on wykorzystywał ją.

Walczyli razem, razem piełi się na szczyt. Burza smagała ich ciała, ponaglana przez duchy starożytnych, którzy kiedyś kochali się wśród tych murów. Kocham cię, krzyknął bezgłośnie, bo te słowa były za słabe, żeby wyrazić ogrom jego uczucia.

Chwyciła go mocniej i szepnęła jego włosy:

- Chaos.



Zaczekał do końca, do ostatniej sekundy, zanim się zatracili, do tego ułamka czasu, który dzielił ich od wieczności. Wtedy zamknął dłoń na posążku i przycisnął go mocno do jej boku.

Błyskawica rozcięła niebo i pograżyli się w szale burzy.

Nie powiedziała ani słowa. Odeszli od muru, chroniąc się pod drzewami. Poprawił ubranie. Ruszyli przez ruiny do szlaku. Ani razu się nie dotknęli.

- Deszcz przestał padać. - Ochrypl z emocji. Trzymał w rękach posążek.

- Myślałam zbyt ogólnie - powiedziała wreszcie.

- Teraz? - Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Z trudem przełknął ślinę. Jeśli teraz się nie udało, może nie być następnego razu. - Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

Nie odpowiedziała, nawet na niego nie popatrzyła. Było chyba za późno, tak jak się obawiał.

Zeszli szlakiem, obmywani kroplami deszczu z drzew. Ren zobaczył Bernarda przy maserati. Bernardo wyciągnął samochód z kolein i szedł do nich, nieszczęśliwy, ale zdeterminowany.

- Signora Favor, przykro mi, ale muszę panią aresztować.

- To nie jest konieczne - zapewnił Ren.

- Pani zniszczyła własność prywatną.

- Ależ to nic takiego - powiedział. - Zajmę się tym.

- Ale jak zajmie się pan ludźmi, których życiu zagroziła, jadąc nieostrożnie?

- Jesteśmy we Włoszech - odparł. - Wszyscy jeżdżą nieostrożnie.

Bernardo był służbistą.

- Ja nie ustalam praw. Signora, zechce pani pójść ze mną.

Gdyby to był film, przylgnęłaby do ramienia Rena, drżąc ze strachu, ale ona była Isabel, więc tylko skinęła głową.

- Oczywiście.

- Isabel...

Wsiadła na tylne siedzenie samochodu Bernarda, nie zwracając uwagi na Rena. Stał sam i patrzył, jak odjeżdżają.

Spojrzał na maserati. Brakowało bocznego lusterka, zderzak był wgnieciony, po jednej stronie widać było duże zadrapanie, ale Ren myślał tylko o tym, że to on popchnął ją do takiej niebezpiecznej jazdy.

Wetknął ręce w kieszenie. Nieładnie, że namówił Bernarda, by ją aresztował, przepukując go obietnicą nowoczesnego komputera dla ko-

misariatu. Ale co innego mógł zrobić, żeby nie uciekła, zanim zdąży wszystko naprawić? Z sercem w gardle ruszył do samochodu.

Celę oświetlała tylko niebieskawa lampka w drucianej oprawie. Minęła dziewiąta, a Isabel nie widziała nikogo, odkąd znalazła się w areszcie. Gdy tylko przyjechali, Harry przyniósł suche ubranie, które przygotowała dla niej Trący.

Usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Podniosła wzrok. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Wszedł Ren. Miała wrażenie, że całkiem wypełnił celę. Nawet tutaj był w centrum. Nie próbowała niczego wyczytać z jego miny. Był aktorem i mógł okazywać każdą emocję, jaką chciał.

Drzwi zamknęły się za nim, zaskoczył zatrask.

- Oszalałem - powiedział.

Wcale tak nie wyglądał. Wyglądał na zdecydowanego, ale widziała też, że jest spięty. Odłożyła notes, który trzymała na kolanach, ten, który najej prośbę przyniósł Bernardo.

- To dlatego przyjazd tutaj zajął ci trzy godziny.

- Musiałem zadzwonić w kilka miejsc.

- To wszystko wyjaśnia.

Podszedł bliżej i przyjrzał się jej. Był zakłopotany.

- To szaleństwo na szczycie góry... Byłem trochę brutalny. Nic ci nie jest?

- Jestem twarda. Dlaczego pytasz? A może ja zrobiłam ci krzywdę?

Jego usta się ściągnęły. Nie wiedziała, czy to uśmiech, czy grymas. Wsunął rękę do kieszeni i natychmiast wyjął.

- O co ci chodziło, gdy powiedziałaś, że myślałaś zbyt ogólnie?

Znała już swoje miejsce w świecie, więc nie było powodu, żeby mu tego nie wyjaśnić.

- O moje życie. Zawsze mówiłam ludziom, by myśleli w szerokiej perspektywie, ale w końcu do mnie dotarło, że czasami można przesaadzić. - Przysiadła na końcu pryczy.

- Nie rozumiem.

- Myślałam tak ogólnie, że straciłam z oczu to, czego chcę od swojego życia.

- Twoje życie to pomoc ludziom - powiedział zapalczywie. - Ani przez chwilę nie straciłaś tego z oczu.

- Chodzi o zasięg. - Splotła ręce na kolanach. - Nie muszę wypełniać wielkich sal. Nie jest mi potrzebny dom z fasadą z piaskowca przy

Central Parku ani szafa pełna ubrań od wielkich projektantów. Przecież to wszystko zaczęło mnie dusić. Kariera zawodowa i majątek odebrały mi wzrok.

- Teraz go odzyskałaś. — To było stwierdzenie, nie pytanie. Zrozumiał, że zaszła w niej bardzo ważna zmiana.

- Odzyskałam. - Czuła większą satysfakcję, pomagając Trący i Harry'emu, niż po ostatnim wykładzie w Carnegie Hall. Nie chciała już być guru dia mas. - Otworzę mały gabinet. Nic luksusowego, w robotniczej dzielnicy. Jeśli pacjenci nie będą mogli płacić, trudno. Jeśli będą mogli, tym lepiej. Będę żyć skromnie.

Jego oczy zwęziły się jak oczy płatnego zabójcy.

- Obawiam się, że mam wiadomości, które trochę zmienią twoje proste plany.

Sercem i umysłem ogarnęła już pojęcie chaosu, więc spokojnie czekała.

Stanął nad nią. Teraz to lubiła, nie czuła zagrożenia.

- Kradnąc posązek, wkurzyłaś wszystkich.

- Nie ukradłam go, tylko pożyczyłam.

- Nikt tego nie wiedział, więc chcą cię zamknąć na dziesięć lat.

- Dziesięć lat?

- Mniej więcej. Pomyślałem, że mógłbym się zwrócić do amerykańskiej ambasady, ale wydało mi się to ryzykowne.

- Mogłeś wspomnieć, ile w tym roku zapłaciłam urzędowi skarbowemu.

- Lepiej nie przypominać twojej przestępczej przeszłości. - Oparł się ramieniem o pokrytą napisami ścianę. Był bardziej pewny siebie niż w chwili, gdy wchodził do celi. - Gdybyś była obywatelką Włoch, pewnie nie zostałabyś aresztowana, jednak fakt, że jesteś cudzoziemką, komplikuje sprawę.

- Chyba będzie mi potrzebny adwokat.

- Włoscy adwokaci wszystko płaczą.

- Mam zostać w więzieniu?

- Nie, jeśli wykonamy mój plan. Jest trochę drastyczny, ale mam powody wierzyć, że szybko wyjdiesz na wolność.

- A ja z niewiadomych przyczyn nie bardzo chcę tego słuchać.

- Mam podwójne obywatelstwo. Wiesz, że moja matka była Włoszką ale nie pamiętam, czy ci mówiłem, że urodziłem się we Włoszech.

- Nie mówiłeś.

- Przyjechała na imprezę do Rzymu. Tam się urodziłem. Jestem obywatelem Włoch. To niestety oznacza, że musimy się pobrać.

Wstała z pryczy.

- Co ty powiedziałeś?

- Rozmawiałem z przedstawicielami miejscowych władz. Dali mi do zrozumienia, że nie trzymaliby cię w więzieniu, gdybyś była żoną włoskiego obywatela. A skoro i tak jesteś w ciąży...

- Nie jestem w ciąży.

Patrzył na nią spokojnie spod dumnych brwi.

- Chyba zapomniałaś, co robiliśmy kilka godzin temu i gdzie był posązek.

- Nie wierzysz w posązek.

- Od kiedy? - Wyrzucił w górę jedną rękę. - Wprost nie mogę sobie wyobrazić, jakiego diabła poczęliśmy. Kiedy pomyślę o tej burzy... - Wzruszył ramionami i wbił w nią wzrok. - Wiesz, jak to jest, kiedy się wychowuje takie dziecko? Trzeba cierpliwości. Na szczęście ty ją masz. Twardości, a Bóg wie, że jesteś twarda. I mądrości. O tym nie trzeba wspominać. Doskonale się nadajesz.

Gapiła się na niego.

- Ja wypełnię swoje zobowiązanie. Nie myśl, że nie. Świetnie umiem nauczyć dziecko susiać na nocniku.

Tak się dzieje, kiedy wpuszcza się chaos w swoje życie. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Mam zapomnieć, że uciekłeś jak tchórz, kiedy cię trochę przeraziłam?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zapomniała. - Spojrzył na nią błagalnie. - Oboje wiemy, że jeszcze muszę nad sobą pracować. Mam świetny prezent, który pomoże ci zapomnieć.

- Kupiłeś mi prezent?

- Właściwie nie kupiłem. Jeden z telefonów po tym, jak wsadzili cię do pudła, był do Howarda Jenksa.

Żołądek jej się ścisnął.

- Nie mów, że nie zagrasz w tym filmie.

- Och, zagram. Ale zamieniamy się rolami z Oliverem Craigiem.

- Nie rozumiem.

- Zagram Nathana.

- Nathan to bohater.

- Właśnie.

- To głupek.

- Powiedzmy, że brak mu testosteronu.

Opadła na łóżko i próbowała sobie wyobrazić Rena jako pedantycznego, dobrze wychowanego Nathana. Powoli pokiwała głową.

- Będziesz doskonały.  
- Też tak myślę-powiedział z satysfakcją.-Na szczęście Jenks to wizjoner i od razu załapał. Craig z radości fika koziołki. Zaczekaj, aż go zobaczysz. Mówiłem ci, że wygląda jak chłopiec z chóru. Na samą myśl o nim w roli Streeta przechodzą mnie ciarki.

Spojrzała na niego.

- Zrobiłeś to dla mnie?

Wahał się przez chwilę. Miał zakłopotaną minę.

- Głównie dla siebie. Nie przestanę grać tych złych, nie myśl tak ani przez chwilę, ale ze Streetem nie dałbym sobie rady. Poza tym muszę wzbogacić swój repertuar. Nie jestem cały zły. Czas, żebym się z tym pogodził. A ty, moja kochana, nie jesteś cała dobra, o czym świadczy to, że jedno z nas siedzi w więzieniu.

- Mam czas pomyśleć o nowej książce.

- Co się stało z tą starą? O panowaniu nad kryzysem?

- W końcu zrozumiałam, że nie nad każdym kryzysem da się zapanować. - Rozejrzała się po celi. - Chociaż chcemy być bezpieczni, nie potrafimy ochronić się przed wszystkim. Jeśli chcemy objąć życie, musimy też objąć chaos.

- W takim razie małżeństwo to dobry początek.

- Tylko że chaos sam potrafi nas znaleźć. Nie musimy się wystawiać...

- A jednak...

- Nasze małżeństwo byłoby niewyobrażalnie trudne - powiedziała. - Nie dałoby się go zaplanować. Oboje zajmujemy się karierą zawodową. Gdzie byśmy mieszkali?

- Wymyśliłabyś to bez trudu. Możesz zacząć sporządzać listy. Pamiętaj jak, prawda? Ty będziesz to robić, ajazajmę się naprawdę ważnymi rzeczami.

- Czyli?

- Zaprojektuję naszą kuchnię. Wszystko będzie supernowoczesne. Z jednej strony blat kuchenny będzie niski, żeby nasze dzieci też mogły gotować, chociaż małego drania, którego masz w sobie, będziemy trzymać z dala od noży. Duży pokój jadalny z...

- Nic jestem w ciąży.

- Na pewno jesteś. Zdał się na męską intuicję.

- Skąd ta zmiana, Ren? Co ci się przydarzyło?

- Ty mi się przydarzyłaś. - Podeszedł do niej i usiadł obok na pryczy. Nie dotykał jej, tylko patrzył głęboko w oczy. - Śmiertelnie mnie przerażasz. Wparowałaś w moje życie i wszystko przewróciłaś do góry nogami.

Niszczysz mój obraz samego siebie i każesz mi myśleć w nowy sposób. Wiem, kim byłem, ale teraz jestem wreszcie gotów zobaczyć, kim jestem naprawdę. Cynizm męczy, Isabel, a ty... pomogłaś mi wypocząć. - Sprężyny pryczy zaskrzypiały, gdy się nagle poderwał. - I tylko mi nie mów, że przestałaś mnie kochać, bo nadal jesteś lepszym człowiekiem niż ja. Liczę, że bardziej zadbasz o moje serce, niż ja dbałem o twoje.

- Rozumiem.

Zaczął się nerwowo przechadzać.

- Wiem, że małżeństwo ze mną będzie burzliwe. Praca. Dzieci. Niezgodne plany podróży. Będziesz musiała sobie poradzić z dziennikarzami, których tak bardzo staram się unikać. Będą paparazzi ukryci w krzakach, co jakiś czas artykuły w brukowcach o tym, że cię biję albo że bierzesz narkotyki. Będę wyjeżdżał na zdjęcia, będą mnie podrywać kobiety. Za każdym razem, kiedy będę kręcił scenę miłosną z piękną aktorką wyjaśnisz mi, dlaczego ci to nie przeszkadza, a potem znajdę swoje ulubione koszule z poodcinanymi rękawami. - Odwrócił się do niej i wycełował w nią palec. - Ale kobieta, która wśród żywiołu stała na murze, jest tak silna, że dałaby radę całej armii. Powiedz mi natychmiast, że nie zostawiłem tej kobiety na szczycie góry.

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Czemu nie?

- Czemu nie?

- Właśnie tak.

Ręce mu opadły.

- Tylko tyle? Otworzyłem przed tobą swoje serce. Kocham cię tak bardzo, że aż mam łzy w oczach. A w zamian dostaję „czemu nie”?

- Czego się spodziewałeś? Mam się na ciebie rzucić tylko dlatego, że wreszcie poszedłeś po rozum do głowy?

- Czy żądam za wiele?

Duma pasowała do chaosu, więc posłała mu lodowate spojrzenie.

Znów popatrzył na nią gniewnie. Jego oczy były coraz bardziej zamglone.

- Kiedy będziesz gotowa? Żeby się na mnie rzucić?

Zastanowiła się. Jej aresztowanie to jego sprawka, wiedziała od razu. Co do śmiesznej historyjki, że musi za niego wyjść, żeby odzyskać wolność... Nawet największy idiota by tego nie kupił. Ale wredne sztuczki były znakiem firmowym Rena Gage'a. Czy naprawdę chciała, żeby się zmienił?

Wcale tego nie chciała, bo był przywoity z natury. Rozumiał ją tak jak nikt inny, tak jak ona nie rozumiała siebie samej. Czy mogłaby znaleźć lepszego przewodnika po świecie chaosu? Poza tym kochała go nad

życie, chociaż nie świadczyło o niej dobrze, że z przyjemnością patrzy na te zmarszczone ze zmartwienia brwi. Miała w sobie masę sprzeczności. Jak cudownie było już z nimi nie walczyć.

Ale musiała mu odpłacić za aresztowanie, więc postanowiła jeszcze bardziej wszystko popłatać.

- Może powinnam ci powiedzieć, dlaczego cię nie kocham.

Zbladł, a ona czuła się tak, jakby roztańczyły się w niej małe tęcze szczęścia. Była okropna.

- Nie kocham cię za to, że jesteś bardzo przystojny, choć Bóg wie, że jestem za to bardzo wdzięczna. - Na jego twarzy malowała się taka ulga, że Isabe! omal nie zmiękła, lecz po co wszystko od razu rozwiązywać? - Nie kocham cię za to, że jesteś bogaty. Ja też byłam bogata, a to trudniejsze, niż się zdaje. Nie, twoje pieniądze są wadą. Nie kocham cię za to, że jesteś wspaniałym partnerem w łóżku. Jesteś taki dobry, bo masz dużą praktykę, a z tego nie jestem zadowolona. Poza tym jesteś aktorem. Oszukujesz się, jeśli myślisz, że uda mi się zrationalizować sceny miłości. Każda doprowadzi mnie do szału, a wtedy cię ukarzę.

Och, czy on się uśmiecha? Próbowała wymyślić coś straszego, żeby przepędzić ten uśmiech z jego twarzy, ale w jej oczach, tak jak w jego, pojawiły się łzy, więc się poddała.

- Kocham cię przede wszystkim dlatego, że jesteś dobrym człowiekiem i czuję się przy tobie, jakbym mogła podbić cały świat.

- Wiem, że możesz tego dokonać. - W jego głosie słychać było wzruszenie. - Przysięgam, że będę cię rozweselał przez cały czas, gdy będziesz to robić.

Patrzyli na siebie; oboje chcieli przedłużyć tę chwilę wyczekiwania, więc żadne się nie przysunęło.

- Mógłbyś mnie już wyciągnąć z więzienia? - zapytała i ukryła uśmiech, gdy trochę się poruszył i zrobił zakłopotaną minę.

- Widzisz, telefony, o których ci mówiłem, zajęły mi za dużo czasu i wszystkie urzędy są pozamykane. Obawiam się, że posiedzisz do rana.

- Poprawka. My posiedzimy do rana.

- Jest taka możliwość. Druga jest trochę bardziej ekscytująca. - Wciąż się nie dotykali, ale przysunęli się do siebie. Ściszył głos i poklepał się po biodrze. - Mam schowaną broń palną. Przyznaję, że to ryzykowne, ale możemy się wyrwać.

Uśmiechnęła się i rozłożyła ramiona.

- Mój bohater.

Gra trwała wystarczająco długo, więc nie mogli się już opierać. Musieli coś sobie wyznać.

- Wiesz, że jesteś najważniejsza w moim życiu, prawda? - szepnął w jej usta. - Wiesz, jak bardzo cię kocham?

Przycisnęła dłoń do jego piersi i wyczuła nierówny puls.

- Aktorzy to uczuciowe stworzenia - ciągnął. - Powiedz, jak długo będziesz mnie kochać.

- To proste. Całą wieczność.

Uśmiechnął się do niej. Promieniowała z niego dobroć.

- To chyba wystarczy.

Pocałowali się, głęboko i słodko. Wsunął palce w jej włosy. Ona sięgnęła między guziki jego koszuli, żeby dotknąć skóry. Odsunęli się tylko trochę, żeby spojrzeć sobie w oczy. Zniknęły wszystkie dzielące ich bariery.

Przechyliła głowę.

- W tym momencie brzmi muzyka i wjeżdżają końcowe napisy.

Ujął jej twarz i uśmiechnął się.

- Bardzo się mylisz, kochanie. Film dopiero się zaczyna.

## Epilog

Zła principessa od kilku miesięcy pożądała swojego biednego, ale uczciwego giermka, lecz zaczęła do burzowej, lutowej nocy, by wezwać go do swojej sypialni w Willi Aniołów. Była ubrana w szkarłat, swój ulubiony kolor. Wydekoltowana suknia opadała jej z ramion, odsłaniając mały tatuaż u góry piersi. Niesforne jasne włosy wiły się wokół głowy, w uszach wisiały duże złote koła, a spod sukni wystawały palce z pomalowanymi fioletowym lakierem paznokciami.

Wszedł, odziany stosownie do swojej pozycji: w płowych spodniach i białej koszuli z długimi, luźnymi rękawami.

- Pani?

Jego głęboki głos sprawił, że zakręciło jej się w głowie, ale jako principessa wiedziała, że w obecności poddanych nie należy okazywać słabości. Zwróciła się do niego z góry:

- Wykąpałeś się? Nie lubię smrodu koni w swojej sypialni.

- Tak, pani.

- Doskonale. Chcę ci się przyjrzeć.

Stał spokojnie, a ona obeszała go w koło, klepiąc się palcem w podbródek. Przyglądała mu się badawczo. Mimo skromnego pochodzenia wyglądał dumnie, co jeszcze bardziej ją podniecało. Gdy nie mogła się już oprzeć, dotknęła jego piersi, a potem zamknęła palce na jego pośladkach i ścisnęła.

- Rozbierz się.

- Jestem cnotliwym człowiekiem, pani.

- Jesteś tylko chłopem, a ja principessa. Jeśli się nie poddasz, każę zrównać wioskę z ziemią.

- Spaliłabyś całą wioskę, żeby tylko zaspokoić swoją złą żądzę?

- Natychmiast.

- W takim razie muszę się chyba poświęcić.

- **Ot co.**

- Z drugiej strony... - Zła principessa nagle znalazła się na łóżku, ze szkarłatnymi spódnicami zarzuconymi na głowę.

- Hej!

Jego spodnie opadły na podłogę.

- Wiedz, pani, że nie jestem twoim biednym, lecz uczciwym giermkiem. Jestem twoim zaginionym mężem w przebraniu, który wrócił po to, co mu się należy.

- Oj.

- Czasami nie opłaca się być złą. - Usadowił się między jej nogami, głaszcząc ją. Gdy podniosła rękę, szeroka złota bransoletka z wygrawerowanym słowem „chaos” przywarła do drugiej, która przypominała o oddychaniu; dwie części jej życia wreszcie stały się jednością. - Proszę, bądź łagodny - powiedziała.

- Żebyś się skarżyła? Nie ma mowy.

W końcu przestali rozmawiać i przystąpili do tego, co umieli najlepiej. Kochali się - namiętny dotyk, szept, czułe słowa, jakby byli w tajemnym miejscu należącym tylko do nich. Gdy się wreszcie zmęczyli, przytulili się do siebie w wielkim łożu. Nie zagrażały im zimowe wichury smagające stary dom.

Położyła stopę na jego łydce.

- Kiedyś będziemy musieli zacząć zachowywać się jak dorośli.

- Jesteśmy zbyt niedojrzali. Zwłaszcza ty.

Uśmiechnęła się.

Przez chwilę milczeli zadowoleni. Szepnął jej w policzek:

- Masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

- Och, tak. - Absolutnie pewna, przycisnęła swoje usta do jego ust, a potem opadła na poduszkę.

Gładził ją, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że należy do niego.

- Robisz to, prawda?

Słyszała uśmiech w jego głosie, ale nie przestawała się modlić. Modlitwa stała się tak ważna jak oddychanie. Tyle modlitw dziękczynnych.

Gdy skończyła, rozejrzała się po oświetlonym ogniem z kominka pokoju. Na półeczce stał jego złoty Oscar za *Nocne zabójstwo*. Ren nawet nie zaczął się zbliżać do granic swoich możliwości. Była prawie pewna, że kiedyś do statuetki dołączy druga.

Ona też nie zbliżyła się do granic swoich możliwości. *Zycie niedoskonałym życiem* rozeszło się jak świeże bułeczki - tyle ze skromnych planów - a *Niedoskonałe małżeństwo* miało się ukazać za kilka miesięcy. Wydawca domagał się, żeby jak najszybciej przyniosła mu *Wychowywanie niedoskonałego dziecka*, ale tej książki nie skończyła. Zamierzała jeszcze trochę zaczekać.

Dzięki wspaniałej sieci referencji prowadziła praktykę jako psycholog. Tak jak sobie obiecała, co dzień miała czas na myślenie, modlitwę i zabawę. Małżeństwo z Lorenzem Gage'em było burzliwe, ale dawało spełnienie. Prawdziwą satysfakcję.

Wyszedł z łóżka, klnąc cicho, bo nadepnął na plastikową zabawkę. Jutro mieli iść na chrzest drugiego dziecka Giulii i Vittoria, chłopca, który urodził się zaledwie czternaście miesięcy po siostrze. Cieszyli się z podróży do Toskanii. Choć uwielbiali swój dom w Kalifornii, przyjeżdżając tu, czuli się tak, jakby wracali do korzeni. Latem spędzali tu cały miesiąc z Harrym, Tracy i dziećmi, również z Anabelle, piątą pociechą, urodzoną dzień po ślubie Rena i Isabel, który odbył się w ogrodzie pod oknem sypialni.

Ren podniósł ubrania, które z siebie zrzucili, i włożył je do skrzyni, gdzie trzymali ciekawe kostiumy i kilka diabelskich rekwizytów.

Dzięki Ci, Boże, że obdarowałeś mnie aktorem.

Sięgnął do szafy, wyjął jej koszulę nocną i podał jej.

- Chociaż robię to niechętnie..

Wsunęła koszulę przez głowę, a on włożył na nogi szare jedwabne spodnie od piżamy. Potem podszedł do drzwi, westchnął ciężko i otworzył je z klucza.

- Czytałaś scenariusz? — zapytał, wsuwając się pod kołdrę.

- Tak.

- Wiesz, że tego nie zrobię.

- Wiem, że zrobisz.

- Jezu, Isabel...

- Nie odrzucisz tej propozycji.

- Ale Jezus?

- Przyznaję, że to może być trudne. On był samotny i przeciwny przemocy. Ale obaj kochacie dzieci.

- Zwłaszcza nasze.

Uśmiechnęła się.

- Bliźniaki to diabły. Miałeś rację.

- To diabły, które siusiąją na nocniku. Dotrzymałem swojej części umowy.

- Świetnie się spisałeś.

Uciszył ją pocałunkiem. To była jego ulubiona forma rozwiązywania konfliktów. Tulili się. Wiatr wył w kominie, okiennice klekotały a oni szeptali do siebie słowa miłości.

Już zasypiali, gdy drzwi otworzyły się ze skrzypem i dwie pary stopek przebiegły po dywanie, uciekając przed potworami kryjącymi się w ciemności. Ren wziął intruzów do łóżka. Isabel przytuliła ich mocno i rzez kilka godzin w Willi Aniołów panował spokój.

Nie mogę nie wspomnieć kompetentnych i pełnych entuzjazmu pracowników Williama Morrowa i Avon Books, którzy tak często robili dla mnie więcej, niż wymaga zakres ich obowiązków. Carrie Feron, zdolna redaktorka i dobry duch, jest też moją cudowną przyjaciółką. Bardzo dziękuję wszystkim, którzy reklamują moje książki, projektują okładki i dodają mi otuchy - Richard Aquan, Nancy Anderson, Leesa Belt, George Bick, Shannon Ceci, Geoff Colquitt, Ralph D'Arienza, Karen Davy, Dariene Delillo, Gail Dubov, Tom Egner, Seth Fleischman, Josh Frank, Jane Friedman, Lisa Gallagher, Cathy Hemming, Angela Leigh, Kim Lewis, Brian McSharry, Judy Madonia, Michael Morrison, Gena Pearson, Jan Parrish, Chadd Reese, Rhonda Rose, Pele Soper, Debbie Stier, Andrea Sventora, Bruce Unck i Donna Waitkus są naprawdę wspaniali!

## Podziękowania

Jestem bardzo wdzięczna Alessandrowi Pini i Elenie Sardelli, że pokazali mi piękno Toskanii. Bill, nie mogę sobie wyobrazić lepszego towarzysza tych niezapomnianych spacerów niż ty, choć tak bardzo się namęczyłeś, wciskając swoje szerokie, wspaniałe ramiona w wąskie, włoskie kabiny prysznicowe. Bardzo się cieszę, że Maria Brummel pojawiła się w moim życiu w tak odpowiednim momencie. Ogromnie mi pomogły jej tłumaczenia z włoskiego. (Andy, mądrze postąpiłeś, poślubiając tak cudowną kobietę, dziękuję). Dziękuję też wam, Michele Johnson i Cristino Negrì, za nieocenioną pomoc wtedy, gdy najbardziej jej potrzebowałam.

Moje koleżanki pisarki znów podzieliły się ze mną swoją wiedzą, zwłaszcza Jennifer Crusie, Jennifer Greene. Cathie Linz, Lindsay Longford i Suzette Vann. Jill Barnett, Kristin Hannah, Jayne Ann Krentz i Meryl Sawyer - nie wyobrażam sobie, by ta książka powstała bez Waszej przyjaźni i telefonów. Barbaro Jepson, jesteś najwspanialszym prezentem, jaki kiedykolwiek sobie sprawiłam. Gdybyś nie wyręczała mnie w pracach domowych, co zawsze robisz z uśmiechem, nie miałabym czasu na pisanie.

Dziękuję Zachowi Phillipsowi, że podzielił się ze mną swoją wiedzą o metafizyce i wzorcach ludzkiego zachowania. Lydio, jesteś nie tylko najlepszą siostrą na świecie, ale i najwierniejszą słuchaczką. Paryż zawsze będzie nasz! Stevenie Axelrod, jestem Ci dogonnie wdzięczna za to, że tak fantastycznie kierowałeś naszym zespołem. Dziękuję Ty'owi i Danie, że przez cały zeszły rok dzielili się ze mną swoim szczęściem. Moi miłośnicy ze strony internetowej są najwspanialszymi fanami na świecie. Cissy Hartley i Sara Reyes spisały się na medal, tworząc ją i prowadząc. Dziękuję wszystkim czytelnikom, którzy wysyłają mi listy i e-maile. Zaczynam dzień od ich lektury.